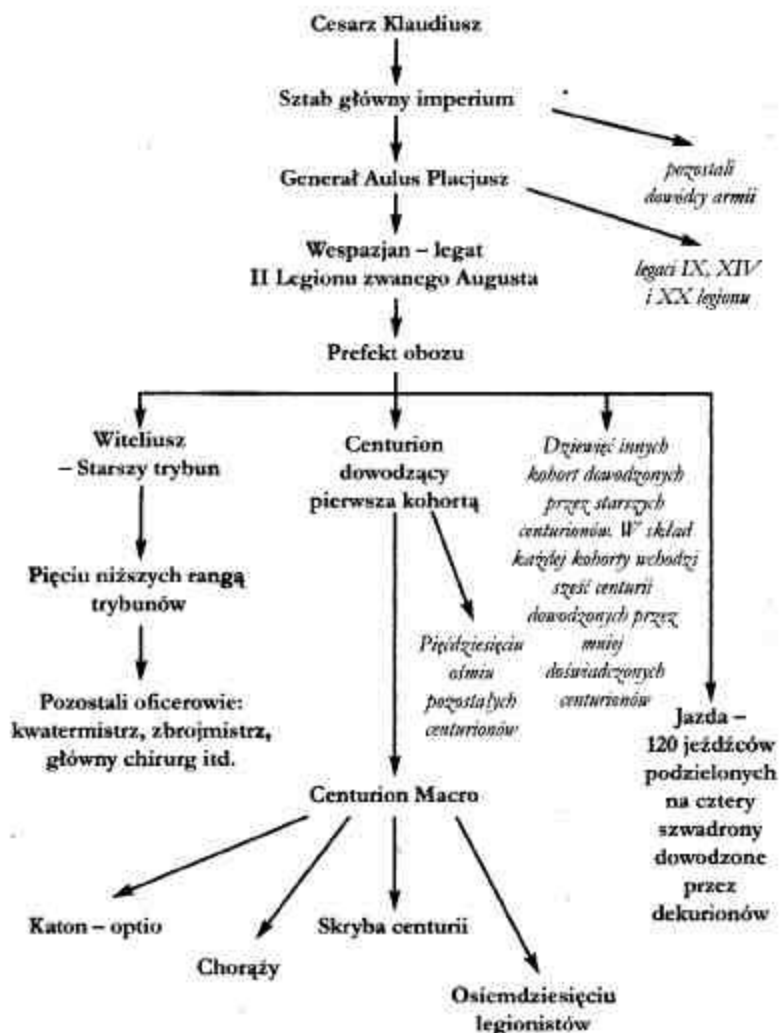


SIMON
SCARRO
W

ORLY
IMPERIUM

ŁAŃCUCH DOWODZENIA RZYMSKIEJ ARMII, STAN NA ROK 43.



STRUKTURA RZYMSKIEGO LEGIONU

W II Legionie — podobnie jak we wszystkich innych w tym czasie — służyło około pięciu i pół tysiąca ludzi. Centurią, podstawową jednostką taktyczną liczącą osiemdziesięciu żołnierzy, dowodził podoficer zwany centurionem (*centurio*), jego zastępcą był *optio*. Centuria dzieliła się na ośmioosobowe drużyny — każda zajmowała jedno pomieszczenie w koszarach albo jeden namiot podczas kampanii. Sześć centurii tworzyło kohortę, a dziesięć kohort legion, z tym że stan osobowy pierwszej kohorty był dwukrotnie większy niż pozostałych. Każdemu legionowi towarzyszyła jazda składająca się ze stu dwudziestu ludzi podzielonych na cztery szwadrony. Pełnili oni rolę kurierów i zwiadowców.

Hierarchia wojskowa przedstawiała się następująco:

Legionem dowodził legat (*legatus legionis*), zwany też czasem generałem. Mógł nim zostać jedynie przedstawiciel arystokracji. Zazwyczaj był to człowiek trzydziestokilkuletni. Pełnił swą funkcję nie dłużej niż pięć lat — w tym czasie starał się odnieść znaczące sukcesy militarne, które stanowiłyby solidne podwaliny pod przyszłą karierę polityczną.

Prefektem obozu (*praefectus castrorum*) zostawał zwykle jeden z weteranów, wcześniej będący dowódcą pierwszej kohorty legionu. Awans był ukoronowaniem kariery zwykłego zawodowego żołnie-

rza. Na barkach prefekta spoczywało dowodzenie legionem podczas nieobecności albo niedyspozycji legata. Człowiek mianowany na to stanowisko musiał mieć ogromne doświadczenie i cechować się bezwzględnością uczciwością.

Starszych oficerów legionu nazywano trybunami wojskowymi (*tribuni militi*). Zazwyczaj byli to ludzie dwudziestokilkuletni, dopiero rozpoczynający służbę w szeregach armii — zdobywali oni doświadczenie potrzebne do objęcia niższych stanowisk w administracji cywilnej. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja starszego trybuna (*tribunus laticlavus*) — w przyszłości miał on objąć ważny urząd państwowy lub dowodzić własnym legionem.

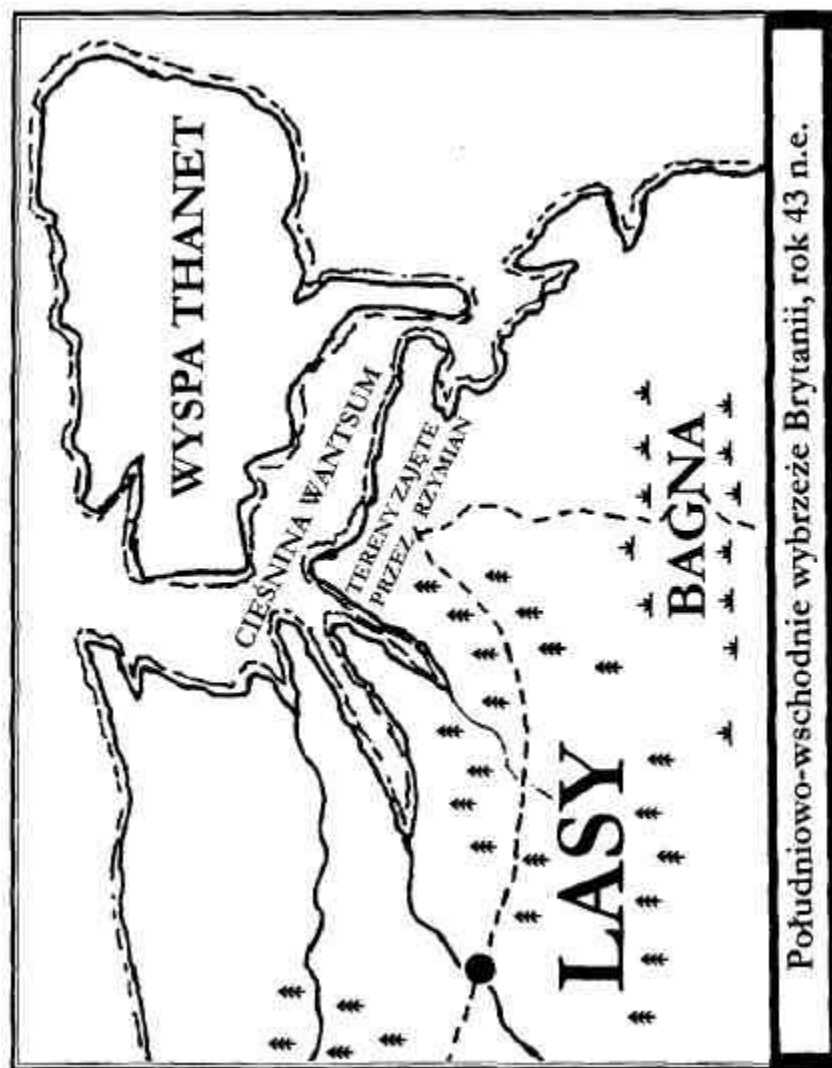
Trzon legionu stanowiło sześćdziesięciu niezwykle zdyscyplinowanych i znakomicie wyszkolonych centurionów (setników). Do tego stopnia awansowano wybranych żołnierzy, którzy wykazali się talentami organizacyjnymi i wielką odwagą na polu walki. W szeregach dowódców *tej rangi* śmiertelność była najwyższa. Pierwszą centurią pierwszej kohorty dowodził najstarszy i najbardziej doświadczony centurion (*primus pilus*). Ten najczęściej odznaczany żołnierz cieszył się wielkim szacunkiem przełożonych i podwładnych.

Na czele szwadronu jazdy (*ala*) stał dekurion (*decurio*) — miał on szansę na stopień dowódcy jazdy (*magister equitum*).

Optio, zastępca centuriona, odpowiadał za sprawy administracyjne i wykonywał niektóre obowiązki dowódcy. Zwykle awansował dopiero wtedy, gdy ginął jego przełożony.

Zwykli legioniści zaciągali się do wojska na dwadzieścia pięć lat. Teoretycznie w armii mogli służyć jedynie obywatele Rzymu, ale wstępowali do niej także mieszkańcy podbitych ziem — podpisując kontrakt, otrzymywali rzymskie obywatelstwo.

Na samym dole hierarchii wojskowej znajdowali się żołnierze kohort pomocniczych, rekrutowani zazwyczaj w najodleglejszych prowincjach Rzymu. Walczyli w szeregach jazdy i lekkiej piechoty, a także wykonywali wszelkiego typu prace specjalistyczne. Obywatelstwo rzymskie dostawali dopiero po dwudziestu pięciu latach służby.



Południowo-wschodnie wybrzeże Brytanii, rok 43 n.e.

PROLOG

— Nie jest najlepiej, panie. Suczy syn zaklinał się na dobre.

Centurion zaczerpnął tchu i pochylił się, aby zajrzeć pod wóz. Otaczający go wymęczeni legionieści stali po pas w cuchnącej, lepkiej brei. Czekaający na skraju traktu prokonsul obserwował ich poczynania z narastającą frustracją. Wiadomość o tym, że wóz ześlizgnął się z wąskiego pasa ubitej ziemi, zmusiła go do opuszczenia statku, którym miał się ewakuować. Dosiadł więc jednego z nielicznych ocalałych koni i pognął przez trzęsawiska, aby przekonać się na własne oczy, jak ciężka jest sytuacja. Obciążony wielkim, masywnym kufrem wóz opierał się skutecznie wszelkim próbom wydobycia go z lepkiej mazi. Prokonsul nie mógł liczyć na żadną pomoc. Od momentu gdy na statki załadowano i wyprawiono w morze ostatnich żołnierzy ariergardy, tylko on, garstka legionistów i kilku zwiadowców w siodłach stało pomiędzy cennym ładunkiem a armią Kasywelaunusa.

Prokonsul zaklął tak głośno, że zareagował na to nawet jego koń uwiązany do drzewka w pobliskim zagajniku. Stracili ten wóz, co do tego nie miał już żadnych wątpliwości. A kufer był tak ciężki, że ludzie nie zdołają go donieść na własnych plecach na pokład ostatniego stojącego wciąż na kotwicy okrętu. Klucz do opancerzonej skrzyni ze względów bezpieczeństwa miał przy sobie kwatermistrz, który teraz już żeglował po otwartym morzu. Bez niego nie zdołają otworzyć zamka.

— Co teraz, panie? — zapytał centurion.

Prokonsul milczał, spoglądając posepnie na skrzynię. Nic nie mógł zrobić, zupełnie nic. Ten wóz, stojący na nim kufer, a nade wszystko jego zawartość nie dadzą się ruszyć z miejsca. Nie chciał jednak dopuścić do siebie myśli, że właśnie stracił coś, co opóźni jego awans i polityczne plany przynajmniej o kolejny rok. Jego rozmyślania przerwał dźwięk bojowego rogu. Przerażeni legioniści zaczęli gramolić się na trakt, gdzie pozostawili broń.

— Zostańcie tam, u licha, gdzie jesteście! — wrzasnął dowódca.

Żołnierze zatrzymali się w mgnieniu oka. Wróg był blisko, ale szacunek, jakim otaczali swojego wodza, górował nad strachem przed nadchodzącymi Brytami. Prokonsul obrzucił wóz ostatnim spojrzeniem.

— Zostawcie go tutaj, centurionie.

— Ale...

— Będzie tu stał do czasu, aż wrócimy za rok. Zepchnijcie go tylko na większą głębię, niech tam zatonie. Ale oznaczcie dobrze to miejsce, a potem zbierajcie się jak najszybciej na plażę. Przygotuję załogę, abyśmy mogli odpłynąć, gdy tylko się zjawicie.

— Tak, panie.

Rozwścieczony prokonsul walnął się pięścią w udo, a potem wskoczył szybko na konia i pogalopował przez trzęsawisko w stronę wybrzeża. Za jego plecami znów rozległ się dźwięk rogu, a zaraz po nim szcęk oręża, gdy zwiadowcy starli się z przednią strażą nacierającej armii Kasywelaunusa. Tubylczy wojownicy dzień i noc gnębili rzymskich najeźdźców od chwili ich wylądowania na tej ziemi, wyrzynając maruderów i oddziały wysyłane na poszukiwanie pożywienia.

— Słyszeliście, co prokonsul powiedział! — zawołał centurion. — Wysilcie się jeszcze raz... Popchnijcie wóz. Gotowi... Te raz!

Zdołali poruszyć koła i ciężka platforma zaczęła się pogrążyć w lepkiem grzęzawisku. Brązowa cuchnąca woda wypływała pomiędzy bełek, powoli zakrywając ustawioną na nich skrzynię.

— Dalej! Jeszcze raz!

Legioniści zmusili się do jeszcze jednego wysiłku. Udało im się przepchnąć tonący wóz o kilka łokci dalej, w miejsce, gdzie zniknął ostatecznie w brudnej wodzie z głośnym bulgotem, pozostawiając po sobie kilka wirów na powierzchni lepkiej oleistej cieczy i sterczący w niebo dyszel.

— Wystarczy. Wracamy na okręt. Dobrze się spisaliście.

Żołnierze gramolili się na trakt, by podnieść z ziemi tarcze i włócznie. W tym czasie centurion szkicował pospiesznie mapę okolicy na przewieszanej przez ramię tabliczce woskowej. Gdy skończył, zamknął ją dokładnie i dołączył do swoich ludzi. Zanim jednak zdążyli ustawić się w szyku i ruszyć traktem, ich uszu doszedł głośny tętent końskich kopyt. Odwrócili się szybko, badając otoczenie przezrązanymi spojrzzeniami. Chwilę później z mgły wynurzyły się sylwetki kilku zwiadowców, konie przegalopowały wzdłuż szeregu piechoty. Jeden z jeźdźców opadł na koński kark, rosząc go strumieniami krwi wypływającymi z długiej rany na boku. Trwało to wszystko mgnienie oka.

Moment później z oddali dobiegły odgłosy pościgu. Koni było więcej, towarzyszyły im też dobrze znane i budzące grozę okrzyki bojowe tubylców. Tym razem dało się wychwycić w nich nową, tryumfalną nutę, która przyprawiała o zimny dreszcz nawet najtwardszych legionistów.

— Przygotować włócznie! — zawołał centurion, a jego żołnierze zamarli, odchyleni do tyłu, z uniesionymi i skierowanymi w stronę nadchodzącego niebezpieczeństwa grotami, czekając na następny rozkaz. Mgła niosła coraz głośniejsze odgłosy zbliżających się ludzi. Niewidzialnych i strasznych. A potem, nagle, z oparów wyłoniły się zamazane szare sylwetki. — Teraz!

Włócznie pomknęły łukiem, niknąc we mgle, aby spaść na nacierających Brytów. Rozległy się wrzaski trafionych ludzi i kwik ranionych zwierząt.

— Formować szyk! — zawołał centurion. — Na mój rozkaz... Naprzód marsz!

Krótką kolumna ruszyła traktem, kierując się ku jakże odległemu schronieniu na pokładzie ostatniego rzymskiego okrętu. Centu-

rion szedł obok szeregu legionistów, rzucając wylężnione spojrzenia w kierunku mgły spowijającej trakt za jego plecami. Wiedział, że deszcz włócznie nie mógł zatrzymać Brytów na długo. Do jego uszu znów dotarł tętent kopyt. Tym razem jednak wróg zbliżał się wolniej, z większą ostrożnością.

Chwilę później centurion usłyszał świst, odgłos trafienia i jęk jednego ze swoich ludzi. Z pleców ostatniego legionisty sterczała długa strzała. Żołnierz przyklęknął, próbując złapać oddech wypełnianymi się krwią płucami, i skonał, padając na twarz.

— Biegiem marsz!

Pasy i oporządzenie legionistów zaczęło głośniej chrzęścić, gdy przyspieszając kroku, spróbowali powiększyć odległość od niewidzialnych prześladowców. Z mgły nadlatywały kolejne strzały. Bry-towie szyli z łuków na osłep, ale od czasu do czasu trafiali i z szeregu wyłamywali się kolejni legioniści. Niezdolni do dalszego biegu, z mieczami w dłoniach leżąc na trawie, czekali na rychły koniec. Gdy centurion dotarł do ostatniego wzniesienia dzielącego piaszczysto-kamieniste plaże od cuchnących trzęsawisk, miał przy sobie już tylko czterech żołnierzy. Przysłumiony szum odległego przyboju brzmiał w ich uszach jak kojąca pieśń niosąca nadzieję na powrót do ojczyzny i domu. Lekka wrześniowa bryza rozwiewała mgłę nad plażami — tutaj widoczność była o wiele lepsza.

Chwilę później opary zupełnie zniknęły. Dwieście kroków od miejsca, w którym się znajdowali, dostrzegli niewielką łódź. Nieco dalej na lekkiej fali kołysała się spora, stojąca wciąż na kotwicy tryrema. Reszta floty inwazyjnej znikła właśnie za linią szarzejącego przed zmierzchem horyzontu.

— Biegiem! — wrzasnął centurion, odrzucając tarczę. — Szybko!

Pędząc w stronę łodzi, spod obutych w sandały stóp wyrzucali strugi drobnych kamyczków. Za ich plecami po raz kolejny rozległo się buczenie rogu. Brytowie także widzieli już wybrzeże i pogonili swoje wierzchowce, aby dopaść uciekających mężczyzn, zanim zdążą skryć się na pokładzie okrętu. Centurion gnał w dół łagodnego zbocza, zaciskając zęby. Coraz wyraźniej słyszał odgłosy zbliżają-

cego się pościgu, ale nie odważył się nawet na jeden rzut oka za siebie w obawie, że zmyli krok i straci tempo. Widział już wyraźnie sylwetkę wysokiego żeglarza, desperacko machającego rękami, i łopoczące na delikatnym wietrzyku poły czerwonego płaszcza stojącego za nim prokonsula. Pięćdziesiąt stóp dzieliło go od wody, gdy posłyszał urwany okrzyk tuż za swoimi plecami. Jeden z Brytów celnie rzucił włócznią, trafiając ostatniego z biegnących legionistów.

Centurion, walcząc z całych sił o życie, pokonał pędem łańczę mokrego piasku, linię przyboju, i brodząc przez fale, dopadł burty łodzi. Czyjeś ręce pochwyciły go natychmiast za ramiona i ułożyły na pokładzie. Moment później zwałił się na niego kolejny legionista, z trudem łapiący w płuca rześkie wilgotne, morskie powietrze. Dwaj barczyści pretorianie generała zaczęli wymachiwać włóczniami w stronę brytyjskich jeźdźców, którzy zatrzymali konie tuż przy linii wody. Szanse na ocalenie wzrosły. Rytmiczne uderzenia wiosel marynarzy kierowały łódź w stronę bliskiej już tryremy.

— Udało ci się zatopić wóz? — zapytał zaniepokojony legat.

— Tak, panie — wysapał centurion, poklepując woskową tabliczkę wiszącą u jego boku. — Narysowałem też mapę. Wprawdzie nie miałem na to wiele czasu, ale powinna być wystarczająco dokładna.

— Dobra robota, żołnierzu. Dobra robota. Możesz mi ją oddać.

Podając tabliczkę, centurion rozejrzał się po pokładzie. Na łódź oprócz niego zdołał dotrzeć tylko jeden legionista. Tylko jeden. Na oddalającym się brzegu dostrzegł jeźdźców kłębiących się wokół jego żołnierza. Ten był tak przerażony, że się poddał Brytom. Na myśl o tym, jak potworna czeka go śmierć, centurion poczuł zimne ciarki na plecach.

Wszyscy spoglądali na tę scenę w milczeniu. W końcu prokonsul zdecydował się przerwać ciszę.

— Wrócimy tutaj, moi żołnierze. Wrócimy, i jedno mogę wam obiecać, te bękarty pożałują, że podniosły miecz przeciw Rzymowi. Ja, Gajusz Juliusz Cezar, przysięgam to na grób mojego ojca.

Granica na Renie

DZIEWIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ,
W DRUGIM ROKU PANOWANIA CESARZA KLAUDIUSZA.
KONIEC CZTERDZIESTEGO DRUGIEGO ROKU
NASZEJ ERY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Do latryny razem z podmuchem lodowatego wiatru wtargnął wartownik.

- Panie, nadjeżdża jakiś wóz! — zameldował.
 - Zamknij te parszywe odrzwia! Są przy nim jacyś ludzie?
 - Niewielka kolumna.
 - Żołnierze?
 - Raczej nie — wartownik się skrzywił. — Chyba że ostatnio przestano uczyć kroku marszowego.
- Dyżurny centurion podniósł głowę i spojrzał na niego ostro.
- Nie przypominam sobie, żołnierzu, żebym prosił o waszą opinię na temat metod szkolenia.
 - Tak, panie! — Wartownik natychmiast przyjął postawę zasadniczą.

Lucjusz Korneliusz Macro dopiero co awansował, jeszcze kilka miesięcy temu był zwykłym optio i nie zdążył w pełni przywyknąć do nowej szarży. Jego dawni koledzy też wciąż próbowali traktować go, jakby nadal był im równy rangą. Trudno okazywać szacunek osobie, z którą jeszcze niedawno chlało się na umór najtańsze wino. Macro miał szczęście, zorientował się jakiś czas przed mianowaniem, że starsi oficerowie stawiają go na pierwszym miejscu w kolejce do awansu, i zrobił wszystko co mógł, aby ukryć przed nimi podobne występki. Był bowiem, zwłaszcza na trzeźwo, doskonałym żołnierzem — a to właśnie liczyło się najbardziej przy awansie. Nigdy się

nie zawahał, wykonując rozkazy. Dowódcy zawsze mogli liczyć na to, że nie cofnie się podczas walki i będzie do niej zagrzewał innych.

Macro zdał sobie nagle sprawę, że nadal nie spuścił wzroku z twarzy wartownika, a ten wije się niespokojnie pod jego badawczym spojrzeniem. Żołnierze nie lubili, kiedy milczący dowódcy patrzyli na nich w taki sposób.

Świeżo upieczeni oficerowie potrafią być nieobliczalnymi draniami, myślał tymczasem wystraszony strażnik, poczuł pierwszy zapach władzy i albo nie wiedzą, co z nią począć, albo zaczynają się szarogęsić i wydawać idiotyczne komendy.

— Jakie wydacie rozkazy, panie?

— Rozkazy? — Macro zmarszczył na moment brwi. — Dobrze. Zaraz tam do was przyjdę. Wracajcie na bramę, żołnierzu.

— Tak, panie! — Wartownik zrobił w tył zwrot i pospieszył do drzwi.

Wychodząc, czuł na plecach wzrok pół tuzina obserwujących go bacznie centurionów. W obozie obowiązywała niepisana zasada mówiąca, że nikt, ale to nikt nie pozwoli swoim ludziom nachodzić się w latrynie. Macro użył gąbki na patyku, podciągnął spodnie i opuścił pomieszczenie, wcześniej jednak przeprosił zgromadzonych w nim kolegów za nietakt swojego podwładnego.

To była paskudna noc. Zimny północny wiatr niósł ze sobą płatki śniegu zwiewane z gęstych germańskich lasów. Jego porywy pokonywały koryto Renu i wznoszące się za nim fortyfikacje, aby wyć potem złowieszco pomiędzy zabudowaniami koszar. Macro podejrzewał, że jego nowi koledzy uważają go za niegodnego piastowanej funkcji, dlatego postanowił, że uczyni wszystko, aby udowodnić im, jak bardzo się mylą. Na razie niewiele mu jednak z tego wyszło. Obowiązki administracyjne związane z dowodzeniem osiemdziesięcioma ludźmi okazały się prawdziwym koszmarem — a było tego sporo: przyznawanie racji żywnościowych, przydzielanie dyżurów w latrynach i wart, przeglądy broni, inspekcje w barakach, prowadzenie rejestru kar, zlecanie napraw broni, załatwianie paszy dla mułów, pilnowanie terminowego wypłacania żołdu, gromadzenie oszczędności, a nawet pobieranie składek pogrzebowych.

Do pomocy przy wypełnianiu wszystkich tych obowiązków miał jedynie skrybę centurii, zasuszonego, pomarszczonego staruszka imieniem Piso, którego od dawna podejrzewał o nieuczciwość, a już na pewno o skrajną niekompetencję. Niestety nie mógł mu niczego udowodnić, jako że sam był niepiśmienny. Wprawdzie rozróżniał poszczególne cyfry i litery, ale złożenie ich w słowa już go przerastało. Jako centurion powinien umieć czytać i pisać — legat zatwierdzając awans, zapewne był święcie przekonany, że jego podkomendny spełnia wszystkie warunki. Gdyby się wydało, że nowo mianowany centurion jest analfabeta, jak nie przymierzając pierwszy lepszy parobek z Kampanii, natychmiast zostałby zdegradowany. Macro wiedział o tym doskonale, dlatego robił co mógł, żeby cała papierkowa robota spadała na Piso, a sam udawał, że jest tak zapracowany, że nie ma do niej głowy. Obawiał się jednak, że skryba przejrzał go i zaczyna podejrzewać prawdę. Pokręcił głową, z trudem brnąc w kierunku głównej bramy. Owinął się szczelnie czerwonym płaszczem.

Noc była ciemna. Niebo zasnuła gruba warstwa wiszących nisko chmur, widomy znak, że nadchodzą kolejne śnieżyce. Z otaczającego go mroku Macro wychwytywał odgłosy codziennego życia fortecy, nieobce mu już od czternastu lat. Muły porykiwały w stajniach usytuowanych na końcu każdego baraku. Przez okna z wewnątrz oświetlonych świecami i lampkami oliwnymi dobiegały głosy rozmawiających żołnierzy. W baraku, który właśnie mijał, ktoś wybuchnął głośnym śmiechem. Moment później do wrzawy dołączył inny, cichszy, bez wątpienia damski głos. Macro przystanął w pół kroku i zaczął nasłuchiwać. Ktoś przemycił kobietę do fortecy. Śmiech i towarzyszący mu szczebiot łamaną łaciną znów się powtórzył, tym razem jednak szybko ucichł — kobietę zapewne napomniął jej kompan. To było naruszenie regulaminu, tak poważne, że centurion natychmiast zawrócił w stronę baraku i położył rękę na zasuwie. Zawahał się jednak przed otwarciem drzwi. Mógł tam wparować, wyciągnąć winnych na plac apelowy, potem odesłać legionistę do aresztu, a kobietę wygnać za bramy obozu, ale to wymagałoby spisania raportu, czyli kolejnej pieprzonej papierkowej roboty.

Zaciskając zęby, Macro zdjął dłoń z zasuwę i wycofał się cichcem na trakt. Kobieta, jakby chcąc go dodatkowo upokorzyć, znów wybuchnęła piskliwym śmiechem. Rozejrzał się nerwowo, ale gdy ujrzał, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby być świadkiem jego porażki, podjął marsz w kierunku południowej bramy. Cholerny żołnierz powinien dostać zdrowy wycisk za taki wybryk. Gdyby zdarzyło się to komuś z centurii, którą dowodził Macro, tak by się to skończyło. Żadnej roboty papierkowej, tylko celnie wymierzony kop w jaja, który nauczyłyby zakałę moresu. Sądząc po brzmieniu głosu, kobieta była jedną z miejscowych paskudnych bab, które nieustannie kręciły się pod fortyfikacjami. Macro pocieszył się myślą, że legionista i tak będzie miał za swoje, kiedy złapie od niej naprawdę paskudnego trypra.

Mimo iż na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, centurion nie miał większych problemów ze znalezieniem drogi. Wszystkie obozy i forty legionów budowano według tego samego schematu. W kilka chwil wydostał się na najszerszą z dróg, zwaną Via Praetoria, i ruszył nią ku południowej bramie — przez nią trakt wybiegał poza fortyfikacje. Strażnik, który wyciągnął go z latryny, stał przy schodach. Poprowadził Macro do wnętrza wartowni, a potem wąskimi schodami do pomieszczenia nad bramą, ogrzewanego i oświetlanego żarem z niewielkiego piecyka. Przy ogniu rozsiadło się czterech legionistów. Grali w kości, ale gdy dostrzegli głowę centuriona wynurzającą się z mrocznej klatki schodowej, natychmiast stanęli na baczność.

— Spokojnie — mruknął Macro. — Nie przeszkadzajcie sobie.

Drewniane odrzwia prowadzące na górny poziom fortyfikacji, pchnięte porywistym wiatrem, otworzyły się na całą szerokość, ledwie podniósł zasuwę. Piecyk rozżarzył się natychmiast, gdy świeże powietrze napłynęło do wnętrza wartowni, ale znów przygasł, kiedy centurion wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Na pomoście wiało jeszcze mocniej, poły płaszcz łopotały głośno za plecami Macro, jakby chciały się wyrwać spod klamry na lewym ramieniu.

Mężczyzna wzdrygnął się z zimna, pochwycił końce czerwonego materiału i owinął się nim szczelnie.

— Gdzie?

Wartownik wyjrzał w ciemność przez jeden z otworów strzelniczych i wskazał włócznią na ledwie widoczne, chyboczące się światło przymocowane do burty wozu powoli zmierzającego w stronę południowej bramy. Macro musiał zmrużyć oczy, patrząc pod wiatr, ale zdołał w końcu dostrzec surowe kształty wozu, a nawet sylwetki ludzi wlekących się za nim po trakcie. Na samym końcu kolumny kroczyli strażnicy, których zadaniem było ponaganie maruderów. W sumie przybywały ze dwie setki chłopów.

— Czy mam wezwać resztę wartowników, panie?

Centurion odwrócił się do strażnika.

— Co powiedziałeś?

— Pytałem, czy mam wezwać resztę wartowników, panie. Macro popatrzył znużonym wzrokiem na Syrusa, który był jednym z najmłodszych legionistów w jego centurii. Chociaż znalazł już większość swoich podkomendnych z imienia, nadal niewiele wiedział o ich pochodzeniu i przeszłości.

— Od dawna służysz?

— Nie, panie. W grudniu będzie rok.

Niewiele można się nauczyć w tak krótkim czasie, pomyślał centurion. Człowiek na początku robi co może, aby w każdej sytuacji stosować się do regulaminu. Trzeba czasu, żeby nabrać większego wyczucia i osiągnąć kompromis pomiędzy sztywnymi procedurami a tym, co musi być w danej sytuacji zrobione.

— A po co chcesz wzywać tutaj resztę wartowników?

— Bo tego wymaga regulamin, panie. Jeśli do obozowiska zbliża się zorganizowana grupa niezidentyfikowanych ludzi, należy sprowadzić pełną obsadę bramy i pobliskich fortyfikacji.

Macro aż uniósł brew ze zdziwienia. Cytat był precyzyjny, zgadzał się co do słowa. Wyglądało na to, że Syrus podchodził do swojego szkolenia z pełną powagą. — I co dalej?

— Nie rozumiem.

- Co się dzieje w następnej kolejności?
- Dyżurny centurion po osobistym dokonaniu oceny sytuacji decyduje, czy należy wszcząć alarm w całym obozie — wyrecytował beznamiętnym tonem Syrus i zaraz pospiesznie dodał: — panie.
- Świetnie. — Macro uśmiechnął się, a żołnierz odpowiedział tym samym. Centurion zwrócił wzrok w stronę nadciągającej kolumny. — A teraz powiedz mi, czy nadchodzący mogą nam w jakiś sposób zagrozić. Obawiasz się ich, żołnierzu? Naprawdę uważasz, że te dwie setki przemarzniętych ludzi rzucą się do szturm na bramę, wejdą na mury i wyrzną wszystkich gołowąsów służących w Drugim Legionie? No sam powiedz.

Wartownik spojrział na przełożonego, potem długo patrzył w stronę migającego światełka, aby w końcu przyznać pokornie:

- Nie sądzę.
- Nie sądzę, panie — poprawił go centurion, trącając przy tym chłopaka w ramię.
- Wybacz, panie.
- Powiedz mi, Syrusie, czy uczestniczyłeś w odprawie przed objęciem warty?
- Oczywiście, panie.
- A słuchałeś z uwagą, o czym na niej mówiono?
- Tak mi się wydaje, panie.
- Zatem powinieneś pamiętać moje słowa o tym, że spodziewamy się dzisiaj przybycia posiłków dla naszego garnizonu. Gdybyś wtedy słuchał, nie wyciągałbyś mnie z latryny i mógłbym się w końcu w spokoju wysrać.

Wartownik wyglądał na zakłopotanego, nie potrafił znieść zbolalej miny swojego przełożonego.

- Wybacz, panie. To już się nie powtórzy.
- Lepiej, żeby tak było, synu. W przeciwnym razie będziesz pełnił podwójne warty do końca roku. A teraz zasuwasz do pozostałych i przygotujcie bramę do otwarcia. Ja zajmę się sygnałami rozpoznawczymi.

Zawstydzony żołnierz zsalutował pospiesznie i pobiegł w stronę wartowni. Moment później Macro usłyszał wołania popędzają-

cych się strażników i dudnienie ich kroków na wąskich schodach prowadzących do bramy. Uśmiechnął się pod nosem. Chłopak był bystry i czuł się winny z powodu tej pomyłki. Wystarczająco winny, żeby nie popełnić jej w przyszłości. To dobrze, bardzo dobrze. Tak się tworzy żołnierzy, na których można polegać — nie ma bowiem kogoś takiego jak urodzony żołnierz, pomyślał centurion.

Kolejny poryw lodowatego wiatru sprawił, że Macro wycofał się do zacisza wartowni. Stał tam w pobliżu piecyka i pozwolił sobie na westchnienie ulgi, gdy poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele. Dopiero po dłuższej chwili otworzył klapkę w jednej z okiennic, by wyrzucić w mrok. Konwój zdążył już się zbliżyć na tyle, że rozróżniał poszczególne detale jadącego na jego czele wozu, a nawet mógł przyjrzeć się dokładniej kolumnie maszerujących za nim ludzi. Banda marnych rekrutów, pomyślał, nie ma w nich za grosz ducha. Widać to było wyraźnie po sposobie, w jaki szli, a właściwie powłóczyli nogami. Nawet teraz, kiedy *cel ich podróży* był tak bliski.

Nagle zaczęło padać. Naprawdę niespodziewanie. Wielkie krople uderzały w skórę, lecąc niemal poziomo wraz z przesywającym wiatrem. Ale nawet to nie zmusiło maszerujących do przyspieszenia kroku, więc zniesmaczony Macro pokręcił tylko głową i przystąpił do formalnej części powitania. Otworzył całą okiennicę i wysunął głowę na zewnątrz, nabierając powietrza do płuc.

— Hej, wy tam w dole, zatrzymajcie się! — zawołał. — Kto idzie?!

Wóz zatrzymał się niespełna sto stóp od bramy, a powożący nim człowiek stanął na koźle, aby odpowiedzieć.

— Prowadzę wam uzupełnienia z Aventicum i eskortę, którą dowodzi Lucjusz Batiacus Bestia.

— Hasło? — Macro zadał kolejne pytanie, chociaż doskonale znał Bestię, starszego centuriona II Legionu, i było nie było, swojego przełożonego.

— Jeż! Czy mamy pozwolenie na wejście?

— Wchodźcie, przyjaciele.

Woźnica smaglięciem bata popędził woły, aby pociągnęły wóz w górę łagodnego zbocza prowadzącego do bramy, a Macro przeszedł

do wykusza wychodzącego na jej wewnętrzną stronę. Wszyscy wartownicy stali stłoczeni pod wąskim okapem, chroniąc się przed deszczem.

— Otwierać bramę! — ryknął centurion.

Jeden z legionistów wyjął klin blokujący belkę, a pozostali szybko przenieśli ją na stojak. Wrota otworzyły się, wydając głośnie skrzypnięcie, w momencie gdy wóz dojechał do szczytu wzniesienia i nie zatrzymując się, wtoczył na teren obozu. Macro obserwował z góry, jak po minięciu bramy woźnica skierował zaprzęg na bok. Bestia zeskoczył z kozła i zaczął popędzać przechodzących obok przemoczonych rekrutów.

— Jazda, sucze pomioty! Ruszać się! Żwawo! Im szybciej znajdziecie się za bramą, tym prędzej wysuszyacie się i ogrzejecie.

Zdezorientowani mężczyźni, podążający za wozem przez niemal dwieście mil, zatrzymywali się albo zaczęli kręcić w kółko, ledwie minęli bramę. Większość z nich miała na sobie peleryny podróżne i niosła skromny dobytek w zrolowanych kocach przewieszonych przez ramię. Najbiedniejsi nie mieli nic, nawet płaszczy. Drżeli teraz na całym ciele, smagani mroźnym wiatrem i deszczem. Na samym końcu szła niewielka grupka zakutych w łańcuchy kryminalistów. Ci też woleli trafić do armii, niż pozostać w lochach.

Bestia natychmiast ruszył prosto w tłum, torując sobie drogę razami laski wyciętej z grubej winorośli.

— Nie stójcie jak stado owiec! Nie blokujcie drogi prawdziwym żołnierzom. Ustawcie się na skraju tego traktu, w szeregu, twarzą do mnie. Natychmiast!

Ostatni rekruci właśnie mijali bramę, dołączając od razu do nierównego szeregu formującego się naprzeciw wozu. Na końcu do fortecy wmaszerowali żołnierze z eskorty i zatrzymali się jednocześnie na komendę rzuconą przez Bestię. Centurion zamilkł, aby rekruci lepiej pojęli znaczenie tego, co robił na ich oczach Macro. A ten wydawał właśnie rozkaz zamknięcia bramy i powrotu wartowników na umocnienia. Dowódca eskorty stanął przed szeregiem, rozstawiając szeroko nogi i wspierając dłonie na biodrach.

— Ci żołnierze — powiedział, wskazując głową przez ramię — należą do Drugiego Legionu, czyli Augusty, najtwardszego w calej

rzymskiej armii, o czym radzę nie zapominać. Nie ma takiego plemienia barbarzyńców, nawet oddalonego o wiele milliariów, które nie słyszałoby o nas i nie drżałoby przed nami z trwogi. Drugi Legion zabił więcej tych śmieci i zajął więcej ich ziem niż jakakolwiek inna jednostka. A osiągnęliśmy to tylko dlatego, że szkolimy wszystkich żołnierzy tak, aby byli najpodlejszymi, najwredniejszymi i najtwardszymi wojownikami cywilizowanego świata... Wy natomiast, przynajmniej na razie, jesteście miękkimi, bezwartościowymi worami gówna. Nawet nie ludźmi. Widzę przed sobą najprymitywniejsze formy życia, jakie kiedykolwiek śmiały nazywać się Rzymianami. Gardę wiimi wszystkimi i każdym z osobna, wy popierdalone pokraki. I pozbędę się każdego, kto mi nie spasuje, aby pod orłem mojego ukochanego Drugiego Legionu służyli wyłącznie najlepsi z najlepszych. Obserwowałem was przez całą drogę z Aventicum i jedno mogę powiedzieć, moje panienki, nie jestem pod wrażeniem. Podpisaliście kontrakty i oddaliście się w moje ręce. Będę was szkolił, będę was krzywdził, wyprowadzę was na ludzi. Dopiero wtedy, jeśli w ogóle kiedykolwiek, uznam, że jesteście już gotowi, staniecie się pełnoprawnymi legionistami. A jeśli zobaczę, że któryś z was nie daje z siebie wszystkiego, wtedy dostanie tęgie baty... tym — wyciągnął przed siebie poskręcaną laskę z winorośli. — Zrozumieście, gównozjady?

Z szeregu rekrutów dobiegł pomruk oznaczający potwierdzenie; niektórzy z nich byli tak wymęczeni, że nawet nie potrafili zmusić się do zdawkowego skinienia głową.

— Co to miało być? — wrzasnął rozeźlony Bestia. — Nie dosły szalem was, kurwie pomioty!

Podszedł do szeregu i wyciągnął z niego za kołnierz peleryny podróżnej jednego z rekrutów. Dopiero w tej chwili Macro zauważył, że ten człowiek różni się ubiorem od pozostałych. Materiał i krój odzienia wskazywały, że nie należy ono do najtańszych — widać to było nawet pod tak wielką ilością pokrywającego je błota. Rekrut był też wyższy od pozostałych, ale za to szczuplejszy i jakby delikatniejszej budowy. Nadawał się idealnie na kozła ofiarnego.

— Co my tu u licha mamy? Dlaczego rekrut ma na sobie lepszą pelerynę niż ja sam? Ukradłeś ją, chłopcze?

— Nie — odparł młodzieniec spokojnie. — To dar od mojego przyjaciela.

Bestia walnęła go w brzuch końcem laski. Chłopak zgiął się wpół, potem padł na kolana i tak pozostał, wspierając się na dłoniach zanurzonych w błocie. Bestia stanął nad nim, unosząc laskę do następnego uderzenia.

— Za każdym razem kiedy odezwiesz się do mnie, masz zakończyć zdanie słowem „panie”! Zrozumiano?

Macro widział, że chłopak rozpaczliwie usiłuje zaczerpnąć tchu, chcąc odpowiedzieć, ale Bestia nie zważając na to, zadał drugi cios, tym razem w plecy, po którym rekrut zawył.

— Pytałem, czy zrozumiałeś?

— Tak, paanie! — wydarł się chłopak.

— Głośniej!

— TAK, PANIE!

— Już lepiej. Zobaczmy, co ty tam jeszcze masz.

Centurion pochwycił koc rekruta i rozwinął go jednym ruchem.

Wszystkie rzeczy chłopaka wpadły w błoto: trochę ubrań, niewielka flaszeczka, kilka kawałków chleba, dwa zwoje i oprawiony w skórę zestaw do pisania.

— A niech mnie... — Bestia zagapił się na ostatni z tych przedmiotów, a potem wolno przeniósł wzrok na twarz rekruta. — Co to jest?

— Mój zestaw do pisania, panie!

— Zestaw do pisania? Po co legioniecie takie cuda?

— Obiecałem przyjaciołom w Rzymie, że będę do nich pisywał, panie.

— Przyjaciołom? — Centurion wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Dlaczego nie mamusi? Albo tatusiowi?

— On nie żyje, panie.

— A znasz chociaż jego nazwisko?

— Oczywiście, panie. Nazy...

— Milcz! — przerwał mu Bestia. — W dupie mam, kim on był! Tutaj wszyscy jesteście co najwyżej podrzutkami i bękartami! A jak ciebie zwą, kurwi pomioocie?

— Kwintus Licyniusz Katon... panie.

— Posłuchaj mnie, Katonie, uważnie, znam tylko dwa rodzaje piśmiennych legionistów, jedni nas szpiegują, a drudzy są tak popierdoleni i zapatrzeni w siebie, że wydaje im się, iż zostaną oficerami. Do której kategorii ty należysz?

Rekrut spojrział na niego ze strachem.

— Do żadnej, panie.

— Zatem nie będziesz tego potrzebował. — Wystarczył jeden kopniak Bestii, by zestaw do pisania i oba zwoje poleciały w stronę kanału odwadniającego na środku traktu.

— Ostrożnie, panie!

— Coś ty powiedział? — Centurion obrócił się na pięcie z laską uniesioną do kolejnego uderzenia. — Coś ty do mnie powiedział?

— Poprosiłem, panie, abyś uważał, Jeden z tych zwojów jest prywatnym listem do waszego legata.

— Prywatny list do naszego legata! No...

Macro uśmiechnął się, widząc zdziwienie siwego centuriona. Bestii zdawało się pewnie, że słyszał już w życiu wszystko, każde tłumaczenie i każdą wymówkę, ale coś takiego zdarzyło mu się po raz pierwszy. Jakim cudem zwykły rekrut mógł mieć przy sobie prywatny list do samego legata? Zagadka nie z tej ziemi, nic więc dziwnego, że zbiła centuriona z tropu. Ale nie na długo — zaraz machnął laską w stronę zwojów.

— Śmigaj mi po nie, ale to już. Dopiero co przybyłeś do tego obozu, a już go zaśmiecasz! Pierdoleni rekruci — wymamrotał. — Rzygać mi się chce na wasz widok. Kie słyszałeś, co powiedziałem? Pozbieraj to!

Gdy wysoki młodzieniec brodził w błocie, zbierając swoje rzeczy, Bestia wywarkiwał kolejne rozkazy, przydzielając grupy poborowych do poszczególnych żołnierzy z eskorty, aby ci odprowadzili ich do właściwych jednostek.

— Jazda mi stąd! ALE NIE TY! — wydarł się w końcu na chudzielca, który zdołał doczyścić swoje, rzeczy i ponownie zawinąć je w koc. Chłopak zmierzał właśnie ku stojącym na deszczu pozostałym poborowym, — Wracaj tutaj! A wy na co czekacie?

Legioniści z eskorty zaczęli wydawać polecenia swoim tymczasowym podkomendnym. W czasie gdy poganiani przez nich przemoknięci rekruci dzielili się na grupki, Bestia wyciągnął rękę po zwój, który trzymał Katon. Starając się ochronić go przed kroplami deszczu, obejrzał uważnie wypisany na nim woskiem adres oraz pieczęcie, a potem zrobił to jeszcze raz. Gdy sprawdził wszystko dokładnie, rozważał przez dłuższą chwilę kolejne posunięcie. Jego wzrok przypadkiem omiótł umocnienia, na których wciąż stał uśmiechnięty centurion. To wystarczyło do podjęcia decyzji.

— Macro! Rusz dupę i zasuważ na dół!

Chwilę później świeżo upieczony oficer stał na baczność przed Bestią, mrugając nerwowo, gdy kolejne krople deszczu skapywały mu z krawędzi hełmu prosto na oczy.

— Wygląda na prawdziwy. — Dowódca eskorty zamachał zwojem przed jego nosem. — Weźmiesz go i zaprowadzisz naszego młodego przyjaciela do budynku dowództwa.

— W tej chwili pełnię pieczę nad wartami.

— W takim razie zwalniam cię z tej służby aż do chwili powrotu. Ruszaj!

Suczy syn! zaklął w myślach Macro. Bestia nie miał pojęcia, czy list jest ważny albo prawdziwy, ale nie zamierzał ryzykować. Korespondencja legatów przybywała ostatnimi czasy naprawdę dziwnymi drogami, nawet ta z najwyższych kręgów władzy. Lepiej, żeby kto inny naraził się na opieprz, gdyby zwój okazał się kompletnie bezwartościowy.

— Tak, panie — odparł z goryczą centurion, przyjmując dokument.

— Tylko nie marudź mi tam, Macro. Już mi się marzy rozgrzane łóżko.

Bestia odmaszerował w stronę wartowni i natychmiast wspiał się po schodach, zmiierzając do ciepłego pomieszczenia strażników. Macro patrzył za nim przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na młodego rekruta, przez którego będzie musiał odbyć długą wędrówkę do budynku kwatery głównej, i to w takim deszczu. Musiał przy tym zadrzeć głowę, przybysz przerastał go prawie o stopę.

Spod kaptura peleryny wymykały się kosmyki gęstych czarnych włosów, przemoczonych teraz i pozlepianych. Czoło miał płaskie, wysokie, oczy przenikliwie brązowe, osadzone bardzo głęboko po obu stronach długiego wąskiego nosa. Chłopak zaciskał mocno usta, ale wargi wciąż lekko mu drżały. Jego rzeczy, mimo że mokre i ubłocone po tak długim marszu z bazy w Aventicum, wciąż wyglądały zadziwiająco dobrze. No i jeszcze ten zestaw do pisania, zwoje, list do legata... Ten rekrut nie był byle kim. Bez wątpienia wiedział, co to bogactwo, ale dlaczego w takim razie zaciągnął się do armii?

— Nazywasz się Katon, o ile dobrze pamiętam?

— Tak.

— Do mnie też musisz się zwracać per panie — poinformował go z uśmiechem na ustach centurion.

Katon wyprężył się niezdarne, usiłując stanąć na baczność, czym wywołał atak śmiechu u oficera.

— Spocznij, chłopcze. Spocznij. Możesz odpocząć od paradowania, przynajmniej do świtu. Lepiej zajmijmy się dostarczeniem tego listu.

Macro popchnął lekko rekruta, kierując go w stronę środka obozu, tam gdzie w oddali majaczyły w ciemnościach ściany budynku dowództwa. Po drodze przyjrzał się dokładniej zwojowi i aż gwizdnął ze zdziwienia.

— Wiesz, chłopcze, co to za pieczęć?

— Tak, panie. Cesarska.

— Dlaczego ktoś z otoczenia imperatora miałby wykorzystywać zwykłego rekruta w roli posłańca?

— Nie mam pojęcia, panie — odparł Katon.

— Kto ci dał ten list?

— Sam imperator.

Macro wydał z siebie zdławiony okrzyk. Ten chłopak wiedział, jak zwrócić na siebie uwagę. Co u licha zamierzał cesarz, skoro zdecydował się powierzyć prywatny list jakiemuś pieprzonemu rekrutowi? Chyba że ten chłopak był kimś o wiele ważniejszym, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Macro uznał, że musi traktować go bardziej taktownie, jeśli chce się dowiedzieć czegoś więcej.

- Wybacz pytanie, ale co ty tu właściwie robisz?
- Co ja tu robię, panie? Wstępuję do legionu, panie.
- Ale dlaczego? — nie ustępował centurion.
- Ta sprawa ma związek z moim ojcem, panie. Zanim zginął, służył cesarzowi.
- Czym się zajmował? — Odpowiedź nie nadchodziła, więc Macro spojrzął na chłopaka, który szedł ze zwieszoną głową i zakłopotaniem wymalowanym na twarzy. — Słucham.
- Był niewolnikiem, panie... — Zawstydzienie płynące z takiego wyznania było rzeczą oczywistą nawet dla tak prostego, gruboskórnego człowieka jak centurion. — Zanim Tyberiusz go nie wyzwolił. Urodziłem się tuż przed tym faktem.
- Rozumiem. — Macro pokiwał głową, akt ten nie obejmował żyjących potomków. — Domyślam się jednak, że i ciebie wyzwolono wkrótce potem. Ojciec zdołał cię wykupić?
- Nie pozwolono mu, panie. Z jakichś względów Tyberiusz nie chciał się na to zgodzić. Ojciec zmarł kilka miesięcy temu. W swoim testamencie raz jeszcze błagał imperatora, aby mnie wyzwolono, choćby pod warunkiem, że do śmierci będę służył cesarstwu. Klaudiusz wyraził na to zgodę, nakazując mi jednocześnie wstąpienie do legionów, i tak trafiłem do was.
- No tak. Skórka za wyprawkę...
- Ja to widzę inaczej, panie. Jestem teraz wolnym człowiekiem. To lepsze niż życie niewolnika.
- Naprawdę tak uważasz? — Macro się uśmiechnął.

Jak dla niego ta zmiana wcale nie była na lepsze. Wygody pałacowego życia zastąpi żołnierski trud, nie wspominając już o ryzyku kalectwa albo śmierci w kolejnej potyczce. Słyszał też kiedyś o tym, że jedni z najpotężniejszych i najbogatszych ludzi w Rzymie wywodzili się z kasty niewolników i wyzwolenców służących w imperialnej administracji.

— Tak czy inaczej — odparł Katon, nie kryjąc rozgoryczenia — w tej akurat sprawie nie pozostawiono mi żadnego wyboru.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wartownicy stojący przed bramą kwatery głównej skrzyżowali włącznie na widok wyłaniających się z mroku dwóch mężczyzn. Jednym z nich był centurion w grzywiastym hełmie, drugim upaprany błotem młodzieniec. Przybysze stanęli w migotliwym świetle pochodni zatkniętych na portyku.

— Hasło? — zapytał jeden z wartowników, postępując krok do przodu.

— Jeź.

— Z czym przychodzicie, panie?

— Chłopak ma wiadomość dla legata.

— Chwileczkę, panie.

Dowódca warty zniknął na wewnętrznym dziedzińcu, pozostawiając przybyłych pod baczny okiem pozostałych trzech wysokich i postawnych żołnierzy — tylko najsilniejsi i najsprawniejsi trafiali do osobistej ochrony dowódcy legionu. Macro odwiązał rzemienie pod szyją i zdjął hełm, po czym umieścił go pod ramieniem, zgodnie ze starym obyczajem, który w taki właśnie sposób nakazywał okazanie szacunku podczas rozmowy z przełożonym. Katon także odsunął kaptur i przeczesał zmierzwione włosy, odsuwając je na bok. Stojący obok niego centurion zauważył, że chłopak, pomimo zmęczenia i silnych dreszczy, stara się oporządzić, aby wyglądać bardziej godnie. Macro poczuł sympatię do tego dzieciaka — przypomniał sobie moment swojego wstąpienia do legionów. To pod-

niecenie pomieszane z lękiem, kiedy wkraczał w całkowicie nie znany mu świat z jego ścisłymi zasadami, zagrożeniami i całą masą niewygód żołnierskiego życia, tak innego od tego, co pamiętał z dzieciństwa.

Katon z uporem wyżył wodę ze swojej przemokniętej peleryny; wystarczyło kilka chwil, aby u jego stóp uformowała się spora kałuża.

— Przestań! — zganiał go Macro. — Patrz, co robisz! Potem się osuszysz.

Chłopak podniósł na niego wzrok, nie puszczać jednak skrzywionego materiału. Chciał zaprotestować, ale w tym właśnie momencie zauważył, że wszyscy żołnierze spoglądają na niego z widoczną dezaprobatą.

— Wybaczenie — wymamrotał, zostawiając pelerynę w spokoju.

— Posłuchaj mnie uważnie. — Centurion użył najbardziej przyjaznego tonu, na jaki było go w tym momencie stać. — Nikt nie zaprzęta sobie głowy żołnierzem, który jest ubłocony, wiemy bowiem, że czasem nie da się tego uniknąć. Wszyscy za to zwracają uwagę na człowieka, który nie potrafi ustać w miejscu. To wbrew zasadom panującym w armii. Wiesz, o czym mówię? — Odwrócił głowę w stronę potakujących zdecydowanie wartowników. — Dlatego od tej chwili nie będziesz się wiercił. Stój tutaj i czekaj. Niedługo zrozumiesz, że takie właśnie zachowanie jest esencją życia legionisty.

Żołnierze pilnujący kwatery legata poparli jego słowa cichymi pomrukami.

Z dziedzińca dobiegły echa szybkich kroków i moment później w bramie stanął dowódca straży.

— Pójdiesz ze mną, panie. Chłopak też.

— Legat chce się z nami widzieć?

— Tego nie wiem, panie. Kazano mi cię zaprowadzić do starszego trybuna. Tędy, proszę.

Poszli za nim, pod szerokim łukiem bramy, na dziedziniec otoczony zadaszonymi pomostami. Woda spływała z dachówek prosto do rynien, którymi odprowadzano ją na zewnątrz murów kwatery,

na ulicę. Wartownik przeprowadził ich wzdłuż trzech ścian dziedzińca, zanim dotarli do drzwi znajdujących się po jego drugiej stronie, dokładnie na wprost bramy. Za nimi znajdowała się wielka sala, z której można było przejść do mniejszych pomieszczeń biurowych po prawej i lewej stronie. Na ścianie naprzeciw wejścia za purpurowymi kotarami krył się ołtarz legionu. Przed nimi stało na baczność dwóch młodych chorążych. Obaj trzymali w dłoniach obnażone miecze. Wartownik skręcił w lewo, stanął przed najbliższymi drzwiami i zastukał w nie dwukrotnie.

— Wejść — zawołał ktoś z wnętrza i żołnierz natychmiast otworzył drzwi. Macro przestąpił przez próg, nakazując Katonowi gestem, aby zrobił to samo. Pomieszczenie było bardzo wąskie, ale na tyle długie, by pod jedną ze ścian zmieściło się spore biurko i regał na zwoje stojący tuż za nim, naprzeciw drzwi. Przy samym wejściu umieszczono małe piecyk oświetlający i ogrzewający biurko starszego trybuna. On sam siedział na krześle przy biurku. Macro znał go z widzenia. Aulus Witeliusz, znany niegdyś w Rzymie bawi-damek, musiał zrezygnować z dworskich uciech i zostać członkiem sztabu legionu, aby utorować sobie drogę do kariery politycznej. Był to otyły mężczyzna o oliwkowej karnacji od razu zdradzającej jego południowe pochodzenie. Gdy obaj goście weszli, odsunął krzesło i spojrzał na nich.

— Gdzie list? — głos miał głęboki, nacechowany niecierpliwością.

Macro podał mu zwój i cofnął się o krok. Milczący Katon stał u jego boku, tuż przy piecyku. Jego twarz ozdobił blady uśmiech, gdy miłe ciepło zaczęło rozlewać się po ciele, likwidując w końcu dreszcze.

Witeliusz rzucił okiem na list, a potem przesunął palcami po cesarskiej pieczęci. Widać było, że zżera go ciekawość.

— Wiesz, co to jest?

— Chłopak twierdzi, że...

— Nie ciebie, centurionie, pytałem... No, słucham.

— Wydaje mi się, że to prywatny list imperatora Klaudiusza, panie

— odparł Katon.

Nacisk, z jakim chłopak wypowiedział słowo „prywatny”, nie uszedł uwagi trybuna, o czym świadczyło lodowate spojrzenie, którym zmierzył rekruta.

— Ciekawe, jakież to osobiste wieści cesarz zdecydował się przekazać przez kogoś takiego jak ty?

— Nie mam pojęcia, panie.

— No właśnie. Możesz zostawić ten list w moich rękach. Zadbam o to, aby legat otrzymał go w odpowiednim czasie. Odmasze-rować.

Macro natychmiast wykonał przepisowy zwrot w tył i ruszył w stronę drzwi, ale młody rekrut wyraźnie się wahał.

— Wybacz, panie. A co z listem?

Witeliusz zrobił wielkie oczy, a centurion pociągnął chłopaka za ramię.

— Daj spokój, chłopcze. Starszy trybun jest bardzo zajęтым człowiekiem.

— Kazano mi dostarczyć ten list osobiście, panie.

— Jak śmiesz... — zaczął mówić cichym głosem Witeliusz, ściągając brwi. Żar z piecyka odbijał się w jego lśniących oczach.

Macro przyglądał się przez chwilę ich cichej walce na spojrzenia. Trybun z całych sił usiłował powściągnąć gniew, ale chłopak nie odpuszczał pomimo wielkiego strachu. W końcu spojrzenie Witeliusza powędrowało w stronę centuriona, a na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

— Skoro ma być dostarczony osobiście, niech tak będzie.

— Trybun wstał, nie wypuszczając zwoju z dłoni. — Chodźcie ze mną.

Poprowadził ich krótkim korytarzem do przedsionka, w którym za olbrzymim biurkiem obok kolejnych drzwi siedział osobisty sekretarz legata. Mężczyzna spojrział na nich, a gdy ujrzał wśród gości trybuna, ociężale podniósł się z krzesła.

— Czy możemy się widzieć z legatem? — zapytał Witeliusz.

— Czy to naprawdę ważne, panie?

— Wiadomość od imperatora. — Starszy trybun wyciągnął rękę z listem, aby pokazać pieczęć.

Sekretarz natychmiast zastukał mocno w drzwi prowadzące do komnat generała, podniósł zasuwę, nie czekając na odpowiedź, i wszedł, zatrzasnąwszy za sobą masywne odrzwia. Przez chwilę w sekretariacie panowała niczym nie zmacona cisza, zakończył ją dopiero powrót sekretarza. Mężczyzna, zatrzymując się w drzwiach, zaprosił do środka Witeliusza, ale powstrzymał obu idących za nim legionistów, unosząc ostrzegawczo dłoń. Macro, stojąc tuż pod drzwiami, słyszał podniesiony głos perorującego legata i krótkie monosylabowe odpowiedzi trybuna. Ta wymiana zdań była naprawdę krótka, ale wystarczyła, by Witeliusz, opuszczając komnaty wodza, posłał centurionowi lodowate spojrzenie.

— Teraz wasza kolej. — Sekretarz przywołał ich skinieniem palca.

Macro po raz kolejny pomyślał ze złością o Bestii. Przynoszenie tego cholernego listu nie należało do jego obowiązków. A teraz, pełniąc rolę niańki chłopaka, będzie musiał stawić czoło furii samego legata rozwścieczonego marnotrawieniem jego cennego czasu. Tylko bogowie wiedzą, jak oberwie się zwykłemu prostemu centurionowi, skoro nawet starszy trybun dostał od generała taki opieprz. A wszystko przez tego młodzika. Bezwiednie posłał w stronę Katona identyczne spojrzenie, jakim obdarzył go przed momentem Witeliusz, a potem ruszył marszowym krokiem w stronę drzwi, mijając uśmiechniętego sekretarza. W tym momencie wolałby stanąć samotnie naprzeciw dziesięciu wyjących dziko galijskich wojowników.

Gabinet legata był ogromny, ale to akurat centuriona specjalnie nie dziwiło. Pod najdalszą ze ścian ustawiono wielki stół z marmurowym blatem — zasiadał za nim Tytus Flawiusz Sabinus Wespa-zjan, łypiąc na nich okiem znad rozwiniętego listu.

— Co tutaj robisz? Gadaj, ale to już, centurionie.

— Panie?

— Miałeś dowodzić wartami.

— Taki dostałem rozkaz, panie. Kazano mi odprowadzić tego tu rekruta do twojej kwatery i upewnić się, że dostarczy ci list.

— Kto wydał ten rozkaz?

- Lucjusz Batiacus Bestia. Przejął dowodzenie wartami do czasu mojego powrotu, panie.
 - Doprawdy? — Szerokie brwi Wespazjana nastroszyły się jeszcze bardziej, gdy przeniósł wzrok z centuriona na stojącego o krok dalej młodego rekruta, który zamarł, jakby wierzył, że bezruch uczyni go niewidzialnym. Oczy legata lustrowały go szybko, zdawać się mogło, że dowódca tym sposobem pragnie ocenić przydatność nowego żołnierza. — Ty jesteś Kwintus Licyniusz Katon?
 - Tak, panie.
 - Z pałacu?
 - Tak, panie.
 - Rzadko mam okazję słyszeć coś takiego — stwierdził Wespazjan. — Pałac nie wysyła zbyt wielu swoich mieszkańców do służby w legionach i nic w tym dziwnego, skoro nawet moja żona nie potrafi się przystosować do warunków zakwaterowania przysługującego komuś tak znacznemu jak legat. Tobie pewnie to życie też nie przypadnie do gustu, ale chcesz czy nie, jesteś już żołnierzem.
 - Tak, panie.
 - To — Wespazjan wskazał na leżący przed nim zwój — jest twój list polecający. Zazwyczaj takimi pierdołami zajmuje się mój sekretarz, bo ja mam ważniejsze rzeczy na głowie; na przykład muszę dowodzić tym legionem. Możesz więc sobie wyobrazić, jak wkurzające było dla trybuna, nie mówiąc już o mnie, zajmowanie się tak trywialną sprawą... — Wespazjan przerwał, a obaj żołnierze struchleli pod jego spojrzeniem. — Skoro jednak ten list wyszedł spod ręki samego Klaudiusza, o czym zapewne doskonale wiesz, odłożyłem na bok pozostałe obowiązki, ponieważ jego wolą było, aby sam legat legionu zapoznał się z twoim przypadkiem. Cesarz napisał, że zostałeś wyzwolony w podzięce za zasługi twojego ojca wobec Rzymu i jego życzeniem jest, abym uczynił z ciebie centuriona Drugiego Legionu.
 - Czy to dobre wieści, panie? — zapytał ostrożnie Katon.
- Macro warknął głośno, nim zdołał zapanować nad nerwami, i walnął się z całej siły pięścią w udo.

- Masz jakiś problem, centurionie? — zapytał Wespazjan.
- Nie, panie. — Macro zdołał wycedzić przez zaciśnięte zęby tylko te dwa słowa.
- Posłuchaj mnie zatem, Katonie — kontynuował legat spokojnym głosem. — Nie ma takiej możliwości, nawet jeśli życzy sobie tego sam cesarz, żebym uczynił z ciebie od razu centuriona. Ile masz lat?
- Szesnaście, panie. W przyszłym miesiącu pójdzie mi siedemnasty rok.
- Szesnaście... Nie jesteś jeszcze prawdziwym mężczyzną, a co tu mówić o dowodzeniu innymi ludźmi.
- Proszę o wybaczenie, panie, ale Aleksander poprowadził swoją armię do boju, mając zaledwie szesnaście lat.
- Wespazjan aż uniósł brew ze zdziwienia.
- Porównujesz się do Aleksandra? Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o wojskowości?
- Studiowałem ją, panie. Czytałem dzieła Ksenofonta, Hero-dota, Liwiusza i samego Cezara, rzecz jasna.
- I to czyni z ciebie eksperta w dziedzinie wojskowości?
- Legat zdawał się rozbawiony arogancją młodego rekruta.
- Cóż, mogę sobie tylko życzyć, żeby wszyscy legioniści byli tak obeznani w sztuce wojowania. Miłą odmianą byłoby maszerować na czele żołnierzy, którzy mają pełne głowy zamiast brzuchów. To byłoby coś, nieprawdaż, centurionie?
- Tak, panie — odparł Macro. — Chociaż pewnie uskarżaliby się wtedy na migreny, a nie na sraczki.
- Wespazjan spojrział na niego ze zdziwieniem.
- Czy wy przed momentem zażartowaliście, centurionie? Nie przypuszczałem, że młodszy oficerowie posiadają coś takiego jak poczucie humoru. To armia, a nie sztuka Plauta.
- Tak, panie. Kogo, panie?
- Takiego komediopisarza — wyjaśnił natychmiast Katon.
- Plaut adaptował stare greckie sztuki...
- Wystarczy, synu — przerwał mu legat. — Zachowaj sobie te gadki na salony literackie, przydadzą ci się, jeśli zdołasz kiedyś

powrócić do Rzymu. A na razie zdecydowałem. Nie zostaniesz centurionem.

— Ależ panie...

Wespazjan uniósł dłoń, aby go uciszyć, a potem wskazał nią Macro.

— Widzisz tego legionistę. To jest właśnie centurion. Człowiek, który przywiódł cię tutaj z Aventicum, także ma ten stopień. Czy wiesz, jak zostaje się centurionem?

Katon wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, panie.

— Nie masz pojęcia... Zatem posłuchaj. Ten oto człowiek nazwiskiem Macro służy w legionie od wielu lat. Od ilu dokładnie, centurionie?

— Od czternastu, panie.

— Od czternastu lat. W tym czasie przemaszerował tam i z powrotem przez pół znanego świata. Walczył w tylu bitwach i potyczkach, że tylko Jowisz może je zliczyć. Został wyszkolony tak, że potrafi władać każdą bronią, jaką posiada nasza armia. Może przemaszerować dwadzieścia milliariów w pełnym oporządzeniu, niosąc przy tym wszystkie swoje rzeczy. Nauczono go pływać, budować drogi, mosty i forty. Niedawno wyprowadził cały patrol z zasadzki, którą zastawili na niego Germanie po drugiej stronie Renu. Dlatego, i tylko dlatego, rozważyliśmy możliwość awansowania go do stopnia centuriona. Którą z wymienionych rzeczy potrafiłbyś zrobić? Tutaj i teraz?

Katon zastanawiał się przez chwilę.

— Potrafię pływać, panie. To znaczy tak trochę...

— A nie zastanawiałeś się przypadkiem nad karierą we flocie? — zapytał z nadzieją w głosie legat.

— Nie, panie. Cierpię na chorobę morską.

— Coś takiego. Cóż, w takim razie umiejętność pływania chyba nie pomoże ci w zdobyciu stopnia dowódcy centurii, ale w związku z potrzebami, jakie niesie ze sobą przyszłoroczna kampania, przyda nam się tutaj każdy człowiek, dlatego mimo wszystko przyjmę cię do Drugiego Legionu. Odmaszerować... Tak w wojskowym żargonie

mówimy komuś: „bądź łaskaw opuścić to pomieszczenie i poczekaj na zewnątrz”.

— Tak, panie.

Wespazjan zaczął kręcić głową, ledwie drzwi zamknęły się za młodzieńcem.

— Do czego to doszło. Myślicie, centurionie, że zrobimy z niego żołnierza?

— Nie, panie — odparł Macro bez zastanowienia. — Obóz wojskowy jest zbyt niebezpiecznym miejscem dla krytyka teatralnego.

— Rzym też — westchnął legat, przypominając sobie, jak kończyli ci, którzy ośmielili się krytykować dzieła niezżyjącego już Kaliguli.

Choć pod jego następcą, Klaudiuszem, niewiele lepiej się działo. Nowy sekretarz imperatora, wyzwoleniec imieniem Narcyz, miał swoich szpiegów wszędzie, a zajmowali się oni wyłącznie sporządzaniem raportów o każdym Rzymianinie, który mógł — choć nie musiał — stanowić zagrożenie dla nowego reżimu. Atmosfera w stolicy zrobiła się iście jadowita, gdy doszło do nieudanej rewolty Skrybonianusa. Wespazjan dowiedział się ostatnio, że kilkoro z przyjaciół jego żony Flawii niedawno aresztowano w związku z tą sprawą. Zrobiło się tak niebezpiecznie, że ona sama przybyła niedawno do obozu w Germanii, wystraszona, żeby nie powiedzieć: przerażona. Nie po raz pierwszy Wespazjan przeklinał ją za brak przezorności w doborze znajomych. Ale czego innego mogłem oczekiwać, pomyślał rozgoryczony legat, kiedy brałem za żonę kobietę, która nie potrafiła przeżyć dnia bez mieszania się w polityczne knowania tak powszechne na dworze imperatora. Podobnie jak ten młodzik, który czekał teraz w sekretariacie. Wespazjan oderwał wzrok od biurka.

— Cóż, centurionie, musimy się zastanowić, co możemy zrobić dla młodego Katona. Masz w swojej centurii pełną obsadę? Czy to nie ty straciłeś ostatnio zastępcę?

— Tak, panie. Mój optio zmarł dzisiaj rano.

— Świetnie, to nam upraszcza sprawę. Przyjmij chłopaka do swojej centurii i mianuj go nowym optio.

- Ale panie...
- Nie ma żadnego ale! To rozkaz. Nie mam zamiaru mianować go centurionem, ale nie mogę zlekceważyć woli imperatora. Inaczej wiecznie będę miał go na karku. Odmaszerować!
- Tak, panie. — Macro zaszutował, zrobił regulaminowy zwrot i opuścił gabinet legata, klnąc pod nosem. Awans na optio zależał od opinii centuriona i dlatego wiązał się zawsze ze sporymi profitemi. Dlatego Macro musiał się pozbyć tego chłopaka, najlepiej jak najszybciej, ale to akurat nie powinno być trudne. W końcu ileż trzeba, żeby znaleźć coś na takiego mieszczucha, i to w dodatku niespecjalnie pragnącego pozostać na służbie. Wystarczy kilka słów zachęty i sam będzie prosił o degradację.

Katon czekał na niego na zewnątrz. Uśmiechał się półgębkiem, budząc w centurionie wielką ochotę na zasadzenie mu solidnego kopa.

- I co teraz ze mną będzie, panie?
- Zamknij się i chodź ze mną.
- Tak, panie.

— Chłopaki, przedstawiam wam nowego optio.

Twarze legionistów zgromadzonych w pogrążonej w półmroku sali zwróciły się w stronę centuriona. W pomarańczowym świetle kilku lampek oliwnych trudno było zauważyć jakąkolwiek reakcję, ale gdy żołnierze przenieśli wzrok na wysokiego młodzieńca stojącego tuż obok Macro, kilku z nich nie potrafiło ukryć zdumienia.

- Powiedziałeś, panie... nowy optio? — zapytał któryś.
- Zgadza się, Pyraksie.
- Czy on nie jest trochę za młody?
- Jak widać nie — odparł rozgoryczony centurion. — Cesarz wydał nowy dekret dotyczący procedur mianowania na podoficerów. Od dzisiaj trzeba być jedynie wysokim, chudym i posiadać wiedzę o wybranych dziełach spisanych greką i łaciną. Fory otrzymują zwłaszcza ci kandydaci, którzy zadali sobie trud przeczytania wszystkich tych fikuśnych sztuk. — Żołnierze spoglądali na niego pytającym wzrokiem, ale Macro był zbyt wściekły, aby udzielać im

dodatkowych wyjaśnień. — Podoba wam się czy nie, oto nasz nowy optio. Zaprowadzisz go do naszego skryby, Pyraksie. Niech go zapisze i przypieczętuje kontrakt. Przydzielam go do twojej drużyny.

— Wydawało mi się, panie, że rekruci mogą być zapisywani jedynie przez oficerów.

— Jestem teraz zbyt zajęty — zbył go centurion. — To rozkaz, gdybyś jeszcze tego nie zauważył. Oddałem tego człowieka pod twoją opiekę, więc lepiej się nim zajmij.

Macro opuścił jadalnię i pospieszył prosto do swojej kwatery. Piso już czekał na niego przed biurem z całym naręczem papierów.

— Panie, czy mógłbyś je tylko podpisać...

— Później — centurion odprawił go machnięciem ręki i po drodze do wyjścia zdjął z wieszaka przemokniętą pelerynę. — Muszę wracać na służbę.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nim, Piso wzruszył ramionami i wrócił za swoje biurko.

Jakiś czas później Katon usiadł prosto na najwyższej pryczy w pomieszczeniu drużyny, do której go przydzielono. Głowę miał tak wysoko, że wyczuwał zapach siana podłożonego pod grube dachówki. Wzdrygnął się nagle, gdy przez głowę przemknęła mu myśl, że pomiędzy belkami powały mogą biegać szczury. Zaczął nerwowo obracać w palcach niewielką ołowianą sztabkę przymocowaną do rzemienia zawieszona na szyi. Widniało na niej jego nazwisko, nazwa legionu i cesarska pieczęć. Będzie ją nosił, dopóki nie zakończy służby albo nie polegnie w bitwie. Jeśli stanie się to drugie, dzięki temu kawałkowi ołowiu ktoś będzie mógł zidentyfikować jego ciało. Skulił się, opierając brodę na kolanach, aby zebrać myśli i znaleźć jakiś sposób umożliwiający wyplątanie się z tej przeraźliwie beznadziejnej sytuacji. Izba, którą dzielił z siedmioma innymi legionistami z drużyny, przypominała zapuszczone stajnie pałacowe, i to te przeznaczone dla najpodlejszych koni pociągowych.

A ci ludzie!

Prawdę powiedziawszy, bardziej przypominali zwierzęta niż ludzi. Gdy Pyrax przedstawiał go obecnym w jadalni żołnierzom,

Katon z największym trudem utrzymał nerwy na wodzy i powstrzymał się od okazania obrzydzenia na widok cuchnących, przepitych, wiecznie pierdzących i bekających osobników. Oni też nie bardzo wiedzieli, jak go traktować. Kilku miało chyba do niego o coś żal, wyczuwał to bardzo wyraźnie. Zdaje się, że stopień optio był dla nich czymś ważnym, o czym marzyli i o co walczyli. Nominalnie został ich przełożonym, ale wiedział doskonale, że nie ma sposobu na to, żeby okazywali mu szacunek należny podoficerowi.

Rozmowy pomiędzy prostymi żołnierzami ograniczały się do kilku tematów: kto najwięcej dziewczek wyobracał, zabił większą liczbę barbarzyńców albo plunął najdalej czy pierdnął najgłośniej. Może potrzebowali takich przechwałek dla podtrzymania morale, ale dla niego podobne stwierdzenia były jedynie ilustracją intelektualnej pustki tych ludzi. Nie chcąc ich zrażać do siebie od samego początku, posiedział w jadalni jeszcze jakiś czas, a potem poprosił Pyraksa o wskazanie pomieszczenia, w którym miał zamieszkać. Gdy wypowiedział te słowa, wszyscy obecni, jak jeden mąż, odwrócili się w jego stronę. Wielu miało wybałuszone oczy, innym opadły szczęki. Katon wyczuł w tym momencie, że popełnił wielką gafę, i zdecydował, że lepiej będzie, jeśli szybko usunie im się z oczu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesnym wieczorem następnego dnia, gdy mrok *zakradł* się już do fortu, a ostre zimowe powietrze zaczęło kasać ciała legionistów, umęczony Katon dowlókł się w końcu do koszar. Kwatera jego drużyny wydawała się cicha i pusta, ale gdy zamknął za sobą drzwi, zauważył, że jednak nie jest w niej sam. Poczł przyplłw irytacji, gdyż zrozumiał, że nawet tutaj nie może liczyć na chwilę wytchnienia w samotności, której tak bardzo potrzebował. Pyrax siedział na swoim posłaniu, cerując zapasową tunikę w bladym świetle wpadającym przez otwartą okiennicę. Podniósł wzrok, gdy Katon minął go i wspiął się, wciąż ubrany, na swoją prycze.

- Ciężki miałeś dzień, nowy?
- Tak — wymamrotał Katon, nie chcąc się wdawać w kolejną dyskusję.
- Będzie jeszcze gorzej.
- Tak?
- Myślisz, że to przetrzymasz?
- Tak — zapewnił go chłopak. — Przetrzymam.
- Nie! — Pyrax pokręcił głową. — Jesteś za miękki. Daję ci najwyżej miesiąc.
- Miesiąc? — zapytał gniewnie Katon.
- Tak. Miesiąc, jeśli potrafisz myśleć... albo trochę dłużej, jeśli okażesz się głupcem.
- O czym ty mówisz?

- Ty w ogóle nie powinieś do nas trafić. Nie nadajesz się na legionistę. Jesteś jeszcze dzieckiem.
- Mam prawie siedemnaście lat. Mogę być żołnierzem.
- Jesteś za młody na prawdziwego legionistę. Na dodatek nie masz kondycji. Bestia złamie cię w mgnieniu oka.
- Nie złamie! Tego akurat możesz być pewien. — Rozeźlony Katon pozwolił, by młodzieńcza brawura wzięła górę nad rozsądkiem. — Prędzej zginę!
- To też jest możliwe — przyznał Pyrax, wzruszając ramionami. — Nie sądzę, żeby wielu tu po tobie płakało.
- Co chciałeś przez to powiedzieć?
- Nic... — zbył go legionista, wracając do cerowania.

Skupił się całkowicie na ściegu, którym poprawiał rozpruty szew. Nie zauważył rumieńca wstydu na twarzy spoglądającego z góry Katona. Rumieńca wywołanego jego niedawnymi słowami. Chłopak przyglądał się starszemu koledze bez większego zainteresowania, w życiu napatrzył się wystarczająco na pałacowych niewolników naprawiających cudze odzienia. Tkactwo, przędzalnictwo i szycie były dla niego tym samym — zajęciami dobrymi dla kobiet. Chociaż widok mężczyzny operującego igłą z tak wielką wprawą wydawał mu się nieco dziwny.

Nagle zdał sobie sprawę, że nominacja na optio przysporzyła mu całą masę wrogów. A już na pewno podpadł tym Bestii, centurionowi odpowiedzialnemu za szkolenie. Co gorsza, część rekrutów także zachowywała się wobec niego wrogo, zwłaszcza grupka więźniów odesłanych do legionu, którą przez całą drogę z Perugii prowadzono w łańcuchach. Ich samozwańczego przywódcę, zwalistego mężczyznę, zwano Pulcherem, czyli piękniśm, co chyba nikogo w obozie nie zdziwiło, zważywszy na fakt, że niejedna parszywa koza była od niego ładniejsza. Już podczas przemarszu Katon przekonał się, z kim ma do czynienia. Idący tuż za nim Pulcher zażądał w pewnym momencie, by wyzwoleniec poczęstował go winem. Rzecz normalna w podobnych warunkach, ale ton, jakim wypowiedział te słowa, niósł tak wyraźną groźbę, że chłopak bez zastanowienia oddał więźniowi tak cenną własność. Mężczyzna pociągnął solidny łyk

z butelki, a gdy Katon poprosił go o zwrot napitku, podał go swoim kompanom.

— Chcesz swoje wino, chłopczyku — odparł Pulcher, krzywiąc usta w szyderyczym uśmiechu — to sobie je weź.

— Oddawaj butelkę.

— Zmuś mnie.

Katon skrzywił się po raz kolejny, przypominając sobie, co myślał w tamtej chwili; a rozważał, co prawdziwy żołnierz powinien zrobić w podobnej sytuacji. Jego zdaniem sprzałby złoczyńcę bez gadania i odebrał mu swoją własność. Z drugiej jednak strony człowiek, który ważyłby się porwać na Pulchera, musiałby mieć siłę wołu i łeb twardy jak ściana murowanego sracza, zważywszy na jego potężne bary i wielkie jak szufle dłonie. Mężczyzna prychnął głośno, jakby czytał Katonowi w myślach, a ten natychmiast cofnął się o krok, wywołując salwy śmiechu u idących obok ludzi. Zawstydził się wtedy — do tej chwili czuł pieczenie na policzkach za każdym razem, gdy utwierdzał się w przekonaniu, że ustąpienie w obliczu tak wielkiej przewagi przeciwnika było jedynym rozsądnym i logicznie uzasadnionym rozwiązaniem. Uczynny żołnierz z eskorty odebrał pustą flaszkę Pulcherowi i śmiejąc się, rzucił ją w stronę Katona. Więzień splunął w jego kierunku, zanim legionista drzewcem włóczni zapędził go na miejsce w szeregu.

— Zobaczmy się w obozie, chłopczyku — warknął, podnosząc w górę skute łańcuchami ręce. — Jak tylko pozbędę się kajdan.

Ale od momentu dotarcia na miejsce armia dbała o to, by rekruci nie mieli jednej wolnej chwili, co pozwalało Katonowi sądzić, że Pulcher zapomni o nim i tym incydencie. Starał się jednak trzymać jak najdalej od tego człowieka, unikał nawet jego wzroku. Usiłował stać się dla niego niewidzialny. Na koniec dnia natychmiast wrócił na kwaterę, zamiast zostać i bratać się po zakończeniu zajęć z innymi żołnierzami. Wiedział jednak, że powinien znaleźć sobie kilku przyjaciół, i to szybko. Ale jak tego dokonać? I z kim się zaprzyjaźnić? Inni podzielili się na niewielkie, trzymające ze sobą grupki już w drodze z Aventicum — kiedy ja zaczytywałem się

w pieprzonym Wergiliuszu, pomyślał ze złością. Ileż by dał, żeby rozpocząć tę podróż jeszcze raz, posiadając wiedzę zdobytą w czasie marszu.

Był jednak sam, z dala od przyjaciół, którzy pozostali w Rzymie. Przez moment dał się ponieść rozpacz i do oczu momentalnie napłynęły mu łzy. Odwrócił się do ściany i wtulił twarz w szorstki materiał, którym obszyto poduszkę. Poczł drzenie w piersi i nagle przepelnił go gniew. Gniew na siebie samego, gniew za to, że nie potrafi powstrzymać tych łez. Wściekłość na fakt, że nic, co przeżył do tej pory, nie było go w stanie przygotować na sytuację, w jakiej się znalazł. Wszyscy ci próżni greccy nauczyciele z ich bezsensownym uwielbieniem dla najbardziej wyszukanej retoryki i poezji — ciekawe, co oni zrobiliby w jego sytuacji? Czy recytując poezję, można się obronić przed takim zwierzęciem jak centurion Bestia? W tej chwili zamieniłby wszystkie pobrane w życiu nauki za jednego, jedyne przyjaciela.

Pyrax przestał szyc i podniósł wzrok, trzymając igłę tuż nad materiałem. Usłyszał, jak nowy się odwraca, wiedział też doskonale, co znaczy to charakterystyczne pociąganie nosem. Pokręcił głową ze smutkiem. Mieli sporo rekrutów wystarczająco dorosłych i silnych, aby podołać służbie. Takie dzieci jak ten chłopak nie powinny trafiać do armii. Szkolenie mogło ich wprawdzie wyprowadzić na ludzi, jak dowodzili niektórzy weterani, ale znacznie częściej prowadziło do unicestwienia.

Chłopak załkał raz jeszcze, mocniej wtulając twarz w poduszkę.

— Hej! — napomniał go Pyrax. — Zamknij się z łaski swojej. Nie mogę się skoncentrować na szyciu.

Katon poruszył się.

— Wybacz, chyba się przeziębilem.

— Taaa. — Legionista skinął głową. — Jasne. Przy takiej pogodzie to nic dziwnego.

Katon osuszył twarz rąbkiem sztywnego wojskowego koca, udając, że wyciera nos.

— Już po kłopotcie.

— Czujesz się lepiej?

- Tak, dzięki — odparł chłopak wdzięczny za to, że ktokolwiek zwraca na niego uwagę. Zaniepokoił się jednak, że pozostali mieszkańcy komnaty mogą przerwać im tę jakże prywatną rozmowę. — Gdzie reszta drużyny?
 - Grają w kości w jadalni. Mam zamiar dołączyć do nich, jak tylko skończę szyć. Chcesz iść ze mną i zapoznać się z resztą drużyny?
 - Nie, dziękuję. Muszę się przespać.
 - Twoja sprawa.
 - Powiedz mi — Katon odwrócił się nagle i podniósł z posłania — czy centurion Bestia naprawdę jest takim suzym synem, na jakiego pozuje?
 - Jak sądzisz, skąd się wziął jego przydomek? Ale nie bierz sobie tego do serca, on traktuje w taki sam sposób wszystkich rekrutów.
 - Może — stwierdził wątpięcym tonem Katon — ale na mnie uwziął się szczególnie.
 - A czego się spodziewałeś? — zapytał Pyrax przez zaciśnięte zęby, gdy odgryzał nitkę po zrobieniu ostatniego węzła. — Jesteś w obozie zaledwie jeden dzień i już otrzymałeś stopień, na który większość z nas ma szansę dopiero po latach służby.
- Chłopak długo spoglądał na rozmówcę, zanim odpowiedział.
- Masz mi to za złe?
 - Jasne. Niczym nie udowodniłeś, że zasługujesz na awans. Na dodatek jesteś jeszcze dzieckiem. — Wzruszył ramionami. — To nie jest w porządku.
- Katon spłonił się ze wstydu i poczucia winy. Był rad, że w przytłumionym świetle nie widać zbyt dobrze jego twarzy.
- Nie prosiłem się o to.
 - W takim razie nic z tego nie rozumiem. Bezpośrednie awanse dotyczą wyłącznie ludzi posiadających odpowiednie doświadczenie w wojaczce, ale ciebie pod coś takiego nie da się raczej podciągnąć. Uwierz mi, chciałbym poznać prawdziwy powód takiego stanu rzeczy.
 - Otrzymałem nagrodę za zasługi ojca.

— Ha! To całkiem dobry powód!

Słońce zaszło w tym momencie, zmuszając Pyraksa do odłożenia pocerowanej tuniki i zestawu do szycia.

— Pamiętaj — powiedział, zatrzymując się w drzwiach — że nie możesz zasnąć w mundurze. Musisz go oczyścić na rano. Bestia nienawidzi niechlujnych żołnierzy. Skoro myślisz, że uwziął się na ciebie, nie dawaj mu dodatkowych powodów do upokarzania.

— Dzięki.

— Śpij dobrze, nowy.

— Mam na imię... — zaczął Katon, ale drzwi zamknęły się już za plecami Pyraksa i mroczne wnętrze komnaty pochłonęło jego protest.

Chłopak leżał przez dłuższą chwilę nieruchomo, omal przy tym nie zasnął, ale słowa starszego kolegi szybko przywróciły mu trzeźwość umysłu. Zdrętwiałymi palcami z trudem rozpinał sprzączki umieszczone z boku skórzanego kaftana. Instruktorzy postawili rekrutów na nogi przed całymi eonami, kiedy słońce dopiero zaczęło wyłaniać się zza horyzontu, i nie pozwolili im nawet na moment odpoczynku. Wyciągnięto go z łóżka, kiedy było jeszcze ciemno, i popędzono na ulicę, gdzie dołączył do innych rekrutów. Wciąż zaspani, drżąc z zimna w bladej poświacie przedświt, kuląc się pod siąpiącą z nieba mżawką, wydychali spore kłęby szarej pary, zmierzając kolumną w stronę budynku kwatermistrzostwa, gdzie odarto ich z ostatnich wspomnień z cywila, włączając w identyczne mundury legionistów.

— Przepraszam! — zawołał Katon. — Przepraszam! Pomocnik kwatermistrza spojrzał na niego przez ramię.

— Czego?

— Cóż, prawdę powiedziawszy, ta tunika jest na mnie za duża.

Mężczyzna roześmiał się.

— Nie, kolego. Ona ma idealny rozmiar. To ty jesteś do niej za mały. Trafieś do armii. Tutaj wszystko na wszystkich pasuje.

— Spójrz tylko. Przecież to niedorzeczne. — Katon przyłożył tunikę do ciała. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest o wiele za

szeroka jak na tak szczupłego chłopaka, a kończy się wysoko ponad jego kolanami. — Nogi mi odmarzną. Nie macie innych rozmiarów?

— Nie. To ty musisz się do niej dopasować.

— Co takiego? — zapytał chłopak z niedowierzaniem. — Wyglądam, jak wyglądam i tego nie zmienię. Przecież nie zmaleję i nie poszerzę się w ramionach jednej nocy. Znajdź mi coś w moim rozmiarze.

— Przecież już ci powiedziałem, że mamy tylko jeden rozmiar i musisz się z tym pogodzić.

Kłócili się tak głośno, że ich podniesione głosy docierały do najdalszych zakamarków magazynu. Wkrótce wszyscy rekruci i pomocnicy spoglądali w ich kierunku. Z kantorka za ladą dobiegł zgrzyt krzesła przesuwanego po wyłożonej kamiennymi płytkami podłodze. Moment później zza drzwi wyrzała przysadzista mężczyzna. Był wściekły jak szlag.

— Co to za pieprzone wrzaski?

— Pan tutaj jest szefem? — zapytał Katon zadowolony, że widzi kogoś kompetentnego, komu może się wyżalić. W rzymskich sklepach ostatnimi czasy nie było wcale lepiej. Wszyscy korzystali z najtańszej pomocy i w efekcie obsługa nie tylko nie dbała o klienta, ale i nie miała pojęcia o sprzedawanych towarach. Wielokrotnie musiał się dobijać do właścicieli tych przybytków, gdy wysyłano go po zakupy dla pałacu, wiedział więc, w jaki sposób podchodzić do sprawy. — Usiłowałem wyjaśnić temu tu oto człowiekowi...

— Kim ty u licha jesteś? — wydarł się kwatermistrz.

— Kwintus Licyniusz Katon, optio szóstej centurii czwartej kohorty.

Grubas najpierw zmarszczył brwi, a potem wybuchnął śmiechem.

— A tak, słyszałem już o tobie! Optio! Ha! Słucham zatem, mój optio — uśmiechnął się. — W czym problem?

— Prosiłem tylko, aby ten człowiek podał mi odzienie mojego rozmiaru.

— Pozwolisz? — Kwatermistrz wyciągnął rękę po tunikę, a Katon z ochotą mu ją podał. Mężczyzna poddał szatę dokładnym,

niemal teatralnym oględzinom. Przejechał nawet palcami po każdym grubym szwie, a na koniec obejrzał materiał pod światło padające zza otwartych okiennic.

— Tak — podsumował swoje wysiłki. — To jest porządna, standardowa tunika. Nie widzę żadnych wad.

— Ale...

— Zamknij pysk! — Kwatermistrz cisnął szatę na ladę. — Bierz to gównu i nie waż się więcej marnować mojego czasu!

— Ale...

— I mów do mnie: „panie”, ty zadzierający nosa smarkaty zarozumialcu!

Katon już otwierał usta do ciętej riposty, ale w ostatnim momencie ugryzł się w język.

— Tak, panie.

— Dobrze. Teraz bierz resztę wyposażenia. — Kwatermistrz wracając do biura, zauważył, że wszyscy przyglądają się tej scenie.

— A wy co tak gały wybałuszacie, psie krwie?

Wewnątrz magazynów natychmiast się zagotowało. Kolejni rekruci szybko pobierali należne im sorty. Katon poskładał rzuconą tunikę i stanął przed podniszczoną drewnianą ladą, na której pomocnik ułożył już spory stos ekwipunku. Wydano mu jeszcze parę wełnianych spodni, żółty skórzany kaftan, nieprzemakalną, natartą zwierzęcym tłuszczem, grubą czerwoną pelerynę, podbite ćwiekami sandały i menażkę. Potem mężczyzna podsunął mu jakąś tabliczkę.

— Podpisz się albo postaw krzyżyk.

— Co to jest?

— Potwierdzenie odebrania twoich rzeczy.

— Co takiego?

— Nie możesz zatrzymać swoich ubrań. Masz mi je oddać, gdy tylko przebierzesz się w mundur. Sprzedamy je na tutejszym targowisku i oddamy ci uzyskane za nie pieniądze.

— Nie zgadzam się na coś takiego! — zaprotestował Katon.

Pomocnik odwrócił się w stronę kantorka i otworzył usta, by zawołać szefa.

— Poczekaj! — powstrzymał go chłopak. — Podpiszę. Czy naprawdę musicie je sprzedawać? Chciałbym zachować swoje buty i pelerynę.

— Rekruci muszą chodzić w mundurach. Nie wolno wam wkładać cywilnych rzeczy. Zresztą nie masz miejsca na to, żeby je trzymać. Mogę ci jednak obiecać, że dostaniesz za nie naprawdę dobrą cenę.

Katon wątpił jednak w to, że zobaczy tyle pieniędzy, ile można wziąć za tak dobre ubrania.

— Skąd mam wiedzieć, że zapłacicie mi ile trzeba?

— Twierdzisz, że jestem oszustem? — zapytał pomocnik, udając przerażenie.

Katon rozebrał się do naga i założył standardową tunikę. Nie pasowała, zgodnie z jego obawami, na dodatek kojarzyła mu się z kusymi odzieniami prostytutek krążących po Rzymie. Spodnie były równie niezgrabne, musiał je mocno związać w pasie, żeby nie ześlizgiwały się ze szczupłych ud. Ostry materiał mocno drażnił skórę. Niewygodne okazały się także wojskowe sandały z grubej niewyprawionej skóry i wiązania z twardych rzemieni. Ćwieki, którymi podbito podeszwy, dźwięczały głośno przy każdym kroku po kamiennej posadzce. Kilku młodszych rekrutów zabawiało się nawet, krzesząc nimi iskry na bruku, ale kwatermistrz szybko ukrócił te swawole, wystawiając głowę z kantorka i drąc się wniebogłose. Po założeniu i zasznurowaniu sandałów Katon wziął się za ciężki skórzany kaftan. Nałożył go przez głowę i zapiął klamry po obu bokach. Nie było to wcale takie proste, bowiem gruba skóra nowiuteńskiego odzienia okazała się bardzo twarda. Nie mógł się pochylić, więc z trudem sięgał, wyciągając mocno ręce, do rzemieni przy sandałach. Zauważył przy tym, że jego kaftan ma pasemko białego lnu przytwierdzone do prawego ramienia — szybki rzut oka na pozostałych rekrutów uświadomił mu, że tylko jego oznaczono w ten sposób.

Światło padające przez otwarte drzwi do wnętrza magazynu nagle zniknęło. Katon podniósł wzrok i zobaczył Bestię. Centurion zatrzymał się zaraz za wejściem i spoglądał na rekrutów, kiwając głową z politowaniem. Końcem laski uderzał rytmicznie w posrebrzane nagolenniki.

— Baczość! — zawołał i w magazynie natychmiast zapanowała kompletna cisza. Gdy ruszył przed siebie, wystraszeni rekruci cofali się przed nim pod ściany. — Ha! — prychnął kpiąco. — Jeszcze nigdy nie widziałem tak żalostnej gromady bab. No dobra, panienki. Jazda na zewnątrz!

Mżawka przestała siąpić po świcie, słońce przygrzewało lekko spoza lekkiej mgiełki. Powietrze było orzeźwiająco chłodne, a całą fortecę wypełniały odgłosy gorączkowej krzątania. Szkolenie rekrutów należało do ulubionych zajęć Bestii. Jak każdy instruktor miał w zapasie niekończące się potoki obrazowych obelg na każdą okazję. Bez trudu wcielał się też w rolę twardego i zimnego jak gład oprawcy, który jednak, kiedy trzeba, potrafi być czuły dla podopiecznych. Przyjdzie czas, że ci, którzy przetrwają, tak właśnie będą go postrzegać — jako wymagającego ojca.

Bestia lustrując szeregi, zatrzymał wzrok na Katonie — nie dziwota, chłopak przerastał innych przynajmniej o pół głowy, a jego wzrost tym bardziej się wyróżniał, że stał teraz obok Pulchera.

— Ty! Tak, ty panie-mam-pieprzony-list-od-mojego-przyjaciela-cesarza! — wydarł się Bestia, ruszając w jego stronę i stukając końcem laski w białe pasemko na prawym ramieniu. — Co to jest u licha?

Katon zamrugał nerwowo.

— Nie mam pojęcia, panie.

— Nie masz pojęcia! Od jak dawna jesteś w armii? Minęło już prawie pół dnia, a ty nadal nie rozpoznajesz dystynkcji podoficerskich?!

— Stanął tuż przed Katonem i spojrzał mu prosto w twarz.

— Kurwa błada z ciebie, nie żołnierz!

— Nie wiem, panie. Ja...

— Nie patrz na mnie! — wydarł się centurion, bryzgając śliną.

— Nie spuszczaaj oczu, tylko patrz prosto przed siebie! Cały czas.

Zrozumiano?

Katon podniósł wzrok i wyprężył się.

— Tak, panie.

— A teraz powiedz mi, co u licha robisz z dystynkcjami optio na ramieniu?

- Jestem optio, panie.
- Pierdolenie! — wrzasnął Bestia. — Tutaj nikt nie awansuje panienek po pierwszej nocy.
- Prawdę powiedziawszy, mianowano mnie jeszcze wczoraj wieczorem, panie — wyjaśnił Katon.
- Zatem dzisiaj optio, jutro centurion, a pojutrze kto wie, pewnie trybun... W tym tempie do końca tygodnia zostaniesz pieprzonym imperatorem! Masz mnie za głupca, chłopcze?
- Wybacz, panie — wtrącił jeden z instruktorów. — On naprawdę został optio.
- Co takiego? — Bestia wskazał kciukiem na chłopaka. — On?
- Obawiam się, że tak. Z rozkazu samego legata. Został wprowadzony do oficjalnych rejestrów, panie — instruktor pokazał nazwisko wypisane na trzymanej w ręce tabliczce woskowej.
- Kwintus Licyniusz Katon, optio — odczytał na głos Bestia, a potem odwrócił się do chłopaka z groźbą w oczach. — Więc to było treścią listu! Masz przyjaciół u władzy, tak? Cóż, tutaj już ci nie pomogą. Możesz sobie być optio, ale przejdiesz takie samo szkolenie jak wszyscy pozostali. Zrozumiano?
- Tak, panie.
- Prawdę powiedziawszy — centurion zniżył głos, pochylając się w jego stronę -r- mam zamiar zająć się tobą w specjalny sposób. Otrzymałeś awans, teraz musisz na niego zapracować.

Po tych słowach obrócił się na pięcie i odszedł. Zajął miejsce dziesięć kroków przed najbliższym szeregiem rekrutów.

— Pierwsza lekcja, moje panie. Stanie na baczność. Instruktorzy ustawili was w czterech szeregach. Stoicie oddaleni dokładnie o krok od waszych sąsiadów i dwa kroki od kolejnego szeregu. Zapamiętajcie swoje miejsca. W przyszłości, kiedy powiem: „formować szyk”, macie stanąć dokładnie na tym samym miejscu co dzisiaj. Właściwa postawa, kiedy stoicie na baczność, ale bez broni, wygląda tak.

Bestia rzucił laskę i wyprężył się, wypinając pierś, cofając ramiona, unosząc głowę, prostując ręce tak, by otwarte dłonie przylegały do zewnętrznej strony ud. Stał tak, nieruchomo, przez krótką chwilę. — Wszyscy widzieli? Dobrze, zobaczmy, jak wy to robicie.

Rekruci próbowali przyjąć identyczną postawę, a instruktorzy kręcili się pomiędzy szeregami, poprawiając ich tam, gdzie okazywało się to konieczne. Gdy uznali, że wynik ich pracy jest zadowalający, Bestia znów zaczął mówić.

— Następna sprawa. Kiedy stoicie na baczność, macie spo glądać wyłącznie przed siebie. Cokolwiek będzie się działo. A kiedy mówię „cokolwiek”, mam na myśli wszystko, moje panie. Gdyby nawet pojawiła się obok was cholerna Wenera w towarzy stwie tysiąca nagich dziewczic, nie macie prawa rzucić na nie okiem. Gdybym zobaczył, że któryś choćby zezuje, tak bym go sprął tą laską, że zesrałby się na stojąco. Zrozumiano? PYTAM, ZROZU MIANO?

Rekruci wzdragali się przed udzieleniem odpowiedzi, ale w końcu ulegli i rozległo się długie, przerywane tak-tak-tak.

— Głośniej! Niech was, do kurwy nędzy, usłyszę tym razem!

— TAK, PANIE! — ryknęli rekruci zgodnym chórem.

— Tak lepiej... — Bestia uśmiechnął się. — Wyobraźcie sobie, że jesteście częściami jednego ciała. Od tej pory musicie poruszać się, mówić i myśleć jak jedna istota... Zaraz udacie się do zbrojowni po broń. Ruszycie z lewej nogi, kiedy powiem: „Spocznij, naprzód marsz”, i pójdziecie za mną, cały czas utrzymując obecny szyk. Ja będę podawał wam tempo marszu. Zatem, moje panie. Spocz- nij, naprzód marsz! Lewa, prawa, lewa, prawa... Lewa... Lewa... Lewa.

Rekruci ruszyli za centurionem w otoczeniu pozostałych instruktorów, formując długą, ale niezbyt równą kolumnę. Katon próbował wejść w rytm marszu, lecz szybko się przekonał, że idący tuż przed nim Piękniś ma zbyt krótki krok i musi skupić całą uwagę na tym, by przypadkiem na niego nie wpaść. Przekonanie, że dwaj tak różniący się fizycznie ludzie mogą maszerować identycznym tempem, wydawało mu się czczą mrzonką. Jakby na dowód tego, że ma rację, bogowie sprawili, że czubek jego sandała zetknął się z piętą Pulchera.

— Kurwa mać! Uważaj tam, bękarcie jeden! — warknął były więzień.

— Ty tam! Nie gadaj podczas marszu! — ryknął na niego najbliższy instruktor. — Zostaniesz za to ukarany! Ruchy!

Przysadzisty rekrut obrzucił ponurym spojrzeniem Katona i wyrównał krok. Moment później wysyczał przez ramię.

— Zapłacisz mi za to, gnoju.

— Przepraszam — wyszeptał w odpowiedzi chłopak.

— Przeprosiny nie wystarczą.

— To był wypadek.

— Akurat.

— Ale...

— Zamknij tę parszywą mordę, zanim wpakujesz mnie w jeszcze większe gówno.

Katon maszerował od tego momentu w milczeniu, dbając tylko o to, by jego stopy znajdowały się w wystarczającej odległości od pięt tego człowieka.

Rekruci wyglądali na skołowanych, Macro widział to wyraźnie zza biurka szefa zbrojowni. Wszyscy otrzymali już hełmy, kolczugi i sztylety. Wszyscy też podpisali się pod dokumentami ich odbioru, a teraz kręcili się po zbrojowni jak tysiące innych przed nimi. Kiedy człowiek wkłada mundur po raz pierwszy, zawsze odczuwa ogromną ekscytację, i to bez względu na wiek. Ci rekruci także spoglądali na siebie z niekłamanym podziwem. Zbrojmistrze zaczęli już wydawać im ciężkie drewniane miecze, wielkie prostokątne, walcowate tarcze oraz*ćwiczebne włócznie. Ludzie gapili się na tę broń, jakby pierwszy raz w życiu widzieli coś podobnego. Wielu trzymało ją jak najdalej od siebie, z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

— Zawsze to samo. — Macro uśmiechnął się.

— Cud pierwszego dnia — przyznał Scewola. — Nigdy się tego nie nauczą. Co się dzieje z dzisiejszą młodzieżą?

— Zawsze tak było. Ty też zachowywałeś się kiedyś jak oni.

— Pieprzenie. — Bezzębny Scewola splunął. — Powiedz mi lepiej, młody Macro, co ty tutaj robisz? Nie widuję cię tutaj przy każdym zaciągu. Ostatni raz piliśmy, kiedy byłeś jeszcze zwykłym

legionistą. A teraz patrzcie, centurion Macro. Pieprzony legion schodzi na psy — podniósł wzrok i dojrzał błysk w oczach kolegi. — Jeśli przyszedłeś mnie wykończyć...

- Jeszcze nie tym razem. — Macro roześmiał się i podniósł kubek.
- Chciałem się tylko podzielić winem z prawdziwym weteranem i posłuchać dziwnych wieści.
- Dziwnych wieści! — prychnął z pogardą Scewola. — Wiem, po co przyszedłeś.
- Doprawdy?
- Na pewno chodzi ci o tę inwentaryzację, którą ostatnio zarządził legat.
- Ależ skąd. — Macro przechylił flaszkę i nalał Scewoli wina. — Dlaczego miałoby mnie to interesować?
- W takim razie jesteś jedynym człowiekiem w tym legionie, który ma to gdzieś. — Starzec pociągnął łyk. — Ale i tak nic ci nie mogę powiedzieć. Takie otrzymałem rozkazy.
- Jasne — mruknął zamyślony Macro. — Rozkazy. Ciekawe, gdzie tym razem nas wyślą? Mam tylko nadzieję, że trafimy w cieplejsze strony dla odmiany. Nie cierpię tej cholernej Germanii. Zamarzasz w zimie, gotujesz się latem i nie dostaniesz kropli porządneho wina — tylko jakieś cienkusze.

Ostatnią uwagę rzucił celowo. Wino, które teraz pili, pochodziło z ostatniej falerneńskiej amfory i różniło się znacznie od tego galijskiego kwasu sprowadzanego przez okolicznych handlarzy. Miał nadzieję, że Scewola doceni ten gest albo moc trunku rozwiąże w końcu język weterana. Nie pytał z czystej ciekawości — centurion musiał planować swoje ruchy z dużym wyprzedzeniem. Dobrze było wiedzieć, dokąd wyrusza legion, aby przygotować się do wymarszu i zaopatrzyć w odpowiednie towary na drogę, zanim buchnie oficjalna wieść i lokalni kupcy, wietrząc interes, podniosą ceny do absurdalnego poziomu. Starzec skinął głową i opróżnił kubek tylko po to, by Macro natychmiast ponownie go napełnił. — Mam tylko nadzieję, że tam gdzie idziemy, będą mieli lepsze trunki.

— Marne szanse! — prychnął Scaevola. — Lepiej ciesz się tym, co masz. Tam gdzie idziemy, nie będzie nawet tego.

- W ogóle? — Macro udał przerażenie.
- W ogóle — powtórzył starzec, a potem nagle zerwał się z miejsca i ryknął tuż nad głową centuriona: — Temu mieczowi niczego nie brakuje! Trzymaj go porządnie!

Macro odwrócił się na zydelku i spojrzął w stronę człowieka, który rozszłościł starego zbrojmistrza. Opodal stał ten nowy cholerny farciarz od listu, trzymając drewniany miecz dwoma palcami za czubek ostrza.

— Ależ, panie. To nie jest prawdziwy miecz, tylko drewniany.

— Przecież widzę, że to pieprzone drewno.

Centurion Bestia precyzyjnie przeszedł przez tłum rekrutów, aby sprawdzić przyczynę hałasów, które dobiegały do jego uszu.

— Co? Znowu zaczynasz sprawiać problemy? O co tym razem chodzi? Miecz ma niewłaściwe rozmiary?

— Nie, panie. Jest drewniany. Nie dano mi prawdziwego miecza, panie.

— Drewniany? Pewnie, że to pieprzone drewno. Nie dano ci prawdziwego miecza, bo nie jesteś jeszcze prawdziwym żołnierzem. Jeśli nim zostaniesz, damy ci możliwość baraszkowania z zimnym żelazem. — Bestia nabrał powietrza w płuca i zwrócił się do pozostałych rekrutów. — Zapewne część z was już się zorientowała, jak ta pannica tutaj, że trzymacie w rękach atrapy mieczy. Dostaliście je, ponieważ nie zasługujecie jeszcze na prawdziwą broń. Gdybyśmy wydali wam ostre narzędzia, moje drogie panie, pewnie od razu pochlastałybyście się nimi do krwi. A nasza armia nie ma zamiaru ułatwiać zadania wrogowi. Zanim ujmiecie miecze w dłoń, musicie się nauczyć szacunku dla nich. I tego, jak ich używać. To samo dotyczy włóczni. Uznacie zapewne, że ta broń jest bardzo ciężka. I będziecie mieli rację, waży bowiem dwa razy tyle co prawdziwa. Jesteście miękkimi, leniwymi ścierwami, a my mamy zrobić z was mężczyzn. A możemy tego dokonać wyłącznie dzięki szkoleniom oraz ćwiczeniom. Możecie mi wierzyć, nie zabraknie wam takich atrakcji w najbliższym czasie, moje panienki. Zatem przyzwyczajajcie się do tych ciężarów. A teraz kolejna lekcja, pas zakładamy tak, aby gladius wisiał przy prawym, nie przy lewym boku, jak mój. To

przywilej przysługujący wyłącznie oficerom... A teraz chwytny włócznię do prawej rączki, tarczę bierzemy w lewą i ustawiamy się na zewnątrz w czterech szeregach... Ale już!

Rekruci odłożyli broń i zaczęli się mocować ze sprzączkami przy sztywnych pasach, dopiero gdy uporali się z ich prawidłowym ustawieniem, zabierali ekwipunek z podłogi i pędzili na plac przed budynkiem.

— Znakomite to winko — odezwał się Scewola. — Polejesz jeszcze?

Niestety we flaszcze już było widać dno. Macro nalał prawie wszystko staremu wiarusowi, sobie zostawiając sam osad.

— O czym to rozmawialiśmy? — zapytał zbrojmistrz.

— Pij. Twierdziłeś, że tam gdzie idziemy, nie będzie dobrych napitków.

— Powiedziałem coś takiego? — Scewola aż uniósł brew ze zdziwienia.

— Wnoszę z tego, że poleziemy daleko na wschód — ciągnął jakby od niechcenia Macro. — Tam nie ma porządnego wina. Z tego co słyszałem, chleją tam jakieś szczyzny przyrządzane ze sfermentowanego mleka. Chociaż... może być jeszcze gorzej: trafimy do Judei.

Obserwował uważnie twarz Scewoli, szukając na niej reakcji potwierdzającej te domysły, ale zbrojmistrz sięgnął tylko po kubek i upił kolejny łyk.

— Może to i Judea... A może nie.

Centurion jęknął pod nosem z frustracji — łatwiej było nakłonić westalkę do miłosnych igraszek, niż wyciągnąć informację z tego przebiegłego weterana. Dlatego postanowił zacząć przesłuchanie z innej strony.

— Zamówiłeś ostatnimi czasy te przewiewne lekkie tuniki?

— Dlaczego miałbym je zamawiać? — zdziwił się starzec. — Po jakie lichy nam takie tuniki?

Macro zaczerpnął głęboko tchu, aby stłumić narastającą irytację. Scewola wykręcał się jak piskorz, byle nie odpowiedzieć na to jedno, najważniejsze pytanie.

- Słuchaj, bracie. Powiedz mi, co wiesz. Wystarczy jedno słowo. Nazwa miejsca, do którego mamy się udać. Wystarczy nawet, jeśli wymienisz tylko prowincję. Daję ci słowo, że nie pisnę o tym nikomu.
 - Akurat. — Scewola uśmiechnął się szeroko. — Będziesz milczał, dopóki nie przyjdzie do ciebie ktoś z flaszką wina, które rozwiąże ci język. Dostałem wyraźny rozkaz. Legat chce, aby cel naszej wyprawy pozostał tajemnicą najdłużej, jak tylko się da.
 - Ale dlaczego?
 - Powiedzmy, że ludziom może się nie spodobać miejsce, do którego zostaną wysłani. — Zbrojmistrz osuszył kubek. — Muszę wracać do roboty. Wespazjan chce, żebyśmy jak najszybciej zakończyli inwentaryzację.
 - Dzięki ci — mruknął zgorzkniałym tonem Macro, wstając od stołu. — Dzięki za nic.
 - Nie ma za co — rozpromienił się Scewola. — Wpadaj, kiedy zechcesz.
- Centurion nie odpowiedział, ruszył prosto do wyjścia.
- Zaczekaj, Macro! — zawołał za nim zbrojmistrz.
 - Tak?
 - Jak się będziesz do mnie wybierał, to bez krępacji, możesz przynieść więcej tego zacnego winka.
- Macro zacisnął zęby i wymaszerował z magazynu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wespazjan wkraczał na trybunę ustawioną na skraju placu apelowego w pełnej zbroi dowódcy legionu. Jego posrebrzane nagolenniki, napierśnik i hełm odbijały promienie stojącego wysoko słońca i lśniły w nich oślepiająco. Czerwona peleryna łopotiała na lekkim wietrze. Pióropusz w tym samym kolorze chwiał się leniwie. Za nim postępowali aquilifer i imaginer, trzymając wysoko złotego orła II Legionu i podobiznę cesarza Klaudiusza — nazbyt pochlebną, zdaniem Katona, który miał okazję widzieć imperatora w czasie pałacowych uczt, gdy ten perorował, opluwając rozmówców drobinami jedzenia wypadającego mu z zaślinionych ust. Pod orłem rozpięto spory prostokąt obciążonej od dołu, barwionej na czerwono skóry ze złożonym napisem „Augusta”.

Rekrutów ustawiono przed trybuną w czterech szeregach. Pięć kroków przed nimi ulokowali się Bestia i instruktorzy. Wszyscy stali w milczeniu, z tarczami i włóczniami postawionymi na ziemi, dokładnie tak, jak im to zademonstrowano chwilę wcześniej. Piersi wypięte, głowy uniesione, ramiona wyprostowane. Chyba tylko Katon czuł się głupio, mając po jednej stronie coś, co przypominało wielką plecionkę z wikliny, a z drugiej drewnianą zabawkę imitującą broń. Mimo to jednak dał się porwać nastrojowi chwili i spoglądał uroczyście w stronę trybuny, na której Wespazjan ofiarował właśnie bogom dwa dorodne koguty. Legat obmył dłonie w ceremonialnej misie, wytarł je w jedwabną chustę i odwrócił się w stronę zebranych rekrutów.

— Ja, Tytus Flawiusz Sabinus Wespazjan, dowódca Drugiego Legionu zwanego Augusta, z nadania miłościwie nam panującego cesarza Klaudiusza, ogłaszam, że wróżby dla tych, którzy właśnie rozpoczynają służbę w naszym legionie, okazały się pomyślne i dla tego zezwalam na złożenie im przysięgi na wierność temu legioniowi, jego legatowi, a także senatowi i ludowi Rzymu, których jedynym i najwyższym reprezentantem jest cesarz Klaudiusz. Legioniści, unieście swoje włócznie i powtarzajcie za mną...

Dwieście rąk wyprostowało się w jednym momencie i w słońcu zaślniły błyszczące groty.

— Przysięgam na bogów kapitolinińskich, Jowisza, Junonę i Minerve... że będę wykonywał rozkazy wydawane przez przełożonych... w imieniu senatu i ludu rzymskiego... reprezentowanego przez cesarza Klaudiusza... Przysięgam także tym samym bogom... że będę bronił insygniów mojego legionu i mojej centurii... aż do ostatniej kropli krwi. Przysięgam!

Gdy umilkły ostatnie echa tych słów, wszyscy rekruci pozostali jeszcze przez jeden magiczny moment w bezruchu. Nawet Katon poczuł, że ma ściśnięte gardło. Ta przysięga uczyniła z niego innego człowieka. Sprawiała, że został odcięty od reszty społeczeństwa, i wprowadziła go w zupełnie inny świat. Jeśli legat będzie miał taki kaprys, może mu wydać rozkaz wysyłający go na pewną śmierć, a on będzie musiał go wykonać. Właśnie poprzysiął bronić za cenę swojego życia uformowanej w kształt ptaka bryły złota osadzonej na zwykłym kijku. Prawdę powiedziawszy, nie widział większego sensu w przysiędze, którą właśnie złożył. Zobowiązanie się do oddania życia za każdego człowieka, którego los, układziki albo zasługi postawiły nad nim, było więcej niż nierozsądne, mimo to... czuł, że kryje się w tym wszystkim coś jeszcze. Jego ciałem zawładnęły niesamowite emocje i poczucie przynależności do unikatowej, jedynej w swoim rodzaju męskiej społeczności.

Na znak Wespazjana Bestia wydał rekrutom rozkaz opuszczenia włóczni.

— Nowi rekruci Drugiego Legionu — przemówił legat. — Wstąpiliście w szeregi jednostki cieszącej się ogromnym szacunkiem

i żądam, abyście uczynili wszystko, aby nie splamić jej honoru przez najbliższe dwadzieścia pięć lat waszej służby. Najbliższe miesiące będą dla was naprawdę ciężkie, nie wątpię, że centurion Bestia zdążył was już o tym uprzedzić. — Uśmiechnął się. — Ale ten wysiłek jest konieczny, aby zrobić z was żołnierzy, którymi będę mógł kiedyś z dumą dowodzić. Legionista jest bowiem najlepiej wyszkolonym i najtwardszym wojownikiem, jakiego zna świat, a to oznacza, że musimy uformować was w zupełnie innych ludzi. Patrząc z tej trybuny, wciąż widzę przed sobą wyłącznie wieśniaków i mieszczuchów. Większość z was zaciągnęła się na ochotnika, choć są i tacy, których powołano. Ale wasza przeszłość nie interesuje armii. Bez względu na to, co robiliście w cywilu, teraz liczy się wyłącznie to, że zostaliście żołnierzami i tylko z tego będziecie rozliczani. Mielście sporo szczęścia. Trafiliście do legionu w chwili, gdy zacznie on wpływać na bieg historii. — To zdanie sprawiło, że Katon nadstawił uszu. — W nadchodzących latach będziecie czczeni jako zdobywcy, jako ludzie, którzy ośmielili się porwać na jedną z ostatnich zagadek i tajemnic znanego świata. Pomyślcie o tym i niech te słowa będą dla was inspiracją podczas rozpoczynającego się właśnie szkolenia. Oddaję was w dobre ręce. Nie ma bowiem lepszego instruktora niż centurion Bestia. Życzę wam zatem powodzenia i żywią nadzieję, że wszyscy podołacie temu trudowi. Znowu głodne kawałki, pomyślał Katon.

— Zaczynaj, centurionie. — Wespazjan skinął głową w stronę Bestii i natychmiast opuścił trybunę. Obaj chorążowie podążyli za nim.

— Tak, panie! — Bestia odwrócił się twarzą do rekrutów. — No, panienki, na tym kończy się celebrowanie wstąpienia do legionu. Teraz jesteście moje i tylko moje. Szkolenie zacznie się zaraz po obiedzie. Widzimy się tutaj natychmiast po zakończeniu posiłku, a jak mi się któryś spóźni, wygarbuję mu skórę tą laską. Rozejść się!

Całe popołudnie poświęcili na musztrę. Nie mieli do wieczora jednej chwili odpoczynku. Katon czuł nieopisany ból w rękach

i nogach od nieustannego dźwigania ciężkiego ćwiczebnego ryszunka. Po powrocie na kwaterę pragnął desperacko tylko jednego — chciał się położyć i zasnąć, dać ciału odpocząć, odpłynąć myślami daleko od tego straszego miejsca, do którego go zesłano. Ale sen nie przychodził. Obce otoczenie, wspomnienie ciężkiego dnia i lęk przed przyszłością sprawiały, że nieustanna galopada myśli odpędzała upragniony sen. Przewracał się z boku na bok, próbując znaleźć najwygodniejszą pozycję na pryczy, ale jakkolwiek się położył, zawsze czuł twarde deski pod wytartym wełnianym pokrowcem siennika. W zaśnięciu nie pomagały także ryki dochodzące z sąsiedniej komnaty, w której chłopcy z drużyny grali w kości. Nie wyciszyła ich nawet gruba poduszka narzucona na głowę.

Kiedy w końcu sen przyszedł i Katon powoli odwrócił się na plecy, otwierając usta do pierwszego chrapnięcia, czyjeś ręce szarpnęły nim mocno, od razu przywracając go do przytomności. Zamrugał powiekami i zobaczył nad sobą grube strąki przetłuszczonych czarnych włosów, piwne oczy i ułamki zębów w ustach rozciągniętych w okrutnym uśmiechu.

- Pulcher...
- Wstawaj, suczy synu.
- Przecież już noc... — zaczął jęczeć Katon.
- Gównu mnie to obchodzi. Mamy sprawę do załatwienia.
- Piękniś chwycił Katona za tunikę i ściągnął z pryczy na podłogę.
- Przyszedłbym wcześniej, ale Bestia, dzięki tobie, przydzielił mnie do czyszczenia latryn. Mogę więc powiedzieć, że faktycznie wpakowałeś mnie w gówno.
- Wy-wybacz. To naprawdę był wypadek.
- Niech i tak będzie, to co ja ci teraz zrobię, też nazwiemy wypadkiem. I będziemy kwita.
- O czym ty mówisz? — zapytał nerwowo Katon, wstając z podłogi.
- O tym — odparł Pulcher, wyjmując spod tuniki krótki nóż.
- Małeńkie nacięcie, które sprawi, że zapamiętasz, z kim nie należy pogrywać.

— Nie musisz tego robić! — zapewnił go chłopak. — Daję słowo, że więcej się do ciebie nie zbliżę.

— O danym słowie łatwo zapomnieć. Ale nie o bliźnie...

— Piękniś podrzucił nóż i chwycił go za rękę, koniec ostrza znalazł się tuż przed twarzą Katona. — Jeśli zostawię ją na policzku, będzie to także znak dla innych, żeby ze mną nie zadzierali.

Katon rozejrzał się po komnacie, ale nie miał gdzie uciekać, przeciwnik zapędził go bowiem do kąta i bez problemu mógł zablokować każdy jego ruch. Nagły wybuch śmiechu w sąsiednim pomieszczeniu przyciągnął wzrok chłopaka do ściany.

— Jeden okrzyk, a wypatroszę cię tu i teraz! — wysyczał Pulcher i natychmiast pochylił się do przodu.

Katon wiedział, że nie uniknie tego ataku, więc rzucił się do przodu w akcie desperacji i chwycił obiema rękami dłoń, w której przeciwnik trzymał nóż. Piękniś nie przewidział tego, że zastraszona ofiara wykona pierwszy ruch, więc gdy zareagował i spróbował cofnąć ramię, było już za późno. Chwył chłopaka okazał się zbyt silny. Były skazaniec nie zdołał uwolnić ręki, mimo iż szarpał się zawzięcie.

— Puszczaj! — warknął. — Mówię, puszczaj gówniarzu!

Katon nie odpowiedział, tylko wbił zęby w przedramię Pulchera. Mężczyzna wrzasnął i instynktownie zdzielił chłopaka pięścią w głowę, posyłając go na najbliższe posłanie. Katon ujrzał przed oczami wszystkie gwiazdy, zanim znów zobaczył wirujące wnętrze sypialni. Piękniś spoglądał na układające się w owal ślady w miejscu, w którym zęby chłopaka przecięły mu skórę.

— Już nie żyjesz! — Skazaniec przykucnął z nożem w dłoni.

— Już, kurwi pomociu, nie żyjesz!

Nagle do wnętrza komnaty wdarł się snop jasnego światła. Ktoś otworzył drzwi.

— Co tu się dzieje? — warknął Macro. — Bójka?

Pulcher poderwał się natychmiast.

— Nie, panie. Pokazywałem tylko temu chłopakowi, jak ma się bronić w podobnej sytuacji. Jesteśmy przyjaciółmi, panie.

— Przyjaciółmi? — zapytał wątpięcym tonem centurion.

— W takim razie co ci się stało w rękę.

— Dajmy temu pokój, panie. Nikomu nic się nie stało. Nie ma o co szat rozdzierać.

Katon wstał z podłogi. W pierwszym odruchu chciał powiedzieć całą prawdę, ale wtedy uświadomił sobie, że prawdziwi żołnierze tak nie postępują. Jeśli ma zyskać szacunek towarzyszy broni, nie może szukać za każdym razem pomocy u szarż. Poza tym jeśli pomoże Pulcherowi wyplątać się z tej sytuacji, może ten da mu później spokój. Taki obrót sprawy wart był ryzyka.

— Tak, panie. Ten człowiek mówi prawdę. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Hmm... — Macro podrapał się po brodzie. — Jeśli naprawdę zostaliście przyjaciółmi, wołałbym nie znaleźć się na liście waszych wrogów. Dobrze, optio. Chciałbym z tobą zamienić słówko w mojej kwaterze, więc obawiam się, że twój przyjaciel będzie musiał wrócić do siebie.

— Panie! — Pulcher odmeldował się natychmiast. — Do zobaczenia jutro, chłopcze.

— Po co?

— Musimy dokończyć nasze dzisiejsze ćwiczenia.

Katon odpowiedział na te słowa bladym uśmiechem. Pięknis opuścił sypialnię, mijając rozbawionego centuriona.

— Zatem powiadasz, że to twój przyjaciel?

— Tak, panie.

— Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy przy zawieraniu znajomości.

— Rozumiem, panie.

— Wracając do rzeczy, musimy porozmawiać. Chodź ze mną.

Macro poprowadził go korytarzem do administracyjnej części baraku, gdzie mieściła się także jego kwatera. Katon został zaproszony przyjaznym gestem do wnętrza oficcerskiego pomieszczenia, w którym, pod przeciwległymi ścianami, stały dwa biurka. Duże było kompletnie puste, a na mniejszym leżały równo poukładane zwoje i tabliczki woskowe.

— Proszę. — Centurion wskazał mu zydelek stojący przed większym biurkiem, a sam zasiadł po drugiej stronie pustego blatu.

— Napijesz się? — zapytał. — To dobre wino.

— Dziękuję, panie.

Macro nalał po kapce rubinowego płynu ze sporej amfory do cynowych kubków i rozparł się wygodnie. Tego dnia przez jego usta przelało się sporo dobrego wina i dlatego nadzwyczaj pogodnie patrzył na wszystko. Ale doświadczenie nauczyło go też, że za dzisiejsze dobre usposobienie zapłaci jutro niehumanitarnym kacem i bólem głowy — ale bogowie wina i pamięci nigdy nie chadzali ze sobą w parze.

— Musimy porozmawiać o obowiązkach, jakie będą ciążyły na tobie, skoro zostałeś moim nowym optio. Na razie chciałbym jedynie, abyś pomagał Piso przy papierkowej robocie. Chwilowo nie powinieneś wydawać rozkazów innym żołnierzom tej centurii — obawiam się, że pomarliby ze śmiechu, gdybyś spróbował. Wiem, że oficjalnie jesteś ich przełożonym, ale lepiej pogódź się z tym, że chwilowo nie powinieneś korzystać z tego przywileju. Rozumiesz, o czym mówię?

— Tak, panie.

— Za jakiś czas, kiedy ukończysz szkolenie... zobaczymy, co da się w tej sprawie zrobić. Ale teraz bardziej mi trzeba skryby niż prawdziwego zastępcy. Jutro Piso pokaże ci, co masz robić.

— Tak, panie.

— A teraz idź spać. Musisz odpocząć przed jutrzejszym dniem. Możesz już odejść.

— Dziękuję, panie.

— Poproszę Piso, aby wprowadził cię w arkana tej roboty jutro po szkoleniu.

— Tak, panie. Już się nie mogę doczekać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czas płynął szybko, co niezmiernie martwiło Katona. Dzień był zbyt krótki, by podołać wszystkim zadaniom stawianym przed nim przez armię. Pomijając wykańczające ćwiczenia, jakimi dręczył go Bestia, miał jeszcze na głowie papierkową robotę, która zabierała mu całe wieczory. Dopiero gdy odkładał ostatnie dokumenty, mógł zdjąć i doczyścić mundur, aby następnego ranka wyglądać schludnie. Bestia miał sokoli wzrok i nie ukrył się przed nim najmniejszy nawet ślad brudu. Pęknięta albo brakująca sprzączka kłuła go natychmiast w oczy, skutkiem czego delikwent zaliczał dodatkowe ćwiczenia albo obrywał laską. Władanie kawałkiem winorośli też było sztuką, co Katon odkrył dość szybko. Cios musiał zadawać maksymalną ilość bólu, zostawiając jak najmniejsze ślady — żołnierze mieli być dyscyplinowani, nie okaleczani. Dlatego Bestia ograniczał bicie do pewnych partii ciała: zazwyczaj tłukł rekrutów po nogach, ramionach i pośladkach. Katon przekonał się o jego maestrii w tej sztuce, gdy któregoś dnia zapomniał dociągnąć pasek przytrzymujący hełm. Centurion uderzył tak silnie, że zerwał mu go z głowy. Mało brakowało, a chłopak postradałby przy tym ucho.

— Coś takiego czeka cię podczas pierdolonej bitwy, ty niedorozwinięty bękarcie! — Bestia wydarł mu się prosto w twarz.

— Któryś z tych zawszonych Germanów zedrze ci hełm i rozpołowi ten pusty czerep obesranym mieczem. Chcesz zginąć w taki sposób?

— Nie, panie.

— Jeśli o mnie chodzi, mogą cię zabijać, jak i kiedy zechcą, ale nie pozwolę, aby zainwestowane w twoje dupsko pieniądze podatników szły na marne tylko dlatego, że jesteś leniwym i niewydarzonym suczym synem. Na twoje miejsce znajdzie się szybko inna panienka, ale śmierć żołnierza oznacza przede wszystkim utratę jego ekwipunku, a ja nie mam zamiaru wysłuchiwać przez ciebie kolejnych biadoleń kwatermistrza!

Bestia machnął laską, zanim Katon zdążył zareagować. Poczł nagle ostry ból w lewym ramieniu i stracił czucie w ręce. Bezwładne palce wypuściły wiklinową tarczę, pozwalając jej upaść na ziemię.

— Jeśli jeszcze raz zapomnisz zapiąć hełm, obok niej będzie leżał twój pierdolony łeb!

— Tak, panie — wyjęczał Katon.

Każdego dnia rekruci zbierali się o świcie na placu apelowym w pełnym umundurowaniu i z kompletnym uzbrojeniem, przyzywani tam dźwiękami trąbek budzących wszystkich mieszkańców fortecy. Po porannej inspekcji oporządzenia mieli czas na zjedzenie śniadania — składającego się zawsze z owsianki, chleba i wina — dzielonego do ich menażek przez nadąsanych pomocników kucharza, których zrywano z łóżek nieco wcześniej niż pozostałych żołnierzy. Potem rozpoczynała się musztra. Ćwiczenie kroku marszowego, zatrzymywanie, zawracanie, wykonywanie zwrotów na rozkaz. Każdy błąd, zmylenie kroku albo obrót w niewłaściwym kierunku wywoływały potoki wyzwisk ze strony Bestii i podległych mu instruktorów, kończące się nieodmiennie świstem opadającej laski. Jeśli rekrutom udało się wykonać bezbłędnie wszystkie manewry, przechodzono natychmiast do następnego etapu ćwiczeń, czyli zmiany formacji. Ze ścisłej na luźną, z szeregu w kolumnę i z powrotem. Uczyli się, jak maszerować w klinie i tworzyć „żółwia” — a wszystko to w pełnym ekwipunku z ciężką ćwiczebną bronią.

Po obiedzie było jeszcze gorzej. Instruktorzy dzielili rekrutów na grupy i zaczęli pracować nad ich kondycją. Przez pierwszy miesiąc

spędzali każde popołudnie na maszerowaniu wokół murów fortecy, w kółko, raz po raz, dopóki słabe zimowe słońce nie zaczynało znikać za poszarzałym horyzontem. Dopiero wtedy Bestia prowadził ich na powrót za bramę, nie zmniejszając jednak bezlitosnego tempa marszu. W początkowych tygodniach szkolenia wielu rekrutów wypadło z szyku, nie wytrzymując tempa, ale czujni instruktorzy dopadali ich natychmiast i razami zapędzali na koniec kolumny.

Po incydencie w sypialni Katon robił co mógł, aby unikać kontaktu z Pulcherem, licząc po cichu na to, że tamten uzna jego zachowanie za oznakę wielkiego strachu. Po prawdzie bał się byłego więźnia, wiedział bowiem, że otwarta konfrontacja z tym zbirem może skończyć się tylko w jeden sposób — naprawdę bolesnym wpięprzem, ale równocześnie uważał, że ratowanie dumy kosztem wielkiego bólu nie ma najmniejszego sensu. Jeśli Piękniś miał go za mięczaka tylko dlatego, że robił co mógł, aby uniknąć konfrontacji, tym gorzej dla niego i każdego, kto myślał podobnie jak on. A tych było sporo, jak się wkrótce okazało. Katon wychwytywał coraz więcej spojrzeń pełnych pogardy i politowania, zauważył też, że większość rekrutów odsuwa się od niego w czasie krótkich przerw na odpoczynek pomiędzy ćwiczeniami.

— Musisz z nim walczyć — oświadczył Pyrax któregoś wieczora, gdy siedzieli obok siebie na ławie w kantynie.

Katon pociągnął łyk skiśniętego wina, które kupił, aby poczęstować starszego legionistę. Niesmaczny napitek tak palił w gardło, że chłopak musiał zakaszleć.

— Nic ci nie jest? Katon
pokręcił głową.

— To przez wino.

Pyrax przyjrzał się swojemu kubkowi, a potem ostrożnie pociągnął łyk.

— Na moje oko jest w porządku.

— Może pójde na niego po pijaku, wtedy mniej będzie bolało — zastanawiał się na głos młody optio. — On wygra bez problemu, ja będę miał kilka sińców więcej i po sprawie.

— Może. Ale ja na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że on tak po prostu odpuści. Znam takich ludzi jak Pulcher. Kiedy zobaczą, że bezkarnie mogą się na kims wyżywać, nie potrafią się oprzeć chęci i wracają bez końca. Ale unikanie Pięknisia też ci nic nie da. Ludzie to widzą i swoje myślą. Ja stanąłbym do walki z nim, zebra! cięgi, ale tanio bym nie sprzedał skóry. Więcej powiem, spróbuj przykleić się do drania i oddać mu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Kilka celnie wymierzonych ciosów, a powinien odpuścić i dać ci spokój. Tak przynajmniej sądzę.

— Tak sądzisz? To najlepsze, na co mogę liczyć? Dać się skopać, mając nadzieję, że Pulcher odpuści. A jeśli tego nie zrobi? — Pyrax wzruszył ramionami. — No, dzięki. Naprawdę okazałeś się pomocny.

— Synu, ja ci tylko wyjaśniam, jak się rzeczy mają.
Katon pokręcił głową.

— Musi istnieć jakiś inny sposób niż walka na pokonanie go.

— Może. — Legionista ponownie wzruszył ramionami. — Ale lepiej zrób szybko to, co zamierzasz, zanim więcej chłopaków uzna cię za tchórza.

Katon przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

— Tak o mnie mówią?

— A czego innego się spodziewałeś? Przecież zachowujesz się jak tchórz.

— Ale nim nie jestem.

— Ty tak mówisz. Na twoim miejscu postarałbym się to udowodnić.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do wnętrza razem z podmuchami lodowatego wiatru weszło kilku legionistów. W rozedrganym świetle żaru z piecyka Katon rozpoznał w nich żołnierzy innej centurii. Przybysze rozejrzeli się dokładnie, a potem z rozmysłem wybrali miejsca przy najbardziej oddalonej ławie w kącie. Pyrax dopił szybko zawartość kubka i wstał.

— Muszę iść.

— Tak wcześniej? — zdziwił się Katon. — Jeszcze sporo wina zostało.

— To prawda, ale muszę pamiętać o mojej reputacji — oświadczył legionista lodowatym tonem. — Pamiętaj, co ci powiedziałem. Zrób cokolwiek, byle szybko.

Gdy Pyrax opuścił kantinę, chłopak przez chwilę sączył wino w samotności. Obrzucając salę wzrokiem, natknął się na spojrzenie jednego z nowo przybyłych. Mężczyzna natychmiast odwrócił głowę i zaczął coś mówić przyciszonym głosem do swoich towarzyszy. Nie trudno było odgadnąć, że rozmawiali o nim. Po to właśnie przyszli do tej kantyny — żeby na własne oczy zobaczyć tchórza, którego awansowano na optio.

Katon wstał i owinąwszy się peleryną, opuścił salę. Powietrze było przeraźliwie zimne, a niebo zasnuwały rzadkie chmury otaczające lśniący srebrzyście sierp księżyca. Piękny widok, zachwycił się i stanął, aby chłonąć czar i spokój tej chwili. Ale już moment później jego myśli powróciły do nieuniknionej konfrontacji z Pulcherem, i klnąc pod nosem, ruszył w stronę swojej kwatery.

Nie tylko Pięknis go niepokoił. Oprócz wyczerpującego szkolenia, które zajmowało niemal cały dzień, Katon wieczorami zapoznawał się z obowiązkami optio. Skryba centurii, niejaki Piso, otrzymał zadanie przekazania mu całej wiedzy na temat sztuki wojskowej administracji. Bo to była sztuka, o czym chłopak dość szybko się przekonał. Piso odpowiadał też za kronikę, w której gromadzono dane i informacje o wszystkich żołnierzach służących w centurii. Były w niej zapisy medyczne, wzmianki o udzielonych przepustkach i przyznanych odznaczeniach, notatki traktujące o przypadkach złamania regulaminu oraz zastosowanych karach, wpisy o kwotach potrąconych na wyżywienie i opłatach za wydany ekwipunek.

Pewnego wieczora, kilka dni po rozmowie z Pyraksem, Piso i jego nowy uczeń pracowali pilnie w dobrze ogrzanej gabinecie centuriona. Piecyk dawał jasne światło, a palące się w nim drewno trzaskało przyjemnie, kiedy obaj pochylali się nad ostatnią notatką sporządzoną przez Katona ulubionym stylem armii — nie dość, że suchym, to jeszcze prostym. Piso mruzczał z zadowoleniem, zagłę-

biając się w żywy i niezwykle logicznie umotywowany tekst nowego zamówienia, kiwał też głową z aprobatą, gdy widział okrągłe zdania, których zadaniem było wywołanie wrażenia, że zamawiane dostawy są niezwykle pilne i konieczne, ale w żaden sposób nie wynikało z nich, że autorem tychże żądań jest podrzędny skryba centurii.

Usłyszeli szczeł zasuwy w drzwiach i do biura wparował zacierający dłonie Macro, od razu też skierował się do gorącego piecyka. Wyciągnął ręce i uśmiechnął się błogo, gdy ciepło zaczęło wnikać w jego dłonie. Lekki odór wina świadczył b tym, że centurion opuścił przed chwilą oficerską kantinę.

- Zimna noc, panie — zagaił uśmiechnięty Piso.
- Kurewsko zimna — zgodził się Macro. — Jak idzie naszemu nowemu nabytkowi?
- Dobrze, panie. Po prostu znakomicie. — Skryba z Katonem wymienili spojrzenia. — Prawdę powiedziawszy, potrafi już stworzyć idealne pisma.
- Zatem powiadasz, że jest w stanie zastąpić cię na stanowisku skryby?
- Tego nie powiedziałem, panie. Zostało mu jeszcze sporo wiedzy do przyswojenia. Ale ma ku temu wielki talent i nie robi błędów. Właśnie czytaliśmy jedno z napisanych przez niego zamówień. Chcesz rzucić na nie okiem, panie?

Macro pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Przyjrzę się temu, jak będę miał więcej wolnego czasu. Ale wierzę, że idzie mu tak dobrze, jak mówisz. Ale to nie dziwota, zważywszy na całe to wykształcenie, które odebrał.
- Tak, panie — przyznał Katon, zastanawiając się jednocześnie, skąd ta zmiana tonu w głosie centuriona. — Okazało się nader przydatne, panie.
- Tak... — mruknął Macro, spoglądając na chłopaka w milczeniu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. — Ale nie po to tutaj przychodzę. Czas, abyś nabrał trochę doświadczenia w polu. Jutro rano wysyłamy niewielki oddział do pobliskiej osady. Jej naczelnik

odesłał nam poborcę podatkowego po uprzednim odcięciu mu języka. Zdaje się, że ten germański awanturnik jest spokrewniony z którymś wodzem pragnącym wyrobić sobie nazwisko po tamtej stronie Renu. Tak czy inaczej, Wespazjan wysłał trzecią kohortę z rozkazem pojmania naczelnika i skonfiskowania wszystkich kamieni szlachetnych i wyrobów z metalu, jakie tam znajdzie, aby zadośćuczynić za stratę poborcy. Jeden z centurionów z trzeciej został dzisiaj wieczorem skopany przez muła, a jego optio wylądował w szpitalu. Tymczasowo mam objąć dowództwo nad ich centurią, a ty pójdziesz ze mną.

— Czy idziemy na bitwę, panie?

— Wątpię. Dlaczego pytasz?

— Nie mam prawdziwej broni.

— Tym się nie przejmuj. Pożyczymy sprzęt od jednego z naszych chłopaków. Chociaż nie sądzę, żebyś go potrzebował. Jak tylko Germanie zobaczą, że nadchodzimy, uczynią wszystko, żeby nas zadowolić. Po prostu wejdziemy do wsi, aresztujemy naczelnika, zarekwirujemy, co nam kazano, i wrócimy. Będziemy w domu przed zapadnięciem zmroku.

— Och... — Katon nie potrafił ukryć zawodu.

Miał nadzieję, że ta wyprawa pozwoli mu zniknąć Pulcherowi z oczu przynajmniej na kilka dni.

— Nie martw się, synu — stwierdził Macro, mylnie odczytując słowo rzucone przez młodzika. — Doczekasz się prawdziwej walki, to mogę ci obiecać. Ale cieszę się, że tak cię do tego ciągnie. Trzeba lubić zapach krwi, żeby zostać dobrym żołnierzem.

— Tak, panie. — Katon odpowiedział bladym uśmiechem.

— No i dobrze! — Macro poklepał go po ramieniu, prawie po przyjacielsku. — Widzimy się o świcie przy północnej bramie. Pełne uzbrojenie, peleryna i zapas jedzenia na cały dzień.

— Tak, panie. O ile Piso nie będzie miał nic przeciwko temu, chciałbym dzisiaj skończyć pracę nieco wcześniej.

Centurion spojrział na skrybę, unosząc pytająco brew.

— Nie ma sprawy. — Piso posłał mu w odpowiedzi uśmiech.

— Jeśli nasz centurion będzie taki wymagający podczas tej wy-

prawy, jak zazwyczaj jest wobec nas, lepiej, żebyś nabrał na jutro sił.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącym chłopakiem, a odgłosy jego kroków ucichły w oddali, Macro spojrzął na starego skrybę.

- Co o nim sądzisz?
 - Ma talent do papierkowej roboty, pewną rękę i dobrą pamięć...
— Piso zamilkł na moment.
 - Ale... — wtrącił centurion.
 - Nie jestem pewien, czy podoła życiu w armii, panie. Wydaje się taki delikatny.
 - A spotkałeś kiedyś człowieka z pałacu, który byłby twardy? Za dużo wygod tam mają, ot i cała tajemnica. Większość nie przetrwałaby pięciu dni w tym obozie, a on nadal ma się całkiem nieźle. Braki w kondycji nadrabia nieludzką determinacją. Powiem ci, że czuję, iż z naszego małego Katona coś jeszcze wyrośnie.
 - Skoro tak mówisz, panie.
 - Tak mówię, ale ty, Piso, najwyraźniej nie podzielasz mojego zdania.
 - Prawdę powiedziawszy, myślę inaczej, panie. Determinacja jest ważna, ale walka wymaga innych przymiotów. Obawiam się, że on nie podoła temu, czego się podjął... — Skryba znów zamilkł. — Krążą pogłoski, że to straszny tchórz.
 - Tak, też je słyszałem, ale wiesz przecież, jak to jest z plotkami. W większości nie ma nawet ziarna prawdy. Musimy dać temu chłopakowi szansę.
- Piso drgnął, słysząc tę uwagę.
- Zatem spodziewasz się tam kłopotów, panie?
 - Może dojść do starcia. Wiesz przecież, że ci Germanie nie odpuszczają żadnej okazji do walki. Chociaż wątpię, by doszło do czegoś więcej niż rozbicia kilku łbów. Ale i to wystarczy, żebym mógł zobaczyć reakcję Katona.
 - Jeśli to co o nim mówią, jest prawdą, ucieknie.
 - Chcesz się o to założyć? — powiedział Macro z uśmiechem na ustach. — O pięć sestercji? Wiem, że na tyle cię stać.
 - Tak, panie. Ale czy ty masz tyle pieniędzy?

— Zatem pięć sestercji. — Centurion zignorował zniewagę i splunął na dłoń. — Płacz, jeśli Katon nie da nogi w obliczu kłopotów. A może za bardzo się boisz, żeby na to postawić?

Piso wahał się tylko przez moment, zanim przybił zakład.

— Stawiam pięć sestercji!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Noc była zimna, więc gdy blade światło poranka z trudem utorowało sobie drogę przez grube pokłady mgieł, forteca II Legionu lśniła od szronu. Otoczeni obłoczkami wydychanej pary żołnierze trzeciej kohorty formowali szyki, dzieląc się sprawnie na centurie. Prawie pięciuset ludzi, w pełnym oporządzeniu i rynsztunku, z narzuconymi na ramiona grubymi pelerynami, gromadziło się w przytłumionym świetle dnia, zacierając mocno ręce albo przytupując, aby wykrzesać choć odrobinę ciepła i ochronić się przed kłującym mrozem. Czekający na wymarsz szydzili i drwili z mijających ich żołnierzy innych kohort, którzy mieli to szczęście, że nie musieli opuszczać fortecy, ale w ich słowach nie było nawet cienia złośliwości. Oficerowie trzymali się z dala od nierównych kolumn, dlatego Katon nie miał najmniejszego problemu z dostrzeżeniem przysadzistej sylwetki swojego przełożonego.

— Czy to ten twój protegowany? — zapytał centurion stojąc obok Macro.

Zapytany skinął głową.

— Jest trochę za młody jak na optio, nie sądzisz?

— Zobaczmy — mruknął Macro, mierząc wzrokiem swojego zastępcę stojącego przed nim w niedopasowanej tunice i pelerynie. Centurion okrążył go wolnym krokiem, sprawdzając każdy element wyposażenia, szarpiąc za klamry i ciągnąc od tyłu za hełm, aby się upewnić, że pasek pod brodą jest dokładnie zaciągnięty.

- Dasz radę. Jak tylko wyjdziemy za mury fortecy, trzymaj się blisko mnie i rób, co ci powiem. Nie oddalisz się i nie zrobisz niczego, dopóki ci na to nie pozwolę. Zrozumiano?
 - Tak, panie.
 - Stań teraz na czele szóstej, czyli ostatniej centurii w tej kolumnie. Zaczekaj tam na mnie.
 - Panie?
 - O co chodzi?
 - Jak długo będziemy tu stali? — zapytał Katon, trzęsąc się z zimna.
 - Nie potrafisz nawet czekać? — Macro pokręcił głową. — To już nie potrwa długo. Czekamy już tylko na trybuna.
- Jeden z pozostałych centurionów splunął na zamrzniętą ziemię.
- Idę o zakład, że ta menda jeszcze śpi.
 - Wątpię — odparł Macro. — Legat ma na niego oko. Wydaje mi się, że chce tym sposobem sprawdzić Witeliusza. Ta wycieczka to tylko wprawka. Nawet ktoś taki jak nasz starszy trybun będzie miał problem, żeby coś spieprzyć.
 - Macro, mój stary przyjacielu, ty chyba nie doceniasz stopnia niekompetencji naszych sztabowców. Oni zostali stworzeni do psucia wszystkiego, co im w ręce wpadnie...

Katon nie słyszał dalszej wymiany zdań, odszedł już zbyt daleko, zmierzając w stronę uniesionego wysoko *vexillum* szóstej centurii. Gdy zbliżył się do czoła szyku, kilku żołnierzy spojrzało w jego kierunku z zaciekawieniem.

- Ty jesteś nowym optio? — zapytał chorąży.
- Tak.
- Macro wspominał wprawdzie, że jesteś młodym szczawiem, ale wydawało mi się, że przesadza.

Katon otworzył usta do odpowiedzi, zanim zdążył pomyśleć, ale szybko się uspokoił i zmilczał tę uwagę, choć spąsował na twarzy.

- Trzymaj się blisko mnie i centuriona, chłopcze, a wszystko będzie dobrze.

Katon został na czele kolumny, w czasie gdy pozostali optio po zdawkowym skinięciu głowami ruszyli wzdłuż szeregów, dokonując

ostatniej inspekcji. Kilka chwil później cała kohorta była gotowa do natychmiastowego wymarszu. Chłopak wyczuwał rosnącą niecierpliwość wśród stojących na mrozie żołnierzy. Słońce zdążyło już rozproszyć mgłę i wyglądało teraz zza blanek, kąpiąc całą kohortę w bladym pomarańczowym blasku.

A oni wciąż czekali. Upłynęło już tyle czasu, że mróz zaczął wygrywać z karnością i niewielu legionistów potrafiło ustać w bezruchu.

W końcu od środka fortecy dobiegł tętent końskich kopyt. Katon, odwracając głowę, dostrzegł nadjeżdżającego oficera w czerwonym płaszczu. Pióropusz kołysał się miarowo nad jego hełmem. Widząc go, centurionowie rozeszli się do swoich oddziałów. Wite-liusz minął kłusem całą kolumnę i zatrzymał się na jej czele. Wystarczyło jedno słowo z jego ust i pierwsza centuria ruszyła w stronę bramy i biegnącego przez nią traktu. Następne oddziały szły za nią kolejno, a gdy ostatni żołnierze piątej zaczęli maszerować, Macro odczekał, aż zrobią dziesięć kroków, i wydał rozkaz swoim podkomendnym.

Katon zareagował niemal automatycznie, dzięki morderczemu treningowi pod czujnym okiem Bestii, i od razu ruszył przed siebie miarowym drobnym krokiem, zgodnie z regulaminem trzymając się na wyciągnięcie pilium za centurionem, ale tuż przed chorążym. Minęli bramę, podkute żelazem sandały załomotały o bruk i wydostali się na niecywilizowane jeszcze do końca tereny granicznej prowincji. W pierwszych promieniach słońca legioniści rzucali długie cienie na ziemię pokrytą szronem, a nad kolumną w mroźnym powietrzu unosiły się setki niewielkich obłoczków pary towarzyszących każdemu oddechowi legionistów. Żołnierze stąpali po zamrzniętym na kość trakcie, który jeszcze nie tak dawno temu był pokryty grubą warstwą błota. Koła ciężkich wozów wyłobily w nim głębokie koleiny, ciągnące się od fortecy do niemal wszystkich okolicznych miejscowości. Mimo przeraźliwego zimna Katon cieszył się z tego wypadu — na cały dzień pozostawiał za sobą legion, Bestię, a nade wszystko Pulchera.

Czoło kolumny minęło niewielkie wzniesienie i szósta centuria, podążając za innymi, ruszyła w dół łagodnego zbocza. Katon odwró-

cił się, by spojrzeć po raz ostatni na fortecę dominującą nad okolicą — za kamiennym murem dostrzegł czerwone kształty domów stojących wokół kwatery dowództwa. Po jednej stronie przed murami widział też osadę pełną karczem, burdeli i zapuszczonych ruder. Przed sobą mieli linię zarośli — granicę pomiędzy terenem oczyszczonym przez legionistów i bezkresnymi starożytnymi puszciami porastającymi niemal całą Germanię. Za kępami młodych drzewek, które ze wszystkich sił starały się powrócić na wydartą naturze przez rzymskich inżynierów ziemię, rozciągała się gęstwina dorodnych, ale i złowieszczych sosen i dębów. Katon zadrżał, po części z powodu zimna, a po części na wspomnienie losu trzech legionów generała Warusa, które poszły na jego rozkaz w podobną głąsę prawie trzydzieści lat temu. Niemal piętnaście tysięcy ludzi zostało zmasakrowanych w półmroku panującym pod splątanymi koronami drzew, a ich ciała Germanie pozostawili padlinożercom.

Niemal wszyscy legioniści zamilkli, a wielu zaczęło się rozglądać z lękiem, gdy kolumna dotarła do miejsca, w którym zarośla zbliżały się do traktu na tyle, by pogrążyć go w cieniu. Macro rozumiał ich obawy: ta odległa granica imperium zawsze budziła w ludziach irracjonalny strach. Tutejsze lasy w niczym nie przypominały ich odpowiedników z innych części znanego świata. Były mroczne i nieprzebyte. Nawet tubylcy obawiali się ich do tego stopnia, że tworzyli niesamowite opowieści o nie mogących zaznać spokoju duszach poległych, skazanych na wieczną tułaczkę po mrocznych gęstwinach. Trakt, po którym poruszała się kohorta, został wyrąbany przez inżynierów legionu; zanim przybyli tutaj Rzymianie, miejscowi woleli omijać te lasy szerokim łukiem. Wielu do dzisiaj odmawiało wejścia w zarośla. Zresztą strach ten musiał udzielić się także budowniczym drogi. Nie wytyczyli, jak to mieli w zwyczaju, prostego traktu, tylko lawirowali po okolicy, omijając co większe skupiska drzew. Zdawało się, że najbardziej zależy im na jak najszybszym zakończeniu roboty. Chwilę po tym jak kohorta wkroczyła w las, pole widzenia Katona zawężyło się do pleców idących przed nim żołnierzy i oficerów. Pomimo wysiłku poczuł, że pod cienką tuniką spływa mu zimny pot.

— Panie?

Macro odwrócił głowę, nie zmieniając tempa marszu po zamrzniętej ziemi.

— Czego chcesz, chłopcze?

— Jak daleko do tej wioski, panie?

Centurion się uśmiechnął.

— Pytasz, jak długo będziemy maszerowali przez te lasy?

— Tak, panie.

— Jeszcze kilka milliariów, zanim zarośla się przerzedzą. Powinniśmy dotrzeć do wsi przed południem. Ale nie przejmuj się tak bardzo, te okolice są bezpieczne.

— Ale gdybyśmy zostali tutaj zaatakowani...

— Zaatakowani? — prychnął Macro. — Przez kogo? Idziemy w odwiedziny do bandy biednych suczych synów. To tylko prości wieśniacy. Najbliższa armia Germanów znajduje się po drugiej stronie Renu. Uspokój się, chłopcze, bo płoszysz nam dziewczynki — Macro wskazał kciukiem maszerujących za nimi legionistów szóstej centurii; ci, którzy dosłyszeli jego słowa, roześmiali się na głos. Katon się splonił, ale nadal wyciągał szyję, usiłując przebić wzrokiem otaczającą ich gęstwinę i kryjące się w niej cienie.

Gdy maszerujących żołnierzy opuściło początkowe przytłaczające uczucie niepewności, jakie za każdym razem wywoływała majestatyczna puszcza, przestali rozmawiać półgłosem —wkrótce trakt rozbrzmiewał ich jazgotem. Legioniści wyzywali się jak zwykle i rzeli głośno, opowiadając sprośne dowcipy. Gęste korony drzew pochłaniały większość tego hałasu, a to co docierało do uszu Katona, brzmiało bardzo płasko i dziwnie.

W końcu kolumna opuściła zalesiony teren i wydostała się na skąpaną w porannym zimowym słońcu równinę. Te okolice także oczyszczono z chaszczy. Kohorta posuwała się teraz wśród pól, mijając dziwaczne, ulepione z torfu chatynki, w których mieszkała miejscowa ludność. Znad każdego stromego dachu unosiła się w niebo cieniutka smużka dymu. O tej porze roku rolnicy trzymali bydło i trzodę w zagrodach, dlatego też nad każdą koślawą obórką i chlewikiem unosiły się gęste obłoczki pary, a z ich wnętrz dobiega-

ło ryczenie albo głośne kwiki. Dało się też zauważyć tubylców — od czasu do czasu jakaś postać obserwująca w milczeniu przemarsz chrześzczącej kolumny pojawiała się w uchylonych drzwiach lepianki — ale żaden z nich nie odważył się wyjść na zewnątrz.

- Niesamowicie przyjaźni ludzie, nieprawdaż? — skomentował chorąży.
- Zupełnie nas ignorują — odparł Katon. — Wydawało mi się, że powinni znacznie bardziej się nami interesować. Nie tak wyobrażałem sobie Germanów.
- A jacy powinni być twoim zdaniem?
- Wielcy i skorzy do walki, tak właśnie opisuje się ich w Rzymie.
- I tacy są, kiedy dochodzi do bitwy — stwierdził z przekonaniem chorąży. — Ale ci tutaj to zwykli wieśniacy. Zachowują się jak każdy cywil, kiedy przechodzi armia. Starają się nie wychylać nosa i mają nadzieję, że nie zwrócimy na nich uwagi. Za tymi drzwiami — wskazał głową najbliższą lepiankę — jak i za każdymi innymi siedzi teraz cała rodzina i modli się tylko o to, żebyśmy nie zrobili postoju obok ich domu. Wojsko jest dla nich czymś gorszym niż zaraza.

Z czoła kolumny dobiegły krzyki — starszy trybun nakazał kohorcie przerwać marsz. Kolejni centurioni natychmiast przekazali to polecenie swoim ludziom. Żołnierze zamarli, oczekując na kolejne rozkazy.

— Oficerowie na czoło!

Macro, mając najdłuższy odcinek do pokonania, od razu zaczął biec, kierując się wzdłuż kolumny w stronę siedzącego na koniu Witeliusza, którego widział ponad hełmami legionistów z pierwszej centurii. Z miejsca gdzie stał Katon, można było dostrzec, że kohorta zatrzymała się przed szczytem niewielkiego wzniesienia. Centurionowie zgromadzili się wokół trybuna, zachowując jednak bezpieczny dystans — jak przystało na piechurów — od jego konia, i słuchali wydawanych rozkazów, którym od czasu do czasu towarzyszyły poparte gestykulacją wyjaśnienia. Gdy odprawa dobiegła końca, pobiegli z powrotem do swoich jednostek. Macro uśmiechnął się, widząc zaciekawione miny chorążego i młodego optio.

- Wioska leży za tym pagórkiem. Trybun chce to rozegrać na spokojnie. Weźmie ze sobą tylko pierwszą centurię. Reszta ma się rozlokować wzdłuż zbocza, poza zasięgiem wzroku miejscowych, i wkroczyć do akcji tylko wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba.
- Dlaczego nie idziemy za nimi? — dopytywał się Katon. — Dlaczego się rozdzielamy?
- Bo taki dostaliśmy rozkaz, chłopcze — odparł kąśliwie Macro, ale powstrzymał się od dalszych uwag, gdyż dotarło do niego, że uwaga *optio* ma sens. — Witeliusz nie chce irtować tubylców bardziej niż to konieczne. Mamy dokonać aresztowania, zarekwirować dobra i wycofać się w spokoju. Gdybyśmy wmaszerowali tam całą kohortą, miejscowi mogliby się zachować zbyt nerwowo.
- Zbyt nerwowo?
- Czyli kurewsko nieprzewidywalnie. — Macro wzruszył lekceważąco szerokimi ramionami. — Wątpię, żeby garstka rolników miała ochotę na nas się zasadzać. Ale tak czy inaczej, otrzymaliśmy rozkaz. Dobrze. Zaczyna się zabawa. Wracaj na miejsce, *optio*.

Pierwsza centuria prowadzona przez Witeliusza zniknęła za szczytem wzniesienia. Pozostałe jednostki rozdzieliły się, ruszając na prawo i lewo wzdłuż zbocza. Centurionowie drugiej i trzeciej wystąpili z szeregu, aby wskazać miejsca postoju nadchodzącym od strony traktu oddziałom. Szóstej centurii przypadł w udziale odcinek przecinający drogę. Chwilę później Katon, trzymając się zgodnie z poleceniem blisko Macro i chorążego, znalazł się przed czterema długimi na ponad dwieście kroków szeregami legionistów. Ziemia przed nimi łagodnie opadała w stronę doliny, gdzie w zakolu rzeki płynącej przez okoliczne puszcze leżała germańska osada.

Jej rozmiary zaskoczyły Katona. Spodziewał się ujrzeć zbiorowisko lepianek otoczonych palisadą, a zamiast tego miał przed oczami setki chałup, ba, nawet sporych domów chronionych wysokim wałem i szeroką fosą. Główne wrota były zamknięte, a dostępu do wioski dodatkowo broniły dwie wieże z kamienia, z których opuszczano krótki zwodzony most. Niedaleko za bramą trakt kończył się, przechodząc w spory plac, przy którym stała największa budowla tej miejscowości.

Szczyt wzgórza od mostu dzieliło co najmniej pół milliarium — pierwsza centuria zdążyła pokonać większą część tej odległości w czasie, gdy pozostałe zajmowały ustalone pozycje. Zdawało się, że nikt we wsi nie zwrócił uwagi na zbliżające się do bram wojsko. Dopiero po dłuższej chwili na wałach pojawił się strażnik, aby sprawdzić, kto przybywa.

W tym czasie pozostałym pięciu centuriom wydano komendę spocznij i pozwolono na rozpoczęcie skromnego posiłku. Żołnierze sięgnęli więc po racje niesione w chlebakach. Katon także wyjął pasek suszonej wołowiny i wgryzł się w twarde, ale bardzo smaczne mięso. Poranny marsz sprawił, że czuł duży głód, poruszał więc szybko szczękami, nawet na moment nie spuszczać z oczu doliny.

Nagle jego wzrok przykuło jakieś zamieszanie w najdalej części wioski. Trzy postacie, każda z tarczą i dzidą, pomknęły w kierunku odległej linii drzew. Chmura gęstego dymu podniosła się z miejsca, w którym optio zauważył ich po raz pierwszy, chyba tliło się tam jakieś ognisko.

— Panie! — zawołał do centuriona. — Spójrz tam!

— Gdzie?

— Tam, panie — Katon wskazał kierunek włócznią. — Jacyś ludzie uciekają. Widzisz ich, panie?

— Tak, chłopcze. Widzę ich.

— Co z nimi zrobimy? — zapytał optio.

— Co zrobimy? — nastroszył się Macro. — Nic. Są zbyt daleko od nas. A poza tym jest ich tylko trzech.

— Nie powinniśmy poinformować o tym trybuna? — nalegał Katon.

— A po co?

Przyglądali się mężczyznom biegnącym przez pola w kierunku puszczy, a w tym samym czasie Witeliusz doprowadził swoich ludzi pod bramy wsi i zatrzymał centurię naprzeciw wież, przy fosie. Trybun zamachał ręką i moment później wrota otworzyły się, pozwalając legionistom wejść za wały. Centuria przeszła przez most i na kilka denerwujących chwil zniknęła pozostałym oddziałom z oczu, maszerując wąskimi uliczkami w stronę centralnego placu.

Po dotarciu na miejsce Witeliusz kazał swoim ludziom zatrzymać się i posłał dwóch żołnierzy do drzwi największej budowli. Zanim zdolali do nich dobiec, wrota otworzyły się i na zewnątrz wyszła kobieta o włosach koloru lnu. Chociaż z tak wielkiej odległości, jaka dzieliła plac od wzgórza, nikt nie mógł słyszeć przebiegu tej rozmowy, legioniści nie mieli wątpliwości, że doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy trybunem a przedstawicielką wioski.

— Wydawało mi się, że przyszlismy aresztować naczelnika, panie — zauważył Katon.

— Po to przyszlismy — odpowiedział porytowany Macro. — Witeliusz nie powinien marnować czasu. Dzień zimą jest bardzo krótki. — Podniósł oczy ku niebu, na którym słońce zaczynało już tęsknie spozierać ku horyzontowi. — Nie cierpię maszerowania do fortecy po zmroku...

Katon mimowolnie rzucił okiem na lasy widoczne daleko w tyle. Skoro to miejsce potrafiło wywołać dreszcz za dnia, jeden Jowisz wie, jak straszne musi być w nocy.

— Czy nie lepiej będzie okrążyć te lasy, jeśli zastanie nas tu noc?

Macro pokręcił głową.

— Za daleka droga. Zresztą możemy zrobić pochodnie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie obleciał cię chyba strach, chłopcze?

— Nie, panie.

— Dobrze. Tak trzymaj — rzucił z ulgą centurion, jego nadzieje na zarobienie pięciu sestercji właśnie wzrosły.

Tymczasem kłótnia we wsi dobiegła końca. Witeliusz machnął ręką i obaj żołnierze brutalnie wykręcili kobiecie ręce. Potem jedna z drużyn włamała się do wielkiego domostwa i wynurzyła z niego moment później, niosąc sporą skrzynię. Legioniści złożyli ją u stóp trybuna i ruszyli w stronę kolejnej chaty.

— Zdaje się, że nasz człowiek umknął — zauważył Macro i ziewnął przeciągle. — Trybun nie powinien tracić czasu na tę babę.

— Chyba że to jedna z tych niewiast, do których nasz trybun czuje miętę — mruknął chorąży. — Wiecie przecież, jaki z Witeliusza kobieciarz, nie przepuści okazji, żeby nie zagadać do jakiejś.

— Powinien to robić poza służbą. A już na pewno nie podczas wypadu. I to zwłaszcza takiego, w którym ja biorę udział. No i nie w tak kurewsko mroźny dzień jak dzisiaj.

— Panie! — przerwał mu Katon. — Spójrz tam! Brama!

Z jakiegoś powodu Germanie zaczęli zamykać bramę. Gdy Macro spojrział w tamtą stronę, właśnie zaczynali podnosić most zwodzony. Centurion poczuł na krzyżu zimne dotknięcie, o wiele zimniejsze od zwykłego ukłucia mrozu. Natychmiast przeniósł wzrok na środek wsi, ale ludzie Witeliusza najwyraźniej nie byli świadomi tego, co się działo, i kontynuowali grabienie chałup. Moment później jego uwagę przykuł jakiś ruch daleko za wioską. Z puszczy wyległ cień, jakby słońce tego dnia zapragnęło zająć prędkiej. Wiedział jednak, że to coś zupełnie innego, słońce znajdowało się bowiem za jego plecami.

— Katonie! Masz lepsze oczy niż ja. Powiedz mi, co się tam dzieje, na skraju puszczy! — wskazał dłonią kierunek.

Chłopak przez moment nie był pewien, co widzi. Lekka mgielka podniosła się w dolinie, częściowo przesłaniając mu widok. Ale wystarczył moment, by rozlewający się cień nabrał wyraźniejszego kształtu.

— Sądzę... Wydaje mi się, że to ludzie. Wychodzą z puszczy i kierują się w naszą stronę. — Spojrział na centuriona wytrzeszczonymi oczami. — Czy to Germanie?

— A któżby inny — odparł oschle Macro.

— Co będzie z naszymi w wiosce? — dopytywał się zaniepokojony Katon. — Oni ich nie widzą.

— Wiem, chłopcze. Wiem.

Coraz więcej żołnierzy dostrzegało zbliżające się niebezpieczeństwo i zaczęło wskazywać je swoim sąsiadom w szeregu. Przez formację przetoczyła się fala zaniepokojonych głosów.

— Cicho mi tam! — wrzasnął Macro. — Zamknąć mordy i stać spokojnie!

Legioniści natychmiast umilkli, do szeregów wróciła dyscyplina. Wzdłuż pierwszej linii przebiegł centurion Quadratus z drugiej centurii, najstarszy oficer po trybunie.

- Widziałeś ich, Macro?
- Tak.
- Lepiej zejdźmy w dolinę i wesprzyjmy naszych.
- Kazano nam czekać tutaj — odparł Macro zdecydowanym tonem. — Dopóki Witeliusz nie da znaku.
- Ale on ich nie widzi. — Quadratus wskazał palcem na tysiące Germanów wysypujących się z puszczy i zmierzających w stronę wioski.
- Jeśli zejdziemy na dół, wszyscy znajdziemy się w pułapce — stwierdził Macro. — Sugeruję, żebyśmy spróbowali zwrócić uwagę pierwszej centurii.

Dowódca drugiej centurii spoglądał przez chwilę na swojego kolegę, a potem skinął głową. Odwrócił się w stronę formacji i zawołał, przykładając dłonie do ust:

— *Vexilla* w górę. Dawajcie sygnały do odwrotu!

Pięciu chorążych uniosło drzewce proporców i zaczęło nimi zataczać duże kręgi. Macro spoglądał tymczasem prosto na wioskę, w której żołnierze pierwszej centurii, nieświadomi nadchodzącego niebezpieczeństwa, rekwirowali wszystkie cenne przedmioty.

— No, dalej, dalej — mamrotał pod nosem Quadratus. — Niech który spojrzy... na nas.

W końcu dostrzegli, że jeden z żołnierzy wskazuje włócznią w stronę wzgórza i woła coś do Witeliusza. Trybun zareagował od razu, obrócił się w siodle i patrzył za siebie przez dłuższą chwilę, aby na koniec machnąć ręką. Żołnierz, który dostrzegł sygnały, zniknął im z pola widzenia, ale pojawił się zaraz na szczycie jednej z wież. W tym samym momencie chmary Germanów wynurzyły się spomiędzy chat, otaczając Witeliusza i jego ludzi. Pierwsza centuria natychmiast uformowała zwarty szyk obronny i zaczęła się wycofywać w stronę bramy. Kilku wieśniaków ruszyło za nią, rzucając w Rzymian kamieniami i kawałkami drewna. W odpowiedzi z tylnych szeregów posypał się na nich deszcz włóczni. Pół tuzina Germanów pozostało na ziemi, reszta uciekła, kryjąc się w bocznych alejkach. Chwilę później stracili pierwszą centurię z oczu, zasłoniły ją budynki stojące przy wale okalającym wioskę.

Tymczasem wyłaniający się z puszczy wojownicy dotarli na otwartą przestrzeń, gdzie można ich było dokładniej policzyć, a także ocenić tempo ich marszu.

— Trzy albo nawet cztery tysiące — stwierdził Quadratus.

Macro pokręcił głową.

— Powiedziałbym, że skąpo szacujesz.

— Witeliusz powinien mieć wystarczającą ilość czasu na opuszczenie wioski, zanim oni tam dotrą.

— Bez problemu. Mają jeszcze milliarium do najdalej wysuniętych zabudowań. Jeśli trybun zdoła bez przeszkód otworzyć bramę, będzie tu, na wzgórzu, zanim dotrą do wioski.

— I co dalej?

— Nie mam pojęcia — Macro wzruszył ramionami. — Poczeka-
my i zobaczymy, co nam rozkaże.

Katon przysłuchiwał się tej rozmowie oficerów z rosnącym niedowierzaniem. Jakim cudem zachowują zimną krew, kiedy ich towarzysze broni stają w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa? I to na ich oczach! Zresztą jeśli nawet pierwszej centurii uda się uciec, przeciwnik będzie miał dziesięciokrotną przewagę liczebną nad kohortą. Chłopak poczuł ogromną ochotę, by odwrócić się i uciec, wołając po drodze do pozostałych legionistów, aby uczynili to samo. Jednak ciało odmówiło mu posłuszeństwa, po części ze wstydu, ale i z jeszcze większego strachu przed samotną wędrówką przez mroczne, przerażające knieje. Stał więc jak wmurowany, spoglądając to na zbliżających się Germanów, to na wioskę, i sprawdzając, jakie postępy robi pierwsza centuria. Tymczasem na wieży zaczęło się coś dziać. Samotnego legionistę otoczyła grupka mężczyzn, moment później został przeszyty dzidą, a jego ciało wylądowało w fosie.

— Panie!

— Widziałem, chłopcze.

Seria błysków i refleksów oznajmiła przybycie pierwszej centurii na skraj wioski. Wywiązała się krótka, ale gwałtowana walka o kontrolę nad wrotami. W tym czasie germańscy wojownicy wciąż zbliżali się do wioski, aby zatrzaskać pułapkę.

— A jednak mogą nie zdążyć — denerwował się Quadratus. —
Lepiej pójdę i przygotuję ludzi na wypadek taktycznego odwro-
tu. Sprowadzę pozostałe centurie na trakt. Ty, Macro,
zostaniesz tutaj ze swoimi ludźmi do chwili nadejścia
Witeliusza.

— Dobrze, nie traćmy więcej czasu.

Quadratus pospieszył wzdłuż szeregów, wykrzykując po drodze rozkazy, i centurie, jedna po drugiej, zaczęły opuszczać zbocze wzgó-
rza, wracając na drogę i zmieniając szyk na kolumnę marszową. W
tym samym czasie Macro nakazał szóstej cofnąć się o dziesięć
kroków, aby zrobić miejsce ludziom Quadratusa. Katon wykonał
rozkaz, ale nie spuszczał oka z wioski. Legioniści z pierwszej zdołali
w końcu opanować bramę i otwierali właśnie wrota. Moment później
cała centuria truchtała już w kierunku reszty kohorty, prowadzona
przez jadącego na koniu Witeliusza. Ścigali ją nieliczni wieśniacy, ale
zrezygnowali, gdy w ich kierunku posypały się włócznie.

Gdy pierwsza oddaliła się na bezpieczną odległość od wioski,
trybun spiął konia i popędził w górę zbocza, aby przejąć dowodzenie
nad kohortą. Zatrzymał rumaka tuż przy stanowiskach szóstej,
ściągając mocno cugle. Koń zarżał głośno, na boku miał głęboką,
mocno krwawiącą ranę.

— Centurionie, co tu się wyprawia, u licha? — warknął gniewnie.

— Gdzie reszta ludzi?

— Cjuadratus kazał im się wycofać na trakt, panie — wyjaśnił
Macro.

— Dlaczego? Wystraszył się bandy przeklętych wieśniaków?
Zamierzam wrócić tam na czele całej kohorty i puścić to
miejsce z dymem!

— Panie—wtrącił centurion. — Gdybyś raczył spojrzeć w tamtą
stronę...

— Co? Gdzie?

— Za wioskę, panie.

Witeliusz zamarł na moment, gdy zdał sobie sprawę z powagi
sytuacji i zagrożenia, którego cudem uniknął. Przyglądał się masom
Germanów podchodzących do wioski i pojął to, co inni oficerowie

już od dawna wiedzieli. Z taką liczbą wrogów nie mieli żadnych szans.

- Nadal mamy nad nimi sporą przewagę. Jeśli zdołamy dotrzeć do lasu, zanim nas dopadną, tylna straż powinna ich odeprzeć.
- Wierzę, że Quadratus miał na myśli ten sam manewr, panie.
- Dobrze. W takim razie zostanieie tutaj. Kiedy pierwsza przybędzie, przepuście ją i każecie dołączyć do końca kolumny. Wasza centuria będzie naszą strażą tylną. Zaczynjcie się wycofywać, jak tylko kohorta ruszy.

Witeliusz raz jeszcze obrzucił wzrokiem dół zbocza, aby ocenić pozycje obu stron.

- Dopiero za chwilę dotrą do wioski. Jeśli nam szczęście dopisze, będziemy już daleko stąd. Wiesz, centurionie, co masz robić.
- Tak, panie! — Macro zasalutował, a trybun spiął konia i zawrócił w miejscu, aby pogalopować za szczyt, w kierunku czoła kolumny. Gdy Katon się upewnił, że jeździec jest już zbyt daleko, by go usłyszeć, spojrzął na Macro.
- Co teraz będzie?
- To co powiedział trybun. Szybki odwrót do fortu.

Optio obawiał się jednak, że ten manewr nie pójdzie im zbyt łatwo. Gdzieś w zakamarkach jego umysłu pojawiło się dręczące uczucie, że najgorsze mają dopiero przed sobą, i przeklął w myślach centuriona za propozycję udziału w tym wypadzie. Zamiast bezkrwawego zapoznania się z terenem oraz ucieczki od Bestii i Pulchery czekała go teraz walka z całą hordą germańskich dzikusów. Jestem w legionie dopiero od czterech tygodni, pomyślał z goryczą, a ludzie już ustawiają się w kolejce, aby mnie zabić.

Żołnierze z pierwszej centurii dotarli na szczyt wzgórza i dysząc ciężko, bez słowa skierowali się na trakt, aby dołączyć do kolumny marszowej. Gdy ostatni legioniści minęli szeregi szóstej, Macro nakazał wycofanie się o dziesięć kroków na wcześniej zajmowaną pozycję. Centuria nie zdążyła się jeszcze porządnie ustawić, gdy od czoła kolumny dobiegły głośne ryki.

Z odległych lasów na pola wysypywał się kolejny rój barbarzyńców, ich zadaniem było odcięcie drogi ucieczki rzymskiej kohorcie.

Jedno spojrzenie wystarczyło Katonowi, aby ocenić sytuację. Nawet tak niedoświadczony obserwator jak on mógł szybko się zorientować, że Germanie zablokują trakt, zanim najbliższa centuria zdąży nim przejść. Nagle wszystko się ułożyło w zrozumiały ciąg zdarzeń — trzech mężczyźni biegnący w stronę lasu, sygnał dymny, opóźniająca akcję żona naczelnika wioski. Doskonała pułapka, muszę to przyznać, pomyślał, zanim jeszcze świadomość konsekwencji wynikających z tych wydarzeń zjeżyła mu włosy na karku. Spojrzał na centuriona, mając nadzieję, że ten podpowie jakieś rozsądne rozwiązanie, ale maska twardego wojownika opadła na moment z twarzy Macro. Oficer spoglądał przez chwilę na atakujących od czoła, potem odwrócił się w stronę mrowia Germanów nadciągających z doliny, odległych teraz o nie więcej niż trzy ćwierci miliarium.

— Świetnie — mruknął centurion. — Teraz naprawdę mamy przejebane.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po porannym wymarszu kohorty życie w fortecy II Legionu natchmiast wróciło do normy. Rekruci Bestii tupali nogami, stojąc na placu apelowym, aby rozgrzać się choć trochę pomiędzy kolejnymi szkoleniami, a dowódca piątej kohorty zabrał swoich ludzi za mury, aby zaliczyć marsz na orientację — przed tym zadaniem stawała każda jednostka rzymskiej armii przynajmniej raz w miesiącu. Tym razem do legionistów dołączył także personel biurowy z dowództwa. Gryzipiórki złorzeczyły ile wlezie, że Wespazjan tego ranka nie chciał słuchać ich wiecznych wymówek.

Legat nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu, gdy spoglądał z balkonu na kohortę maszerującą po Via Praetoria i wciśnięty pomiędzy trzecią a czwartą centurię tłumek urzędników. Augusta była pierwszym legionem, którym przyszło mu dowodzić, ale zamierzał osiągnąć wielki sukces na tym stanowisku, nawet za cenę niezadowolonia obsady kancelarii. Każdy mężczyzna — a nawet każde zwierzę służące w jego legionie — miał być gotowy do walki w czasie zbliżającej się przyszłorocznej kampanii. Co więcej, zważywszy na treść pisma dostarczonego z dowództwa w stolicy, musiał przeszkolić swoich ludzi w technikach desantowych, albowiem przygotowywana operacja będzie miała wyjątkowy charakter. Jego żołnierze, wiedział to z autopsji, nie darzyli specjalnym zaufaniem niczego, co pływało w albo po wodzie. Osiadły tryb życia, jaki moi chłopcy wiedli przez ostatnie lata, może stanowić dodatkowe utrudnienie

w rozwiązywaniu tego problemu, pomyślał z goryczą Wespazjan, popijając z kubka grzane wino. Musiał wprowadzić szybkie i daleko idące zmiany. Rozpoczynające się właśnie szkolenie urzędników było pierwszym etapem zakrojonych na szeroką skalę przygotowań II Legionu do nadchodzącego lata. Od dzisiaj podwojeniu ulegną długości marszu oraz czas ćwiczeń z bronią, żaden żołnierz czy oficer nie będzie z nich zwalniany, i to bez względu na okoliczności.

Gdy ostatnie szeregi maszerującej kohorty minęły balkon, legat wrócił do swoich komnat, zamykając szczelnie okiennice. Na wielkim stole leżały wyniki zarządzanej niedawno inwentaryzacji oraz kilka listów przesłanych z Rzymu, w których opisano szczegóły relokacji legionu — drogi, którymi ma przemierzyć Galię, magazyny wyznaczone na bazy zaopatrzeniowe i postojowe oraz dane specjalistów od żeglugi oddanych pod jego rozkazy na czas trwania kampanii. Dokument opisujący szczegóły i cele wyprawy spoczywał razem z jego osobistymi papierami w zamkniętej skrzyni pod stołem. Wespazjan czytał go tak wiele razy, że zapamiętał chyba każde słowo, mimo to zdjął kluczyk wiszący na szyi i wsunął go do masywnego zamka. Mocno zwinięty zwój z rozkazami leżał na swoim miejscu, krwistoczerwone połówki cesarskiej pieczęci nadal trzymały się sztywnego pergaminu. Obok niego znajdował się drugi, nieco mniejszy, przeznaczony wyłącznie dla jego oczu i napisany ręką samego imperatora. Wespazjan rozmyślał przez chwilę, z boleścią wypisaną na twarzy, o zawartej w nim treści, a potem odsunął go na bok, aby wyjąć rozkazy. Rozwinął je na blacie stołu, pociągnął kolejny łyk gorącego wina i raz jeszcze zagłębił się w lekturze dobrze znanych mu słów.

Drugi oraz trzy inne legiony, przy wsparciu niemal trzydziestu kohort pomocniczych, miały następnego lata najechać Brytanię. Sporządzający to pismo cesarski skryba nakreślił plan w bardzo prosty, ale zarazem wyrazisty sposób. Następnie, jakby czując skruchę za to, że pozostawił w pierwszym punkcie dokumentu tak wiele niedomówień, rozpiął się do granic przyzwoitości, prokurując przepiękny esej na temat wielkiego znaczenia planowanej operacji. Brytania, jak zauważył, została jedynie napoczęta przez wyprawę Juliusza

Cezara, ale zakończona sukcesem inwazja przywróci chwałę imperium i raz jeszcze przypomni cywilizowanemu światu (jak również temu dzikiemu, który trwa u jego granic) o potędze Rzymu i jego nowego cesarza.

Wespazjan uśmiechnął się, czytając to zdanie. Klaudiusz mógł zasiąść na tronie wyłącznie dzięki poparciu pretorian. Lecz nawet oni nie dbali o to, czy nowy cesarz przeżyje krwawą jatkę, jaka rozpętała się po zamordowaniu Kaliguli. Klaudiusz mógł się tytułować imperatorem, ale arystokracja, podobnie jak plebejusze, poważnie wątpiła w to, czy nadaje się na ten urząd. Ta kampania

— podbój Brytanii — miała przekonać wszystkich, że nowy cesarz jest ulepiony z innej, heroicznej gliny. Szybkie, błyskotliwe zwycięstwo i tryumf w Rzymie pozwolą mu zyskać uwielbienie tłumów.

Skryba kontynuował opis kampanii, zaznaczając, że przeznaczone zostaną na nią bardziej niż wystarczające siły. Raporty agentów działających w Brytanii sugerowały, że legiony powinny napotkać bardzo słabe, rozproszone siły. Korpus ekspedycyjny bez trudu rozgromi zbierane w pośpiechu armie, a reszta kampanii będzie tym co zwykle, czyli kruszeniem oporu poszczególnych klanów i warowni za pomocą siły albo dyplomacji.

— Za pomocą siły albo dyplomacji — powtórzył na głos Wespazjan, kręcąc wolno głową.

Tylko cesarski gryzipiórek mógł uważać tę sprawę za coś prostego. Każdy żołnierz służący na granicy wiedział doskonale, jak rzadko dyplomacja sprawdza się w praktyce. Wespazjan nie sądził, żeby mieszkańcy Brytanii byli w stanie przeliterować tak długie słowo, a co dopiero zrozumieć zawartą w nim treść.

Brytowie, wedle dość luźnej interpretacji słów Cezara poczynionej przez cesarskiego skrybę, nie byli niczym więcej niż niezdyscyplinowaną tłuszcą, stosującą przedziwną taktykę walki opartą na użyciu rydwanów. Ich budowane na wzgórzach forty porównał nawet do stosów gliny, które ktoś otoczył lichymi palisadami. Należało się liczyć z niewielkimi stratami, ale najeźdźcy powinni pamiętać, że wyprawa ta będzie źródłem ogromnych łupów wojennych, czyli

— w domyśle — głównie niewolników. Nakazywał też wyraźne za-

znaczenie tego punktu wszystkim oficerom i żołnierzom legionu, którym Brytania mogła się kojarzyć wyłącznie z tajemniczą, wiecznie zamgloną wyspą leżącą gdzieś poza granicami znanego świata. W tym momencie skryba połapał się chyba, że jego styl staje się zbyt kwiecisty — tak przynajmniej sądził Wespazjan — i wrócił do bardziej rzeczowej narracji. Legat otrzymuje polecenie zlikwidowania źródeł wszelkich plotek mitologizujących cel kampanii i utrzymania dyscypliny na najwyższym z możliwych poziomów, jakie znano w rzymskiej armii. Pismo kończył szczegółowy harmonogram ruchów jednostek w najbliższych miesiącach. -

Wespazjan wypił resztkę wina i odsunął zwój na bok, aby przyrzeć się pozostałym dokumentom leżącym na stole. Szykuje się wielka awantura, musiał to przyznać. Trzeba było zgromadzić ogromne siły w ludziach i sprzęcie, zapewnić bieżące zaopatrzenie, zapasy na czas trwania kampanii, zbudować flotę, przeszkolić armię, aby potrafiła dokonać desantu — nie wspominając o tak przyziemnych sprawach, jak doprowadzenie kampanii do szczęśliwego końca czy stworzenie pełnej infrastruktury dla całkiem nowej prowincji. I po co to wszystko? Dokument mówił o wielkich złożach złota, srebra i cyny, jakie odkryto na wyspie. Ale z tego co Wespazjan słyszał od kupców wracających z tamtych stron przez jego fort, Brytania była jedną wielką zapadłą dziurą. Żadnych miast, żadnej cywilizacji, tylko paskudne baby noszące groteskowe fryzury. Klaudiusz nie za bardzo będzie miał czym się pochwalić, zdobywając takie miejsce. Ale dokona podboju, a w Rzymie reputację buduje się wyłącznie na sukcesach militarnych. Wespazjan wiedział doskonale, że urzeczywistnienie marzeń kryjących się w jego sercu będzie możliwe tylko wtedy, gdy poprawi swoją pozycję polityczną. Tak, Brytania może przysłużyć się wszystkim zainteresowanym, pomyślał z rozbawieniem, prócz, rzecz jasna, tubylców.

A skoro o tubylcach mowa... Miał jeszcze do załatwienia jedną albo dwie sprawy, zanim II Legion opuści tę fortecę i przekaże ją w ręce mieszanej kohorty z Macedonii, która ma zająć jego miejsce na czas kampanii. Trzeba będzie załagodzić spory terytorialne pomiędzy lokalnymi klanami, no i ten paskudny przypadek z poborcą

podatkowym, którym właśnie zajmowała się trzecia kohorta. Pozbawiony języka poborca napisał petycję do gubernatora prowincji, żądając w niej zadośćuczynienia. Zaznaczył wyraźnie, że oprócz wymienionej w piśmie sumy pieniędzy, kategorycznie żąda stracenia krnąbrnego naczelnika germańskiej wioski. Mając na względzie słabe ubiegłoroczne zbiory i fakt, że tubylcy muszą za coś kupić jedzenie na tutejszą ciężką zimę, Wespazjan zaproponował, aby jedynie odjąć język człowiekowi winnemu okaleczenia. Niestety, poborca, nieokrzesany Gal mówiący z tak koszmarnym akcentem, że wszystkim natychmiast odechciało się z nim dyskusji — co w obecnej sytuacji przestawało mieć jednak znaczenie — nalegał na wypłatę odszkodowania i zabicie naczelnika. I tak Witeliusz został wysłany do wsi, aby zakończyć tę sprawę. I załatwi ją, znając jego zamiłowanie do stanowienia siłą rzymskiego pokoju.

Wespazjan nie lubił swojego starszego trybuna, chociaż nie potrafił wskazać konkretnych powodów tej niechęci. Człowiek ten był przecież bardzo spokojny, cieszył się nawet sporą popularnością wśród ludzi. Pił ostro, chociaż nigdy na umór. Był za to kochliwy nad wyraz... ale to prawo każdego mężczyzny, przyznał po chwili namysłu Wespazjan. Nadto Witeliusz uwielbiał sport i powoził rydwanem z taką gracją, jakby urodził się z lejcami w dłoniach. Gdyby szukać u niego przywar, można by wskazać zamiłowanie do hazardu, ale i w tej dziedzinie wykazywał się wielką biegłością. Zupełnie jakby wiedział, kiedy fortuna mu sprzyja, a kiedy lepiej odpuścić. W dodatku z niezwykłą łatwością nawiązywał znajomości, zwłaszcza z ludźmi, którzy mogli się okazać przydatni w karierze politycznej, co wróżyło mu błyskotliwą karierę. Kto wie, jak wysoko zdoła się wspiąć? Tym pytaniem Wespazjan dotknął sedna problemu — ten człowiek mógł stać się jego rywalem w dającej się przewidzieć przyszłości.

No i jeszcze ta druga sprawa. Zakodowana wiadomość z gabinetu samego imperatora dostarczona kilka tygodni temu przez jakiegoś nieszczęsnego rekruta. Cesarz, używając osobistego szyfru, potwierdził najgorsze przypuszczenia Wespazjana. Napisał wyraźnie, że w fortecy przebywa osoba podejrzewana o maczanie palców

w ubiegłorocznej rewolcie zorganizowanej przez Skrybonianusa. Jak tylko uda się wycisnąć jego nazwisko z ocalałych spiskowców, legat ma zadbać o to, aby człowiek ten zniknął bez zbyteńnego rozgłosu. Piękny eufemizm, pomyślał Wespazjan, uśmiechając się krzywo na myśl o tym, jakie tortury stosują cesarscy oprawcy, aby wydobyć informacje, na podstawie których usuwa się potem — „bez zbyteńnego rozgłosu” — innych ludzi. Ku pokrzepieniu serca legata, w piśmie zawarto też wiadomość, że w fortecy znajduje się także agent pałacu — oczywiście zamaskowany — który będzie służył Wespazjanowi wszelką pomocą, jeśli uzna, że zasła taka potrzeba.

Paskudnie to wszystko wyglądało, zwłaszcza w obliczu wyczerpujących przygotowań legionu do przyszłorocznej kampanii. Jeśli armia ma być gotowa do podjęcia prawdziwych wyzwań, żołnierz powinien koncentrować się wyłącznie na wojaczce, nie na polityce, a już zwłaszcza na pałacowych knowaniach. A on, Wespazjan, będzie musiał przyglądać się podejrzliwie wszystkim oficerom, dopóki jakiś nieszczęśnik nie zostanie złamany na mękach w mamer-tyńskim więzieniu i nie poda nazwiska prawdziwego spiskowca. Wespazjan żywił nadzieję, że będzie to Witeliusz. Tym sposobem miałby przynajmniej dwa problemy z głowy.

Legat ujął amforę grzejącą się nad piecykiem i nalał sobie kolejną porcję gorącego wina do kubka. Popijał je małymi łydkami, delektując się parującym naparem i myśląc, że zamiast pacyfikacji jakiejś zapadłej dziury powinien wyznaczyć Witeliuszowi o wiele bardziej niebezpieczne zadanie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Koń trybuna pędzi! wzdłuż traktu. Witeliusz zatrzymał go z trudem, tuż przed czołem szóstej centurii, i natychmiast wyciągnął rękę, wskazując w dół zbocza.

— Macro, bierz ludzi i lećcie pędem do wsi!

— Ale... — Centurion zdębiał, słysząc ten rozkaz.

Spojrzał w kierunku wskazywanym przez trybuna, minął wzrokiem zabudowania i skupił się na mrowiu germańskich wojowników pędzących w ich kierunku przez pola w dolinie.

— Pospiesz się, centurionie! — wrzasnął Witeliusz. — Pędem, powiedziałem!

— Tak, panie!

— Po dotarciu do wioski natychmiast zabezpieczcie i zamknijcie drugą bramę.

— Tak, panie!

— I nie dajcie się zatrzymać po drodze. Zrozumiano?

— Tak, panie.

Gdy Macro odwracał się w stronę szóstej, aby wydać rozkazy, trybun ściągnął lejce, zawracając konia w miejscu, po czym wbił mu pięty w boki, zmuszając go do kolejnego galopu wzdłuż kolumny żołnierzy zmierzających znów w stronę wioski. Centurion chwycił Katona za ramię.

— Trzymaj się blisko mnie. Bez względu na to, co się wydarzy.

Chłopak skinął głową.

— Jazda, chłopaki, biegiem za mną!

Macro poprowadził centurię w dół zbocza, wzdłuż traktu. Krótka kolumna legionistów pędziła w stronę wsi, wydmuchując z płuc gęste kłęby pary i porównując nieustannie odległość dzielącą ich od zabudowań z tempem marszu zbliżających się wciąż Germanów. Nawet Katon połapał się dość szybko, że wróg pierwszy może dotrzeć do dalszej bramy. Co będzie, jeśli tak się stanie? Dojdzie do walki w brudnych, wąskich zaułkach, w której na pewno wszyscy legioniści polegą. Ale śmierć będzie dla nich wybawieniem, jeśli choć część z tego, co pisał o Germanach Posydoniusz, jest prawdą. Rynsztunek pobrzękiwał głośno, a Katon, nienawykły jeszcze do biegu z pełnym oporządzeniem, miał spory kłopot z jednoczesnym utrzymaniem prosto tarczy i włóczni oraz pilnowaniem, aby pochwa gladiusa nie wpadała mu między uda. Co gorsza, „pasujący na wszystkie głowy” hełm zaczął mu się zsuwać w czasie biegu na oczy, czemu mógł zaradzić wyłącznie szybkim odchyleniem głowy do tyłu.

Macro obejrzał się za siebie i zobaczył, że pozostałe centurie zdążyły już minąć szczyt wzgórza i schodzą za nimi w stronę wioski. Kiwnął głową z aprobatą. Trybun dobrze kalkulował, nie pozwalając im biec przez całą drogę. Dzięki temu staną do walki z wrogiem, a nie z brakiem oddechu. Centurion przeniósł wzrok na bramę. Niewielka grupa wieśniaków czekała w niej na nadchodzących, dzierżąc w dłoniach archaiczną broń i co groźniejsze narzędzia rolnicze — wyglądali na zaskoczonych tym, że legioniści schodzą ze wzgórza w ich kierunku. Macro był już tylko kilkanaście kroków od nich i mógł dostrzec wystraszone twarze tych, którzy jeszcze nie uciekli. Nabral powietrza do płuc i wyciągnął miecz z pochwy.

— Grrraaaarrrr! — wrzasnął z całych sił, a przerażony jego rykiem Katon natychmiast skręcił w lewo. — Wracaj tutaj, durniu. Ten okrzyk miał wystraszyć ich, nie ciebie!

Wybieg centuriona zadziałał. Nieliczni obrońcy wzięli nogi za pas, zamiast stawić im czoło, i rozbiegli się po bocznych uliczkach wioski, nie kłopotząc się nawet zamknięciem bramy. Depczących im po piętach legionistów powitało jedynie ciało poległego żołnierza pierwszej centurii, leżące teraz obok jednej z wież. Chłopcy

z szóstej wpadli do wsi, rycząc wściekle i radując serca paniką, jaką wywołali. Tylko Katon pozostał cichy, biegł, przyglądając się ponuro otaczającym ich prymitywnym chatom, czując przy tym mdłości od odrażającego odoru, jakim przesiąknęło to miejsce.

— Zewrzeć szyk! — rozkazał Macro. — I nie przestawajcie wrzeszczeć!

Centuria wypadła za róg i trafiła na pierwszy zorganizowany opór. Uliczkę blokował tuzin włóchatych mężczyzn uzbrojonych w myśliwskie oszczepy i tarcze. Na swoje nieszczęście ustawili się zbyt blisko zakrętu i padli pod naporem Rzymian, zanim Katon zdążył zdać sobie sprawę z ich obecności. Ocaleli tylko ci, którym udało się umknąć w boczne alejki i zniknąć legionistom z oczu. Pozostałych po prostu stratowano i dobito włóczniami, nie zwalniając na moment kroku. Katon zauważył tylko upadek jednego z nich, mężczyzny, któremu Macro zmiażdżył twarz uderzeniem tarczy. Wojownik wrzasnął przesywająco, ale jego głos niemal natychmiast zniknął w ryku popychających Katona legionistów, pędzących w stronę drugiego krańca wsi. Chłopak nie miał czasu na strach, skupiał całą uwagę na dotrzymaniu kroku centurionowi, który kazał mu trzymać się blisko, a to nie było wcale łatwe. Gdy spojrzął w bok, na chorążego, zobaczył, że ten z uśmiechem na ustach wykrzykuje: „Dalej! Dalej!”. Na bogów, pomyślał Katon, tych ludzi bawi sytuacja, w jakiej się znaleźli. Co za głupcy! Czyżby pragnęli własnej śmierci?

Wypadli na plac przed chatą naczelnika, tą samą, którą Katon obserwował niedawno z pobliskiego wzgórza. Zebrani na nim wieśniacy rozpierzchli się przed ryczącymi wniebogłosy legionistami.

— Zostawcie ich! — rozkazał Macro. — Biegniemy dalej! Za mną!

Wprowadził centurię z placu prosto w najszerszą uliczkę, sądząc, że wiedzie ona prosto do bramy po przeciwnej stronie wałów, tej, przez którą mają się wdrzeć nacierający Germanie. Nikt nie stawał im na drodze, a jedynym znakiem obecności mieszkańców było pospieszne zatraskiwanie drzwi w kolejnych chatach. W przerwie pomiędzy zabudowaniami Katon ujrzał zwieńczenie

wrót, ku którym zmierzali. Dzielił je od nich tylko jeden rząd słomianych dachów. Wtedy też usłyszał nowy dźwięk. Ryk dobywający się z wielu gardeł, który zaczynał dominować nad wrzaskami legionistów. Inni też go dosłyszeli. Momentalnie zamilkli i zwolnili kroku.

— Nie zatrzymywać się, wy leniwe bękarty! — wydarł się Macro. — Naprzód!

Legioniści rzucili się przed siebie w nadziei, że uda im się zamknąć bramę przed nadbiegającymi Germanami. Katon wciąż trzymał się Macro i chorążego, dając z siebie wszystko. Wpadł między cuchnące nieludzko chaty i nagle odbił się od pleców centuriona, który właśnie dawał znak żołnierzom, aby się zatrzymali. Tarcza wyslizgnęła mu się z dłoni.

— A niech cię! — wybuchnął Macro.

— Wybacz, panie. Nie chciałem...

— Formować szereg — zawołał centurion, ignorując jego tłumaczenia. — Gotuj włócznie!

Katon podniósł tarczę, wyprostował się i zamarł. Pięćdziesiąt kroków przed nim wznosiła się brama, teraz otwarta na oścież, a przez nią wlewał się do wioski szeroki strumień wrzeszczących przeraźliwie Germanów — oni także dostrzegli przed sobą wroga. Były to najbardziej odrażające stwory, jakie Katon miał okazję ujrzeć na własne oczy: zwałiste chłopcy ze skołtunionymi włosami i wykrzywionymi twarzami, na których malowała się wyłącznie żądza krwi. Zwierzęcy odór, jakim zalatywali, wystarczał do obezwładnienia cywilizowanego człowieka.

— Zejdź na bok! — Macro pchnął go na koniec pierwszego szeregu legionistów, obok chorążego, który odstawił właśnie *vexillum*, aby wyjąć miecz. — Pierwsze dwa szeregi! Włóczniami rzuć!

Tuzin drzewc poszybował w górę, by opaść po łagodnym łuku i zniknąć w tłumie pędzących uliczką Germanów. Na wąskiej przestrzeni mieściło się ich obok siebie zaledwie sześciu. Pierwsi napastnicy rzucili się na Rzymian równocześnie, jak za pociągnięciem sznurka, część nadziała się na groty włóczni, reszta, potykając się o ciała rannych, została zdeptana przez wojów z następnych szeregów.

— Trzeci i czwarty! Włócznie rzuć! — zawołał znów Macro głośno, spokojnie i wyraźnie.

Ciężkie włócznie zamieniły czoło germańskiej tłuszczy w zdezorientowany kłęb rannych i zabitych, w którym ocaleli desperacko walczyli o uwolnienie spod zwałów okaleczonych ciał. Centurionowi wystarczyło jedno spojrzenie do oceny sytuacji. Uniósł miecz nad głowę.

— Dalej, chłopaki! Dajcie im popalić! Do ataku!

I już go nie było, rzucił się prosto na Germanów z tarczą uniesioną na wysokość tułowia i ostrzem skierowanym prosto w krtań najbliższego z wrogów. Reszta centurii ruszyła jego śladem. Katon znów znalazł się w piekle, niesiony wraz z tłumem żołnierzy w sam środek tego szaleństwa. W odróżnieniu od legionistów z pierwszych szeregów nadal miał przy sobie włócznie. Zdecydował, że niesienie jej ze sobą albo walka tak nieporęczną bronią w wielkim ścisku nie ma większego sensu, postanowił więc cisnąć ją jak najdalej przed siebie, zanim dobiedzie miecza. Ale rzut włócznią w warunkach bojowych w niczym nie przypominał tego, co ćwiczyli codziennie na placu apelowym. Gdy odchylił się do rzutu, omal nie przewrócił idącego za nim żołnierza.

— Au! Uważaj, głupi piździelcu! — ryknął ze złością trafiony, odsuwając drzewce na bok i przepychając się obok Katona. — Jeszcze kogoś tym zranisz!

Chłopak zawstydził się własnej niezdarności i cisnął włócznię bez patrzenia i wymachu — poleciała za nisko, trafiła w hełm Macro, prześlizgnęła się po nim i pomknęła poziomo, tuż nad głowami szarżujących wojowników, a potem zniknęła gdzieś w tłumie. Katon przełknął nerwowo ślinę, gdy centurion rzucił wściekłe spojrzenie przez ramię, zaklął podniesionym głosem i wyładował przepelniającą go furię na stojącym najbliżej przeciwniku. Chłopak wyszarpnął miecz z pochwy i ruszył do przodu, robiąc co się da, aby nie powiązano go z tym nieszczęsnym wypadkiem.

Legioniści z tylnych szeregów, zajęci dodawaniem otuchy walczącym towarzyszom broni, zatrzymywali się tylko po to, by dobić

leżących na ziemi wrogów, którzy dawali jeszcze jakieś oznaki życia. Katon doznał szoku, widząc pomiędzy zwłokami zaścielającymi brudną ulicę kilka ciał w rzymskich mundurach, choć ci ludzie też byli mu obcy. Im dalej wypierali wroga, tym więcej martwych legionistów leżało na ziemi. Niektórzy wciąż spoglądali ze zdziwieniem na zadane im rany. Krew lała się strumieniami, ściekając na ziemię, gdzie podkute sandały mieszały ją z błotem, nadając mu czerwony kolor. Im więcej ludzi padało, tym mniej żołnierzy dzieliło Katona od pierwszego szeregu. Jeszcze chwila i on sam zajmie miejsce kolejnego zabitego.

Spychani do wąskiego gardła bramy Germanie usilnie starali się wydostać na otwartą przestrzeń, gdzie mogliby wykorzystać przewagę liczebną. Wspinali się nawet na ściany niskich chatynek. Jeden okrzyk Macro wystarczył, by deszcz włóczy z tylnych szeregów strącił ich z powrotem w tłum.

Katon widział *vexillum* chwiejące się na czele formacji, postępującej krok za krokiem w kierunku bramy. Moment później Macro poprowadził ich do kolejnego ataku, w wyniku którego dotarli pod kamienne przyczółki bramy.

- Utrzymać pozycję! — zawołał centurion, uderzył po raz ostatni w skłębiony tłum wrogów i wycofał się, przepychając pomiędzy kolejnymi szeregami legionistów blokujących dostęp do wioski. Zatrzymał się w środku formacji. — Ostatni szereg! Włazić na wały. Musicie oczyścić przedpole przed bramą. Użyjcie włóczy, kamieni, wszystkiego co będzie pod ręką. — Gdy legionieści zaczęli wspinać się na rampy po obu stronach wrót, centurion dostrzegł Katona i chwycił go za ramię. — Optio! Ty i sześciu ludzi macie czekać w pogotowiu z belką blokującą wrota. Gdy dam znak, musicie ją osadzić tak szybko, jak się da. Zrozumiano?
- Tak, panie! — odparł chłopak, gapiąc się na czerwone bryzgi pokrywające rękę, w której Macro trzymał gladiusa.
- Świetnie. Zatem ruszajcie — stwierdził centurion i już go nie było.

Przepchnął się szybko przez szeregi obrońców bramy, zagrzewając ludzi do walki. Katon dochodził do siebie przez chwilę, a potem

spojrzał na otaczających go żołnierzy. Ci także patrzyli na niego z wyczekiwaniem.

— Słyszeliście, co centurion powiedział — zawołał, starając się, by zabrzmiało to pewnie. — Schowajcie miecze i odłóżcie tarcze.

Ku jego niepomjernemu zdziwieniu wszyscy zareagowali na wydane polecenie. Mając wolne ręce, bez problemu schylili się po wielką, ledwie obrobioną belkę. Katon oparł swoją tarczę o ścianę wartowni i dołączył do nich, chwytając za sam koniec.

— Gotowi? Dźwigamy!

Z trudem wyprostował plecy, a jeszcze więcej wysiłku kosztowało go zarzucenie belki na ramię — w końcu tego dokonał, nieomal tracąc oddech.

— Dobra — wysyczał przez zaciśnięte zęby. — Teraz idziemy do bramy.

Z trudem przebijali się do przodu, stąpając ostrożnie pomiędzy ciałami poległych Rzymian i Germanów, aby stanąć z boku przejścia, w którym szala zwycięstwa zaczynała się powoli przechylać na stronę wroga. Topniejące szeregi legionistów cofały się pod naporem germańskiej hordy. Katon, wyższy od pozostałych, doskonale widział wykrzywione nienawiścią i wściekłością oblicza wojowników stłoczonych za plecami walczących.

— Więcej pocisków z góry! — zawołał Macro. — Użyjcie wszystkiego, co macie!

Żołnierze rzucili w dół na głowy wrogów wszystkie pozostałe włócznie i kamienie wyrwane ze ścian pobliskich chat. Wojownicy na czele hordy cofnęli się, by uniknąć trafienia.

— Do tyłu! — zawołał centurion, odciągając stojących najbliżej legionistów za linię wrót. Pozostali wycofali się pospiesznie do wsi, nie opuszczając tarcz. Czekający po bokach żołnierze pochwycili krawędzie wrót i pospiesznie zaczęli je zamykać przed nacierającymi znów Germanami. Gdy wojownicy zrozumieli, co się święci, dziękowali. Tłuszcza ruszyła, nie zważając na spadające z wałów kamienie. Przewodził jej wielki mężczyzna. Na jego szerokiej twarzy widać było bezgraniczną wściekłość. Gdy zbliżył się do za-

trzaskiwanej bramy, pchnął dzidą w kierunku widocznego w prześwicie legionisty.

— Nie, kurwa, nie masz na to szans! — Macro ciął gladiusem z góry, trafiając w grot i posyłając go w kierunku ziemi. Wytrącony z równowagi wojownik poleciał do przodu, uderzając z impetem w zamykającą się bramę. Centurion zdążył jeszcze zadać szybkie uderzenie rękojeścią, miażdżąc przeciwnikowi nos. Gdy Germanin zawył z bólu, Macro kopniakiem odrzucił go od bramy.

— Spieprzaj, gnoju!

Wrota zatrzasnęły się z głośnym hukiem, a Katon i jego ludzie — zanim wydano im rozkaz — unieśli belkę i wcisnęli ją w ciasne stalowe obejmy. Macro przyglądał się jej przez moment, sprawdzając, czy wytrzyma, a potem, pozostawivszy jednego strażnika przy bramie, rozkazał reszcie ludzi wspiąć się na wały.

Wioska nie miała porządných umocnień — te, które wzniesiono, miały ją chronić przed splądrowaniem przez zwykłe bandy maruderów opuszczających armie walczące w dziczy za Renem. Z ziemi pozyskanej podczas kopania otaczającej wieś fosy usypano wał i dla wzmocnienia obłożono go grubą warstwą torfu. Na jego szczycie od wewnętrznej strony skonstruowano pomost z drewnianych kłód, osłonięty dodatkowo palisadą z zastrzonych bali sięgających piersi dorosłego człowieka — niewysokiemu Macro ponad nią wystawała jedynie głowa. Centurion musiał stawać na palcach, żeby dokładniej obejrzeć teren przed bramą.

Horda rozwścieczonych Germanów tłoczyła się po dwóch stronach wioski niczym ramiona, które czekały tylko, aby zacisnąć się na szyjach uwięzionych w niej Rzymian. Na rozkaz Macro legioniści posłali w dół kolejną kaskadę głazów, odpędzając od bramy czoło germańskiej hordy. Moment później pomiędzy pierwszym szeregiem a wałem powstała spora przerwa wypełniona ciałami martwych i rannych wojów. Centurion zobaczył jednak, że nieco dalej wrogowie wiążą w pęczki chrust, który mieszkańcy wioski zgromadzili daleko od zabudowań, aby zmniejszyć ryzyko pożaru. Gdy Germanie zrobią ich wystarczająco dużo, zasypią nimi fosę i ułatwią sobie dostęp do umocnień. Ale jakkolwiek na to patrzeć, szósta

centuria zdobyła trochę czasu dla całej kohorty. Macro odwrócił się, szukając jakichkolwiek śladów obecności pozostałych centurii. Od strony wsi dobiegały zduszone okrzyki i przytłumiony szcęk broni. Ze swojego stanowiska centurion widział legionistów zajmujących pozycje na innych odcinkach wałów. Zatem wioska została zdobyta i zabezpieczona. Świetnie. Czas sporządzić raport.

Spoglądając w dół na prowadzącą do bramy zasłaną trupami uliczkę, doszedł do wniosku, że przynajmniej co piąty z jego ludzi poległ albo został ciężko ranny. Podniósł wzrok i przechwycił spojrzenie młodego Katona. Chłopak natychmiast odwrócił głowę i udał, że wypatruje czegoś na przedpolu za wrotami.

— Katonie, pochyl się, zanim któryś z tych dzikusów poćwiczysz sobie strzelanie z łuku, biorąc twoją głowę za cel!

— Tak, panie.

— Chodź tutaj. Mam dla ciebie robotę.

Przysiadając za palisadą, Macro zdjął hełm i otarł czoło lewą, nie poranioną ręką. Przygotowując się do podyktowania Katonowi treści raportu, przesunął palcami po wgnieceniu na hełmie.

— Wiesz coś na temat tego niefortunnego zdarzenia? — Chłopak splonął się natychmiast. — Jeśli to się powtórzy, żywcem obedrę drania ze skóry! A teraz odszukaj trybuna. Zrób to jak najszybciej i przekaż mu, że zamknęliśmy bramę. Powiedz też, że dysponujemy tylko siedemdziesięcioma zdolnymi do walki ludźmi, i zapytaj o rozkazy. Wszystko jasne? — Katon skinął głową. — To zjeżdżaj! — Macro klepnął go w hełm.

Centurion obserwował, jak chłopak zbiega po rampie na uliczkę i szybko przeskakuje ponad martwymi i rannymi. Gdy ponownie zakładał hełm, postanowił, że musi rozmówić się z Bestią, jeśli wyjdzie cało z tego burdelu. Ten chłopak powinien zostać lepiej przeszkolony w posługiwaniu się włócznią. Macro westchnął i wyjrzał ostrożnie zza palisady, aby ocenić postępy prac przy wiązaniu chrustu.

Podkute sandały Katona łomotały o twardą nawierzchnię uliczki, którą jeszcze nie tak dawno temu jego centuria posuwała się

w przeciwną stronę. W pojedynkę czuł się bardzo niepewnie, łpał więc oczami na prawo i lewo, lustrując każde z mijanych zapuszczonych domostw w poszukiwaniu najmniejszych choćby oznak zagrożenia. Nie dostrzegł jednak nikogo, dopóki nie dotarł na plac w centrum wioski. Tam wpadł na barykadę blokującą wylot uliczki. Dwaj legioniści unieśli ostrzegawczo włócznie, mierząc w jego kierunku i spoglądając lękliwie za jego plecy. Odetchnęli jednak z ulgą, gdy wyprostował się, ciężko dysząc.

— Gdzie jest trybun?

— Co się stało, optio?

— Nic... Kazano mi znaleźć trybuna... Mam dla niego wiadomość. Jeden z wartowników machnął ręką przez ramię.

— Znajdziesz go w domu naczelnika wioski. Jak się rzeczy mają z drugą bramą?

— Zdobyliśmy ją! — zawołał Katon, mijając posterunek.

Wpadł z wąskiej uliczki i zamarł w pół kroku. Na placu kłębiły się setki Germanów, starych i młodych. Dopiero po chwili zauważył, że pilnują ich legioniści. Żołnierze, dźgając włóczniami i popychając tarczami, zaganiali wszystkich zgromadzonych w jedno miejsce, tworząc z nich zbity tłum, który łatwiej było upilnować. Kolejnych jeńców wciąż doprowadzano z bocznych uliczek. Katon musiał się przepychać pomiędzy nimi, by dotrzeć do domostwa naczelnika, gdzie Witeliusz wydawał właśnie rozkazy jednemu z centurionów.

— ...a jeśli zaczną się burzyć albo który spróbuje się szarpać, macie ich wszystkich wybić.

— Wybić? — oficer spojrzał niepewnie na zawodzących głośno wieśniaków. — Wszystkich?

— Chyba słyszałeś, co powiedziałem! — wysyczał trybun i zaraz dodał z szyderczym uśmiechem: — Chyba że nie masz jaj do takiej roboty.

— Mam, panie. — Centurion wyglądał na zdziwionego. — Chodzi mi tylko o to, panie, że wybicie ich wszystkich zajmie nam sporo czasu.

- No to znajdź jakiś sposób na szybsze zabijanie.
- Panie! — przerwał im Katon. — Przynoszę wiadomość, panie! Od Macro.
- Na bogów, co ty wyprawiasz, żołnierzu! — wydarł się Witeliusz. — Jakim prawem włączysz tutaj bez pozwolenia i drzesz się na mnie jak na pierwszego lepszego pieprzonego straganiarza?! Złóż meldunek, ale w prawidłowy sposób!
- Wybacz, panie. — Centurion odkasznął znacząco. — Czy mogę wracać do moich ludzi?
- Co? Ach, tak. Wiesz, co masz robić. Ruszaj. — Trybun skinął głową w stronę Katona. — Teraz twoja kolej.
- Panie! Centurion Macro melduje, że zdołał opanować drugą bramę...
- Jakie poniósł straty?
- Około dwudziestu ludzi, panie. Ma jeszcze około sześćdziesięciu mieczy zdolnych do walki, panie. Centurion błaga pokornie o wydanie kolejnych rozkazów, panie.
- Rozkazów? — powtórzył Witeliusz. — Niech będzie. Przekaż mu, że ma utrzymać bramę. My zajmiemy się zabezpieczeniem wioski i reszty wałów. Musimy się w niej bronić, dopóki nie nadejdzie pomoc. — Trybun podniósł wzrok na powoli szarzące niebo. — Mielśmy wrócić przed zmierzchem. Legat wyśle posiłki, jak tylko się zorientuje, że wpadliśmy w tarapaty. Jeśli będziemy mieli szczęście, dotrą tutaj jutro rano. Tak czy inaczej, lepiej spędzić noc w wiosce niż w lasach.
- Tak, panie. — Katon podzielał tę opinię.
- Przekaż Macro, jaka jest sytuacja, i powiedz mu, że ma bronić bramy za wszelką cenę, dopóki nie odwołam tego rozkazu. Zrozumiałeś wszystko, optio? — Chłopak skinął głową. — Idź zatem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niebo nad germańską wioską powoli szarzało, gdy dzień ustępował miejsca nadchodzącemu zmierzchowi. Ledwie wygasły ostatnie ogniska walki, żołnierzy opuścił bitewny szal i towarzyszące mu podniecenie. Stali teraz na wałach, drżąc z zimna w zapadającym powoli zmroku. Jak na złość zaczął też padać śnieg. Przy całkowitym braku wiatru wielkie płatki opadały powoli na ziemię.

Kiedy się okazało, że Rzymianie wywinęli się z zastawionej na nich pułapki, Germanie wycofali się poza zasięg rzutu włócznią. Wielu z nich miało jednak w stronę wioski najgorsze przekleństwa w swoim szwargoczącym języku. Pozostali wojowie zajęli się wiązaniem chrustu albo wycinaniem cienkich sosen, które po ociosaniu miały im posłużyć do skonstruowania prymitywnych drabin. Rzymscy obrońcy obserwowali uważnie ich poczynania, rzucając od czasu do czasu błagalne spojrzenia w stronę fortecy II Legionu, oddalonej od wioski o prawie osiem milliariów. Żołnierze szóstej centurii ku swojemu przygnębieniu obserwowali też, jak w odległym lesie pada wielkie drzewo — jego pień Germanie natychmiast zaczęli przerabiać na taran.

Macro też nie próżnował. Rozkazał, aby jego ludzie zgromadzili na wałach kamienie, którymi mogliby rzucać w atakujących, a pozostałych legionistów zagonił do układania wielkich głazów tuż za bramą. Obsypane ziemią, miały wzmocnić konstrukcję na wypadek, gdyby przeciwnicy użyli tarana. To były standardowe czynności, jed-

nak nie na wiele się zdadzą, jeśli Germanie zdołają wykorzystać przewagę liczebną i skoordynują swoje ataki — skromne siły brońjące tak długich wałów będą musiały im ulec. To właśnie centurion mówił młodemu optio, gdy ten opatrywał mu ranę na rękę.

— I co wtedy z nami będzie? — zapytał Katon.

— A jak sądzisz? — Macro uśmiechnął się blado, uderzając rytmicznie piętą w ziemię. — Przy takiej przewadze nie będziemy mieli żadnych szans. Rozerwą nas na strzępy.

— Nie złość się, panie, za to, co powiem. Czy oni biorą jeńców?

— Nawet o tym nie myśl — odparł łagodnym tonem Macro.

— Uwierz mi, lepiej dla ciebie będzie, jeśli zginiesz.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Trybun powiedział, że Wespazjan wyśle pomoc, kiedy zorientuje się, iż coś poszło nie tak. Jeśli utrzymamy się do tej pory...

— Jeśli, jeśli, jeśli — mruknął centurion. — Chociaż mamy jeszcze szanse na przetrwanie. Daj z siebie wszystko, a może uda się ich pokonać.

— Tak uczynię. — Katon rozdarł koniec grubego bandaża i związał ostrożnie obie połówki. — Gotowe, panie. Nie ściągnąłem za mocno?

— Nie jest źle. — Macro wyprostował rękę i skrzywił się, gdy ukłucie ostrego bólu powędrowało w górę ramienia. — Ujdzie. Nie jest gorszy od poprzednich.

— Byłeś już ranny, panie?

— To nieodłączna część umowy, jaką zawarłeś z wojskiem. Wkrótce do tego przywykniesz.

— Jeśli przeżyjemy.

— Mamy na to szanse. — Macro próbował mówić z przekonaniem, ale widząc ponurą minę młodzika, stuknął go pięścią w ramię.

— Głowa do góry, chłopcze. Jeszcze nie poginaliśmy, chociaż nie wiele do tego brakuje. Jeśli śmierć jest nam pisana, to cóż, niewiele możemy w tej sprawie zrobić, po co więc dodatkowo się zamarzwiać? Lepiej chodźmy zobaczyć, co te bękarty kombinują.

Szybka inspekcja wrogich linii nie wykazała istotnych zmian. Z ciemności, pogłębionej dodatkowo gęstymi opadami śniegu, dobiegały nieprzerwanie odgłosy uderzenia toporów obrabiających drewno. Macro odwrócił się do Katona zadowolony przynajmniej z tego, że wieś chwilowo jest bezpieczna.

— Muszę zejść i pogadać z resztą chłopaków. Podtrzymać ich trochę na duchu. A skoro o tym mowa, chciałbym, abyś wziął kilku ludzi i poszukał czegoś do jedzenia. Zaczynam być głodny. Trzeba coś zjeść, zanim Hermany na nas ruszą.

Szybki wypad do okolicznych chałup pozwolił zdobyć spory zapas suszonego mięsiva, świeżego chleba, a nawet kilka dzbanów tutejszego piwa.

— Uważajcie mi z tym trunkiem — ostrzegł Macro, robiąc poważną minę. — Każdy kto wypije więcej niż kubek tych szczyn, stanie do raportu zaraz po powrocie do fortecy.

Katon spojrział przez ramię centuriona.

— Panie! Trybun...

Z ciemnej uliczki wynurzyły się sylwetki Witeliusza i czterech barczystych legionistów. Trybun wspiął się powoli na wały przy bramie. Macro natychmiast się wyprężył i już otwierał usta, aby zwołać centurię, gdy Witeliusz powstrzymał go, kręcąc głową.

— Pozwól odpocząć swoim ludziom, centurionie. Zasłużyli na to.

— Tak, panie. Dziękuję.

— Co u was?

— Jak widzisz, panie. — Macro wskazał ręką na otaczającą wioskę hordę Germanów. — Mając niespełna siedemdziesięciu ludzi, nie zdołam zbyt długo bronić tego odcinka wałów. Wróg robi wiązki chrustu i zbija drabiny właściwie już od końca ostatniego szturmu. A tam, w lesie, prawie już ukończył prace nad taranem. Kiedy go tu przyciągnie...

— Rozumiem. — Witeliusz drapał się po brodzie, wyglądał przy tym jak ktoś głęboko pogrążony w myślach. — Spróbujcie zatrzymać ich tak długo, jak się da.

- Tak, panie... A co z resztą kohorty?
- Nasza sytuacja nie jest taka zła. Kontrolujemy wały na całej długości i pilnujemy wszystkich zdolnych do walki wieśniaków. Centuria Quadratusa poniosła największe straty. Ta suka, żona naczelnika wioski, otworzyła kratę kanału odpływowego. Dwudziestu Germanów dostało się tą drogą za wały, zanim odkryliśmy jej postępek. Zaatakowali od tyłu, podstępnie, gdy nasi odpierali atak z zewnątrz. Straciliśmy prawie połowę centurii, zanim udało się ich wytluc.
- Możesz, panie, liczyć na Quadratusa. On nie zawiedzie — stwierdził Macro z uśmiechem na ustach.
- Nie sądzę. Dostał włócznią w bebechy. Grot przeszedł na wylot.
- Nie...
- Obawiam się, że niestety tak, centurionie. Germanie zdołali zabić także jego optio. Dlatego przyszedłem do ciebie. Możesz oddelegować kogoś, kto zastąpi Ouadratusa?

Uszy stojącego pięć kroków dalej Katona zapłonęły. Krew zamarzała mu w żyłach, gdy czekał na odpowiedź. Robił co mógł, byle nie spojrzeć w stronę Macro, skupił się więc na miejscu po drugiej stronie wałów, gdzie Germanie gromadzili się wokół ognisk. Ich twarze lśniły czerwienią w blasku płomieni. Przybierając pozę, która w jego mniemaniu świadczyła o tym, że jest doświadczonym weteranem, przysłuchiwał się dalszej rozmowie z walącym w pierśsiach sercem.

— Hmm... — mruknął Macro, rozglądając się po swoich ludziach.

Katon poczuł ciężar jego spojrzenia na plecach, gdy centurion przez moment zatrzymał na nim wzrok.

- Co powiesz o swoim optio? — zapytał Witeliusz. — Jest dobrym żołnierzem?
- To jeszcze dzieciak. Dopiero co wcielono go do legionu. Nie mogę go spuścić z oka. Zapowiada się nieźle, ale daleko mu jeszcze do człowieka, którego szukasz.
- Szkoda.

Serce Katona zamarło ściśnięte bólem z powodu tak szybkiego odrzucenia. Zacisnął zęby i powstrzymał łzy upokorzenia.

- Masz może kogoś innego?
- Tak, panie. Mój chorąży jest dobrym żołnierzem, powinien się nadać.
- Niech tak będzie. — Witeliusz skinął głową. — Wiesz, jaka jest stawka tej gry, centurionie. Musisz utrzymać tę bramę za wszelką cenę. Jeśli przetrwamy tę noc, rankiem Wespazjan wyśle nam odsiecz. Liczę na was. Nie zawiedźcie mnie.
- Dziękuję, panie. — Macro zsalutował, przykładając pięść do piersi, a potem patrzył ze spokojem, jak trybun w asyście przybocznych przechodzi do miejsca na wale, nad którym widniało *vexillum* centurii.
- Kretyn — zaklął pod nosem. — „Liczę na was”, mówi, jakbym nie wiedział, na czym polega ta robota.

Rozejrzał się wkoło, by sprawdzić, czy nikt nie dosłyszał rzuconego przed momentem wyzwiska. Sztynna poza obserwującego przedpole optio wydała mu się bardzo nienaturalna.

- Katon!
- Panie? — w głosie chłopaka pobrzmiwał żal.
- Jakież ruchy wroga?
- Nie.
- Dobrze, miej oczy otwarte.
- Tak, panie.

Niewielka procesja z trybunem na czele wróciła do bramy wraz z chorążym. Witeliusz skinął głową w stronę Macro, gdy go mijał.

- Powodzenia, panie — powiedział chorąży.
- Tobie też. — Centurion uśmiechnął się do niego. — Zaopiekujemy się proporcem centurii do twojego powrotu, Porcjuszu.

Chorąży zatrzymał się na moment, spojrzał w górę na *vexillum* szóstej i z wyraźną niechęcią oddał drzewce w ręce centuriona.

- Trzymaj, panie.

Moment później już ich nie było. Zniknęli w mroźnych ciemnościach pomiędzy germańskimi chatami, pozostawiając Macro z drewnianym krzyżem, do którego przytwierdzono prostokąt obciążonej

skóry. Centurion poczuł nagle dreszczyk emocji; trzymając w dłoniach grube drzewce, przypomniał sobie tamte lata, kiedy sam był chorążym. Obracał *vexillum* powoli, niemal czule, uśmiechając się do wspomnień z czasów, gdy był nieopierzonym młokosem, a potem spojrział ponownie na Katona.

— Chłopcze! — zawołał, zniżając głos. — Chodź tutaj. — Optio wyprężył się karnie, stając przed przełożonym, twarz miał stężalą, robił co mógł, by stłumić emocje. — Spokojnie, synu. Mam dla ciebie nowe zadanie. Chciałbym, abys zaopiekował się *vexillum*.

— Ale...

— Słyszałeś, co powiedział trybun?

— Tak, panie.

— Ufam, że słyszałeś wszystko. Straciliśmy Porcjusza, a ja chcę, żeby ktoś godny zajął się naszym proporcem. Jesteś na to gotowy?

To był bardziej rozkaz niż pytanie, jakkolwiek grzecznie zabrzmiał, a Katon natychmiast zapomniał o upokorzeniu, jakiego doznał zaledwie przed chwilą. Nie odpowiedział, odłożył tarczę i lewą ręką pochwycił drzewce.

— To wielka odpowiedzialność — powiedział centurion. — Wiesz o tym.

— Wiem, panie. Dziękuję ci, panie. Gotów jestem oddać za niego życie.

— Lepiej dotrzymaj danego słowa. Jeśli Porcjusz zobaczy na nim choć jedną nową rysę, twoje jaja zawisną na tym drzewcu, kiedy wyruszymy na następną misję. Zrozumiano? — Katon przytaknął gorliwie. — Stój blisko mnie. Cokolwiek będzie się działo, nie wypuszczaj go z rąk i zawsze trzymaj w górze. Tak, żeby wszyscy mogli go widzieć przez cały czas. Zrozumiałeś?

— Nagłe poruszenie na murach przyciągnęło jego uwagę. — Co tam znowu się dzieje?

Wszyscy legioniści zerwali się na nogi, trzymając tarcze i miecze w pogotowiu. Katon ujął mocniej *vexillum* i podążył za centurionem na wały. Germanie porzucili ogniska i podchodzili ławą w stronę bramy. Luźniejszy szyk wskazywał obrońcom, w których miejscach zebrali się wojownicy niosący pęki chrustu. Niektórzy z napastni-

ków trzymali w rękach pochodnie, w których blasku twarze otaczających ich ludzi połyskiwały pomarańczowo.

— Zapamiętaj chłopcze — odezwał się Macro. — Jeśli Germanie pokonają tę bramę, cała kohorta zginie. Musisz dać z siebie wszystko.

Nad hordą podchodzących Germanów rozległ się głośny okrzyk, który momentalnie podchwyciły inne gardła, zmieniając go w ryk pełen wściekłości. Niektórzy z legionistów odpowiedzieli nań, wykrzykując przekleństwa.

— Spokój tam! — Macro przekrzyczał wszystkich. — Niech marnują oddech! My nie musimy im niczego udowadniać!

Stojący obok niego Katon zamarł z przerażenia na widok zbliżającego się wroga. Z niewiadomego powodu nadciągający wojownicy wydawali mu się w panujących ciemnościach jeszcze straszniejsi niż za dnia. Jego wyobraźnia wyolbrzymiała każdy dźwięk i kształt. W odróżnieniu od desperackiego popołudniowego marszu przez wieś, teraz każdy z żołnierzy mógł się zastanowić nad granicami swojego męstwa i woli walki, zwłaszcza że miał sporo czasu na przemyślenia i bez trudu mógł sobie wyobrazić rezultat tej bitwy. Katon zadrzał i zaklął pod nosem, łypiąc nerwowo to na obrońców wałów, to na wrogów.

— Boisz się, chłopcze? — Macro zniżył głos, zadając to pytanie.

— Tak, trochę.

Centurion uśmiechnął się.

— Wiem, że się boisz. Tak samo jak każdy z nas. Ale стоимy tutaj, na tych wałach, i nie mamy żadnych szans na uniknięcie walki.

— Wiem o tym, panie. Ale to wcale mnie nie uspokaja.

— Trzymaj mocno nasz sztandar.

Germanie szli wolnym krokiem, dopóki nie znaleźli się blisko wału. Wtedy gdzieś w ciemności zabrzmiał róg. Chwilę później zawtórowało mu wiele innych, dobiegających z różnych stron. Na ich dźwięk dzicy wojowie wrzasnęli z całych sił. Ich ryk uderzył w rzadkie szeregi ukrytych za palisadą legionistów z siłą morskiej fali. Przed bramą się zakotłowało, gdy tragarze zaczęli zasypywać wiązkami chrustu pogrążoną w mroku fosę, nie bacząc na spadający

na nich deszcz strzał, włóczni i kamieni. Macro wyrzwał na zewnątrz, osłaniając głowę tarczą, i zobaczył, że Germanie rzucają chrust tylko w dwóch miejscach, po dwóch stronach wrót. Jeszcze moment, a uda im się wypełnić rów na tyle, by mogli postawić drabiny, po których wespną się na szczyt wałów. Co gorsza, w kierunku bramy toczyli wielki taran, który stanowił największe zagrożenie dla fortyfikacji.

Dopóki legionieści na wałach zachowują zimną krew, będą w stanie spychać drabiny, ale tak wielki taran bez trudu przebije się przez prymitywne wrota. Gdy to się stanie, Macro i jego ludzie stracą jedyną osłonę i zaleją ich hordy barbarzyńców. Odważni do szaleństwa Germanie szybko zasypali fosę i nadal nie ustawali w wysiłkach. Centurion zauważył, że tworzą wysoki stos przy wałach — oprócz chrustu rzucają na niego również ciała poległych towarzyszy.

Moment później horda się rozstała, schodząc z drogi niosącym ku bramie taran. Był to z grubsza ociosany pień wielkiej sosny z pozostawionymi krótko przyciętymi gałęziami, aby barczyści wojownicy mieli go jak dźwigać. Pierwsze uderzenia we wrota dało się odczuć nawet tutaj, na szczycie wałów. Macro rzucił okiem w dół, w chwili gdy Germanie uderzyli po raz drugi, i zobaczył, że belka blokująca skrzydła o mało nie wyskoczyła ze stalowych obejm. Zatrzymały ją ręce legionistów, których pozostawił przy niej na straży. Jednak sporo kołków powysuwało się już z łączeń we wrotach.

— To nie wygląda za dobrze — mruknął Macro, odwracając się, by spojrzeć na drugą stronę wału. Mimo iż obrońcy nieustannie rzucali kamieniami, straty w obsadzie tarana były natychmiast uzupełniane, aby atak mógł trwać nieprzerwanie. — To wygląda paskudnie.

— Czy możemy coś na to zaradzić, panie? — zapytał Katon.

— O, tak. Gdybyśmy tylko mieli grecki ogień, usmażylibyśmy drani na chrupko.

Chłopak usiłował przypomnieć sobie cokolwiek na temat tej dziwacznej broni, ale rzadko o niej wspomiano w księgach, a te zdawkowe zapiski, które kiedyś znalazł, dość sceptycznie odnosiły się do

mitycznego wynalazku Greków. Jednak żar płonący w oczach centuriona uświadomił mu, jak desperacko Macro pragnie teraz czegoś podobnego.

- A nie wystarczy germański ogień, panie?
- Co takiego?
- Germański ogień, panie.
- Co ty bredzisz, na wszystkich bogów?
- Widzisz, panie, kiedy posłałeś mnie po jedzenie, widziałem w jednym z domów wielkie piece. To chyba była jakaś piekarnia czy coś takiego. Jeszcze nie nałożono do nich chlebów. Zdaje się, że dopiero w nich rozpalali.

Centurion spojrział na niego uważnie.

- Ale nie uznałeś za stosowne, aby mnie o tym powiadomić.
- Nie, panie. Kazałeś mi przecież szukać jedzenia.
- Racja, ale teraz potrzebujemy ognia, więc rozejrzyj się za nim — stwierdził Macro, z całych sił starając się ukryć narastającą irytację. — Znajdź ludzi, którzy byli tam z tobą, i każ im przenieść żar z tych pieców. Mogą go nieść na tarczach. A potem wróć tu do mnie.

Ledwie Katon zniknął mu z oczu, centurion znów zaczął sprawdzać stan wrót. Kolejne uderzenia rozbiły skrzydła na tyle, że mógł dostrzec w szparach pomiędzy grubymi kłodami Germanów uwijających się po drugiej stronie. Każde kolejne uderzenie powodowało gęsty deszcz drzazg i osypujących się odłamków z obmurowania bramy. Macro musiał zamrużyć, by cokolwiek dostrzec. Pospieszył na wały i kazał kilku żołnierzom poszukać wideł, nanosić słomy z dachów pobliskich chat i złożyć ją na pomoście biegnącym nad bramą. Katon pojął, na czym polega plan centuriona, dopiero gdy pierwsi legionieści przybiegli z tarczą wypełnioną stosem rozżarzonych bryłek.

- Rzućcie je tam!

Spoceni legionieści cisnęli węgle na stos słomy, a ta, mimo iż przemoknięta, zaczęła mocno dymić i już moment później pojawiły się na niej małe płomienie. Gdy ogień żywiej buzował, centurion narzucił na wierzch kolejny ładunek słomy, tłumiąc płomienie

i wywołując chmury gęstego, tak gryzącego dymu, że najbliżej stojący legionieści musieli cofnąć się poza obręb bramy, kaszląc i trąc załzawione oczy.

— Wystarczy! Zrzućcie im to na głowy! — wrzasnął Macro moment później. — Użyjcie wszystkiego, co macie, byle ten ogień poleciał na taran.

Rzymianie zaczęli dźgać płonący stos widłami, ostatnimi włóczniami, a nawet ostrzami gladiusów. Moment później na dźwigających taran nieszczęsnych Germanów posypały się snopki płonącej słomy, trzaskając na mrozie i strzelając wokół iskrami. Z dołu dobiegły głośne wrzaski i przeraźliwe wycie. Następnego uderzenia jednak nie było. Macro, wyglądając za palisadę, zobaczył porzucony pień niemal w całości przykryty płomieniami. Nawet na tej wysokości poczuł uderzenia parzącego gorąca na twarzy, tak silne, że musiał się cofnąć. Jeśli nawet ten taran doszczętnie nie spłonie, przeciwnik i tak nie będzie mógł z niego skorzystać jeszcze przez dłuższą chwilę.

— Ha! Patrzcie, jak uciekają! — darł się Katon. — Tej nocy chyba drugi raz nie zaatakują!

— Możliwe — odparł Macro. — Możliwe, ale nie my jedni bawimy się tu ogniem. Spójrz tam!

Chłopak popatrzył w kierunku, który wskazywał centurion. Rampy budowane przez atakujących zostały już ukończone. Ledwie jego wzrok spoczął na stosach drewna, z głębi germańskich szeregów zaczęły się sypać pochodnie. Wyschnięte gałęzie i chrust zajmowały się błyskawicznie i już moment później w niebo strzelały wysokie pomarańczowe języki ognia. Jeden z pechowych legionistów, oświetlony ich blaskiem, stał się celem niemal wszystkich łuczników w okolicy. Trafiony wieloma strzałami, przewalił się przez krawędź palisady, prosto w pożogę. Jego przerażający krzyk urwał się jak mieczem ucięty. Katon zadrżał, ale zanim zdążył zmówić modły za poległego, języki ognia zaczęły lizać palisadę i ciągnący się za nią pomost.

— O, nie... — wymamrotał, odwracając się do Macro. — Spójrz, panie!

Centurion zdążył odwrócić głowę w momencie, gdy drugi, znacznie większy jeźor ognia prześlizgnął się pomiędzy kłodami. Wrota stanęły w ogniu! Część słomy musiała upaść zbyt blisko drewnianej zapory.

— Pięknie, po prostu, kurwa, pięknie! I to tyle na temat germańskiego ognia — spojrzał z wyrzutem na Katona.

— Możemy spróbować je ugasić.

— Zamknij się! Za późno na coś takiego — umysł centuriona pracował na najwyższych obrotach.

Trzy ogniska płomieni przy murach rozrastały się na jego oczach. Nie mieli szans na ich ugaszenie. Jeśli zostaną na wałach, usmażą się, o ile wcześniej germańscy łucznicy nie wystrzelają ich przy tym świetle jak kaczki. Nic już nie mogli zrobić. Będą musieli ustąpić, dopóki ogień nie wygaśnie i nie pozwoli im na powrót i obronę wału. Ale przy zajętych ogniem wrotach i kolejnych dwóch wyłomach wypalanych w ziemnym wale porażka legionistów z szóstej centurii była wyłącznie kwestią czasu. Ich linie załamały się jak przeciążona kładka nad strumieniem. A stanie się to na długo przed świtem i spodziewaną odsieczą Wespazjana.

— Cofnąć się! — krzyknął głośno, by wszyscy go usłyszeli przez trzask płonącego drewna. — Zejść z wałów!

Odczekał, aż ostatni z jego ludzi zbiegnie po rampie, a potem rzucił ostatnie spojrzenie za palisadę, na stosy gałęzi i desek trzeszczących i czerniejących w ogromnym żarze. Widział też pierwsze szeregi czekających Germanów. Ich zadowolone twarze lśniły w blasku ognia i falowały w rozgrzanym powietrzu.

Macro zbiegł na sam dół i dołączył do żołnierzy czekających w zaciszu pobliskiej uliczki. Podzielili się na trzy grupy. Główna pilnowała wrót, dwie mniejsze wyłomów wypalanych przez wroga.

— Co teraz, panie? — zapytał Katon.

— Teraz będziemy czekali i wznosili modły, aby te pożary nie wygasły zbyt szybko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ogień nie wygasł, wręcz przeciwnie, rozszalał się na dobre. Płomienie strzelały wysoko w niebo, wyrzucając w górę wirujące snopy iskier, które mieszały się tam z padającym śniegiem, topiąc miriady puszystych płatków. Większość z tych ogników znikła powoli w nicości, ale sporo spadało z powrotem na ziemię, lądując na spadzistych dachach okolicznych chałup. Teraz, gdy nawet Macro zaczął przeklinać siebie za to, że wpadł na pomysł spalenia tarana — przez co spłonęły także wrota, które miał chronić — Katon skupił całą uwagę na najbliższych zabudowaniach. Z ich dachów unosił się gęsty dym, a tu i ówdzie zaczęły pełgać pomarańczowe ogniki, szybko przeistaczając się w większe ogniska płomieni. Macro obejrzał się z trwogą w oczach i zobaczył, że pożar objął już niemal wszystkie chaty usytuowane w odległości pięćdziesięciu kroków od wału. Jeśli nie wycofa ludzi teraz, za moment mogą się znaleźć pośrodku ognistej pułapki. Głośny huk zwrócił jego uwagę. Dobiegał od frontu. Wielkie skrzydła wrót właśnie się zawaliły prosto w morze ryczących płomieni.

Usłyszał tryumfalny ryk dobywający się z gardeł stojących na zewnątrz Germanów. Zaraz ruszą w stronę ognia, czekają już tylko na moment, kiedy płomienie przygasną na tyle, by mogli wkroczyć do wioski i wyróżnąć broniącą jej kohortę. Na szczęście ogień nie zamierzał na razie przygasać, co więcej, zdawał się wciąż rozrastać, pochłaniając kolejne chaty. Żar był tak wielki, że z trudem mogli go

wytrzymać, Katon musiał mrużyć oczy, by je ochronić przed uderzeniami rozedrganego gorącego powietrza. Centurion wiedział, że to ostatni moment na wycofanie ludzi. Trudno mu było się z tym pogodzić, ale musiał to zrobić.

— Wszyscy żołnierze do mnie! Wszyscy żołnierze do mnie! Odwrót na koniec ulicy.

Legioniści cofnęli się w szyku poza teren objęty pożarem i uformowali szyk obronny w miejscu wskazanym przez Macro. Ludzie patrzyli z ulgą na morze płomieni, wdzięczni losowi za to, że uszli cało z tej pułapki. Pozycje, które zajmowali jeszcze przed chwilą, pokryły snopy iskiei, gdy na ulicę zwałił się stojący obok dom.

— Blisko było, panie — mruknął jeden z nich.

— Jeszcze nie koniec tej zabawy — odparł z goryczą Macro.

— Ogień rozprzestrzenia się bardzo szybko. Będziemy się musieli cofnąć dalej, ale jeśli dopisze nam szczęście, pożar odgrodzi nas też od Hermanów.

— Chyba że zmusi nas do opuszczenia wioski — wymamrotał Katon.

Centurion odwrócił się do niego, gotów zrugać szczeniaka za tę uwagę, ale w tym samym momencie dotarło do niego, że chłopak ma rację.

— Chyba że zmusi nas do opuszczenia wioski — przyznał

— albo Wespazjan przybędzie z odsieczą.

Ogień szalał jak uwolniona z klatki bestia w amfiteatrze. Połykał kolejne fragmenty wsi, pochłaniając płomiennymi szczękami wszystko, co stało mu na drodze. Niebo nad pożogą lśniło pomarańczowo, a stopiony żarem śnieg zamieniał się w potoki. Legioniści cofali się krok po kroku do momentu, kiedy Macro zauważył, że ogień przy bramie wygasa znacznie szybciej, niżby sobie tego życzył. Zmarszczył brwi, starając się zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. I wtedy zobaczył za przygasającymi płomieniami dziesiątki germańskich wojowników lejących wodę z cebrzyków na żarzące się szczątki, z których natychmiast buchały wymieszane kłęby dymu i pary. Otaczający go żołnierze również ich spostrzegli i cichy jęk rozpaczliwy przetoczył się po szeregach szóstej centurii. Germanie nie zamie-

rzali pozostawić Rzymian na żer płomieni, łaknęli krwi. Ogień na szerokiej uliczce prowadzącej do bramy powoli zaczynał dogasać.

— Cicho mi tam! — warknął Macro. — Jeszcze nas nie dostali i nie dostaną, jeśli uda się utrzymać zaporę ogniową pomiędzy nimi a nami. Dwie pierwsze drużyny idą za mną. Kastorze! — Centurion wywołał najstarszego weterana. — Zaczynajcie rozwalać nadpalone budynki na tym odcinku ulicy, znoście tutaj wszystko, czym się da podsycić ogień. Pojmujesz, o co mi chodzi?

— Tak, panie.

— Ale zostaw dla nas wąskie przejście. Gdy skończysz, musisz nas przywołać. Wycofamy się przez wasze pozycje. — Teraz Macro odwrócił się do obu drużyn na czele szyku. — Słuchajcie, chłopaki, jeśli Hermany zdołają wejść w tę uliczkę, musimy ich powstrzymać, dopóki nasi nie wykonają tego zadania. Potem ulecimy stamtąd szybciej niż wiatr. Ruszamy!

Dwie drużyny pomaszerowały w kierunku bramy za Macro i Katonem. Legioniści zatrzymali się, dopiero gdy żar stał się nie do wytrzymania. Tam centurion nakazał im ustawić nieprzebijalny mur z tarcz i czekać. Nie trwało to zbyt długo. Ogień przy wrotach został szybko ugaszony. Pomiędzy kamiennymi obmurowaniami leżały teraz sterty poczerniałych, wciąż dymiących belek. Germanie rzucili się przez nie, nie zważając na przeraźliwy żar, i zaczęli lać wodę na zgliszcza pierwszych zawalonych budynków. Wróg pracował w pocie czoła, Rzymianie czekali w milczeniu, a stojący w drugim szeregu Katon chwycił mocniej grube drzewce *vexillum*, żeby nikt nie zobaczył, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Spojrzał na otaczających go mężczyzn, cichych i spokojnych, wodzących ponuro oczami za uwiłajającymi się po drugiej stronie zgliszcz ludźmi.

Nagle kilku dzikich wojowników zostawiło cebrzyki i rzuciło się przez płonące wciąż ruiny w głąb uliczki, prosto na legionistów, wydając przy tym przeraźliwe okrzyki wojenne.

— Spokojnie, chłopcy! — warknął Macro. — Utrzymać linię, Walczymy w szyku.

Katon widział pierwszego wroga przez ramię centuriona, wielkolud pędził prosto na nich z dziko rozwianymi włosami. Nie zwal-

niając nawet na moment, uderzył ramieniem w ścianę z tarcz i nadział się na grot włóczni. Sapnął krótko i padł martwy. Ale już nadbiegali kolejni, łomocząc desperacko w tarcze, szukając w nich najwęższej nawet szpary, w którą mogliby wcisnąć swoje krótkie dzidy. Legioniści zaczęli się cofać pod ich naporem. Chwilę później padł pierwszy z nich, trafiony rzuconą dzidą. Zgiął się wpół, brocząc obficie krwią, ale w tej samej chwili jego miejsce zajął żołnierz z drugiego szeregu. Towarzysze broni rannego nie byli w stanie powstrzymać naporu wroga, znów się cofnęli, wydając go na pastwę hordy. Kolejny grot rozerwał mu krtań. Krzyk legionisty umilkł, a strumienie jego krwi obryzgały zewnętrzną stronę muru z tarcz.

Katon przykucnął, aby uniknąć lecącej w jego kierunku dzidy, a *vexillum* pochyliło się niebezpiecznie do przodu. Germanie natychmiast skoczyli, by je pochwycić, jeden zdołał nawet zacisnąć dłoń na skórze.

— Bierz te łapska, Herman! — wrzasnął Macro, wbijając miecz w pierś odsłoniętego zupełnie napastnika. Chwył natychmiast zelżał i Katon mógł wyprostować drzewce, przerażony i zawstydzony tym, do czego przed chwilą dopuścił.

Macro rzucił okiem za plecy, w perspektywę uliczki, i zobaczył, że reszta jego ludzi zdążyła już rozwalić kilka chat, zagradzając tłącymi się jeszcze szczątkami całą szerokość traktu. Nadchodził właściwy czas...

— Druga drużyna! Wycofać się!

Nie trzeba im było powtarzać dwa razy. Legioniści pomknęli w stronę wąskiego przejścia, przy którym Kastor i jego ludzie czekali z linami, by zwalić na ulicę ostatni wielki kawał ściany. Gdy Germanie zobaczyli, że część obrońców salwuje się ucieczką, wydali z gardeł kolejny ryk i jeszcze wścieklej zaczęli szturmować kurczącą się linię obrony. Nawet Katon zrozumiał, że ostatnia drużyna będzie miała spory problem z odwrotem. Ale Macro przygotował się i na tę ewentualność.

— Złamać szyk i do ataku! — wrzasnął.

Legioniści odwrócili tarcze i uderzyli na stojących za nimi Germanów, zanim ci zdążyli zareagować. Niespodziewany ruch

przeciwnika sprawił, że napastnicy zatrzymali się i sami przeszli do obrony.

— W nogi! — zawołał wówczas centurion.

W jednej chwili atak zmienił się w odwrót. Legioniści pomknęli na koniec uliczki jak jeden mąż. Katon pędził razem z nimi, przeklinając ciężkie nieporęczne *vexillum*. Gdy dotarli do miejsca, w którym przejście zwężało się przed pozycjami zajmowanymi przez resztę centurii, Macro raz jeszcze przystanął, aby zatrzymać choć na chwilę ścigających ich Germanów i zapewnić swoim ludziom bezpieczny odwrót. Wróg jednak nie pozbierał się jeszcze po nagłym zwrocie w taktyce Rzymian i centurion, szczerząc zęby w uśmiechu, spokojnie podążył za legionistami.

Jeden z nieprzyjaciół okazał się jednak bardziej przytomny od pozostałych, wziął szeroki zamach i z całych sił cisnął dzidą w ślad za uciekającymi Rzymianami.

Katon, czując ogromną ulgę, wpadał właśnie pomiędzy sterty przygotowanej podpałki, gdy usłyszał zza pleców głośny krzyk centuriona.

— Ach! Kurwa mać!

Chłopak odwrócił się na pięcie. Dziesięć kroków od niego, twarzą do ziemi, leżał Macro. Z jego uda wystawało drzewce oszczepu. Tarcza centuriona poleciała daleko do przodu, jego miecz leżał tuż obok dłoni. Germanie zdążyli się już pozbierać, kilku z nich pędziło w stronę powalonego Rzymianina. Macro podniósł wzrok i zobaczył przed sobą Katona.

— Uciekaj, głupcze!

— Panie...

— Ratuj to pierdolone *vexillum*! Uciekaj!

Czas zwolnił, niemal się zatrzymał. Chłopak ujrzał gniew rodzący się na twarzy centuriona, pędzących w jego stronę Germanów, ogień buzujący w otaczających ich ruinach i krwawą łunę wrzynającą się w nocne niebo. I nagle podjął decyzję, rzucił się pędem w stronę swojego, który wciąż darł się na wroga.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Widziałeś dzisiaj Tytusa?
- Słucham? — Wespazjan oderwał wzrok od blatu składanego biurka. — Co powiedziałaś?
- Zapytałam o twojego syna, Tytusa. Czy widziałeś go dzisiaj?
 - Flawia stuknęła palcem w jego ramię. — A może jesteś zbyt zajęty, żeby zauważyć, że spłodziłeś syna?
- Moja droga, ja naprawdę nie mam teraz czasu.
- Zawsze tak mówisz. Zawsze. Całe życie ślęczysz nad tymi papierzyskami. — Rzuciła okiem do skrzyni z dokumentami.
 - Nie sądzisz, że powinieneś poświęcić temu chłopakowi nieco więcej czasu?

Wespazjan odłożył rysik i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, czując na sercu ciężar winy. Po trzech poronieniach i powiciu martwego dziecka urodzenie Tytusa wydawało się cudem zesłanym przez bogów — długi poród omal nie zabił matki i syna. Od czasu jego narodzin w Rzymie, przed dwoma laty, traktowali to dziecko ostrożniej od najcenniejszej wazy — długi czas przebywało w ciepłej i spokojnej, a Flawia rzadko kiedy spuszczała je z oka. Wespazjan czuł się w obowiązku pomagać jej, kiedy tylko się dało, chociaż zdawał sobie doskonale sprawę, że każda chwila spędzona z rodziną oznacza stratę czasu przeznaczoną na politykę i postępy w karierze, której zresztą zamierzał się poświęcić wyłącznie dla dobra Tytusa, jak sobie wmawiał.

Ale przyjęcie dowództwa legionu wcale nie przyszło mu tak łatwo. Znał przecież ogromną niechęć Flawii do opuszczania Rzymu, chociaż musiał przyznać, że ona także namawiała go do przyjęcia tej propozycji. Gdy w końcu wyruszył, by stanąć na czele Augusty, zgodnie z tradycją towarzyszyła mu w drodze jako wierna żona. Dla nich obojga świeże powietrze stanowiło miłą odmianę po wiecznej stęchliźnie Rzymu, Tytusowi jednak zdawało się nie służyć. Po przybyciu do obozu dzieciak chorował raz za razem. Zimny, wilgotny klimat okazał się niszczycielski dla tak słabego organizmu, a miesiące siedzenia dzień i noc u jego kołyski wykańczały Flawię. Myśl o tym, że mogliby utracić Tytusa, napawała przerażeniem oboje — żona legata nie miała od niej żadnej ucieczki, Wespazjan mógł przynajmniej zagłębiać się w pracy. Odcięta od wysokich sfer stolicy, trzymana w zamkniętym świecie wojskowej bazy, w której mogła co najwyżej porozmawiać z kilkoma żonami wyższych oficerów, skupiała całą uwagę na swoim synu.

A Tytus, jak chyba każde dziecko w jego wieku, robił wszystko, by doprowadzić ją i przydzielonych mu niewolników do szaleństwa. Nie było półki albo kantu stołu, o które nie uderzyłby główką, krzesła albo kufra, przez które by się nie przewrócił. Nie było też jednego łóżka czy maty, z których by się nie stoczył. Jego wrodzona ciekawość sprawiała, że najbardziej nawet drobiazgowo kontrole komnat nic nie dawały. Tytus za każdym razem znalazł w nich coś niebezpiecznego albo odrażającego i natychmiast pakował to do ust albo do oka, chyba że akurat miał humory — a to też do rzadkości nie należało — co oznaczało, że znalezisko trafiało w oko kóregoś z nieszczęsnych niewolników. Ostatnimi czasy niańki bez przerwy musiały nieustannie mieć się na baczności przed jego niezwykle ostrymi ząbkami, które usiłował wbić w każdą nieosłoniętą część ciała, jaka znalazła się w zasięgu jego wzroku.

Wespazjan uśmiechnął się na myśl, że chłopak ma przynajmniej ducha walki.

— O co chodzi? — zapytała Flawia.

— Słucham?

— Uśmiechałeś się. O czym myślałeś?

— O tym, że powinienem spędzić teraz trochę czasu z moim synkiem. — Wespazjan odsunął składane biurko i wstał z krzesła.

— Chodźmy.

Gdy opuścili gabinet i ruszyli krytym przejściem przez prywatny dziedziniec, Wespazjan uniósł głowę i spojrzął w niebo. W miejscach dalekich od migoczących pochodni, na tle idealnej czerni mieniły się płatki śniegu. W tym momencie dotarło do niego, że Witeliusz jeszcze nie powrócił. Myśl o tym, że zarozumiały trybun zaliczył nocny powrót ze wsi, i to na dodatek w śnieżnej zawierusze, poprawiłaby mu humor, gdyby nie fakt, że ucierpią na tym także jego żołnierze.

Ledwie otworzyli drzwi do dziecinnej komnaty, Tytus zaczął rozglądać się czujnie, a moment później wydając z siebie pisk radości, poderwał się na krótkie nóżki i odpychając niańkę, pognął w ich kierunku.

— Dada! — gaworzył, obejmując rączkami nogę ojca i patrząc na niego w górę szeroko otwartymi oczami. — Na łączki, na łączki, na łączki!

Wespazjan pochylił się, chwycił chłopca pod pachami i podniósł wysoko nad głowę, wywołując kolejne piski radości.

— Jak się masz żołnierzu? Jak się ma mój mały synek? — Legat uśmiechnął się, podając go żonie. — Jak on szybko rośnie. Już niedługo będzie mógł włożyć swoją pierwszą togę.

— To jeszcze maleństwo — zaprotestowała Flawia. — Moje słodkie maleństwo, prawda?

Tytus spojrzął na matkę z widocznym obrzydzeniem, próbując wyrwać się z jej objęć. Wespazjan roześmiał się, a potem zmierzwił chłopcu i tak już potargane włosy.

— Oto mój mały żołnierzyk.

— On nie jest żadnym żołnierzem! — zaprotestowała Flawia.

— I nigdy nim nie zostanie. To znaczy, o ile nie zajdzie naprawdę wielka potrzeba. Jeśli będę miała coś do powiedzenia, zostanie przy mnie, w Rzymie, gdzie będę mogła o niego dbać.

- Któregoś dnia sam zaczniesz decydować o swoim losie — przypomniał jej Wespazjan — a my będziemy musieli to uszanować. Armia jest dobrym miejscem dla prawdziwego mężczyzny.
- Nieprawda! Armia oferuje wyłącznie niebezpieczeństwa, brak wygód i towarzystwo samych nieokrzesanych prostaków.
- Masz na myśli ludzi takich jak ja?
- Nie. Nie to miałam...
- Żartowałem. Ale mówiąc poważnie, jeśli Tytus ma zająć miejsce w senacie, musi najpierw zrobić karierę w legionach.
- Mógłbyś się chociaż postarać, żeby stacjonował gdzieś blisko domu.
- Już to omawialiśmy. Miejsce stacjonowania wyznacza sztab imperium. Nie mam tam żadnych wpływów, przynajmniej na razie. Jeśli chcesz, żeby osiągnął jakieś sukcesy, musi odbyć najpierw służbę w armii. Wiesz przecież, jak to działa.
- Tak — przyznała Flawia, robiąc smętną minę, i ucałowała Tytusa w czoło.

Dzieciak wyczuł smutek matki i natychmiast mocno ją **objął**, wtulając twarz w jej ramię.

- Jak bym chciała, żeby on wciąż miał dwa latka.
- Wiem. Naprawdę cię rozumiem. Może będziemy mieć kolejne dzieci. Jeśli tylko zechcesz.

Flawia spojrzała mu prosto w twarz, w jej ciemnych oczach było tak wiele bólu, który lada moment mógł się przeistoczyć w potoki wielkich łez. Zamrugła nerwowo i zmusiła się do uśmiechu, aby ukryć drżenie ust.

- Tak, też o tym marzę. Pragnę mieć wiele dzieci. I chciałabym je mieć z tobą. Obiecasz mi, że będziesz ostrożny?
- Ostrożny?
- W czasie tej nowej kampanii w Brytanii. Będziesz ostrożny?
- W Brytanii? Skąd, na bogów, wiesz o tym, kobieto? — Wespazjan spochmurniał w jednej chwili. — To miała być tajemnica. Kto ci o tym powiedział?

— Żony innych oficerów. — Flawia roześmiała się, widząc jego minę. — Musisz się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chcesz zachować coś w sekrecie.

— Typowe — mruknął legat. — Jakie to typowe. Jednego dnia prosisz swoich zaufanych oficerów o dyskrecję, a następnego wszyscy znają treść twoich słów z plotek. Czy na tym świecie nie ma już żadnych świętości?

Tytus roześmiał się i pokręcił zdecydowanie główką.

— Daj spokój, kochanie. — Flawia poklepała męża po ramieniu.

— Jestem pewna, że nikt inny nie wie o twoim sekrecie. Ale nie zmieniaj tematu, rozmawiamy teraz o Brytanii.

— Jak pewnie wszyscy inni w tej fortecy — warknął Wespazjan.

— Musisz mi obiecać, że będziesz ostrożny. Chcę, byś dał na to słowo. Tutaj i teraz.

— Obiecuję.

— Zatem postanowione. — Skinęła głową z satysfakcją. — A teraz uściskaj dziecko i połóż je do łóżeczka.

Wespazjan przeniósł syna na posłanie stojące w kącie komnaty. Pochylił się, odsunął jedną ręką miękkie wełniane narzuty i wyjął z pościeli rozgrzewający ją kamień. Tytus jęknął cicho, gdy ojciec kładł go spać, i zacisnął rączki na fałdzie jego tuniki.

— Nie ciem pać! Nie ciem!

— Musisz już iść spać, mój drogi — odparł Wespazjan łagodnym głosem, usiłując rozprostować paluszki dziecka.

Chwył maluteńkich dłoni okazał się jednak nadzwyczaj silny i chwilę to trwało. W tym czasie oczy dziecka nabiegły łzami. Chłopczyk był nie tylko smutny, ale i wściekły. Gdy w końcu legatowi udało się oswo-
bodzić materiał przy szyi, jego syn capnął go zębami w nadgarstek. Wespazjan zaklął siarczyście, zanim zdołał się pohamować.

— Uważaj na język! — napomniała go Flawia. — Chcesz, żeby chłopak w jego wieku podchwycił tak wulgarne słowa?

Legat wiedział, że każde dziecko wychowujące się przy wojskowym garnizonie prędzej czy później będzie dysponowało o wiele szerszym słownictwem niż jego rówieśnicy z uładowanych klas wyższych Rzymu.

- Nasz chłopak — stwierdził po chwili — jest strasznie kaśliwy.
- To chyba dobrze.
- Doprawdy? — Wespazjan opuścił wzrok na układające się w niewielki krąg ślady po zębach widoczne na wierzchu jego dłoni.
- Pokazuje, że ma silną osobowość. — Flawia ułożyła wciąż wierzgające dziecko i nakryła je kocami.
- Pokazuje, że ma ostre zęby — mruknął w odpowiedzi jej mąż.

W tym czasie Tytus poddał się codziennej rutynie i wydając westchnienie, odwrócił się na brzusek, zamknął oczka i mamrocząc coś do materaca, niemal natychmiast zapadł w sen. Rodzice, stojąc w świetle oliwnych lamp, przyglądali mu się przez dłuższą chwilę, a zwłaszcza jego spokojnej idealnie okrągłutkiej twarzy i ostatnim drgnięciom wciąż zaciśniętych paluszków.

Ktoś załomotał do drzwi. Tytus poruszył się niespokojnie, na moment otworzył nawet oczy.

- Kogo tam licho niesie? — burknął legat
- Ucisz tych ludzi, i to szybko — poprosiła Flawia. — Zanim na dobre rozbudzą Tytusa.

Wespazjan otworzył drzwi na dziedziniec. Za nimi stał dyżurny centurion i trzęsący się z zimna legionista.

— Panie! — wydarł się oficer w najlepszym paradnym stylu.
— Ośmielam się zameldować...

- Ciszej, człowieku. Dziecko właśnie zasypia.

Zaskoczony centurion stał przez moment z szeroko otwartymi ustami, ale pozbierał się jakoś i dokończył szeptem:

- Ośmielam się zameldować o pożarze.
- Pożar? Jak wielki jest ten pożar? I gdzie wybuchł?
- Za lasami, od strony Renu. Wespazjan zmierzył oficera ostrym wzrokiem.
- Uważasz, że to wystarczający powód, aby mnie niepokoić?
- Wartownicy twierdzą, że to duży pożar, panie.
- Duży? Jak duży?

— Nie mam pojęcia, panie — odpowiedział legionista. — Sa mego ognia nie widać, tylko łunę na horyzoncie.

Legat poczuł pierwsze ukłucie niepokoju.

— Czy trzecia kohorta już wróciła?

— Nie, panie — odparł centurion. — Nadal nie ma po nich śladu.

— Rozumiem, już do was idę. Możecie odmaszerować.

Flawia zbliżyła się do niego drobnymi cichymi krokami.

— Jakiś problem?

— Możliwe. Muszę to sprawdzić. Wrócę niebawem. Kładź się do łóżka.

Zanim Wespazjan zdołał dotrzeć do wieży górującej nad wschodnią bramą, jej parapety pokryła gruba warstwa puszystego śniegu. Za murami fortecy widać było ponurą równinę ciągnącą się aż do odległej linii lasu, ledwie widocznej teraz przez padający śnieg. Dyżurny centurion miał rację, niepokojąc go o tej porze; daleko poza lasem pomarańczowa luna odbijała się od gęstej pokrywy chmur. To musi być niezła pożoga, pomyślał legat. Co więcej, znajduje się dokładnie tam, gdzie ta germańska wioska.

Odwrócił się do dyżurnego centuriona.

— Nadal nie ma znaku od Witeliusza?

— Żadnego, panie.

Niepokojące, bardzo niepokojące. Ciekawe, w jaką to znowu kabałę starszy trybun wpakował trzecią kohortę? Zgodnie z ostatnimi raportami wywiadu, miejscowi nie przejawiali wielkiej wrogości wobec Rzymian. Ale kohorta powinna wrócić do tego czasu. A luna widoczna na horyzoncie sygnalizowała gigantyczny pożar. Wespazjan zaczął się zastanawiać, jak bardzo ucierpi jego reputacja, jeśli zarządzi przedwczesny alarm. Bez trudu potrafił wyobrazić sobie kpiny podległych mu oficerów. Ale myśl ta zniknęła z jego umysłu jeszcze szybciej, niż się tam pojawiła. Jego duma była niczym wobec poczucia odpowiedzialności za żołnierzy II Legionu. Raz jeszcze spojrzął na dyżurnego centuriona.

— Powiadom szwadron jazdy. Mają mi sprawdzić drogę, którą trzecia podążała do wsi. I meldować bezzwłocznie o wszystkim, co znajdą. Potem zarządź alarm w całym legionie. Chcę natychmiast

widzieć wszystkich dowódców w mojej kwaterze. Centurioni mają przygotować ludzi do wymarszu w pełnym rynsztunku, Z wyjątkiem pierwszej kohorty. Jej przypadnie obrona fortecy. Zapamiętałeś wszystko?

— Tak, panie.

— Zatem ruszaj. Biegiem!

Gdy dyżurny oficer zniknął mu z oczu, Wespazjan raz jeszcze spojrzał na odległą lunę. O ile Witeliusz nie pobłądził podczas drogi powrotnej do fortu, ten pożar mógł się łączyć z nieobecnością trzeciej kohorty.

— Panie?

Legat obejrzał się i zobaczył zatroskaną twarz młodego wartownika.

— O co chodzi, żołnierzu?

— Sądziś panie, że nasi chłopcy wpadli w tarapaty?

Za plecami legata rozległ się ostry dźwięk pierwszej trąbki, moment później dołączyły do niej kolejne, nawet w najdalszych zakątkach fortecy. W ciemnościach zamajaczyły sylwetki ludzi, następni już wybiegali z otwartych drzwi, plac zaroił się żołnierzami II Legionu. Wespazjan zmusił się do uśmiechu.

— Lepiej, żeby rzeczywiście tak było. Jeśli nic się tam nie dzieje, wyjdzie na to, że niepotrzebnie postawiłem na nogi cztery i pół tysiąca ludzi. A to by było niewybaczalne, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Katon wydarł się najgłośniej jak potrafił, pędząc w kierunku dwóch Germanów zbliżających się do leżącego centuriona. W ostatniej chwili obniżył drzewce *vexillum* i zamachnął się nim w prawo i w lewo. Wojownik stojący nad Macro, już gotował się do zadania ostatniego ciosu, ale słysząc wrzask dobiegający z boku, odwrócił na moment głowę, aby sprawdzić źródło nowego zagrożenia. Centurion nie czekał, walnął go pięścią w krocze. Germanin jęknął i opadł na kolana, wybałuszając oczy, a rozpędzony Katon potknął się o niego i wywalił jak długi. Drugi z Germanów, widząc jego niezdar-ność, wybuchnął głośnym śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i skierował *vexillum* prosto w jego twarz.

— Nie waz się ze mnie śmiać, cuchnący pojebie!

Przez moment obaj mierzyli się wzrokiem. Germanin przestał się uśmiechać, kalkulował teraz swoje szanse. Nagle zamachnął się mieczem na prawo, a gdy Katon zwrócił w tamtą stronę nieporęczne *vexillum* centurii, wykonał szybki unik w lewo, aby pchnąć mieczem w plecy chłopaka. *Vexillum* zaprojektowano do celów reprezentacyjnych, nie do wymachiwania nim i walki; ciężka, wykończona metalem głownia pociągnęła chorążego, zmuszając go do zrobienia pełnego obrotu. Drugi koniec drzewca, także okuty, zahaczył przypadkiem o głowę robiącego wypad przeciwnika. Wojownik jęknął zaskoczony i padł plackiem na ziemię. Katon, stojąc do niego pieca-

mi, odwrócił się powoli, pewien, że lada moment poczuje zabójczy cios, i zmarł, widząc ciało leżącego Germanina.

— Co u licha?

— Zostaw go! — wrzasnął Macro, który zdołał już sobie poradzić z pierwszym przeciwnikiem. — Chodź tutaj, chłopcze! Wyjmij ten oszczep z mojej nogi!

— Panie?

— Wyjmij go!

Katon pochwycił drzewce wolną ręką, a centurion przekręcił nogę, aby sterczało prosto w górę.

— Teraz!

Chłopak pociągnął z całych sił, wrywając z rany pokryty krwią i tkankami grot w kształcie liścia. Macro zawył, jakby miał zaraz skonać, ale szybko zagryzł wargi. Podniósł się przy pomocy Katona. Rana była głęboka, na szczęście krew nie tryskała z niej, tylko płynęła — więc szanse na przeżycie rosły. Ale ból w nodze był okropny, gorszy od tego, który centurion potrafił sobie przypomnieć, wręcz obezwładniający, i tylko dzięki wyjątkowo silnej woli Macro zdołał się wesprzeć na ramieniu tymczasowego chorążego. Katon włókł go w stronę przejścia między budynkami, za którym czekała reszta centurii. Za plecami, prócz huku płomieni, słyszał odgłosy kolejnych kroków, a gdy rzucił okiem do tyłu, ujrzał wielu Germanów biegnących w ich kierunku. Dzicy wojowie wrzeszczeli z żądz rzymskiej krwi. Zdwoił wysiłki, zaczął ciągnąć tracącego przytomność dowódcę. Potknął się jednak i Macro padł na kolana, wrzeszcząc wniebogłosy, gdy uraził otwartą wciąż ranę. Twarze przed nimi pełne były rozpacz — żołnierze wiedzieli, że obaj, centurion i chorąży, nie ujdą germańskiej pogoni.

— Idź! — wychrypiał Macro. — To rozkaz!

— Nie słyszę cię, panie.

— Ocal *vexillum*.

W tym samym momencie Kastor pokręcił głową i dał sygnał do zawalenia ściany. Legioniści zawahali się, więc weteran wykrzyczał rozkaz raz jeszcze. Liny się napięły i ściana runęła, grzebiąc ulicę pod hałdą płonących szczątków.

— A niech to! — Katon zatrzymał się i spojrzął za siebie.

Germanie byli o kilkanaście kroków od nich. Po prawej stronie zauważył kamienną ścianę z prostymi, grubymi drewnianymi drzwiami. Podniósł szybko zasuwę, otworzył je kopniakiem i wrzucił do środka centuriona, a za nim *vexillum*. Sam musiał przykucnąć, aby wejść do wnętrza chaty. Nie namyślając się wiele, zamknął za sobą drzwi i pospieszenie zablokował je grubą belką. Moment później usłyszał stłumione odgłosy uderzeń, gdy pierwsi Germanie dobiegli do budynku. W pomieszczeniu było ciemno, ale trochę światła wpadało przez szczeliny w okiennicach i szpary w powale. Pomieszczenie miało jedno okno wychodzące na ulicę, ale na szczęście ktoś je uprzednio zarygłował i na razie opierało się uderzeniom ludzi stojących na zewnątrz.

— Sprawdź, czy nie ma stąd innego wyjścia — wymamrotał Macro, obmacując w mroku ranę. Krew wciąż z niej płynęła, a on nie mógł jej już tracić, jeśli chciał zachować przytomność. Rozpiął pas, zdjął z niego pochwę a potem obwiązał sobie nim udo, zaciskając tak mocno, jak potrafił. Zatał krew — kiedy wrócił Katon, już nie płynęła strumieniem, tylko sączyła się z rozcięcia.

— Znalazłeś coś?

— To chyba jakaś stodoła. Z tyłu jest tylko kupa siana i otwór w dachu do wentylacji.

Walenie w drzwi stało się bardziej rytmiczne, a gdy spojrzeli na okiennicę, odprysnęła z niej spora drzazga, kiedy coś ciemnego przebiło się aż do wnętrza zaciemnionego pomieszczenia. Ktoś wyszarpnął narzędzie i moment później kolejne ułamki drewna poleciały na podłogę. Przez otwory w okiennicy zaczął się sączyć pomarańczowy poblask.

— Nie możemy tutaj zostać.

— Nie — odparł Katon. — Spójrz tam, panie.

Na powale dokładnie nad ich głowami pojawiła się żółta poświata, moment później obok rozkwitło kolejne gniazdo ognia. Drobne płomyczki rosły bardzo szybko. W tym samym czasie ktoś nieustannie rąbał okiennicę.

- Musimy wykorzystać ten otwór wentylacyjny — zdecydował Katon. — Jest tam wprawdzie drabina, ale z tak poranioną nogą, panie, będziesz miał spory problem z wejściem na górę.
- Nie mamy specjalnego wyboru.
- Nie. Ale możemy ich powstrzymywać tak długo, jak się da. Czy możesz, panie, bronić tego okna?
- Tak, ale...
- Proszę, nie mam teraz czasu na wyjaśnienia.
- Niech będzie. — Macro skinął głową. — Pomóż mi wstać i daj mi swój miecz.

Przenosząc ciężar na zdrową nogę, Macro oparł się o ścianę tuż obok okna. Katon zniknął w tylnej części stodoły. Moment później jedna z połówek okiennicy poddała się toporowi i spadła na podłogę. Zaraz po niej w otworze pojawiła się dzida, a potem czyjeś dłonie pochwytyły krawędzie ściany. Jeden z Germanów spróbował wejść do środka. Macro uderzył gladiusem w jego rękę. Odcięte palce zawirowały w powietrzu, gdy wojownik szarpnął się do tyłu, wyjął z bólu.

— Chodźcie tu, dranie! — wrzasnął Macro. — Który chce być następny?

Uderzenia w drzwi przybrały na sile i belki, z których je zbito, choć całkiem grube, zaczęły się w końcu poddawać. Obrona okna nie sprawiała większych trudności, ale z drzwiami było gorzej.

- Katonie! Cokolwiek tam robisz, lepiej, żebyś już kończył!
- Już idę, panie! — odkrzyknął chłopak, pojawiając się z przodu stodoły z wielką masą siana nabitego na widły. Rozrzucił je pospiesznie przy ścianie, pomiędzy drzwiami a oknem. Potem, korzystając z tych samych wideł, dźgnął w powałę, tam gdzie objęły ją płomienie, drugą ręką osłaniając twarz przed spadającymi snopami iskier. Z siana natychmiast uniosły się kłęby gęstego dymu. Zaraz po nich pojawił się ogień i zanim drzwi ustąpiły, cały przód pomieszczenia płonął w najlepsze, dymiąc przy tym straszliwie.
- Tędy! — zawołał Katon i natychmiast się rozkaszał, gdy paskudnie smakujący dym wypełnił jego płuca i usta.

Chłopak dwoił się i troił, aby podierać centuriona wolną ręką — w drugiej wciąż trzymał porzecz centurii — ale w końcu udało mu się zaciągnąć go na tyły stodoły, w pobliże drabiny prowadzącej prosto w ciemność

— Idź pierwszy, panie. Weź ze sobą *vexillum*, ale oddaj mi miecz. Zawołaj, gdy wejdiesz na dach.

Macro posłuchał rozkazu wydanego przez Katona i od razu zaczął się wspinać po szczeblach, złorzecząc przy tym po równo na ranę i ciężar *vexillum*. Dym zbierający się pod powalą gryz! go w oczy i drażnił płuca, gdy pokonywał krótki, ale jakże odległy dystans pomiędzy podłogą a otworem w dachu. Otworzył pokrywę jednym uderzeniem i szybko wystawił głowę na zewnątrz, aby zaczerpnąć tchu. Z tego miejsca mógł zobaczyć, że spora część wioski stoi już w płomieniach, sprzyjający wiaterek pomagał w szybkiej ekspansji ognia. Germanie przemykali wąskimi alejkami, próbując ominąć pożar i dostać się na centralny plac, na którym reszta kohorty przygotowywała się właśnie do walki na śmierć i życie.

Tuż za stodołą znajdowało się niewielkie podwórko, po którym biegały dwie przerażone świny. W rogu widać było też spory stóg paszy przygotowanej dla nich na zimę. Centurion wyciągnął na dach porzecz centurii i zrzucił go na siano. Z wnętrza stodoły posłyszał głośny huk — drzwi w końcu się poddały — a potem tupot wielu stóp i dzikie wrzaski.

— Katonie!

— Idź, panie! — odkrzyknął chłopak. — Szybko!

Germanie, kaszląc, przebijali się na tył stodoły w poszukiwaniu ukrywających się tam Rzymian. Macro nie zwlekając, wydostał się na dach. Przetoczył się na jego krawędź i zawisł na rękach. Puścił się dopiero wtedy, gdy rozprostował je na całą długość. Lądowanie było miększe, niż się spodziewał, jedna ze swinek uznała bowiem, że stóg będzie najlepszym miejscem na ukrycie się przed szaleństwem ogarniającym otaczający ją świat. Ostatnim, czego biedaczka mogła oczekiwać, było nagłe pojawienie się spadającego z dachu piechura w pełnej zbroi. Tak czy inaczej powietrze nad podwórkiem wypełniły przeraźliwe kwiki i siarczyste przekleństwa, gdy zwierzę i człowiek

próbowali się wyplątać z tej kłopotliwej sytuacji. Macro zdołał w końcu odkopnąć świnię i usiadł na kupie paszy, dysząc ciężko. Okazało się, że nie odniósł kolejnych ran. Świnka nie miała tyle szczęścia: upadając, Macro przetrącił jej kręgosłup, i teraz rozpaczliwie mlóciła przednimi raciczkami, próbując się odsunąć jak najdalej od źródła zagrożenia. Cały czas kwiczała z przerażenia, i to tak głośno, że lada moment mogła ściągnąć na siebie uwagę atakujących.

Macro słyszał wrzaski germańskich wojowników biegających w tę i we w tę po stodole w poszukiwaniu uciekinierów, których mogliby zmasakrować. Potem usłyszał krzyk i szuranie drabiny po wewnętrznej stronie ściany. Natychmiast przyciągnął do siebie *vexillum*, zakopał się głębiej w sianie i znieruchomiał. Spomiędzy snopków nakrywających mu twarz widział szczyt ściany, nad którym na tle pomarańczowej łuny pojawiła się umorusana twarz wroga. Zdawało mu się, że Germanin przez całą wieczność bada wzrokiem podwórze, potem nastąpiła szybka wymiana gardłowych słów i głowa zniknęła. Macro leżał nadal i nasłuchiwał. Głosy za ścianą zaczęły się oddalać i przycichły, po chwili kwik okaleczonej świni zagłuszył je zupełnie. Gdy uznał, że jest już bezpieczny, podniósł się i strząsnął z siebie cuchnące siano. Po jednej stronie podwórza znajdowała się wąska alejka. Będąc jeszcze na dachu, słyszał głosy przebiegających po niej Germanów. Na drugim końcu panowała kompletna cisza i tam teraz centurion skierował wzrok, stając na zdrowej nodze. Wyjrzał ostrożnie za płotek i zobaczył więcej podobnych zagród dla świń — usłyszał też przytłumione chrumkanie zaniepokojonych zwierząt. Usiadł na stogu i odczekał chwilę, do momentu gdy z ulicy nie dobiegały żadne hałasy. Wtedy zaczął wołać Katona, stając tuż pod otworem wentylacyjnym.

Nikt nie odpowiedział, zawołał więc raz jeszcze, tym razem nieco głośniejszym głosem. Znowu cisza.

Cholerny głupiec. Powinien wleźć na drabinę, kiedy poddały się drzwi. W tym samym momencie Macro zdał sobie sprawę, że zważeniu hałasem Germanie natychmiast popędziliby w tamtą stronę. Katon też musiał o tym wiedzieć, pomyślał centurion, poświęcił się, aby uratować jego i porzucić centurii.

Kwiki kalekiej świni stały się jeszcze wyższe i bardziej przenikliwe, więc Macro, nie widząc innego wyjścia, kopnął ją z całej siły w bok głowy.

— Przestań hałasować! — przywalił jej raz jeszcze. — Chcesz, żeby mnie złapali?

Ale kopnięta swinia nie umilkła, zaczęła kwiczeć jeszcze przeraźliwiej. Przechodzący alejką wojownicy przystanęli, aby zbadać źródło tego hałasu. Macro nie czekał, przerzucił sztandar przez pobliski płot i podążył jego śladem. Wylądował w samym środku kupy gnoju wygarniętego z pobliskich zagród. Pochwycił *vexillum* i trzymając się jak najbliżej ziemi, zaczął pełznąć pomiędzy płotami w kierunku środka wioski, usiłując nie myśleć o tym, co ujrzy, jeśli uda mu się powrócić na pozycje zajmowane przez resztę kohorty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Drzwi się rozleciały, a w głowie Katona zawirowały naraz setki myśli. Gdy Macro bezpiecznie opuścił stodołę, chłopak zanurkował za stóg zgromadzonego w kącie siana, zakopując się najgłębiej jak potrafił. Germanie zaczęli się wsypywać do wnętrza budynku.

Potem słyszał odgłosy toczonych gdzieś obok rozmów i przerażający kwik za ścianą. Katon pomyślał ze zgrozą, że to krzyk centuriona, ale zaraz dotarło do niego, iż żaden człowiek nie wydałby z siebie podobnego odgłosu. Jeden z Germanów roześmiał się na głos, ale zaraz umilkł, zanosząc się kaszlem. Dym wypełniający stodołę zaczynał drapać w gardle nawet Katona, który leżał twarzą do ziemi i wstrzymywał oddech.

Coś przesunęło się w sianie, a zaraz potem rozległ się głuchy odgłos uderzenia w ziemię. Chwilę później dźwięk się powtórzył, tym razem nieco bliżej, i chłopak poczuł zimny pot na krzyżu, gdy zdał sobie sprawę, że Germanie zaczęli dźgać stóg oszczepami. Z trudem zachował spokój, ale nie drgnął nawet, wiedząc, że ujawnienie się oznacza pewną śmierć. Coraz więcej grotów przeszzywało kupę siana, Germanie spieszyli się z przeszukaniem zadymionej stodoły. Potem ktoś krzyknął — wrogowie przestali dźgać stóg i w pośpiechu zaczęli opuszczać płonący budynek.

Katon upewnił się trzy razy, że został sam, zanim wypełził z kryjówki. Pomieszczenie wypełniło się dymem, oddychać można było tylko tuż nad podłogą. Chłopak zaczął się czołgać w stronę drzwi,

leżąc płasko na brzuchu; na jego szczęście rozrzucone siano zdążyło się już wypalić. Na ulicze, za wyważonymi drzwiami, roilo się od Germanów. Dopiero gdy padła seria rozkazów, ruszyli hurmem w stronę centrum wioski. Katon odczekał, aż echa ich kroków całkowicie umilkną, zanim odważył się wytoczyć na zewnątrz stodoły, kaszląc głośno i łapczywie łykając rozgrzane od ognia powietrze. Płuca i oczy paliły go żywym ogniem i dopiero gdy otarł cieknące łzy, mógł się rozejrzeć po okolicy. Chociaż wciąż słyszał głosy Germanów dobiegające z oddali, a wokół szalał ogień, w pobliżu nie było nikogo — prócz dwóch leżących mężczyzn, w tym tego, którego powalił nie tak dawno drzewcem *vexillum*.

Dotykając go ostrożnie, Katon przekonał się, że wojownik wciąż jest nieprzytomny. Na jego skroni pojawiła się wielka sinofioletowa plama. Mając wokół siebie całą hordę wrogów i zaledwie garść Rzymian, chłopak uznał, że przebranie się nie będzie złym pomysłem. Odpiął pelerynę Germanina i przetoczył jego bezwładne ciało na brzuch, aby ją ściągnąć. Gdy ją narzucił na swój mundur, cuchnąca mieszanka bijącego od niej smrodu ludzkich i zwierzęcych ekskrementów, potu oraz zjełczałego tłuszczu, którym ją natarto, aby była nieprzemakalna, spowodowała, że żołądek podszedł mu do gardła. Zwymiotował. Mocował się przez chwilę z zapięciem hełmu, a potem z ulgą pozbył się tego niepotrzebnego teraz nakrycia głowy z żelaza i brązu, rzucając je na ziemię. Niestety, w żaden sposób nie mógł zamaskować przyciętych na wojskową modłę włosów, musiał więc, marszcząc przy tym nos z odrazy, nasunąć brudny kaptur głęboko na czoło. Gladiusa ukrył pod peleryną, potem podniósł tarczę i oszczep pozostawione przez jednego z zabitych przeciwników. Spojrzał na siebie, aby ocenić przebranie — choć daleko rnu było do wyglądu prawdziwych Germanów, przynajmniej przestał przypominać rzymskiego żołnierza.

Co teraz? Jedyne miejsce, które mogło mu zapewnić odrobinę bezpieczeństwa, był środek wioski, gdzie broniły się resztki kohorty. Ale co z Macro i *vexillum*? Katon wbiegł do wnętrza stodoły i zobaczył, że wąskie przejście prowadzące do drabiny stoi już w płomieniach. Żar buchający od nich parzył go w twarz

i zmusił do wycofania się aż pod drzwi. Tam, owijając się szczelnie peleryną, nabrał powietrza i rzucił się prosto w ogień. Płomienie parzyły go i oślepiały, niemal natychmiast poczuł też swąd przypalanego tłuszczu, którym natarto materiał. Pochylił się jeszcze bardziej i przyspieszył kroku, ogień prześlizgnął się po gołych nogach, ale już był po drugiej stronie, w zadymionej tylnej części budynku. Całą pelerynę pokrywały plamy roztopionego tłuszczu. Musiał zagasić kilka ogników, które zaczynały po niej pełgać.

Miał problem z wspięciem się na wysoką ścianę, był zbyt zmęczony i za dużo rzeczy miał na sobie. W końcu jednak dotarł do prześwitu pomiędzy powalą a kamieniami. Na zewnątrz ujrzał niewielkie podwórze i stos paszy zgromadzonej dla trzody na zimę.

— Panie — zawołał najciszej jak potrafił.

Na dźwięk jego głosu ktoś poruszył się pod stosem siana i Katon poczuł, jak kamień spada mu z serca. A potem powietrze przeszył przerażający kwik.

— Panie? Ranili cię ponownie? — zawołał Katon niepomyślnie czyhającego na zewnątrz niebezpieczeństwa.

Stóg poruszył się raz jeszcze i wypelzła spod niego, kwicząc jeszcze bardziej przeraźliwie, konająca świnia. Świnia. Gdzie zatem podział się centurion?

Katon puścił krawędź muru i przysiadł na podłodze. Był taki niedoświadczony, wystraszony i samotny. Gorzkie łzy żalu popłynęły mu z oczu, gdy pomyślał, jak mocno zadrwił z niego los. Przednia część dachu stodoły zawałiła się bez ostrzeżenia, prosto w morze wygłodniałych płomieni. Katon odskoczył do tyłu, gdy instynkt samozachowawczy przejął kontrolę nad jego udręczonym umysłem. Był sam, otoczony przez wroga i morze ognia, ale to nie znaczy, że ma się poddać i zginąć. Na pewno nie bez walki!

Szybko przypomniał sobie, jak wygląda wieś, gdzie znajdują się pozycje Rzymian, Germanów i w którym miejscu szaleje ogień. Zdecydował, że najrozsądniej będzie uciec ze stodoły wąskim przejściem, którego broniła do niedawna jego centuria, i mieć uszy i oczy szeroko otwarte.

Świnie, pomyślał Macro, w rękach obrotnego kucharza potrafią się zamienić w wielki przysmak, ale tutaj, w swoim naturalnym środowisku, ledwie dawały się znieść. A już zwłaszcza te germańskie. Musiał pełzać w ich odchodach, pomiędzy kolejnymi zagrodami, gdzie uryna tych zwierząt ściekała do kanału zmieszana nierzadko z rozwodnionym kałem, ale starał się z całych sił nie dopuścić do zabrudzenia rany, no i *vexillum*. Niewyobrażalny odór raził jego powonienie, przywodząc zmysły na skraj szaleństwa. Klął w żywy kamień każdą świnie, która pojawiała* się w zasięgu jego wzroku.

Dotarł w końcu do większej, wiklinowej bramy. Przez otwory w plecionce przyjrzał się ulicze po drugiej stronie. Po prawej, całkiem blisko, wychodziła ona na plac targowy, teraz, zimową porą, zupełnie opustoszały. Ogień nie dotarł jeszcze do tej części wioski i nieliczni mieszkańcy, którzy umknęli z łapanki urządzonej przez Witeliusza, przemykali teraz chyłkiem, łypiąc trwożliwie w stronę kryjówki Macro, a właściwie liżących niebo płomieni szalejących za jego plecami. Wynosili wszystko, co zdołali zabrać z chałup w tak krótkim czasie, jaki im dano. Siedząc wcześniej na dachu, centurion zobaczył, że główny plac wioski, ku któremu teraz zmierzał, znajduje się zaraz za tym targiem. Wokół siebie widział jedynie kobiety z dziećmi i starców — uznał więc, że nikt z uciekających nie stanowi dla niego zagrożenia. Jeśli postara się nie rzucać im w oczy, może nawet nie zwrócą na niego uwagi. Wystarczy krótki marsz uliczką, aby dołączyć do reszty kohorty.

Wstał, sycząc z bólu, i otworzył wiklinową bramę. Kuśtykał skrajem uliczki, trzymając drzewce *vexillum* wysoko nad ziemią, aby jego okucia nie robiły niepotrzebnego hałasu. Posuwał się do przodu bardzo wolno, co gorsza, zaczął tracić czucie w zranionej nodze, a z upływu krwi coraz mocniej kręciło mu się w głowie. Oddychając chrapliwie, zmuszał się do stawiania kolejnych kroków i tak dotarł na targowisko.

Dalej posuwał się od jednego pustego straganu do następnego, ignorowany przez umykających wieśniaków wynoszących co cen-

niejsze przedmioty należące do nich, jak i nieobecnych sąsiadów. Nie zależało im, podobnie jak centurionowi, na zwracaniu na siebie uwagi. Ci, którym stawał na drodze, omijali go, rzucając za siebie lękliwe spojrzenia.

Gdy minął targowisko, odgłosy walki stały się o wiele głośniejsze. Macro zatrzymał się na moment, aby nieco odsapnąć, tuż przed ostrym zakrętem, za którym uliczka wychodziła na główny plac. Ledwie widział, miał też coraz silniejsze zawroty głowy. Przetarł brudną dłońią oczy, powstrzymał kolejną falę mdłości. Odpoczął jeszcze chwilę, zaczęła mu wracać ostrość widzenia, a nawet jasność myśli. Szybki rzut oka w uliczkę pozwolił mu stwierdzić, że droga na plac jest czysta. Wychyli! się więc zza węgła.

Germanin wpadł na niego tak niespodziewanie, że Macro zorientował się, iż coś jest nie tak, dopiero gdy leżał na ziemi, patrząc prosto w pomarańczowe od łuny niebo i z trudem łapiąc oddech. Wrogi wojownik leżał tuż obok, jego oszczep toczył się jeszcze po ulicy. Macro odsunął się od niego i zaczął szukać sztyletu, ale Germanin okazał się o wiele sprawniejszy i szybszy od niego. W mgnieniu oka poderwał się na nogi, pochwycił oszczep i wymierzył nim w krtań przeciwnika. Centurion dobył w końcu sztyletu, zdając sobie sprawę, jak patetycznie musiał wyglądać jego gest.

— Dzięki niech będą Jowiszowi! — zawołał Germanin czystą łaciną.

— Co?

Wojownik opuścił oszczep i wyciągnął do niego dłoń. Macro spoglądał na niego jak na szaleńca.

— Rusz się, panie. Nie mamy czasu na takie zabawy — ponaglił go Katon, ściągając kaptur i znów marszcząc nos. — Co tu tak cuchnie?

Centurion oparł się o ścianę i roześmiał, czując wielką ulgę. Wystarczył moment dekoncentracji, a znów zaczęło mu się kręcić w głowie. Ale miał to gdzieś. Katon był przy nim, niech bogowie wiecznie mają go w swojej łasce. Gdyby tak jeszcze pozwolił mu odpocząć przez chwilę...

— Panie!

Ktoś zaczął nim mocno potrząsać, więc otworzył oczy. Z mroku wyłoniła się twarz Katona, chłopak pochylał się nad nim, ciągnąc za paski oporządzenia.

— Wstawaj, panie! — mówił przez zaciśnięte zęby, z trudem stawiając centuriona na nogi. Pozwolił mu oprzeć się o swoje ramię, choć sam z trudem utrzymywał równowagę, pomagając sobie oszczepem. Macro nie puścił *vexillum*, ciągnęli je więc za sobą, gdy Katon skierował się na targowisko, a potem do następnego skrzyżowania. Rzut oka wystarczył, by chłopak dostrzegł całe mrowie Germanów błakających się bez celu, podczas gdy pierwsze szeregi hordy ścierały się z Rzymianami na placu.

— Niedobrze — stwierdził Katon. — Są na każdej ulicy. Trzeba wykombinować coś innego.

— Muszę odpocząć.

— Nie, panie! Nie możesz. — Optio potrząsał nim, dopóki znów nie otworzył oczu. — Dobrze. Tak lepiej.

Chłopak kopnięciem wyłamał drzwi do najbliższej chałupy i wprowadził do niej centuriona. Macro ledwie był świadom tego, że jest wleczony przez kolejne obskurne pomieszczenia i podwórza. W końcu Katon posadził go pod wiklinową ścianą, którą obrzucono warstwą torfu i gliny. Optio wyjął miecz, zdjął germańskie odzienie i zaczął uderzać z całych sił w ścianę.

— Co robisz, chłopcze? — wymamrotał centurion.

— Wydaje mi się, że plac jest po drugiej stronie tego domu. Dostaniemy się tam, jeśli uda mi się wybić dziurę w tej ścianie.

— Zatem mogę odpocząć.

— Zatem możesz odpocząć, panie.

Katon ujął rękojeść gladiusa w obie dłonie i zaczął dźgać nim ścianę, odłupując kolejne piaty gliny, dopóki nie odsłonił sporego kawałka plecionki. Otarł czoło ręką i znów zaczął ciąć, atakując z furią kolejne sploty. Macro przyglądał się apatycznie jego zmaganiom, w tej chwili wszystko było mu obojętne, z wolną poddawał się największemu marzeniu, jakim było zapadnięcie w naprawdę głęboki sen.

Plecionka okazała się o wiele bardziej odporna na ciosy niż okładzina ściany. Serce Katona waliło jak oszalałe, gdy ciął wiklinę z uporem maniaka. W końcu udało mu się przebić na drugą stronę i zaczął wydłubywać ostrzem ubity torf, którym obłożono wnętrze izby. Szybko przebił się przez tę warstwę i do chałupy wpadły pierwsze promienie przydymionego światła. Ten niewielki sukces uskrzydlił chłopaka i wyłom zaczął się poszerzać w błyskawicznym tempie. Gdy był na tyle duży, by przecisnąć się przez niego człowiek, pochwylił centuriona, chcąc przenieść go do wnętrza chaty.

— Ty pierwszy, chłopcze — zaprotestował Macro.

— Nie, panie. Będzie mi łatwiej wepchnąć cię do środka, niż wciągać z tamtej strony.

— To brzmi rozsądnie.

Centurion pochylił się, podtrzymywany rękami chłopaka, wsuwając głowę, a potem ramiona i tułów w wycięty otwór. Gdy wpadł do środka, posypał się za nim deszcz odłamków. Prychnął głośno, aby oczyścić usta z brudu, i otrząsnął się z ziemi, która przysypała mu głowę, a potem zwinął się z bólu, gdy ktoś kopnął go w nerki.

— Pieprzeni Germanie przebili się przez ścianę! — zawołał ktoś z ciemności.

— Spokojnie, chłopaki! Jestem Rzymianinem!

— Wybacz, bracie!

Szorstkie dłonie wyciągnęły się w jego kierunku. Moment później Katon wszedł do środka i pomógł innym doczyścić mundur i hełm centuriona. Legionista, który go kopnął, teraz nerwowo przetykał ślinę, widząc liczne odznaczenia przypięte do pasków oficcerskiego munduru.

— Panie, nie miałem pojęcia...

— Nic się nie stało, synu. Zaprowadź nas do trybuna.

— Tędy, panie. — Legionista podparł Macro z drugiej strony; wlokąc na wół przytomnego centuriona, żołnierze minęli najdalej wysunięte posterunki broniące dostępu do placu. Znaleźli Witeliu-sza przy domu naczelnika, obok niego stał trębacz i chorąży kohorty. Ze środka domostwa dobiegały stłumione wrzaski i krzyki.

- Zatrzymajcie się na chwilę, chłopcy — rozkazał Macro, zdejmując rękę z ramienia Katona, aby zsalutować trybunowi.
- Widzę, że nadal jesteś z nami, Macro! Powiedziano mi, że Germanie dopadli ciebie i tego tu młodego optio na samym środku ulicy.
- Tak było, panie.
- Paskudna rana. Lepiej oczyścić ją i opatrz. — Witeliusz wskazał kciukiem na pobliskie drzwi. — Medycy są teraz nieco zajęci, ale jak cię znam, dasz sobie z nimi radę. I niech obmyją cię z tych gównien, kiedy będą cię opatrywali.
- Gdzie moja centuria, panie?
- Broni teraz głównej bramy. — Trybun odsunął się, pozwalając przenieść kolejnego rannego. — Kazałem im wygnać wieśniaków na zewnątrz, kiedy skończył się ostatni szturm. Nie możemy marnować ludzi na pilnowanie tego bydła.
- Jak nam idzie?

Witeliusz skrzywił się, zanim odpowiedział.

- Nie najlepiej. Mamy co najwyżej trzysta mieczy. Germanie szturmują plac z pięciu kierunków, korzystając z głównych ulic. Ogień odciął im dostęp z pozostałych uliczek, a my nadal kontrolujemy wały i bramę z drugiej strony wsi.
- Utrzymamy się, dopóki nie nadciągnie Wespazjan z odsieczą?
- Może. — Trybun wzruszył ramionami, spoglądając w zaśniewane niebo. — Jeśli uda nam się zatrzymać ich w tych uliczkach, nie wykorzystają przewagi liczebnej. Na razie odpieramy wszystkie ataki, ale oni mogą sobie pozwolić na znacznie większe straty niż my. Kiedy bardziej nas wykrwawią, będziemy musieli cofnąć się na plac. Tutaj ustanowimy ostatnią linię obrony, wokół naszych rannych.
- A jeśli ogień dotrze tutaj przed Germanami?
- Wtedy wycofamy się przez główną bramę prosto w czule ręce barbarzyńskiej hołoty.

Dać się usmażyć w ogniu czy rozerwać na strzępy dzikusom, pomyślał Katon. Co mam wybrać, gdy nadejdzie kres?

— Idź opatrzeć ranę, Macro — rozkazał Witeliusz, a potem machnął ręką na trębacza i chorążego. — Za mną!

— A co ze mną, panie? — zapytał Katon.

Trybun spojrział na Macro.

— Niech ten „a co ze mną, panie” przypilnuje twojego *vexillum*, centurionie.

— Tak, panie. — Macro uśmiechnął się ponuro i oddał chłopakowi proporzec szóstej centurii. — Potrzyмай, dopóki mnie nie opatrzą. Potem go odbiorę.

Ledwie wprowadzili centuriona do domostwa, pojawił się przy nich medyk i zaczął oglądać ranę. Szybkie skinienie głowy selektora świadczyło o tym, że chwilowo nie widzi powodu do dobitcia ranego. Potem poklepał Katona po ramieniu, wskazując mu drzwi. Gdy chłopak, stojąc w progu, po raz ostatni spojrział na centuriona, medyk czyścił mu podudzie zakrwawioną szmatą.

Po wyjściu na zewnątrz Katon spróbował wbić drzewce proporca w ziemię, ale zmarznięty grunt bronił się przed tym skutecznie. W końcu chłopak poddał się i oparł ciężkie *vexillum* o własne ramię. Chociaż czuł wielką ulgę z powodu powrotu w szeregi kohorty, wiedział też, że bój nie idzie po myśli Rzymian. Walka pozycyjna zmieniała się powoli w zwykłą rzeź, a w niej zwycięzcą zostawał ten, kto miał znaczącą przewagę liczebną. Śmierć nieustannie zbierała żniwo, przypadkowy miecz albo oszczep trafiały co jakiś czas w cel, co było widać, gdy ranni wyczołgiwali się za ostatnie szeregi obrońców. Ci, którzy nie mieli sił, żeby wycofać się z pola walki, ginęli zadeptywani przez innych żołnierzy.

Wróg powoli, acz systematycznie wypierał Rzymian z uliczek i spychał ich w kierunku placu. Katon zdawał sobie sprawę z tego, że w chwili gdy Germanie wydostaną się na otwartą przestrzeń, otoczą kohortę ze wszystkich stron i wyrzną ją w jednej chwili. Noc powoli dobiegała końca, ale do świtu i momentu, w którym Wespazjan zdoła dotrzeć do wsi, pozostało jeszcze wiele czasu.

Mimo iż Germanie robili nieustanne postępy, ogień okazał się szybszy od nich. Łatwopalne domostwa zajmowały się jedno po drugim. Nagle z oddali dobiegł dźwięk rogów, na który wszyscy wojownicy zareagowali nieludzkim skowytym zawodu i gniewu. Rogi zagrały znowu, nawołując jeszcze głośniejszym głosem do odwrotu, i Germanie,

acz niechętnie, ustąpili pod naporem ognia, robiąc jeszcze kilka szaleńcych wypadów, zanim uciekli. Żołnierze kohorty zostali sami. Ale ich radość nie trwała długo. Furię atakujących wrogów zastąpił gniew Wulkana, gdy płomienie dotarły na obrzeża placu, paląc wszystko do gołej ziemi i sięgając na wysokość wałów. Rzymianie wycofali się, zanim pożoga ich do tego zmusiła. W pomarańczowej łunie bijącej od płonących zabudowań wszyscy żołnierze z pierwszych linii rzucali na swoich towarzyszy długie, drgające nieustannie cienie. Żar był tak wielki, że obrońcy musieli skryć się za murem z tarcz, aby wytrzymać jego napór.

Przez plac przebiegł legionista, wskazując uliczkę prowadzącą w przeciwnym kierunku.

— Wycofujemy się. Wszyscy do głównej bramy! Natychmiast!

Kohorta wykonała odwrót z placu. Poszarpana kolumna wycieńczonych ludzi maszerowała wolno i w milczeniu. Wielu żołnierzy pomagało iść rannym towarzyszom broni, inni z własnych tarcz zrobili prowizoryczne nosze dla tych, którzy nie byli w stanie ustać na nogach. Zbyt wielu oficerów poległo w tej walce, aby legioniści w czasie odwrotu pozostali zdyscyplinowaną jednostką, wycofywali się więc w nieładzie, pomiędzy oświetlonymi łuną pożaru germańskimi chatami. Przy bramie Witeliusz kazał uformować szyk obronny i przenieść rannych za ostatni szereg. Tam niedobitki trzeciej kohorty czekały w milczeniu na zbliżający się nieubłagany koniec.

Katon dołączył do resztek szóstej centurii — najpierw jednak zapewnił rannemu Macro wszelkie dostępne w tej sytuacji wygody — i z wysokości wałów obronnych przyglądał się nadchodzącej zagładzie. Wiatr podsycił płomienie, które zaczęły już konsumować drugą połowę wioski. Za murami widział tłum wieśniaków przyglądających się bezradnie, jak dorobek całego ich życia idzie z dymem. Bez jedzenia i dachu nad głową niewielu z nich zdoła przetrwać tę zimę. Czerwona łuna podkreślała dodatkowo rozpacz malującą się na ich twarzach. Katon poczuł ukłucie w sercu, gdy zdał sobie sprawę z prawdziwych konsekwencji tej bitwy. Wiedział też, że cokolwiek się wydarzy, jego los też jest już przypieczętowany.

Za wieśniakami w ciemności nocy stały masy germańskich wojowników czekających cierpliwie, aż ogień wygna obrońców z wysokich wałów.

Im dłużej trwała ta noc, tym bardziej Katon się dziwił, że otaczający go żołnierze wydają się pogodzeni z tym, iż nadchodzi ich koniec. Oficerowie i zwykli legioniści rozmawiali ze sobą spokojnie, przyciszonymi głosami, jakby nie dzieliła ich przepaść służbowych zależności. Jak widać, śmierć potrafiła zniwelować wszelkie podziały. On sam zaczynał odczuwać dziwne uniesienie. Cieszyło go, że znajduje się pomiędzy ludźmi, którzy lada moment ruszą do ostatniego marszu ku zagładzie. Wkrótce jego też ogarnął niesamowity spokój, odkrył nawet z niemałym zdumieniem, że na twarzy ma uśmiech. Kiedy spojrzął na surowe oblicze stojącego obok doświadczonego weterana, ten odpowiedział mu podobnym grymasem. Nie odezwali się do siebie, nie musieli tego robić.

Ogień dotarł do nich w momencie, gdy na niebie pojawiły się pierwsze zwiastuny przedświtu. Witeliusz rozkazał uformować kolumnę tuż za bramą. Trybun przystanął tylko na moment, aby rozważyć los najciężej rannych, tych, którzy nie potrafili iść o własnych siłach. Większość z nich prosiła, aby pozostawiono im miecze, którymi mogliby się bronić do ostatka albo przynajmniej odebrać Germanom dziką radość z ponizania i torturowania pojmanych wrogów. Witeliusz zastanawiał się jednak, czy bardziej humanitarnym rozwiązaniem nie będzie rozkaz dobitcia ich wszystkich jeszcze przed wymarszem kohorty. Gdy tak stał, patrząc w wylęknięte twarze rannych, usłyszał wołanie wartownika z wieży.

— Ruszyli!

Zdawać się mogło, że Germanie nie wytrzymali napięcia i ulegli własnej niecierpliwości. Zatem bitwa rozegra się przy tym kawałku umocnień, nie będzie ostatniego szturmu, pomyślał z żalem Witeliusz. Wspiął się ociężale na kamienne stopnie wiodące na szczyt wieży i wyszedł na platformę, na której wartę pełnił Katon i kilku towarzyszących mu żołnierzy. Optio wyglądał na zdziwionego, trybun zrozumiał dlaczego, gdy sam rzucił okiem na przedpole.

Germanie ruszyli, to fakt, ale nie na wioskę, tylko na boki i uchodzili polami, byle znaleźć się jak najdalej od traktu prowadzącego w stronę odległych lasów.

— Co jest? — mruknął Witeliusz, marszcząc brwi.

— Panie... co oni wyprawiają?

— Pojęcia nie mam.

Wojownicy przyspieszyli kroku, zostawiając przed bramą grupkę osamotnionych wieśniaków. Katon nie wierzył własnym oczom, ale moment później usłyszał nowy dźwięk, który przebijał się nawet przez ryk szalejących za jego plecami płomieni. To były trąbki! Na szczycie wzgórza zaroiło się od jeźdźców, prowadzili ich oficerowie w czerwonych płaszczach i grzebieniastych hełmach.

Zdaje się, że Wespazjan nie czekał do świtu z wysłaniem odsieczy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dyżurny sanitariusz zaklął pod nosem, słysząc dźwięk dzwonka dobiegający z korytarza legionowego lazaretu. Ten pacjent był niemożliwy. Nieustannie domagał się dostarczenia komuś wiadomości, przyniesienia jedzenia albo wina, a na domiar złego bez przerwy marudził, że jego noga leży w niewłaściwej pozycji, a kiedy mu ją poprawiali, natychmiast żądał, aby wróciła na poprzednie miejsce. Gdyby nie to, że był centurionem i przewyższał stopniem wszystkich w tym szpitalu, nie wyłączając głównego chirurga, zabrano by mu ten dzwonek i pozostawiono samemu sobie, aby szczeł. Niestety, człowiek ten posiadał wysoki stopień, więc przysługiwała mu izolatka, dzwonek i posługa ze strony każdego sanitariusza, który miał tego pecha, że pełnił akurat dyżur.

Pozostałych legionistów, którzy odnieśli rany w niedawnej bitwie z Germanami, umieszczono w zwykłych pięcioosobowych salach, nie zapewniając im żadnych przywilejów — zwłaszcza tym o najniższym statusie — prócz jedzenia, opatrunków i rzadkich wizyt chirurga albo jednego z jego pomocników zmieniających bandaże, osuszających dreny i sprawdzających, czy pacjenci zdrowieją. Tym, którzy nie byli w stanie chodzić, podstawiano baseny — sanitariusze opróżniali je trzy razy dziennie, ale centurionowi usługiwano częściej — za każdym razem, kiedy raczył się załatwić.

Rana nogi była poważna, mogła nawet okazać się śmiertelna, gdyby Macro nie założył sobie na udo prowizorycznej opaski

uciskowej. Chirurg zszył mu najpierw krawędzie rozerwanego mięśnia, potem skórę, pozostawiając jednak niewielki otwarty odcinek, aby odsączać ropę i osuszać ranę. Nakazał też centurionowi pozostanie w łóżku do czasu, kiedy rozcięcie się zasklepi, i sporo odpoczynku do momentu całkowitego wyleczenia. Potem uśmiechnął się pod nosem, czekając na koniec strumienia soczystych obelg, które usłyszał w odpowiedzi, i zapewnił centuriona solennie, że II Legion poradzi sobie bez jego pomocy w ciągu najbliższych kilku tygodni. Wyznaczył też sanitariusza do stałej opieki nad oficerem, a potem pokiwał głową w zadumie, wyrażając tym sposobem zawodowe zadowolenie z dobrze wykonanej roboty, i opuścił izolatkę, aby zająć się pozostałymi pacjentami, których trybun Witeliusz dostarczył mu w tak wielkiej liczbie. Spora część rannych wydobrzała w ciągu paru następnych dni, kilku jednak zmarło — ku wielkiemu niezadowoleniu chirurga, który każdą śmierć traktował jako osobisty afront i podważenie zawodowych umiejętności — a pozostali dochodzili jakoś do siebie, każdy we własnym tempie, w zależności od tego, ile odnieśli ran. Medyk cieszył się jedynie, że nie przywieziono mu żadnych Germanów — tych, którzy nie popełnili samobójstwa albo nie zostali zabrani przez swoich, litościwie dobito z rozkazu Wespazjana, dzięki czemu szpital uniknął kontaktu z bandą cuchnących gównem barbarzyńców.

Niestety, nie dało się tego powiedzieć o osadzie znajdującej się tuż za murami fortecy, którą dzień później zalała fala uchodźców ze spalonej wioski. Kilku szczęściarzom udało się wybłągać ką u dalekich krewniaków albo znajomych, tych samych, którymi wszyscy Germanie pogardzali do niedawna za przyjęcie rzymskich zwyczajów. Dzisiaj ci ostatni byli górą. Cała reszta uchodźców będzie usiłowała dotrzeć do wiosny, gnieźdząc się w ziemiankach i prymitywnych chatach, które pozwolono im postawić na skraju osady. Wielu z nich nie przeżyje jednak tak ciężkiej zimy, ale tym akurat nikt specjalnie się nie przejmował, ani w fortecy, ani w osadzie, gdyż dzięki tym właśnie ludziom nastąpiły ciężkie czasy — legioniści znów zaczęli podchodzić nieufnie do wszystkiego co germańskie.

Po raz kolejny rozległ się dźwięk dzwonka, tym razem bardziej natarczywy, a sanitariusz wyraźnie zwolnił kroku, zmierzając ku lepiej wietrzonym pomieszczeniom dla oficerów, znajdującym się na samym końcu korytarza.

- Ruszajże się człowieku, do licha! — wydarł się Macro. — Całą wieczność na ciebie dzwonię!
- Wybacz, panie, że kazałem ci czekać — przeprosił go sanitariusz — ale właśnie umarł nam kolejny pacjent. Musiałem się upewnić, że jego rzeczy trafią do tych z jego przyjaciół, których wskazał przed śmiercią.
- I oddacie im je?
- Chłopcy i ja zawsze robimy wszystko, aby rzeczy trafiły tam, gdzie trzeba.
- Jak już wybieriecie z nich, co chcecie.
- Oczywiście, panie.
- Przeklęte ścierwojady.
- Ścierwojady? — Sanitariusz nastroszył się. — To po prostu jedna z nielicznych korzyści płynących z naszego zawodu, panie. Czego sobie życzysz tym razem?
- Zabieraj to. — Macro wskazał mu basen. — I dorzuć do ognia, bo zimno tu, jak nie wiem.
- Tak, panie. — Sanitariusz przeniósł ostrożnie przepelnione naczynie i ustawił je na niskim stoliku. — Mamy dzisiaj piękną pogodę, panie. Niebo jest błękitne i zupełnie nie ma wiatru.
- Doprawdy? Dzięki za tę informację. Ale ja tu zamarzam.
- Nie zamarzasz, panie, my tu po prostu wietrzymy. To dobre dla twojego zdrowia.
- Niby w jaki sposób? Jeśli ta rana mnie nie wykończy, umrę z wyziębienia.

Sanitariusz, uśmiechając się pod nosem do tej myśli, dorzucił kilka drew na żarzące się jeszcze węgle i podmuchał na nie przez chwilę, żeby szybciej rozniecić ogień.

- Dobrze, a teraz zabieraj basen i spieprzaj stąd.
- Tak, panie. — Posłusznie podniósł naczynie i ruszył ostrożnym krokiem w stronę wyjścia. W tym momencie drzwi zniecka

się otworzyły pchnięte przez Katona, zmuszając sanitariusza do wykonania szybkiego skreću. Jakimś cudem jednak udało mu się nie uronić nawet kropli. Na odchodnym rzucił nienawistne spojrzenie w stronę optio, który przepuścił go uprzejmie, a nawet zamknął za nim drzwi.

Katon podszedł do łóżka i spojrzał na leżącego, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Dobrze cię widzieć, panie.
- Po raz pierwszy od trzech dni.
- Miałem sporo zajęć podczas twojej nieobecności, panie. Staralem się utrzymać porządek w centurii, kiedy ty zdrowiałeś. Jak tam noga?
- Sztywnieje i boli za każdym razem, gdy próbuję ją ruszyć, jakby mnie ktoś dymał w ranę. Ale konowały twierdzą, że idzie ku lepszemu.
- Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem, panie.
- Nic mi nie było, taka tam infekcja. Chirurg twierdzi, że już po wszystkim.
- Kiedy zatem wracasz na służbę, panie?

Ukryty sens tego pytania i strach dający się wyczuć w głosie optio nie uszły uwagi Macro. Spoglądał na Katona, milcząc, tylko węgle w piecyku syczały cicho.

- Wydawało mi się, że kto jak kto, ale tak młody optio będzie się cieszył z możliwości objęcia dowództwa.
- I cieszy mnie to, panie.
- Ale... — pociągnął centurion.
- Nie miałem pojęcia, ile z tym roboty. Trzeba przygotowywać ćwiczenia, inspekcje koszar, przeglądy ekwipunku, no i jeszcze ta robota papierkowa.
- Tę powinieneś zostawić na głowie Piso. Ja tak robiłem.
- Tak, ten człowiek jest bardzo pomocny, panie. Sam nalegał, bym mu to zostawił. Ale otrzymaliśmy właśnie rozkaz wykonania inwentaryzacji całego wyposażenia oraz przedmiotów osobistych nie nadających się do noszenia. Co gorsza, kwatera główna rozkazała zdeponowanie w skarbcu legionu wszystkich posiadanych pieni-

dzy powyżej kwoty dziesięciu sestercji. I mamy to zrobić do końca tygodnia. Czy oni zawsze wymagają tak wielkiego pośpiechu, panie? — zapytał bezradnie Katon.

— Nie.

Zatem legion wyruszy w najbliższym czasie, pomyślał Macro. Rozkaz zdeponowania pieniędzy powyżej określonej kwoty miał na celu to, by żołnierze nie targali ze sobą całej masy śmieci kupowanych w ostatniej chwili. A rzeczy ze wspomnianego spisu przedmiotów nie nadających się do noszenia trafią do magazynów legionu albo na sprzedaż. To drugie rozwiązanie sugerowało, że wyruszają na dłuższy czas. Ciekawe. Ale, przypomniał sobie Macro, w takich sytuacjach ewakuowano także rannych, zabierając ich wozami, a to oznaczało całe dnie bolesnych podskoków na każdym wyboju. Maszerowanie wiązało się ze sporym wysiłkiem, ale stanowiło tylko kolejne ćwiczenie dla sprawnych mięśni i było zdecydowanie znośniejsze niż podrygiwanie na płaskim posłaniu wozu transportowego.

— Wiesz, gdzie nas wysyłają?

— Nie mamy jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale plotka głosi, że dołączymy do armii inwazyjnej wyruszającej na podbój Brytanii.

— Brytania? Który cesarz przy zdrowych zmysłach chciałby przyłączyć takie zadupia do imperium? Toż to dzicz, ruiny i bagna, jeśli plotki nie kłamią. Brytania! Co za niedorzeczność.

— Tak słyszałem, panie — stwierdził Katon obronnym tonem. — A patrząc na tę kwestię z drugiej strony: potrafisz wymienić imperatora, który był przy zdrowych zmysłach ostatnimi czasy?

— Celna uwaga! — Macro poweselał. — A co do tej pisaniny, o której wspominałeś, niestety, to ważny element dowodzenia centurią. Musisz do niej przywyknąć albo zrzucić ją na głowę Piso.

— Tak naprawdę nie papierkowa robota jest dla mnie najgorsza, panie — przyznał nieco skrępowany optio.

— Co zatem?

— Chodzi o tę drugą stronę dowodzenia, panie. Ja nie potrafię wydawać rozkazów innym ludziom.

— To znaczy?

Katon przestąpił z nogi na nogę wyraźnie zawstydzony, próbując znaleźć właściwe słowa do opisania problemu.

— Wiem, że jestem optio i ludzie mają mnie słuchać, ale to wcale nie znaczy, że oni wykonają każdy rozkaz wydany przez... co tu dużo mówić, takiego szczyła jak ja. Nie zrozum mnie źle, panie. Nie chodzi o to, że odmawiają wykonywania rozkazów, co to, to nie. Nikt też nie nazywa mnie już tchórzem, ale nadal nie cieszę się ich szacunkiem.

— Tego akurat nie musisz mi mówić. Szacunek nie pojawia się znikąd, trzeba sobie na niego zasłużyć. To samo dotyczy każdego nowego oficera. Ale ludzie będą cię słuchać, bo do tego są przyzwyczajeni. Cała sztuka polega na tym, żeby wykonywali wydawane im rozkazy z ochotą, a żeby to osiągnąć, musisz najpierw zaskarbić sobie ich zaufanie. Dopiero potem zaczną cię szanować.

— Ale jak mam tego dokonać, panie?

— Najpierw przestań się mazać. No i zacznij się zachowywać jak prawdziwy optio.

— Nie potrafię, panie.

— Co znaczy nie potrafię? Ty, kurwa, musisz się tak zachowywać! — Macro podparł się na łokciach, aby przesunąć nogę i ułożyć ją wygodniej.

— Tak, panie.

— I dołóż trochę drewna do tego ognia, zanim zupełnie wygaśnie, tylko suchego. I zamknij to rżnięte w rżnięte okno.

— Jesteś pewien, panie? Świeże powietrze ponoć przyspiesza gojenie.

— W takim razie to powietrze nie jest wcale takie świeże. Otwieranie okna przyspiesza jedynie chęć na zlanie się do łóżka, więc zamknij mi je, i to już!

— Tak, panie. — Katon natychmiast wykonał polecenie centuriona, a potem pochylił się nad stosem drewna, aby wybrać najbardziej przesuszone i dorzucić je do pieca.

— Zauważyłeś? — zapytał Macro.

— Co takiego, panie?

— Jak szybko zrobiłeś to, co ci kazałem? — Optio skinął głową.
— O tym właśnie mówiłem. Chodzi o ton głosu. Musisz nauczyć się wydawania rozkazów, dopiero wtedy będą brzmiały naturalnie. Ale jak już to przyswoisz, pójdzie jak z płatka. Rozkazywanie jest tak naturalne jak oddychanie.

— Skoro tak mówisz, panie.

— Tak mówię. A teraz gadaj, co tam słysząc nowego? — Macro oparł się wygodniej o zagłówek. Teraz kiedy okno było zamknięte, tylko żar bijący z piecyka oświetlał jego izolatkę, jeśli nie liczyć kilku promieni wpadających przez szpary w okiennicy. — Przysuń sobie zydelek i gadaj o wszystkim. Co jeszcze się wydarzyło?

Katon poruszył się nerwowo.

— Dzisiaj rano legat wezwał mnie do kwatery głównej.

— Tak? — mruknął Macro, uśmiechając się zagadkowo. — I co też takiego Wespazjan miał ci do powiedzenia?

— Niewiele... Odnaczył mnie wieńcem z trawy. Sam nie wiem dlaczego.

— Może dlatego, że rekomendowałem cię do tego odznaczenia

— roześmiał się centurion. — Pamiętasz jeszcze, że uratowałeś mi życie? Chociaż prawdę powiedziawszy, o mało nie zgubiłeś *vexillum* w czasie tej akcji. Należało ci się, a kiedy chłopcy zobaczą falerę przy twoich paskach, od razu zaczną cię lepiej traktować. Wszyscy żołnierze szanują tych, którzy zasłużyli na odznaczenie. No i jak to jest być bohaterem?

Katon splonął się, tylko ciemności panującej w pokoju zawdzięczał, że centurion nie zauważył pąsu na jego policzkach.

— Szczerze powiedziawszy, czuję się jak oszust.

— Dlaczego, na wszystkich bogów?

— Nie mogę być bohaterem po stoczeniu jednej bitwy.

— Raczej potyczki, tego starcia bitwą bym nie nazwał.

— No właśnie, panie. Potyczki, i to takiej, w czasie której udało mi się ogłuszyć, i to zupełnym przypadkiem, aż jednego przeciwnika. Trudno po czymś takim zgrywać bohatera.

— Zabijanie ludzi podczas bitwy nie czyni z nikogo bohatera

— zapewnił go Macro. — Chociaż pomaga w uzyskaniu tego tytułu,

a im większy stos poległych wrogów, tym lepiej. Niemniej są też inne sposoby, by zasłużyć sobie na ten tytuł. I tu dochodzimy do sedna sprawy; na twoim miejscu nie rozgadywałbym wszem wobec, że stuknąłem w głowę tylko jednego biednego dzikusa. Widzisz, mogłeś uciec, ale nie zrobiłeś tego, tylko wróciłeś po mnie. I to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Takie zachowania nazywamy bohaterskimi i dlatego cieszę się, że tam byłeś.

Katon gapił się szeroko otwartymi oczami, szukając śladów ironii na twarzy przełożonego.

- Mówisz poważnie, panie?
- Pewnie. Czy okłamałem cię chociaż raz?
- Nie, panie.
- Sam więc widzisz. Przyjmij to wyróżnienie z godnością i nie zgrywaj się przede mną. Zakładam, że otrzymasz je z należnymi honorami.
- Tak, panie. Za dwa dni ma się odbyć uroczysta parada. Wtedy zostaną przyznane odznaczenia. Nawet Witeliusz ma otrzymać jedno.
- Naprawdę? — mruknął z przekąsem Macro. — Jestem pewien, że będzie świetnie wyglądało w jego CV, kiedy wróci do Rzymu.
- Potem, wieczorem, ma się odbyć specjalna uczta dla wybranych. Zaproszeni są wszyscy oficerowie służący w trzeciej kohorcie, którzy walczyli w wiosce. To znaczy ci, którzy przeżyli.
- To się legat nie wykosztuje. Ale to typowe dla Wespazjana. Ma szeroki gest, jeśli da się go wykonać za grosze.
- Nalegał, byś też się tam pojawił, panie.
- Ja? — zdziwił się Macro. — A niby jak tam dojdę?
- Też zapytałem o to legata.
- Tak. I co odpowiedział?
- Wyśle po ciebie lektykę, panie.
- Lektykę? A to dobre. Mam odgrywać przez cały wieczór inwalidę, a w nagrodę dostąpię zaszczytu osobistej rozmowy z legatem. Szykuje się pieprzony koszmar.
- Możesz nie iść, panie.

— Nie iść? — Macro uniósł brew ze zdziwienia. — Chłopcze, zwykłe zaproszenie ze strony dowódcy legionu ma o wiele większą wagę niż wszystkie nakazy wydane osobiście przez Jowisza.

Katon roześmiał się i wstał ze stołka.

— Lepiej już pójdę. Czy chcesz, abym ci coś przyniósł następnym razem? Może coś do czytania?

— Nie, dziękuję. Muszę dać odpocząć moim oczom. Ale możesz przytachać dzban wina i kości. Muszę poświęcić technikę rzucania.

— Kości... — Chłopak wydawał się rozczarowany tą odpowiedzią, nie potrafił zrozumieć ludzi, którzy uparczywie odmawiali uznania, że kości są grą losową. Do momentu gdy ktoś nie zacznie oszukiwać. Skinął jednak głową i ruszył do drzwi izolatki.

— I jeszcze jedno — zawołał za nim Macro, zanim zamknęły się drzwi.

— Tak, panie?

— Przypomnij Piso, że jest mi winien pięć sestereji.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Centurion Bestia przyglądał się każdej mijanej twarzy, wędrując spokojnym krokiem wzdłuż szeregu legionistów. Inspekcje były jednym z najbardziej pracowitych elementów szkolenia rekrutów. Maszerowanie, musztra, ćwiczenia z bronią — wszystko to wymagało minimalnej uwagi, ale przygotowanie do inspekcji to zupełnie inna sprawa. W jego mniemaniu urastająca wręcz do rangi sztuki. Każdy element rynsztunku musiał być oczyszczony, wypolerowany bądź naprawiony — wszędzie tam, gdzie było to możliwe, choć niekonieczne. Rekruci znali wprawdzie kilka sztuczek, ale ponieważ dobrze wiedzieli, że Bestia wykryje je wszystkie, próby oszustwa mógł się dopuścić jedynie szaleniec albo desperat. Dlatego też Katon, stojąc na baczność, pocił się jak mysz i wzywał wszystkich bogów, którzy mogli mieć cokolwiek wspólnego z jego sytuacją, aby centurion nie zauważył śladów smarowidła na paskach — użył go za radą Pyraksa, gdy wizyta w lazarecie pozbawiła go czasu potrzebnego na wypolerowanie skóry. Stał teraz z włócznią, w lewej dłoni dzierżąc uchwyt tarczy, ze świadomością, że unosi się wokół niego słaby, ale wciąż wyczuwalny zapach pokostu. Jeśli Bestia dotknie któregoś paska, z pewnością zorientuje się w oszustwie i ukarze Katona.

Oddalony o cztery osoby od niego centurion już zwietrzył ofiarę i przyspieszył kroku, nie zaszczycając mijanych rekrutów wielką uwagą.

- Ach! Optio! — Słowo to z trudem przeszło mu przez usta.
- Tak się cieszę, że do nas dołączyłeś dzisiejszego ranka. — Jego kąśliwa uwaga jak zwykle pozbawiona była podstaw. Katon nie miał nic wspólnego z tym, że dowództwo nakazało zwolnienie go z kilku innych ćwiczeń, aby miał czas na zajęcie się sprawami centurii. — Proszę, proszę. Jeśli dobrze rozumiem, zostałeś kimś w rodzaju bohatera wojennego, mój dzielny Katonie? — Chłopak zmilczał, patrząc prosto przed siebie. Nie śmiał nawet mrugnąć okiem.
- Wydaje mi się, że zadałem ci pierdolone pytanie — stwierdził Bestia i odwrócił się do optio, który towarzyszył mu zawsze podczas przeprowadzania inspekcji. — Czy ja mu zadałem pierdolone pytanie?
- Tak, panie! — odparł zastępca. — Zadałeś mu, panie, pierdolone pytanie!
- Zatem odpowiadaj!
- Tak, panie — wydarł się Katon.
- Pełnym zdaniem!
- Tak, zostałem kimś w rodzaju bohatera wojennego, panie
- odpowiedział chłopak, ale już znacznie ciszej.
- Wybacz mi, kurwa, synku, ale chyba ogłuchłem na starość!
- wydarł się Bestia — Nie dosłyszałem cię. Powtórz jeszcze raz. Ale tym razem głośniej!
- Tak, zostałem kimś w rodzaju bohatera wojennego, panie!
- Naprawdę? Taki młodzik jak ty musiał napędzić niezłego stracha Germanom. Powiem ci, że sam się kurewsko boję, kiedy tak patrzę na ciebie. Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy posyłać na front jebane noworodki.
- Salwa śmiechu przetoczyła się nad szeregami rekrutów.
- Mordy w kubeł! — wrzasnął Bestia. — Czy ja wam, moje panienki, pozwoliłem na śmiechy? No, gadać! Pozwoliłem?
- Nie, panie! — odpowiedział mu chór głosów.
- Widzisz, bohaterze wojenny, teraz masz przynajmniej po co żyć. — Bestia przysunął się tak blisko do twarzy Katona, że ten widział wszystkie zmarszczki i blizny zdobiące oblicze weterana, nie mówiąc już o zaczerwienionych nozdrzach. Chłopak omal nie

parsknął śmiechem, gdy centurion cofnął się o krok, by wysiąkać nos w kawał brudnego lnu.

— Z czego tak rżysz, gnojku, nie widziałeś nigdy przeziębionego człowieka?

— Widziałem, panie.

— Mam na ciebie oko, optio. Popelnij choć jeden błąd, a ta ręka nie będzie znała litości — wywarczał Bestia, zanim niechętnie ruszył dalej.

— Dla mnie nie nowina — mruknął chłopak, gdy centurion oddalił się od niego.

Stojący za nim zastępca centuriona zachichotał na odchodnym, a Katon momentalnie zbladł. Oficer nie zareagował jednak na tę uwagę, obrzucił go tylko rozbawionym wzrokiem i pospieszył za swoim przełożonym.

Tego ranka Bestia zmienił zasady. Zamiast planowanych ćwiczeń z bronią rekruci zostali zaznajomieni z podstawami budowy obozu wojskowego, a potem wymaszerowali poza mury fortecy, w pobliże wielkiego kwadratu wyznaczonego za pomocą flag, podzielonego dodatkowo na wiele mniejszych pól. Przy trakcie czekał tam na nich wielki wóz z zaopatrzeniem. Para zaprzęgniętych do niego wielkich, przeżuwających siano wołów przyglądała się tępym wzrokiem gromadzie rekrutów otaczających Bestię.

— Czy któraś z was, panienki, wie, co trzymam teraz w dłoniach? — zapytał centurion.

Rekruci milczeli, żaden nie chciał zaryzykować.

— Tak jak myślałem, głupie jesteście bezdennie. Choć te przedmioty mogą wam wyglądać na najzwyklejsze w świecie narzędzia ogrodnicze, zapewniam was, że patrzycie teraz na jedną z najtajniejszych broni posiadanych przez naszą armię. W rzeczy samej, jest to najważniejsza broń, jaką kiedykolwiek dostaniecie do ręki. Dzięki niej będziecie w stanie wybudować najwspanialsze fortyfikacje znanego świata. Rzymskie armie przegrywają od czasu do czasu, ale zbudowane przez nie fortyfikacje nie padły jeszcze nigdy! Pewnie niektóre z was słyszały już plotki o tym, że nasz legion zostanie niedługo przeniesiony... — Ostatnie zdanie powitane zostało

cichym pomrukiem; było to w końcu pierwsze oficjalne potwierdzenie plotki krążącej od wielu dni po kantynach legionu. Bestia pozwolił mu przetoczyć się aż do najdalszych szeregów, zanim podjął temat. — Tak się jednak składa, że wy, moje drogie cipcie, nie macie bladego pojęcia o celu tej wyprawy, który starszym oficerom, takim jak choćby ja, jest już znany. Na razie musi wam wystarczyć wiadomość, że nadchodzą ciekawe czasy. Zanim jednak opuścicie gościnne progi tej bazy, musicie się dowiedzieć, jak powstają fortyfikacje, począwszy od obozu, w którym będziecie nocowali podczas przemarszu, a skończywszy na podwójnych szańcach. — W tym momencie niemal wszyscy się pogubili. Tylko nieliczni rekruci, znający relację Cezara z oblężenia Alezji, mogli z grubsza zrozumieć, o czym teraz mówił. — Spokojnie, moje panienki, zaczniemy od rzeczy prostych, ponieważ jestem pewien, że wy wszystkie, może z wyjątkiem naszego bohatera wojennego, mogłybyście pogubić się przy próbach zrozumienia potencjału obronnego czegoś bardziej skomplikowanego niż zwykły rów. Dlatego naukę rozpoczniemy od rozbijania prostego obozu na nocleg. Gdy legion operuje na terytoriach uznawanych za przyjazne, zazwyczaj ogranicza się do wykopania suchej fosy i ustawienia prostej palisady wokół miejsca postoju. Każdy legionista, czyli wy, moje panie, otrzyma teraz po kilofie i łopacie. Na razie nie interesujcie się chorągiewkami w kolorze żółtym, oznaczyliśmy nimi miejsca postoju poszczególnych centurii. Czerwone chorągiewki wyznaczają zewnętrzną granicę terenu, który macie zabezpieczyć. Będziecie kopać rów od tej linii do wewnątrz, ma mieć sześć stóp szerokości i trzy głębokości, inaczej mówiąc, dwie łopaty na szerokość i jedna na głębokość. Z wybranej ziemi usypiecie po wewnętrznej stronie wał, który następnie porządnie ubijecie. Każdy z was ma wykopać odcinek o szerokości sześciu stóp, poczynając od tej chorągiewki. Jako pierwszy do boju ruszy nasz wielki bohater wojenny. Wszystkie panny zrozumiały, co powiedziałem? W takim razie zapraszam do pobrania sprzętu i rozpoczęcia roboty.

Gdy wszyscy rekruci wyfasowali po kilofie i łopacie — których cena, jak Katon słusznie się domyślał, zostanie im odliczona od

żołdu — ustawiono ich na linii wyznaczonej czerwonymi chorągiewkami. Bestia wydał rozkaz rozpoczęcia pracy. Tuż pod darnią ziemia była wciąż zmarznięta na kość i rekruci musieli ją najpierw pokruszyć za pomocą kilofów, wkładając całą siłę w kolejne uderzenia, aby wyrzucić bryły gliniastego podłoża poza skraj wytyczonego rowu. Poranek nie zdążył się skończyć na dobre, a oni już zapomnieli o mrozie. Pot lał się z nich strumieniami, bawełniane tuniki przyklejały się do mokrych pleców. Kopanie rowu nie byłoby wyczerpującym zajęciem dla żołnierzy zaprawionych miesiącami ciężkich ćwiczeń, ale Bestia tym razem nie zezwalał im na żadne przerwy, przypominając, że maszerujący legion każdego wieczora będzie wymagał od nich podobnego wysiłku. Obolałe dłonie wkrótce pokryły się pęcherzami, a gdy te popękały, pojawiły się piekące przy każdym ruchu obtarcia od drewnianych trzonek, które miały się wygładzić dopiero po wielu miesiącach wytężonej pracy. Katon cierpiał katusze, zaciskając mocno zęby, ale ci z rekrutów, którzy wcześniej byli rolnikami, traktowali kopanie rowu jak najzwyczajszą rzecz pod słońcem. Pech chciał, że ustawiono go znów obok Pulche-ra i ledwie centurion oddalił się poza zasięg głosu, Piękniś zaczął się nad nim pastwić.

— Bohater wojenny? Z ciebie? — wychrypiał były skazaniec.

— Mało kurwa prawdopodobne. Komu dałeś dupy, żeby zostać przedstawionym do odznaczenia? — Katon nie odpowiedział, kopał dalej, nie odrywając wzroku od ziemi. — Hej, mówię do ciebie!

— Znów żadnej reakcji. — Co to? Nie znamy manier? Sądziłem, że zostałeś lepiej wychowany. A może wydaje ci się, że jesteś za dobry, żeby rozmawiać z kimś takim jak my? — Roześmiał się, spoglądając na następnego rekruta w rzędzie. — Wygląda na to, że nasz bohater wojenny marzeniami jest już w kadrze oficerskiej.

— Cicho tam! — wydarł się któryś z instruktorów. — Żadnych rozmów podczas kopania.

Pulcher wrócił do kopania, machając narzędziami z teatralną przesadą, a gdy upewnił się, że nikt nie patrzy w jego stronę, nabrał ziemię na łopatę i cisnął ją prosto w twarz Katona.

— Zignoruj mnie jeszcze raz pojebańcu. a tak cie...

— Co mi zrobisz? — zapytał gniewnie optio, obracając się do niego z uniesionym kilofem. — No mów, co ze mną zrobisz! Śmiało, kurwi bękaracie!

Piękniś zacisnął dłonie na stylisku łopaty, ale szósty zmysł musiał mu coś podszeptać, bo odwrócił się błyskawicznie, zanim Bestia zdążył do nich podejść

— Co tu się wyrabia? Bohater wojenny zdecydował się na przerwę bez pozwolenia?

— Nie, panie.

— Dlaczego jesteś taki brudny, chłopczyku?

— Panie, ja...

— Odpowiadaj na pierdolone pytanie!

— Poślizgnąłem się, panie, kiedy rzucałem ziemię na wał.

— Zatem jesteś zmęczony, chłoptasiu? — zapytał znów Bestia, udając zaniepokojenie.

— Tak, panie, ale...

— Wygląda na to, że miałeś za mało gimnastyki. Pięć wieczorów czyszczenia latryn powinno nadrobić te straty.

— Panie, miałem uczestniczyć w uczcie wydanej przez legata po jutrzejszej uroczystości.

— Jeśli wybierzesz gówna dwa razy szybciej, może uwiniesz się z robotą przed czasem. — Bestia uśmiechnął się słodko. — Tylko nie zapomnij się potem przebrać, bo Wespazjan dołoży ci jeszcze parę dyżurów.

Centurion wybuchnął śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę poklepał Katona po ramieniu i ruszył dalej.

— Jebię cię, draniu — zaklął chłopak za jego plecami i zamarł z przerażenia, gdy Bestia wykonał szybki zwrot i wskazał go palcem.

— Powiedziałeś coś, czy się przesłyszałem?

— Tylko: „dzięki ci, panie”, panie.

— Jaja sobie ze mnie robisz, synku?

— Nie, panie — odparł sztywno Katon. — Wyrażam tylko wdzięczność za umożliwienie poprawy, abym mógł stać się legionista. 7, którego będziesz kiedyś dumny, panie

Bestia spoglądał na niego groźnie przez dłuższą chwilę, a potem odwrócił się raptownie i odszedł, pozwalając Katonowi kopać. Ramiona stojącego obok Pulchera zatrzęsły się od tłumionego śmiechu.

— Zapamiętam to sobie — mruknął optio.

— Och, już się boję. Chyba popuściłem ze strachu w gacie — odparł szeptem Piękniś.

Katon przyglądał mu się przez chwilę, ale już bez takiego strachu jak zazwyczaj, kierowała nim teraz wyłącznie ciekawość. Zastanawiał się bowiem, kiedy ten śmieć znów spróbuje szczęścia. Wydając gniewny pomruk, uderzył ostrzem kilofa w zamrzniętą ziemię, wkładając w to wszystkie siły, a potem, z wielkim trudem, wyszarpnął wielką bryłę twardej gliny. Musiał coś zrobić z Pulcherem, i to szybko.

W południe Bestia zarządził przerwę w kopaniu. Rekruci ustawili się w równym szeregu, czekając na ocenę dotychczasowej pracy. Dłuższy bezruch sprawił, że pot, którym ociekali, zrobił się zimny i lepki. Niemal wszyscy zaczęli drzeć, czując na skórze oblepiające ich lodowate tuniki, ale instruktorzy przechodzili wzdłuż szeregu bardzo powoli, uważnie przyglądając się każdemu stanowisku. Rów był bardzo nierówny od wewnętrznej strony. Wielu kopiających zapomniało bowiem o wymaganej szerokości dwóch łopat. Inni z kolei nie zdołali wykonać planu i wybrać tak wielkiej ilości zmarzniętej ziemi, a co za tym idzie, nie dotarli tak daleko jak ich sąsiedzi. Tylko kilka tuzinów ludzi zdołało wyrobić normę i zadowolić marudnego centuriona. Katon i Pulcher należeli do tej ostatniej grupy.

— Szczerze powiedziawszy, moje panie, sądzę, że okoliczni barbarzyńcy nie muszą się obawiać zagrożenia ze strony imperium, dopóki takie psie szczyny jak wy będą zaciągały się do legionów. Jeśli ktoś nazwie ten dół suchą fosą, to ja jestem grecka kurtyzana. Wątpię, aby ta fortyfikacja utrzymała z dala od was cokolwiek prócz zimna. Dobra, panienki, teraz proszę mi to ładnie zasypać, potem będzie chwila przerwy i zaczniemy kopać z drugiej strony.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Katon musiał biec przez całą drogę z koszar, aby zdążyć na czas, ale stanął w końcu pod jasno oświetlonymi wrotami domu legata. Zatrzymał się przed nimi na moment, aby złapać oddech, a potem nałożył na głowę koronę z trawy. Przez jakiś czas doczepiona do szarfy falera wisiała na jego szyi, zdobiąc przód tuniki. W przyszłości miał ją umieścić na paskach swojej zbroi, gdzie pozostanie aż po kres jego życia, a gdy w końcu umrze, zostanie pochowana razem z nim. Katon zaczerpnął tchu i ruszył w stronę sługi siedzącego przy niewielkim stoliku za dwoma strażnikami. Gdy się zbliżył, żołnierze stojący na warcie skrzyżowali włócznie, dając mu znak, że ma się zatrzymać. Postąpił zgodnie z ich wolą.

— Jak cię zwą? — zapytał sługa.

— Kwintus Licyniusz Katon.

— Katon... — mruknął sługa, robiąc rysikiem znaczek na woskowej tabliczce. — Spóźniłeś się, Katonie. Spóźniłeś się, i to bardzo. Wpuście go.

Włócznie wróciły na swoje miejsce i optio mógł przejść przez bramę prowadzącą na dziedziniec domu legata.

— Idź prosto przed siebie — pouczył go sługa, wskazując wejście do głównego budynku. Gdy chłopak mijał go, niewolnik zmarszczył nos i zachmurzył się. Przez okno umieszczone nad kolumnadą widać było jasno oświetlone wnętrze, dobiegały też z niego dźwięki muzyki i śmiechy przebijające się przez głośny szmer toczonych

rozmów. Przybycie na ucztę o tak późnej porze było naganne, ale niepojawienie się na zaproszenie legata nie wchodziło w grę, podobnie jak zlekceważenie rozkazu Bestii, który kazał mu wyczyścić wszystkie latryny w obozie. Dzisiejszy dyżur trwał dłużej niż zwykle ze względu na szerzące się ostatnio w legionie zatrucia pokarmowe. Katon zdążył jedynie obmyć się, włożyć najczystsza tunikę i od razu popędził na koniec fortocy, ale i tak nie zdążył na początek uroczystości. Wiedział, że jego spóźnienie spotka się ze stosowną reprimendą i będzie się musiał zdrowo tłumaczyć, szedł więc w kierunku domu charakterystycznym krokiem-skazańca. Zastukał w drzwi, a one niemal natychmiast się otworzyły za sprawą majordomusa, który czekał przy nich, nie potrafiąc ukryć irytacji.

— Jesteś wreszcie. Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie dla legata.

— Poproszę go o wybaczenie, jak tylko będzie miał moment spokoju — obiecał Katon. — Czy nie mógłbym zająć mojego miejsca w dyskretny sposób?

— Obawiam się, że nie, mój chłopcze. Chodź za mną.

Majordomus zatrzasnął wrota i poprowadził Katona za ciężką kurtynę, do głównej sali. Była niewielka jak na pałacowe standardy, zauważył optio, ale urządzono ją na tyle wygodnie, na ile pozwalały warunki panujące na kresach imperium. Oświetlono ją bardzo jasno dzięki mrowiu lamp oliwnych zwisających gęsto z belek stropowych. Po obu stronach rozstawiono długie ławy nakryte poduszkami, na których zasiadali goście częstujący się potrawami umieszczonymi na niskich stołach. Katon zauważył ze zdziwieniem, że obecni są wszyscy trybuni i większość centurionów, sporo z oficerów przyprowadziło także swoje żony. Na otwartej przestrzeni pomiędzy ławami dwóch rosnących zapaśników jęczało i stękało, usiłując powalić przeciwnika poprawnym chwytem. W najdalszym rogu sali przysiedli grajkowie, którzy umilali zebrany czas, wygrywając skoczne, ale niezbyt głośne melodie. Katon rozglądał się za pierwszym wolnym miejscem na skraju ławy, które mógłby zająć, ale majordomus pokręcił tylko głową i poprowadził go w głąb sali, do stołu, przy którym biesiadował Wespazjan i najbardziej znamienici goście.

Przerażony Katon dostrzegł tam tylko jedno wolne miejsce, pomiędzy Macro a legatem. Generał zmarszczył brwi, gdy się zbliżyli, ale moment później na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech i nawet pomachał im ręką na powitanie.

- Optio! Zastanawiałem się właśnie, gdzież to zniknąłeś.
- Wybacz mi, panie — odparł Katon, siadając pospiesznie na wolnym miejscu obok centuriona. — Musiałem najpierw wywiązać się z obowiązków, które na mnie nałożono.
- A cóż to były za obowiązki?
- Wolałbym nie wspominać o nich podczas ucztowania, panie.
- Obawiam się, że wiele już do zjedzenia nie zostało. Rufulu-sie! Znajdź no mi coś dla optio, na pewno macie gdzieś jeszcze trochę smakołyków.
- Tak, panie. — Majordomus pokłonił się nisko, rzucając ostre spojrzenie w stronę Katona.
- Póki nie przyniosą nic lepszego, popróbuj nadziejanych koszątek. — Wespazjan wskazał złoty talerz, na którym równo ułożono pieczone gryzonie. — Napelniono je ziołami i miejscowymi serami. Podejrzewam, że nie są tak wyszukane jak potrawy, do których przywykłeś w pałacu, ale przypominają nieco naszą rodzimą kuchnię. Poczęstuj się.

Katon uczynił, o co go proszono, i chociaż mysz okazała się za mocno przypieczona, to i tak stanowiła miłą odmianę od codziennego legionowego jedzenia. Gdy przelykał ostatni kąsek, Wespazjan nakazał niewolnikowi wnieść ostatnie dania.

— Poczęstuj się też winem — legat wskazał na rząd amfor z Samos. — Mamy przednie caecuban i dość zacne massie. Resztkę falerneńskiego zachowałem na ostatni toast.

Oczy Katona rozbłysły, gdy usłyszał tę część oferty.

- Twój kucharz uradowałby nawet podniebienie Apicjusza, panie. Dziękuję za zaproszenie.
- Cała przyjemność po mojej stronie, synu. Spisałeś się dzielnie podczas tej scysji z miejscowymi. Zostawię cię teraz sam na sam z jadłem, żeby ci całkiem nie wystygło. Potem przedstawię cię kilku osobom. Część z nich zapewne już znasz. — Wespazjan uśmiechnął

się. — Moja żona stwierdziła, że nade wszystko pragnie się dowiedzieć ostatnich ploteczek z pałacu. Damy jej ku temu okazję, jeśli tylko uda mi się odciągnąć ją od tego flirciarza Witeliusza. — Legat wskazał głową na kraniec ławy, gdzie Katon wypatrzył trybuna siedzącego obok smukłej kobiety. Oboje wyglądali na całkowicie porażonych w rozmowie. Towarzyszka Witeliusza wysłuchała jego słów, a potem zaniosła się głośnym śmiechem. Wespazjan wyraźnie zeszywniał w tym momencie i znów zwrócił uwagę na siedzącego obok optio. — Jak już wspomniałem, to jednak może poczekać. Obawiam się, że muszę pilnie porozmawiać z prefektem obozu. Wybacz mi i rozkoszuj się przez chwilę jedzeniem.

Legat obrócił głowę w drugą stronę, a Katon pochylił się nad stołem, chłonąc oczami ogromny wybór potraw. Dopiero gdy nacieszył nimi wzrok, zaczął zadowalać kubki smakowe.

- Cóż tu tak cuchnie? — Macro zaczął węszyć podejrzliwie.
- Obawiam się, panie, że to ja, panie — odparł chłopak, napełniając kubek rubinowym winem massic.
- Co się stało? Cuchniesz jak tania dziwka.
- Cuchnę, bo użyłem pachnidła, które Pyrax dla nich kupuje.
- Wyperfumowałaś się? — Centurion odsunął się z przerażeniem w oczach.
- Musiałem, panie. Stałem po kolana w gównach przez całe popołudnie. Umyłem się potem dokładnie, ale smród nie chciał zniknąć, dlatego Pyrax zasugerował, żebym skropił się tym pachnidłem.
- Tak ci poradził?
- Tak, panie. Stwierdził, że lepiej cuchnąć jak tania dziwka niż zajeżdżać przy stole gównem.
- Można by z tą opinią dyskutować.
- A jak tam twoja noga, panie? — zapytał Katon, sięgając po kolejną kosztatkę.
- Coraz lepiej. Ale musi minąć jeszcze kilka tygodni, zanim zdołam stanąć o własnych siłach. Nie wybiegam myślami tak daleko w przyszłość, żeby się nie dołować bolesną przeprawą w wozie transportowym.
- Wiesz już może, dokąd nas wysyłają?

- Ćśś... Zamknij gębę! Nie powinniśmy jeszcze o tym wiedzieć. Wydaje mi się, że zostaliśmy tutaj zaproszeni, żeby wysłuchać tej wieści.
- Tak sądzisz, panie?
- A po co zapraszano by tutaj wszystkich oficerów, skoro to uczta na cześć odznaczonych? Mówię ci, że coś tu się jeszcze wydarzy.

Po kolejnym dowcipie opowiedzianym przez trybuna Flawia roześmiała się szczerze, ale już znacznie ciszej. Trzeba było uważać, kiedy człowiek żartował z cesarza Klaudiusza. Chciała jednak nieco wysondować poglądy Witeliusza, więc wyraz rozbawienia nie zniknął z jej twarzy.

- Bardzo dobra anegdota, trybunie. Naprawdę znakomita. Ale wciąż się zastanawiam, czy Klaudiusz jest odpowiednim człowiekiem do tej roboty.
- Chcesz pani wiedzieć, co sądzę o nowym imperatorze? — Witeliusz zmierzył ją wzrokiem, zanim odpowiedział. — Nie uważasz, że jest jeszcze za wcześnie na oceny?
- Mam przyjaciół w Rzymie, którzy twierdzą, że Klaudiusz nie porządzi długo, że jest szaleńcem albo zwykłym prostakiem. Mówią też, że to wyzwoleńcy kierują teraz imperium w jego imieniu. A zwłaszcza ten cały Narcyz.
- Tak, też o tym słyszałem — przyznał Witeliusz z uśmiechem na ustach. Bawiło go, że ludzie krytykujący cesarza zawsze powoływali się na opinie przyjaciół, nie swoje. — Z drugiej jednak strony, to dopiero początek jego rządów, musi się zdawać na przedstawicieli, zanim sam połapie się we wszystkich tajnikach władzy.
- Zapewne masz rację. — Flawia wyskubała pasemko mięsa z kości leżącej na jej talerzu. — Zawsze zastanawiało mnie, jak jeden człowiek może rządzić imperium. Przecież to tak wielkie brzemie. Wiem, że jestem tylko kobietą i nie obejmuję rozumem wszystkich spraw wagi państwowej, ale uważam, że rozsądniej byłoby rozłożyć tę władzę na barki kilku ludzi. W senacie z pewnością znajdzie się wystarczająco wielu rozsądnych ludzi, którzy mogliby pomóc cesarzowi w rządach.

- Którzy mogliby pomóc cesarzowi w rządach? Czy może raczej rządząliby w jego imieniu? Gdyby do tego doszło, wrócilibyśmy do krwawych jatek z czasów republiki. Znowu niemal każdy polityk byłby żołnierzem, a każdy żołnierz politykiem, skończyłyby się wolne wybory, nastałby czas wiecznych wojen.
- Przecież i tak nie mamy już wolnych wyborów — stwierdziła Flawia z pokornym uśmiechem.
- Nie. Nie mamy. Ale też sporo wody upłynęło od czasu, gdy Rzymianie zarzynali Rzymian w imię ambicji politycznych ich wodzów.
- Z tego co pamiętam, ostatni raz doszło do tego, gdy boski August wyciął w pień wszystkich rywali, by ustanowić swoją dynastię. Bądźmy jednak szczerzy, mało który z cesarzy nie splamił sobie rąk krwią. Rzym pełen jest ludzi, którzy cierpieli za sprawą Augusta, Tyberiusza i Kaliguli. Kto nam zagwarantuje, że ich aktualny spadkobierca nie będzie kontynuatorem tej niechlubnej tradycji?
- Pewnie nikt. Ale pomyśl tylko, ilu więcej ludzi zginęłoby w tej walce, gdyby August nie odebrał senatowi kontroli nad armią i nie uczynił jej narzędziem w ręku jednego tylko człowieka?
- Zatem jest to tylko kwestia liczby ofiar?
- Posłuchaj, pani — odezwał się Witeliusz, ścisząc głos. — Naprawdę chcesz mnie przekonać, że powinniśmy sięgnąć do rozwiązań znanych z czasów republiki?
- Nie. Tego nie powiedziałam — odparła Flawia słodkim głosem. — Traktuj, panie, moje słowa, jakby to była zwykła przyjacielska rozmowa przy wyborowym jadle, i powiedz mi, czy sam nie uważasz, że władza w rękach senatorów nie byłaby bardzo pożądana w obecnej sytuacji?
- To bardzo ciekawe pytanie, Flawio. Bardzo interesujące. Zapewniam cię też, że znalazłyby się sensowne argumenty zarówno za takim rozwiązaniem, jak i przeciw niemu. Nie wątpię, że w senacie zasiada wystarczająco wielu ambitnych i mądrych ludzi, którzy podołaliby temu zadaniu, ale obawiam się jednocześnie, że zdecydowana większość z nich, mając taką możliwość, robiłaby wszystko dla siebie, a nie dla dobra Rzymu. Przyjrzyj się choćby tym niegodnym wydarzeniom w Dalmacji z ubiegłego roku. Ledwie ogłoszono

biednego Klaudiusza cesarzem, a już wybuchł bunt. Gdyby jeszcze kilka legionów przyłączyło się do Skrybonianusa i reszty spiskowców, kto wie, jak potoczyłyby się sprawy. Powinniśmy się cieszyć, że Narcyz zdołał zdusić ten spisek w zarodku.

- Zdusić w zarodku? — prychnęła Flawia. — Piękny eufemizm, zważywszy, jak wielu ludzi zostało skróconych o głowę. Straciłam wielu dobrych przyjaciół spośród tych, którzy zostali w Rzymie. Wydaje mi się, że ty też, trybunie. A polowanie na ocalałych spiskowców wciąż trwa. Przyszło nam żyć w niebezpiecznych czasach.
- Sami sobie byli winni, Flawio. W wielkiej polityce, zanim odważysz się rzucić kośćmi, powinnaś poznać stawkę, o jaką grasz. A przeważnie jest nią wszystko albo nic. Oni przegrali, Klaudiusz wygrał. Naprawdę uważasz, że okazaliby się łaskawsi dla drugiej strony, gdyby sprawy potoczyły się po ich myśli?
- Nie. Sądzę, że nie — pokręciła głową w zamyśleniu.
- Prawdę powiedziawszy, zbyt wielkich szans na powodzenie to nigdy nie mieli — ciągnął Witeliusz. — Ci głupcy byli tak staromodni, że woleli przemawiać do patriotyzmu legionistów zamiast do ich kiesy. W chwili gdy Narcyz pokazał armii złoto Klaudiusza, było już po sprawie.
- Zatem morał tej historii jest taki — powiedziała Flawia, spoglądając mu prosto w oczy — że lojalność armii jest równa pojemności cesarskiego skarbcza.
- Moja pani! — roześmiał się trybun. — Sam bym tego lepiej nie ujął! Obawiam się, że masz rację. Zawsze wygrywa ten, kto na koniec dnia oferuje żołnierzom wyższe stawki. Na prochy przodków, wiedza i prawość nic już nie znaczą. Pieniądze są fundamentem wszelkiej władzy. Jeśli je posiadasz, świat kręci się wokół ciebie, jeśli je tracisz, jesteś bezsilny.
- No tak... — Flawia upiła łyk wina. — Mam nadzieję, że nasz nowy imperator zdoła się utrzymać na tronie. Jeśli będzie miał z tym problem, tylko patrzeć, jak armia zacznie szukać zasobniej-szego sponsora.
- Tak — przyznał Witeliusz. — To tylko kwestia czasu. Ale dość już polityki na dzisiaj. Jesteś naprawdę interesującą kobietą.

Żałuję, że nie mieliśmy okazji porozmawiać tak otwarcie i szczerze przed dzisiejszym wieczorem.

— Też bym sobie tego życzyła. Ale obawiam się, że Wespazjan nadal będzie mnie trzymał pod kluczem. Wiesz przecież panie, jakie są te obozy wojskowe.

— Jestem pewien — trybun pochylił się w jej stronę — że gdybyś tylko chciała, poradziłabyś sobie z tymi wszystkimi restrykcjami

— Tak... gdybym tylko chciała.

— Wyszłaś za tego człowieka, bo potrafisz nim sterować?

Flawia podniosła wzrok i zobaczyła, że trybun taksuje ją uważnym spojrzeniem, uśmiechając się przy tym uwodzicielsko.

— Nie — zaprzeczyła, kręcąc zdecydowanie głową. — Wyszłam za niego, ponieważ go kocham. Jest o wiele bardziej stanowczy, niż przypuszczasz. Radziłabym ci o tym nie zapominać.

Trybun zmarszczył brwi, ale przyjął to niepowodzenie ze stoickim spokojem. Potem napełnił swój puchar, nie proponując tego samego Flawii, i uniósł go w górę.

— Za twojego męża — powiedział, ale już znacznie ciszej.

— To co o nim powiedziałaś, może być prawdą...

Flawia podniosła głowę, a na jej twarzy natychmiast pojawił się szeroki uśmiech, gdyż zobaczyła, że jej mąż już wstał z miejsca. Witeliusz także obejrzał się przez ramię na idącego w ich kierunku legata i towarzyszącego mu świeżo odznaczonego optio. Sam również podniósł się z ławy, choć uczynił to naprawdę niechętnie.

— Zastanawiałam się właśnie, kiedy zaczniesz robić obchód i przyprowadzisz do mnie tego biednego chłopaka. — Flawia roześmiała się i wyciągnęła obie ręce w stronę Katona. Ten zareagował na tak przyjazny gest ze sporym opóźnieniem, głośno przetykając ślinę.

— Pani Flawia?

— We własnej osobie. Jak się miewasz, mój mały Katonie? Choć już nie taki mały, jak widzę. Pozwól, niech ci się przyjrzę!

— Coś mi się widzi, że moja żona i optio byli przyjaciółmi za pałacowych czasów — szepnął Wespazjan do Witeliusza. — Mamy zatem do czynienia z czymś w rodzaju spotkania po latach.

- Zaiste, świat jest taki mały, panie — odparł zgrabnie trybun.
— Żyjemy w czasach wielkich zbiegów okoliczności.
- Tak. Muszę zamienić z tobą słowo na osobności. Jestem pewien, że moja żona nie będzie miała nic przeciwko temu, skoro ma właśnie nadrobić kilka lat zaległości w pałacowych plotkach. Moja droga?
- Ależ oczywiście — skinęła głową z wielką gracją i poprowadziła Katona na koniec stołu.
- Pani Flawio, nie miałem pojęcia, że tu jesteś.
- A skąd miałeś to wiedzieć? — uśmiechnęła się. — Żony oficerów rzadko są widywane poza kwaterami. Zresztą chyba tylko szalona lunatyczka paradowałaby z własnej woli w tak paskudną pogodę, jaką mamy tutaj, w Germanii, zwłaszcza zimą.
- Wiedziałaś, że mnie tutaj wysłano?
- Oczywiście. W pałacu nie było zbyt wielu Katonów, których dałoby się wcielić do armii. A kiedy mój mąż wspomniał o... jak się wyraził... „tyczkowatym miłośniku literatury”, od razu wiedziałam, że musi chodzić o ciebie. Tak bardzo chciałam się z tobą zobaczyć, ale Wespazjan stwierdził, że najpierw powinnam ci pozwolić na zadomowienie się w nowym otoczeniu. Ostatnią rzeczą, jakiej byś potrzebował, byłaby kobieta rozczulająca się nad tobą na oczach pozostałych żołnierzy.
- Tak. — Katon uśmiechnął się do tej myśli. — Moja pani, nie wiesz nawet, jak bardzo cieszy mnie widok znajomej twarzy w tym miejscu.
- Chodź, usiądźmy. — Flawia zajęła miejsce swojego męża i poklepała dłonią sąsiednią poduszkę. Chłopak rozejrzał się podejrzliwie, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Niemniej po tak długim czasie spędzonym w wojsku czuł się bardzo niezręcznie, wiedząc, że właśnie dochodzi do osobistego spotkania osób reprezentujących tak bardzo oddalone od siebie warstwy społeczne i stany. — Opowiadaj, Katonie, o wszystkim, co się działo ostatnio w pałacu. Nie potrafię sobie wyobrazić powodu, dla którego ktoś łak nie pasujący do wojska jak ty trafił do naszej fortecy. To musiała być dla ciebie naprawdę ogromna zmiana stylu życia.

Katon, mając świadomość, że tuż obok niego siedzi Macro, musiał ważyć każde słowo odpowiedzi.

— Tak, pani, to była wielka zmiana, ale chyba zrobiła mi dobrze. Dzięki niej mogę się realizować.

Flawia uniosła znacząco brew, słysząc jego słowa.

— Naprawdę się zmieniłeś, chłopcze.

— Czy mogę ci, pani, przedstawić mojego centuriona? — zapytał chłopak, podnosząc się z poduszki i wskazując ręką Macro.

— Pani. — Ranny oficer otarł usta z tłuszczu wierzchem dłoni i skinął sztywno głową. — Lucjusz Korneliusz Macro, dowódca szóstej centurii czwartej kohorty — ciągnął z przyzwyczajenia.

— Miło mi cię poznać, centurionie. Ufam, że opiekujesz się moim przyjacielem?

— Jak by to powiedzieć... Nie bardziej niż innymi podwładnymi — odparł centurion z lekką urazą. — Zresztą ten chłopak sam potrafi doskonale zadbać o siebie.

— Tak słyszałam. Katonie, musisz mi teraz opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło w pałacu od czasu mojego wyjazdu.

I chłopak zaczął opowiadać. Macro przysłuchiwał się tym rewelacjom z umiarkowanym zainteresowaniem do chwili, kiedy znudzenie wzięło górę. Wzruszywszy ramionami, powrócił do ucztowania, pozerając wszystko to, czego nie widywał na żołnierskich stołach. Flawia wręcz odwrotnie, spijała każde słowo płynące z ust Katona, przerywając mu bardzo często pytaniami dotyczącymi wzlotów i upadków rozmaitych urzędników pałacowych. W końcu wyciągnęła z chłopaka wszystkie wieści. Ułożyła się wygodniej, wspierając na łokciu.

— Jak widzę, nadal mamy do czynienia z najgorszym siedliskiem wiecznych skandali i intryg. Niewiele się zmieniło pod tym względem.

— To prawda, nie sposób uniknąć plotek.

— Tak, muszę przyznać, że tęskno mi za Rzymem.

— Przecież mogłaś tam zostać, moja pani. Pozostawienie żony w domu nie jest niczym niezwykłym, nawet wśród legatów wyruszających do odległych prowincji.

— Wiem, ale sama uznałam, że Rzym nie będzie dla mnie zbyt bezpiecznym miejscem, zwłaszcza po tych okropieństwach, jakie zaczęły się dziać rok temu w Dalmacji za sprawą Skrybonianusa. Zbyt wielu ludzi denuncjowało swoich wrogów, pomawiając ich o udział w spisku. Represje stłumiły całe życie towarzyskie stolicy, jak tu bowiem wydać przyjęcie, skoro nie wiesz nawet, ilu z zaproszonych gości zostanie aresztowanych przez agentów cesarza?

Katon przytaknął.

— Kiedy opuszczałem pałac, krążyły po nim pogłoski, że Klaudiusz podpisał właśnie ponad sto wyroków śmierci. Jestem pewien, że niewielu spiskowców dożyło dnia dzisiejszego.

— Wygląda na to, że Narcyz jest teraz nader zajęтым człowiekiem.

— I bardzo ważnym, od czasu gdy Klaudiusz postawił go na czele imperialnego sztabu.

— Czy Narcyz bardzo się zmienił od mojego wyjazdu?

— Prawdę powiedziawszy niewiele — odparł chłopak — ale dzisiaj ludzie o wiele bardziej uważają na to, co mówią w jego obecności. Było nie było, jest teraz uchem samego cesarza.

— Ale czy nadal wygląda tak samo? — zapytała Flawia, przyglądając się nieobecny wzrokiem własnym palcom, którymi gładziła rąbek palli.

Tym razem Katon nie odpowiedział od razu, musiał się chwilę zastanowić.

— Trochę posiwiiał na skroniach, ale poza tym to ten sam człowiek, którego znałaś i widywałaś.

— Rozumiem... Rozumiem. Mam nadzieję, że nasz mały sekre-cik nie wyszedł na jaw? — zapytała przyciszonym głosem.

Chłopak spodziewał się poruszenia tej kwestii od samego początku rozmowy, dlatego od razu skinął głową i powiedział, patrząc jej prosto w oczy:

— Tak, pani. Jest bezpieczny. Dałem ci na to słowo i dotrzymam go aż do chwili śmierci.

— Dziękuję.

Oboje zamilkli zawstydzeni, wracając pamięcią do tamtej nocy w Rzymie, kiedy nad miastem rozszalała się straszliwa burza, a mały chłopczyk, śmiertelnie przerażony rykiem piorunów i oślepiającym blaskiem błyskawic, ukrył się w przedsionku komnaty, w której w upiornych błyskach nawałnicy kopolowała para ludzi. Kiedy mężczyzna wyszedł, Flawia odkryła zapłakane dziecko w kącie komnaty. Przez moment wpatrywała się w nie z obawą, wiedząc, czego było świadkiem, a potem, trzymając chłopczyka za ramiona, wymusiła na nim przysięgę. Dopiero po tym, widząc, jak wielki strach budziły w nim gromy, utuliła chłopczyka, starając się go uspokoić i ochronić przed szaleństwem żywiołów. Po tym wydarzeniu, pomimo dzielącej ich przepaści, starała się opiekować Katonem i sprawdzała często, czy pozostali niewolnicy pałacowi dobrze go traktują. Jakiś czas później opuściła imperialne progi i poznała Wespazjana.

Gdy milczenie się przedłużało, Flawia uznała, że pora przejść na bezpieczniejszy grunt.

- Powiedz mi, Katonie, czego ci najbardziej brak z dawnego życia?
- Bibliotek — odparł bez wahania. — Tutaj mogę przeczytać co najwyżej podniszczony podręcznik wojskowości. Kiedy opuściłem Rzym, czytałem właśnie historię Liwiusza. A teraz sam mam szansę tworzyć jej ciąg dalszy.
- Historia! — zawołała Flawia. — Na bogów, dlaczego zabrałeś się do czytania historii? Wydawało mi się, że młodzieńcy w twoim wieku zaczytują się poezjami Lukrecjusza, Katullusa, Owidiusza.
- Owidiusz był, jak na mój gust, zbyt frywolny, moja pani — przypomniał jej Katon. — Zdaje się, że jestem bardziej konserwatywny niż on. Za to przepadam za Wergiliuszem.
- Wergiliusz jest taki nudny — prychnęła Flawia. — Nie ma w nim nawet odrobiny uczucia albo empatii. Nic, tylko napuszona elegancja.
- Nie mogę się zgodzić z twoją oceną, moja pani. Dla mnie jego poezje są niezrównane. Potrafi ująć sprawy w ponadczasowy sposób. Jestem pewien, że gdy wszyscy dzisiejsi szukający poklasku

poeci znikną bezpowrotnie w otchłani czasu, Wergiliusz nadal będzie zachwycał ludzi. Nawet za wiele stuleci.

- Bardzo poetycko to ująłeś, Katonie, a czy potrafisz z równą swobodą władać językiem legionistów?
- Z tym ostatnim miewam problemy — roześmiał się optio razem z żoną legata. — W ich mniemaniu estetyka literacka nie należy do najważniejszych rzeczy.
- Możesz podać mi mysz? — rzucił nagle Macro.
- Tak, panie. — Katon zareagował natychmiast. — Proszę, panie.
- A ty, centurionie, dużo czytasz? — Flawia kontynuowała temat. — Pytam, bo chciałabym wiedzieć, czy nasz przyjaciel Katon naprawdę tak bardzo różni się od innych żołnierzy. Nie mogę uwierzyć, że oficerowie mojego męża mogliby ignorować muzy.
- Słucham?
- Czytujesz poezje, centurionie?
- Ostatnimi czasy rzadko, moja pani. Nie mam na to czasu.
- Ale w ogóle czytujesz poezje? — dopytywała się żona legata.
- Oczywiście, moja pani.
- A kto jest twoim ulubionym autorem?
- Moim ulubionym? Niech pomyślę. Pewnie ten facet, o którym wspominał nasz przyjaciel Katon.
- Naprawdę? — zdziwiła się Flawia. — A które z dzieł Wergiliusza cenisz najbardziej?
- To trudne pytanie, moja pani. Uważam, że wszystkie są doskonałe.
- Tchórz! — roześmiała się Flawia. — Szczerze wątpię, abyś kiedykolwiek czytał jego wiersze albo jakkolwiek poezję. Wątpię nawet, czy w ogóle umiesz czytać. — Roześmiała się po raz kolejny, ale Macro zmilczał tę zniewagę i wbił oczy w swój talerz. Katon natychmiast wyczuł zmianę nastroju u swojego dowódcy. — Óóó — kobieta uniosła palec do ust. — Zdaje się, że mój mąż będzie przemawiał.

Wespazjan dopił wino i powstał z miejsca. Skinął na majordomusa, a ten natychmiast kazał wnieść amfory falerneńskiego wina.

Na koniec legat zastukał laską w mozaikową podłogę. W pokoju powoli zapadała cisza, wszystkie oczy zwróciły się na główny stół. Wespazjan przemówił, dopiero gdy wszyscy na niego patrzyli.

— Moi panowie, moje panie, zapewne wszyscy już zauważyliście, że legion przygotowuje się do rychłego wymarszu, który nastąpi najdalej za kilka tygodni. Dzisiaj mogę potwierdzić, że otrzymaliśmy takie rozkazy ze sztabu imperium. Nasz legion wkrótce wyruszy na zachodnie wybrzeża Galii...

Jeśli Wespazjan liczył na żywiołową reakcję swoich podwładnych, musiał poczuć się zawiedziony. Wielu z obecnych na sali oficerów odwracało wzrok w zakłopotaniu, inni poruszali się nerwowo, jakby nagle zrobiło im się niewygodnie. Kilku dla przyzwoitości próbowało udawać zaskoczenie, jakby to była dla nich wielka nowość, ale i oni poddali się moment później, gdy legat podjął temat mocno zawiedzionym tonem.

— Gdy tam dotrzemy, przyłączymy się do pozostałych czterech legionów, aby przeciwstawić inwazję na Brytanię. Flota dla nas jest już budowana i nim rok ten dobiegnie końca, przyłączymy do imperium nową prowincję w imieniu i ku chwale Tyberiusza Klaudiusza Druzusa Nerona Germanika. Nasz legion wyruszy za dwa miesiące, jego miejsce zajmie mieszana kohorta pomocnicza z Macedonii. Wiecie, co macie robić. Od jutra rozpoczniecie przygotowania do wymarszu, a dzisiaj wzniesiemy za nie toast. Napelnijcie zatem swoje puchary i osuszcie je za zdrowie cesarza!

Gdy sanitariusz i Katon przenieśli Macro z lektyki i ułożyli go na łożu, centurion chwycił swojego zastępcę za skraj tuniki i przyciągnął do siebie.

— Zostań. Chcę z tobą pomówić na osobności. — Miał bardzo ponury wyraz twarzy.

Katon, otrzeźwiony marszem po mroźnym powietrzu, zastanawiał się wciąż, co było powodem tak nagłej i wielkiej zmiany w samopoczuciu przełożonego. Macro milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się intensywnie w twarz chłopaka, zanim zdobył się w końcu na powiedzenie tego, co leżało mu na sercu.

- Czy mogę ci zaufać? — zapytał.
- Panie...
- Czy mogę ci wyjawić mój sekret? Coś, czego nie powiedziałem nikomu innemu?

Katon przełknął nerwowo ślinę i odruchowo cofnął się o krok od łoża centuriona.

- To zależy, panie. Chciałem przez to powiedzieć, że ja rozumiem i nawet pochlebia mi to w pewnym sensie, ale wiesz, panie, jak jest. Jedni mężczyźni mają ku temu skłonności, inni nie, a ja należę do tej drugiej grupy. Tak po prostu bywa, panie. Nie chciałbym cię bynajmniej urazić.
- O czym ty gadasz, do kurwy nędzy? — Opierający się na łokciu Macro zmarszczył brwi. — Jeśli choć przez moment myślałeś, że jestem jednym z tych pojebanych dupowtyków, to własnoręcznie urznę ci ten głupi łeb! Zrozumiano?
- Tak, panie. — Katon od razu się uspokoił. — W czym mogę ci pomóc?
- Możesz mi pomóc... ucząc mnie czytać.
- Czytać?
- Tak, do kurwy nędzy! Znasz przecież te wszystkie słówka i całą resztę. Chcę się tego nauczyć. No dobrze, nie będę przesadzał. Chcę nauczyć się tyle, ile potrafi przeciętny człowiek. Prawda jest taka, że muszę umieć czytać i pisać, jeśli chcę utrzymać stanowisko centuriona. A ta pieprzona baba omal nie złapała mnie na kłamstwie podczas uczy. Ale następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia i od razu zostanę zdegradowany. Chyba że zdołam się wcześniej nauczyć tego wszystkiego.
- Rozumiem. I chcesz, panie, abym to ja cię uczył?
- Tak. I nie piśniesz nikomu nawet słowa. Możesz to dla mnie zrobić?

Katon milczał przez chwilę, ale jego wahanie i tak nie miało sensu. Nie potrafił bowiem odmówić.

- Oczywiście, nauczę cię, panie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zima dobiegała końca, ustępując wiosnie. Śniegi zaczęły się topić, a kilka tygodni nieustannych opadów deszczu zamieniło wszystkie nie pokryte brukiem trakty w muliste trzęsawiska. Jedynymi ludźmi, którzy poruszali się po nich w tym czasie, byli cesarscy posłańcy, krążący pomiędzy stolicą a odległym legionem z kolejnymi wiadomościami dotyczącymi rychłej dyslokacji. Dostarczali rozkazy, a w drogę powrotną zabierali pisma z prośbami o wyasygnowanie dodatkowych pieniędzy na zakup zwierząt pociągowych, żywności i niewolników niezbędnych do przygotowania wiosennej kampanii.

Legat, nie czekając na zgodę ze sztabu, wynajął też cały zespół poganiaczy, których zadaniem był zakup oraz spędzenie odpowiedniej liczby wołów i bydła ze wsi rozsianych wzdłuż koryta Renu. Byli to specjalnie dobrani i godni zaufania ludzie, którzy nie tylko potrafili wyselekcjonować najzdrowsze oraz najsilniejsze sztuki, mające szansę przetrwać tak długą podróż, ale wiedzieli też, co zrobić, żeby jak najmniej za nie zapłacić. Dopóki utrzymywali ceny na rozsądnej wysokości i nie przekraczali budżetu, dowództwo przymykało oko na pobierane przez nich nielegalne prowizje. I tak w zagrodach zbudowanych pośpiesznie przy murach fortecy przybywało wciąż mułów oraz innych zwierząt pociągowych. We wnętrzu twierdzy niemal całą wolną przestrzeń pomiędzy murami a częścią koszarową wypełniały wozy transportowe. Każdej centurii przydzielono

jeden na przewóz narzędzi i kolejny dla ładunku administracyjnego, czyli inaczej mówiąc, namiotu centuriona i wszystkich rzeczy, jakie uznał za niezbędne podczas wyprawy. Do tego dochodziły jeszcze zaostrzone pale na ostrokół. Był też konwój medyczny, którym mieli jechać chorzy i ranni niezdolni do marszu, kompania artylerii z katapultami i skorpionami, wielkie wozy z zapasami kaszy oraz jeszcze większe z przenośnym centrum dowodzenia, no i te z dobytkiem oficerów. Ale nawet pomimo takiej ilości sprzętu legion nie mógł zabrać pełnego zaopatrzenia. Dlatego na trasie przemarszu miało stanąć kilka tymczasowych baz, w których składowano ziarno i pasze potrzebne do wykarmienia tak wielkiej liczby ludzi i zwierząt.

Wszyscy w fortecy czuli już nieuchronność nadchodzących zmian i nawet ci z legionistów, którzy zawsze żyli z dnia na dzień, zaczęli sprzedawać bezużyteczne już dla nich rzeczy, oferując je chmarze kupców i kramarzy zlatujących się w poszukiwaniu okazji jak przysłowiowe sępy. Wieść o wymarszu II Legionu rozeszła się bowiem lotem błyskawicy i wkrótce do osady za murami zaczęli ściągać wędrowni kupcy z całego imperium, poszukując towarów, które można było znaleźć wyłącznie przy takich okazjach. Zaniepokojeni żołnierze krążyli od jednego do drugiego handlarza, próbując sprzedać wszystko, co miało dla nich znaczenie, choćby sentymentalne, albo czego mieli w nadmiarze, i targowali się zawzięcie o każdą monetę z pazernymi kupcami, którzy dorabiali się niemałych fortun za każdym razem, gdy zbliżał się wymarsz tak dużych jednostek wojska.

Pewnego rzeńskiego, czystego wieczora Katon wałęsał się po utworzonym pospiesznie targowisku, szukając czegoś, na czym mógłby uczyć Macro czytania.

- Tylko niech to nie będzie nic trudnego — ostrzegł go centurion.
- Żadna z tych twoich cudacznych opowieści. Ma być prosta, żebyś mógł mnie z niej uczyć.
- Któregoś dnia i tak będziemy musieli dojść do literatury, panie.
- Ale dzisiaj jest dzisiaj, a nie któryś dzień, więc załatw coś prostego, zrozumiano?

- Tak.
- Masz tu moje miesięczne zarobki, ale kup za nie coś naprawdę porządnego.
- Oczywiście, panie.
- I zrób to dyskretnie. Gdyby ktoś pytał, powiedz, że potrzebuję czegoś do czytania podczas jazdy. Tylko pamiętaj, ani słowa o nauce czytania.
- Tak, panie.

Dlatego właśnie Katon musiał wmieszać się w skłębiony tłum żołnierzy i handlarzy w tak zimne wietrzne popołudnie. Owinąwszy się szczelnie wojskową peleryną, szedł wzdłuż szeregu kupieckich wozów wyładowanych wszelakimi dobrami i oglądał wyroby ceramiczne z Samos, liry i inne instrumenty muzyczne oraz całą masę krzesel, skrzyń, stołów i składanych biblioteczek.

Na jednym z nich dostrzegł też smukłą sylwetkę niewolnicy w cienkiej wytartej tunice, u jej stóp leżała tabliczka z napisem: „Na sprzedaż”. Miała szesnaście, może siedemnaście lat i spięte z tyłu długie czarne włosy. Siedziała na koźle woźnicy, opierając brodę o drżące z zimna kolana. Nagle podniosła wzrok i Katon zamarł, jakby spojrzenie jej zielonych oczu było zaporą nie do przejścia. Gapił się w nie przez chwilę, a potem, zdając sobie sprawę, że wygląda jak głupek, odwrócił wzrok i pospieszył w kierunku kolejnych wozów.

Szybko znalazł to, czego szukał. Tył jednej z fur wyładowano po brzezi zwojami, wśród których Katon natychmiast zaczął myszkować, przyciągając zaraz właściciela, bystrego, choć już niemłodego Fenicjanina, który grzał się opodal przy ognisku. Widząc młodego żołnierza i domyślając się jego braku doświadczenia, handlarz zaczął od prezentacji pięknie ilustrowanego kompletu podręczników sztuki kochania, które pomimo wielu anatomicznych nieścisłości, zawierały całkiem interesujące treści. Katon zdołał mu jednak po dłuższej chwili wytłumaczyć, że interesują go wyłącznie traktaty historyczne, i rozstali się, dobiwszy targu — optio z naręczem książek, a kupiec z kolejnymi monetami dorzuconymi do już przepełnionej sakwy.

Ale to nie zakupione zwoje zaprzętały myśli chłopaka, gdy zmierzał z powrotem wzdłuż szeregu wozów. Kierował się w stronę niewolnicy siedzącej na koźle, pragnąc choć raz jeszcze zanurzyć się w zieleni jej oczu. Tylko tego chciał. Bo do czegoż więcej mogło między nimi dojść? Serce waliło mu jak oszalałe, gdy zbliżał się do miejsca, w którym widział ją wcześniej.

Wóz stał jak przed chwilą, wypełniony stosami towarów, ale nie było już na nim dziewczyny. Katon udał, że przegląda rzeczy wystawione przez sąsiedniego kupca, strzelając co chwilę oczami w stronę namiotów stojących po drugiej stronie karawany. Macając na ślepo, dotknął przypadkiem greckiej ceramiki.

— Szukasz czegoś szczególnego, szlachetny panie?

Katon szybko podniósł wzrok. Obok niego stał śniady kupiec w zupełnie nie pasujących do tej pory roku jasnych szatach.

— Nie, nie. Niczego nie szukam. Tak tylko patrzę.

— Rozumiem. — Kupiec nadal nie spuszczał go z oka, na jego ustach pojawił się blady uśmiech. — Tak tylko patrzysz.

— Tak. Przed chwilą widziałem u ciebie pewną dziewczynę. — Mężczyzna pokiwał wolno głową. — Czy ona jest twoja? To znaczy, należy do twojej rodziny?

— Nie, panie. To tylko niewolnica. Odkupiłem ją od waszego trybuna dzisiaj rano.

— Naprawdę?

— Tak, i sprzedałem ją dosłownie przed chwilą.

— Sprzedałeś ją? — Serce Katona stanęło.

— Tak, tej oto damie, panie. — Kupiec wskazał w stronę tłumu, pośród którego szczypta wysoka kobieta zmierzała właśnie do bram fortecy. Za nią, niczym pies za właścicielem, szła dziewczyna, którą Katon widział wcześniej na koźle. Chłopak zeskoczył z wozu, nie żegnając się nawet z kupcem, i pognał za odchodzącymi kobietami. Nie miał pojęcia, dlaczego się tak zachowuje. Wiedział jedynie, że musi raz jeszcze spojrzeć na tę dziewczynę. Pędził więc przez tłum, nie spuszczać z oczu obu kobiet i szybko skracając dystans do nich. Wysoka dama zatrzymała się przed wrotami i odwróciła w jego kierunku. Katon natychmiast rozpoznał w niej żonę legata.

Zanim zdążył zareagować, ona także go dostrzegła i zamachała ręką na powitanie.

— Proszę, proszę. Oto mój młody Katon.

Optio podszedł do niej, z całych sił starając się nie rumienić i unikając patrzenia w stronę niewolnicy, która także go pozdrowiła.

— Witaj, moja pani.

— Widzę, że kupiłeś książki. I to sporo.

— To nie dla mnie, pani, tylko dla mojego centuriona.

— Ach tak — roześmiała się Flawia. — Służba pod oficerem, z którym dzieli się pasję do poezji, musi być fascynująca. A znalazłeś też coś dla siebie?

— Nie, moja pani — odparł, pozwalając sobie na rzut oka w stronę niewolnicy. Natychmiast się splonił, gdy zauważył, że dziewczyna uśmiecha się do niego. — Nie stać mnie teraz na książki, moja pani.

— Naprawdę? To straszne. Ale posłuchaj mnie, Katonie. Muszę zostawić część mojej biblioteki, ponieważ nie ma miejsca na wozie. Może nie będą w twoim guście, ale dam ci prawo pierwszeństwa w wyborze.

— Dzięki ci, moja pani. To bardzo miłe z twojej strony.

— Zajrzyj później do domu legata, zobaczymy, co da się w tej sprawie zrobić. Czy wy już się znacie?

Katon pozwolił sobie na odwzajemnienie uśmiechu niewolnicy, gdy Flawia mówiła ostatnie zdania, a teraz natychmiast odwrócił od niej wzrok.

— Nie, moja pani. Skąd!

— O mały włos byś mnie nabrał. — Flawia znów wybuchnęła śmiechem. — Wyglądacie jak para zakochanych szczeniactków. Naprawdę wam, młodym, tylko jedna rzecz w głowie. Jesteście gorsi niż króliki.

— Zapewniam cię, moja pani, że się mylisz! — Policzki Katona spąsowiały jeszcze bardziej, stając się niemal purpurowe. — Zapewniam cię, że moim zamiarem nie było...

— Pokój, Katonie! Pokój! — Flawia uniosła obie ręce w górę. — Nie chciałam cię obrazić. Wybacz. Chyba jednak cię zawstydziałam. Przepraszam. Wybaczysz mi?

- Tak, moja pani.
- A niech mnie. Chyba naprawdę ci dogryzłam. Mam nadzieję, że uda mi się załagodzić tę sprawę, kiedy wpadniesz do nas wieczorem. Nie mogę dopuścić, żebyś chodził z taką miną po obozie. Do reszty popsujesz morale żołnierzy.
- Nic się nie stało, moja pani.
- Przecież widzę. Ale niech ci będzie. Zatem do zobaczenia wieczorem.
- Tak, moja pani.
- Chodź, Lawinio.

Lawinia. Katon rozkoszował się tym imieniem przez chwilę, spoglądając za odchodzącą żoną legata i jej najnowszym nabytkiem. Niewolnica odwróciła się niespodziewanie i puściła do niego oko.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W domu legata panował straszny bałagan. We wszystkich komnatach leżały skrzynie z rzeczami, a służcy owijali grubą warstwą słomy każdy przedmiot, który mógł się stłuc w podróży. Niewolnicy, drżąc ze strachu przed Flawią — kobieta ta miała naprawdę ognisty temperament i nie cofała się nawet przed wychłostaniem jakiegoś nieszczęśnika, jeśli sytuacja ją do tego zmuszała — zajmowali się pakowaniem porcelany i najprzedniejszej zastawy. Oprócz tak kruchych przedmiotów żona legata kazała im przygotować do wywiezienia także pościel oraz umeblowanie osobistych apartamentów, które zamierzała odesłać do domu Wespazjana na rzymskim Kwirynale. Flawią i Tytus mieli towarzyszyć legatowi aż do galijskiego wybrzeża, by potem, gdy rozpocznie się właściwa kampania, wrócić do stolicy. Do tego czasu polowania na stronników Skrybonianusa powinny się już zakończyć, dzięki czemu arystokracja będzie mogła wreszcie odetchnąć i życie towarzyskie wróci do normy. Rzym był idealnym miejscem dla Tytusa, zwłaszcza że Flawią musiała w bliskiej przyszłości zacząć myśleć o jego wykształceniu. Wespazjan nalegał, aby jego syn uczył się prawa i retoryki, nakazał też żonie, aby zaczęła się rozglądać za odpowiednimi nauczycielami. Najlepiej tuż po powrocie do stolicy.

Jedna ze służących, pragnąc zwrócić na siebie uwagę, machała ręką zza stosów skrzyń i unoszących się w powietrzu ździebeł siana.

— O co chodzi?

— Ktoś chce cię zobaczyć, moja pani. Jeden z żołnierzy — dodała służka z wyraźnym obrzydzeniem.

— Kto?

— Jakiś optio.

— Katon?

— Tak, moja pani. Tak się przedstawił.

— Świetnie. Chyba mogę zrobić sobie chwilę wolnego od tego pakowania.

Kłęczący przy niej niewolnik wznosił oczy ku niebu.

— Wskaż temu optio drogę do mojego gabinetu. Zaraz tam przyjdę. Pozwól mu się tam rozgościć i podaj mu coś do picia.

— Tak, moja pani.

— Właśnie o tobie myślałam — powiedziała Flawia, wchodząc do gabinetu ubrana tylko w jedwabną stolę. Ta komnata, jak zresztą wszystkie w domu legata, była ogrzewana dzięki hypokaustum. Katon rozkoszował się ciepłem, gdy pojawiła się gospodyni. — Masz szczęście, że ci głupcy nie zaczęli pakować rzeczy z mojego gabinetu. Siadaj, proszę.

Katon przycupnął ponownie na krześle, a Flawia podeszła do wielkiego regału, na którym leżały równo poukładane i podzielone na kilka zbiorów zwoje. Zatrzymała się przed półkami i z czułością pogładziła kilka woluminów, zanim odezwała się do optio.

— Możesz wziąć, ile zechcesz, to znaczy tyle, ile zdołasz unieść. Radziłabym zacząć od *Filipik*, są bombastyczne, ale widać w nich przebłycki geniusz, *Georgiki*, to też bardzo treściwe lektury. A tutaj masz kilka tomików Liwiusza. Chcesz też trochę poezji?

— Tak, moja pani.

Jakiś czas później na leżance obok Katona piętrzył się stos zwojów, a on sam z rozdartym sercem dokonywał selekcji, decydując, które z nich trafią do jego plecaka. Flawia obserwowała uważnie, jak rozkłada kolejne teksty na dwie kupki.

— Zdaje się, że Lawinia nieźle cię omotała.

— Słucham, moja pani? — Katon zamarł z kolejnym zwojem w dłoni.

- Ta niewolnica, którą kupiłam dzisiaj rana.
- Ach, o nią ci chodzi, pani.
- Tak, o nią, w rzeczy samej. Nie oszukuj mnie, młody Katonie. Widziałam, jak na nią patrzysz. Pytanie tylko, co chcesz zrobić w obecnej sytuacji?

Katon odwrócił wzrok, wstydził się strasznie, że jego uczucia były tak bardzo widoczne, ale pragnął też chociaż raz jeszcze spojrzeć w szmaragdowe oczy tej dziewczyny.

- Czyżbym się myliła? — drażniła go Flawia. — Może wcale nie chcesz jej zobaczyć.
- Moja pani! Ja... Ja...
- Tak myślałam! — żona legata wybuchnęła śmiechem. — Szczerze powiedziawszy, was, mężczyzn, łatwo rozszyfrować. Niemal w każdym przypadku. Nie obawiaj się, mój chłopcze, nie zamierzam zabronić ci widywania tej dziewczyny, daleka jestem od czegoś takiego, ale pierwszej musi przywyknąć do nowego domu. Potem coś zaaranżujemy.
- Tak, moja pani... Dziękuję.
- A teraz bierz zwoje i idź już. Uwielbiam rozmowy z tobą, ale mam jeszcze tak wiele roboty przy pakowaniu. Spotkamy się przy innej okazji, niebawem. Może nawet Lawinia do nas dołączy.
- Oczywiście moja pani. Liczę na to.
- No myślę!

Flawia uśmiechnęła się pod nosem, obserwując plecy Katona idącego Via Praetoria. Uroczy chłopiec, pomyślała, i taki ufny. Jeśli nadal będzie go ostrożnie urabiała, któregoś dnia może się okazać bardzo przydatny.

- Co to za papierzyska? — zapytał podejrzliwie Macro, gdy Katon poda! mu naręcze zwojów. Każdy z nich był dobrze zapakowany i opisany.
- Głównie eseje i traktaty o historii.
- Żadnej poezji?
- Zgodnie z twoim poleceniem, żadnej poezji — odparł Katon.
- Mam tu trochę naprawdę ekscytujących materiałów o...

— Ekscytujących? Słuchaj, chłopcze, ja chcę się jedynie nauczyć czytać. Cała reszta mnie nie obchodzi, rozumiesz?

— Tak, panie. Skoro tylko tego pragniesz... Dobrze, jak sobie poradziłeś z literami, których cię uczyłem?

Macro sięgnął pod łóżko, wyjął sporą woskową tabliczkę i podał ją swojemu podwładnemu. Katon otworzył ją i przeleciał po niej wzrokiem. Po lewej stronie znajdowały się wszystkie litery alfabetu — sam je starannie wykaligrafował w cienkiej warstwie wosku. Tuż obok widniały ich nieudolne kopie sprokurowane ręką centuriona. Krzywe kreski i zawijasy, czasem zupełnie niepodobne do oryginałów.

— Pisanie na kolanie nie jest rzeczą łatwą — usprawiedliwił się centurion. — Ta pieprzona tabliczka bez przerwy mi się ześlizgiwała.

— Właśnie widzę. Cóż mam powiedzieć, dobry początek, panie. A jak ci poszło z zapamiętaniem ich wymowy?

— Świetnie.

— Zatem nie będziesz miał nic przeciwko, by powtórzyć alfabet w mojej obecności? Tak dla wprawy. Potem zajmiemy się układaniem prostych słów.

Macro zazgrzytał zębami.

— Nie wierzysz, że się tego nauczyłem?

— Jestem pewien, że to zrobiłeś, panie. Ale ćwiczenie czyni mistrza, sam mi to nieustannie powtarzasz. Możemy zacząć?

Gdy Macro wymieniał kolejne litery, Katon ograniczył komentarze do minimum, z trudem skupiając się na nauce. Przed oczyma wciąż miał bowiem twarz Lawinii. W końcu nawet centurion zauważył jego nieobecne spojrzenie. Zatrzasnął więc tabliczkę z hukiem tak głośnym, że wystraszony Katon omal nie spadł ze stołka.

— O czym myślisz, chłopcze?

— Panie...

— Przecież nawet ja wiem, że pomyliłem się przy wymawianiu kilku liter, a ty siedziałeś przede mną i kiwałeś głową jak jakaś pieprzona kura na grzędzie. Dlaczego, na bogów, nie potrafisz się skupić na tym, co robimy?

- To nic takiego, panie. Tylko moje osobiste sprawy. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. Możemy kontynuować?
- Nie, jeśli twoje problemy mają się objawiać w taki sposób. — Macro był już znudzony lekcją, nie miał ochoty na zaczynanie od początku. Co więcej, niechęć chłopaka do wyjawienia powodów rozkojarzenia tylko podsycala ciekawość centuriona. — Wyduś to z siebie, chłopcze!
- Naprawdę, panie — zaprotestował Katon. — To nic takiego.
- Pozwól, że ja to osądzę. Mów. To rozkaz. Nie mogę pozwolić na to, by moi ludzie chodzili po obozie jak lunatycy. Wy, młodzi, całymi dniami myślicie tylko o waleniu się po mordach albo o kobietach. O którą z tych rzeczy chodzi? Kto cię znowu napastował?
- Nikt, panie.
- Zatem zawężaliśmy nasz wybór, i to znacznie. — Centurion zaśmiał się srośnie. — Czyli chodzi o kobietę. Lepiej, żeby to nie była żona legata. Jeśli się w niej zabujalesz, już powinienesz zasiąść do pisania listu pożegnalnego.
- Nie panie, to nie ona — odparł przerażony optio.
- Zatem kto? — dopytywał się Macro.
- Jej niewolnica.
- Chcesz ją zaliczyć, tak? — Katon spoglądał na niego przez chwilę, a potem skinął głową. — Więc w czym problem? Daj jej kilka świecidełek i będzie twoja. Nie znam niewolnicy, która nie rozkładałaby chętnie nóg za parę groszy. Jaka ona jest?
- Naprawdę piękna — wyszeptał optio.
- Nie o to pytam, idioto! Chcę wiedzieć, co ona lubi.
- Rozumiem. — Katon znów się splotnił. — Tak naprawdę to niewiele o niej wiem.
- To nie powinien być problem. Zapytasz ją, czego pragnie, i po sprawie.
- Nie o to chodzi, panie. Ja czuję do niej coś więcej niż tylko pożądanie.
- Pożądanie? A kto tu mówi o pożądaniu? Chcesz ją przecież przelecieć? Potraktuj to jak cel kampanii. Aby go osiągnąć, musisz zacząć od porządnego rozpoznania, potem zastosować odpowied-

nią taktykę i wykonać manewry, które pozwolą ci na zajęcie dogodnej pozycji. Jeśli osiągniesz cel, na pewno wypucujesz jej to i owo.

— Panie! — wybuchnął Katon, któremu już się wydawało, że jest uodporniony na chamskie żołnierskie żarty, a teraz, kompletnie tym zaskoczony, znów się spłonił. — Mnie chodzi o coś zupełnie innego.

— W takim razie nie rozumiem, o czym mówisz, mój chłopcze.

Optio chciał wszystko wytłumaczyć, ale nie potrafił rozmawiać z tym człowiekiem o swoich uczuciach do Lawinii. I nie chodziło wcale o to, że nie umiał znaleźć odpowiednich słów — miał na podorzędziu setki odpowiednich cytatów z najbardziej znanych wierszy — ale czuł, że żaden z nich nie będzie w stanie wyrazić tego okropnego bólu, jaki ścisnął mu teraz żołądek i rozdzierał serce. Poezja jest marnym zwierciadłem ludzkiej duszy, uznał po chwili. Te wszystkie śmieszne gryzipiórki prawily pięknie okraszone banały, aby tylko zadowolić gawieź i przyjaciół. Jego uczucie do Lawinii wykraczało daleko poza ograniczające ich bariery. Chyba że się mylił... Może Macro ma rację i kierują nim znacznie przyziemniejsze motywy, niż sądził?

— Czym ona się różni od pozostałych kobiet? Wykrztuś to wreszcie!

— Musisz ją zobaczyć, panie, żeby to zrozumieć.

— Mówisz, że jest taka piękna?

— Tak, panie. — Katon się uśmiechnął.

— Zatem uświadom jej, że jesteś zainteresowany i gotowy dać wiele — ale oczywiście w granicach rozsądku — aby była twoja. Nie ma sensu podbijać ceny kolejnym adoratorom, którzy pojawią się później. Przeleć ją potem porządnie i zostaw w spokoju.

— Miałem nadzieję na coś konkretniejszego i dłużej trwającego.

— Nie bądź śmieszny.

— Tak, panie — odparł pospiesznie Katon. Nie powinienem rozmawiać na tak poważne tematy z tym człowiekiem, uświadomił sobie. — Możemy już wracać do czytania liter, panie? Mamy jeszcze wiele materiału do przelecenia.

- Zdaje się, że jeden z nas myśli o przeleceniu, ale nie materiału. — Macro uśmiechnął się znacząco.
- Tak, panie. Czytamy literki. — Optio podał mu woskową tabliczkę.
- Rozumiem! Widzę, że nie masz zamiaru rozmawiać o kobietach, bo o to ci przecież chodzi, prawda?
- Czy możemy już wrócić do czytania, panie?
- Niech ci będzie — powiedział z przekazem centurion. — Dawaj te zawszone litery.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wieczorem w dniu poprzedzającym wymarsz legionu wszystkie wozy przeszły test na trakcie. Nasmarowano łożem ich koła i piasty. Stały teraz wyładowane po brzegi sprzętem, tworząc długą kolumnę. Zwierzęta pociągowe w zagrodach osady przed fortecą spokojnie przeżuwały ostatnią zimową paszę. Większość ludzi z załogi sztabu chłłała tego dnia na umór. Mając robotę z głowy, i to przynajmniej na kilka najbliższych tygodni, kręcili się nieustannie pomiędzy namiotami a ponurymi karczmami, w których serwowano podle piwo. To samo, do którego legioniści stacjonujący od lat nad Renem zdążyli się już przyzwyczaić. Co trzeźwiejsi weterani natłuszczali sobie dodatkowo sandały, aby nie przemakały na błotnistym trakcie, i sprawdzali po wielekroć, czy ćwiekowane podeszwy nadal są w dobrym stanie i wytrzymają trzystumilowy marsz, bo taka właśnie odległość dzieliła II Legion od wybrzeża Galii.

W kwaterze głównej pozostało jedynie kilku oficerów, którzy zajmowali się dopracowywaniem planów przemarszu. Ich głosy rozbrzmiewały głośnym echem w pustych komnatach, z których wszystkie ozdoby i meble już dawno trafiły do skrzyń, a potem na wozy transportowe czekające za bramą. Wciąż wyklócano się z okolicznymi kupcami o zaległe płatności, wypisywano także zezwolenia na podróż dla tych rodzin oficerów, które zdecydowały się na powrót do Italii. Jeden ze szwadronów jazdy otrzymał rozkaz eskortowania

konwoju aż do Corbumentum — stamtąd miał ruszyć na zachód i dołączyć na trasie do reszty legionu.

Idąc wzdłuż rzędu biurka, za którymi pięciu skrybów pochylało się nad papierami, pisząc w migotliwym świetle lampek oliwnych, Wespazjan rzucił okiem na niedbale ułożony stosik dokumentów.

— Co to jest?

— Panie? — Najbliższy skryba natychmiast zerwał się na równe nogi.

— Nad czym teraz pracujesz?

— Nad kopiami listu od twojej żony, panie. Kieruje je do wszystkich handlarzy niewolników w Rzymie z pytaniem o najlepszych nauczycieli dla dzieci, jakich mają w swoich katalogach.

— Rozumiem.

— Powiedziała, że zleca nam tę pracę z twojego rozkazu, panie.

W głosie skryby pobrzmiwało wielkie oburzenie, a legat poczuł się winny temu, że ci ludzie pracują do późna w nocy, podczas gdy ich kompani zażywają zasłużonego odpoczynku.

— Wątpię, aby jedna noc opóźnienia zrujnowała jej plany. Możecie dokończyć pisanie jutro rano. Jesteście wolni.

— Dzięki ci, panie. Słyszeliście, chłopcy, co legat powiedział?

Zanim pierwszy ze skrybów podniósł się z miejsca, wszystkie papiery zostały równiutko poukładane, kałamarze dobrze zabezpieczone, a pióra wytarte do czysta.

— Zaczekajcie! — Obejrżeli się z lękiem, słysząc znów głos Wespazjana. Ten jednak pogrzebał tylko w kiesie i rzucił najstarszemu z nich złotą monetę. — To dla ciebie i twoich ludzi, wypijcie dzisiaj moje zdrowie. Dobrze się spisaliście w ostatnich dniach.

Skrybowie wymamrotali słowa podziękowania i ruszyli pospiesznie ku wyjściu, rozmawiając podekscytowanymi głosami. Wespazjan patrzył za nimi z zazdrością. Kiedy on spędził wieczór w towarzystwie przyjaciół? Całe wieki temu, w dniu, w którym został obwołany trybunem. Napływające mu przed oczy zamglone wspomnienia dzikich nocy spędzanych w najlepszych lupanarach Syrii i towarzyszącego im nieodmiennie kaca sprawiły, że poczuł tęsknotę za utraconą młodością, która skończyła się, zanim napraw-

dę się zaczęła. Dzisiaj od uczestników takich zabaw dzieli! go nie tylko wiek, ale także, co chyba ważniejsze, stanowisko.

Wespazjan ruszył wolnym krokiem w stronę wejścia do kwatery, zatrzymując się jedynie na moment przed drzwiami gabinetu, by skinąć głową Witeliuszowi ślęczącemu przy lampce oliwnej nad papierami. Starszy trybun spędzał ostatnio masę czasu w kwaterze głównej —więcej, niż było konieczne w ramach piastowanego przez niego stanowiska, i tyle, że zaczynało to budzić ciekawość legata. Nie mógł jednak zapytać wprost o przyczyny tego napadu pracowitości; trybunowie powinni być oddani swojej pracy i zadawanie im pytań o motywy pilności mogłoby zostać odebrane jako objaw paranoi albo i czegoś gorszego. Jeśli Witeliusz rzeczywiście miał coś na sumieniu, nie należało zwracać na niego nadmiernej uwagi, gdyż to mogłoby go tylko spłoszyć. Jeszcze większą ciekawość budził fakt, że trybun poprosił o straż przyboczną. Wprawdzie każdemu oficerowi tej rangi przysługiwała ochrona, ale mało kto o nią prosił ostatnimi laty. A tu, proszę — obok swojego pana stał przysadzisty, ale potężnie zbudowany legionista, zachowujący się bardziej jak zawodowy zabójca niż żołnierz. Lepiej mieć oko na trybuna Witeliusza, uznał legat.

Od czasu gdy Lawinia trafiła do domu Wespazjana, Katon nie zdołał zamienić z nią nawet jednego słowa. Czasem tylko udawało mu się zobaczyć ją z daleka, kiedy opuszczała domostwo legata po zakończeniu pracy. Kilkakrotnie odwiedzał Flawię, mając nadzieję, że niewolnica pojawi się, choćby przypadkiem, gdy będą wspólnie wspominali dawne dobre pałacowe czasy. Ale ona za każdym razem trzymała się z dala, czego nie mógł przeboleć, choć starał się to ukryć przed wyraźnie rozbawioną żoną legata. W końcu Flawia nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Doprawdy, Katonie. Mógłbyś wykazać się większą inwencją.
- O czym mówisz, moja pani?
- Chodzi mi o te preteksty, które wymyślasz, żeby do mnie ciągle przychodzić. — Uśmiechnęła się. — Czy może powinnam powiedzieć: by zobaczyć się wreszcie z Lawinią.

Chłopak splonił się i zaczął protestować, wyrzucając z siebie niezbyt zrozumiałe słowa, co wywołało kolejny wybuch śmiechu Flawii, a potem nagle się nasrożył.

— Nie denerwuj się, proszę! Nie żartuję sobie z siebie. Naprawdę. Jeśli chciałeś się zobaczyć z tą dziewczyną, trzeba było mi powiedzieć, zaaranżowałabym spotkanie sam na sam. Chciałbyś ją teraz widzieć?

Katon skinął głową.

— Dobrze. Ale za moment. Najpierw musimy o czymś porozmawiać.

— O czym, moja pani?

— Domyślam się, że niewiele wiesz o Lawinii?

— Widziałem ją tylko raz, tego dnia, kiedy ją kupiłaś — przyznał optio.

— Ona też tak mówi.

— Kupiec, który ci ją sprzedał, twierdził, że należała przedtem do jednego z naszych trybunów.

— Tak. — Flawia skinęła głową. — Do Pliniusza. To bardzo miły człowiek, niezwykle inteligentny, choć tych akurat przymiotów w armii się nie ceni.

— Dlaczego ją sprzedał? I dlaczego nie zostawił jej niczego prócz tych łachmanów?

— Możesz usłyszeć wiele odpowiedzi na to pytanie.

— Co masz na myśli, moja pani?

— Pliniusz rozpuszcza wieści, że sprzedał ją, ponieważ nie sprawdziła się jako służąca. Twierdzi, że była leniwa, nieuczciwa, a na dodatek nie potrafiła pojąć, na czym polegają jej obowiązki. Kroplą, która przepełniła czarę, przynajmniej tak głosi plotka, była kradzież jednej z jedwabnych nocnych koszul. — Flawia pochyliła się ku niemu i kontynuowała przyciszonym głosem: — Ale historia, którą powtarzają sobie żony innych oficerów, jest o wiele bardziej interesująca. Wynika z niej, że Lawinia była dla niego kimś więcej niż tylko służącą. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, iż coś w tym jest. W każdym razie plotka głosi, że Pliniusz nabył ją od handlarza specjalizującego się w dostarczaniu nałożnic i próbował ją ułożyć podczas długich zimowych wieczorów.

- Robił z niej konkubinę?
 - Niezupełnie. Nasz Pliniusz chciał czegoś więcej. Pragnął mieć kobietę, z którą będzie mógł konwersować po odbyciu stosunku. Dlatego trzymał ją przez kilka miesięcy w ukryciu, ucząc czytania i pisania, aby zapoznała się z naszą literaturą. Ale to chyba była syzyfowa praca.
 - Nadal nie widzę powodu, dla którego miałby ją wyrzucić w taki sposób.
 - To prawda.
 - Co więc się stało, moja pani?
 - To co zawsze. W czasie pobierania nauk inny trybun zawrócił jej w głowie. Ktoś przystojniejszy i znaczniejszy od naszego Pliniusza, A już z pewnością bardziej podstępny i bieglejszy w uwodzeniu.
- Katon rozważał jej słowa tylko przez chwilę.
- Witeliusz?
 - A któż by inny? Lawinia wpadła mu w oko. A ona, niedoświadczona w tych sprawach, nie potrafiła jeszcze udawać trudnej do zdobycia i szybko mu uległa. Witeliusz wziął ją niejako z zaskoczenia. I to chyba nie jeden raz, jeśli wierzyć plotkom. Któregoś dnia jednak starszy trybun zasiedział się u niej i zaskoczył go tam Pliniusz, przybywający po dniu ciężkiej pracy, aby udzielić dziewczynie kolejnej lekcji gramatyki. Cóż, potrafisz sobie z pewnością wyobrazić tę scenę, a jej konsekwencje już znasz. Zdaje się, że oddał ją temu handlarzowi niemal za darmo.
 - Biedna Lawinia.
 - Biedna Lawinia? — Flawia uniosła brwi ze zdziwienia. — Mój drogi chłopcze, do tego ją przecież szkolono. Chyba nieraz trafiałeś w pałacu na kobiety jej pokroju. Za czasów ostatnich dwóch cesarzy stanowiły niemalże wyposażenie wnętrz.
 - Masz rację, moja pani — przyznał Katon. — Ale mój ojciec robił co mógł, aby trzymać mnie z dala od nich. Mówił, że zasługuję na kogoś znacznie lepszego.
 - Tak mówił? I uważasz, że Lawinia będzie kimś lepszym od nich?

— Nie mam pojęcia, jaka ona jest, wiem za to, co do niej czuję. Czy rozumiesz coś z tego, moja pani?

— Ależ tak. To twoje pierwsze zauroczenie. Na razie czujesz się wyjątkowo podle, ale możesz mi wierzyć, to naprawdę szybko minie. Zawsze mija.

Katon przyglądał się jej przez chwilę, a potem zapytał z żalem:

— Czy wszyscy starsi ludzie myślą o tym w taki sposób?

— Nie wszyscy. Ale młodzi na pewno. Na tym polega ich urok, a zarazem przekleństwo. — Flawia roześmiała się. — Wiem, co czujesz. Naprawdę. Ale minie kilka lat i zobaczysz, że to co ci teraz powiedziałam, jest prawdą. Nie podziękujesz mi jednak za to. Ale skoro już poruszamy ten temat, podejźmy do sprawy z innej strony. Jak sądzisz, co Lawinia myśli o tobie?

— Nie mam pojęcia — odparł optio. — Przecież ona mnie jeszcze nie zna. — Flawia uśmiechnęła się, ale nie odezwała słowem. — Dobrze, moja pani, ja też jej jeszcze nie znam.

— Świetnie, mój chłopcze, zaczynasz myśleć rozsądnie. W takich sytuacjach zawsze musisz zachować jasność myśli. Mój mąż uważa, że jesteś obiecującym materiałem na oficera, więc nie zrób niczego, co mogłoby się obrócić na twoją niekorzyść. Tyle chciałam ci powiedzieć. A teraz zadam ci jeszcze raz pierwsze pytanie: czy chcesz ją zobaczyć?

— Tak.

Flawia roześmiała się na głos.

— Tak przypuszczałam.

— Zawiodłem cię, moja pani?

— Wręcz przeciwnie, mój chłopcze. Na mężczyźnie, który ulega pasji wbrew zdrowemu rozsądkowi, można zawsze polegać. Tylko szaleńcy przedkładają logikę nad uczucia. Sofiści potrafią uznać każdą zasadę za swoją i dlatego nigdy im nie zaufam. A ty masz umysł i serce, Katonie. Tylko musisz ich rozsądnie używać. Powiem ci teraz coś, co uważam za prawdę. Lawinia przyniesie ci jedynie ból. Wiem o tym, ponieważ widzę, jacy oboje jesteście. Nie powiem ci teraz nic więcej. Zostaw mi tę sprawę. Załatwienie wam schadzki nie będzie proste, w samym sercu garnizonu trudno o prywatność,

a mój mąż, cóż, dość egoistycznie podchodzi do wszystkiego, co uważa za swoją własność.

Gdy następnego dnia o świcie orzeł oraz sztandary poszczególnych centurii *zostały* wyniesione ze skarbca, legat i jego *oficerowie* odetchnęli wreszcie z ulgą. Żołnierze byli bardzo przesądnymi ludźmi, mogli uznać zakłócenia podczas ceremonii wyprowadzenia insygniów legionu teraz, na samym początku kampanii, za zły, a nawet najgorszy omen. Tego dnia jednak nie wydarzyło się nic i orzeł opuścił kwaterę główną bez najmniejszego problemu. Niesiono go teraz wzdłuż Via Praetoria, aby zajął miejsce na czele pierwszej kohorty. Przyglądali się temu wszyscy obecni na placu apelowym. Legion wyruszał na wojnę po raz pierwszy od wielu lat, można więc było spodziewać się wielu niepokojów na granicy. Nad fortecą zapanowała na moment idealna cisza, gdy wszyscy żołnierze, poganiacze i personel pomocniczy czekali na rozkaz. Tylko zwierzęta, nieświadome jak zawsze ludzkich spraw tego świata, niecierpliwiły się, stukając kopytami o brukowaną nawierzchnię i tłukąc gniewnie ogonami w chłodzie poranka.

Legat opuścił rękę, a najstarszy centurion legionu natychmiast odchylił głowę, aby wykrzyknąć rozkaz.

— Pierwsza centuria pierwszej kohorty Drugiego Legionu naprzód marsz!

Odziani w czerwone peleryny żołnierze pierwszej kohorty ruszyli przed siebie w idealnym szyku. Tupiąc po bruku Via Praetoria, minęli kolumnę wozów i wyszli przez zachodnią bramę prosto w tak nasłonecznioną równinę, że ich okrycia zdawały się płonąć żywym ogniem. Tuż za nimi maszerowała kompania dowództwa z jadącymi na czele Wespazjanem i trybunami.

Kohorta wyruszała za kohortą, a za nimi na trakt wtaczały się ociążale kolejne wozy z zaopatrzeniem, zajmując należne im miejsce w szyku. Dziesiąta kohorta, pełniąca jednocześnie obowiązki tylnej straży, opuściła fortecę, podążając w ślad za ostatnim wozem taboru. Koniec kolumny zaczął się oddalać po łagodnym zboczu od murów fortecy. Wielu mieszkańców osady spoglądało ze

smutkiem za odchodzącymi żołnierzami. Ci ludzie już tęsknili za Drugim Legionem, zwłaszcza że na jego miejsce przybędzie niespełna tysiąc żołnierzy z jednostek pomocniczych i dwie słabo wyszkolone kohorty stacjonujące do tej pory w Hiszpanii. Na domiar złego legioniści z jednostek pomocniczych, nie będąc obywatelami Rzymu, otrzymywali zaledwie trzecią część normalnego żołdu. Zapowiadały się więc ciężkie lata dla lokalnej społeczności. Zanim ostatnie szeregi maszerujących żołnierzy zniknęły za horyzontem, spod murów fortecy ruszyła druga, choć znacznie mniejsza kolumna podróżników, zmierzających na południe w poszukiwaniu innej bazy wojskowej, przy której da się przeżyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Stać! — Rozkaz został szybko przekazany na koniec kolumny. — Postój!

Legioniści szóstej centurii zeszli z traktu i padli na gęstą trawę porastającą pobocza, gotowi w każdej chwili wrócić do szyku, gdyby na drodze pojawił się jeden z kurierów krążących nieustannie wzdłuż kolumny. Macro usiadł, wydając ciężkie westchnienie, i zaczął masować nogę. Po dwóch dniach jazdy został wypisany z lazaretu na własną prośbę. Wozy szpitalne były w miarę wygodne, ale nieustanne kołysanie i silne wstrząsy towarzyszące wjechaniu w każdą dziurę sprawiły, że centurion nie wytrzymał. Po tak długiej przerwie maszerowanie było dla niego wielkim wysiłkiem, ale zacisnął zęby i podązał za swoją jednostką z tą samą determinacją, która doprowadziła go do oficerskiego stopnia. Dzisiaj, niemal dziesięć dni po podjęciu decyzji o opuszczeniu wozu szpitalnego, Macro wrócił już do dawnej formy. Blizna na łydce nadal była bardzo widoczna, ale rana goiła się prawidłowo i poza dokuczliwym swędzeniem nie czuł jej bardziej niż innych noszonych na ciele pamiątek po walkach.

— Nadchodzą tragarze wody, panie.

— Nie mamy maruderów, Katonie?

— Dwóch, panie. Już zostali ukarani.

— Dobrze. Możesz odpocząć, chłopcze, jak reszta z nas. — Poklepał dłonią trawę obok siebie. — Legat narzucił nam zabój-

cze tempo. To cud, że nie odpadło więcej ludzi. Od czasu wymarszu straciliśmy zaledwie siedmiu.

Katon opuścił wzrok na łydkę, po której Macro znów zaczął się drapać.

— Jak tam noga, panie?

— Świetnie. Ale potrzebuje jeszcze trochę czasu na powrót do pełnej sprawności.

Para niewolników przeszła wzdłuż szeregu, podając odpoczywającym żołnierzom rozcieńczone wino wprost z bukłaków. Nosiwo-dowie należeli do grupy niewolników, których Wespazjan zakupił, aby pełnili funkcje pomocnicze, pozwalając żołnierzom legionu na niczym nie zakłócony marsz ku morzu. Potrafili szybko obsługiwać spragnionych — przystawali tylko na chwilę, aby napełnić kolejną manierkę. Gdy odeszli, Katon z ochotą pociągnął spory łyk cierpkiego, taniego rozwodnionego wina. Nogi bolały go niemożebnie, maszerował nie tylko w pełnym rynsztunku, ale i z niesamowicie ciężkim ekwipunkiem. Dotrzymywał kroku pozostałym wyłącznie ze strachu, że zostanie uznany za słabeusza niegodnego przebywania w towarzystwie weteranów — ludzi, których przewyższał stopniem, choć na to nie zasługiwał.

Macro obserwował swojego młodego zastępcę, pociągając kolejny łyk z manierki, aby przepłukać usta cierpkim płynem i w jak największym stopniu nacieszyć się jego orzeźwiającym chłodem. Zmęczony Katon siedział pochylony do przodu, z przedramionami wspartymi o kolana i dłońmi zwisającymi bezwładnie, wpatrując się gdzieś w przestrzeń. Centurion uśmiechnął się do niego szczerze, niemal po ojcowsku. Pomimo jego wcześniejszych obaw chłopak radził sobie świetnie. Dzisiaj nie miał już wątpliwości co do tego, że jest twardy i potrafi zachować zimną krew w ekstremalnych sytuacjach. W końcu zaczynał też mówić jak rasowy oficer. Prawidłowo wydawał rozkazy, aczkolwiek dało się jeszcze wyczuć w jego tonie lekką niepewność i sztywność. Ale i to zniknie z czasem. Okazał się też idealnym podwładnym — wykonywał sumiennie wszystkie wydane mu rozkazy, a kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił się wykazać własną inicjatywą.

Macro miał więcej powodów do okazania mu wdzięczności. Na koniec każdego dnia Katon z własnej i nieprzymuszonej woli poświęcał sporo czasu, aby uczyć go czytania, i starał się robić to naprawdę dyskretnie. Centuriona cieszyło także to, że nauka szła mu łatwiej, niż wcześniej przypuszczał. Te okropne, nierozpoznawalne kiedyś symbole powoli odkrywały przed nim swoje najskrytsze tajemnice. Mógł już przeczytać kilka prostych tekstów, co prawda dukał przy tym strasznie, wskazując palcem kolejne litery i powoli składając usta do każdego kolejnego dźwięku, ale liczył się efekt.

— Zakładać plecaki! — Okrzyk przetaczał się przez szeregi szóstej centurii, dopóki Macro, stając na jej czele, nie powtórzył go głośno i dobitnie.

Legioniści podnosili się ociężale, aby wrócić na trakt i założyć nosidła. W tym samym czasie ich obrotniejsi koledzy wybiegali z zarośli, niosąc chlebaki pełne owoców, a nawet drobiu, który zdołali w tym krótkim czasie kupić od okolicznych rolników albo ukraść. Centuria ustawiła się w szyku, czekając na moment, w którym będzie mogła ruszyć za już maszerującymi formacjami. Chwilę później żołnierze zaczęli pokonywać kolejny odcinek brukowanej drogi łączącej Divodurum z zachodnią częścią Galii.

Niedoświadczony w marszach Katon cierpiał o wiele bardziej niż otaczający go ponurzy weterani. Popołudniowy marsz dobijał go, zwłaszcza że pęcherze, których dorobił się na początku drogi, popękały — niezagojone rany jątrzyły się coraz bardziej. Odkrył jednak, że najlepszym sposobem na zapomnienie o nich jest skupienie myśli na czymś innym, przyglądał się więc uważnie otaczającemu go krajobrazowi albo zagłębiał się we wspomnieniach. Tu jednak krył się kolejny problem. Im intensywniej myślał o sprawach związanych z legionem, tym szybciej z zakamarków jego umysłu wypęły wizje Lawinii.

Tego wieczora, gdy centuria już zjadła posiłek, a ukarani w ciągu dnia zaczęli dodatkowe dyżury, kiedy Katon mógł sobie pozwolić na ziewnięcie i przeciągnąć się z ulgą, do pogrążonego w półmroku namiotu centuriona wszedł niewolnik. Mężczyzna spojrział niepewnie na optio, trzymając przy piersi zwój z wiadomością.

Macro podniósł wzrok znad biurka, przy którym przekuwał w czyn niedawne nauki pisania, osobiście przygotowując dokumenty. Wyciągnął rękę do posłańca.

— Dawaj!

— Wybacz, panie — odparł niewolnik, wciąż tuląc dokument — ale to jest wiadomość dla optio.

— Rozumiem — stwierdził centurion.

Nie spuścił oka ze swojego zastępcy, gdy ten przełamywał pieczęć i rozwijał zwój. Wiadomość nie była długa, Katon po przeczytaniu jej natychmiast chwycił pióro i napisał odpowiedź. Rzucił zwój posłańcowi, a ten od razu wypadł z namiotu.

— Coś mi tu śmierdzi — rzucił Macro.

— To nic takiego, panie.

— Nic?

Dla ciebie na pewno nic, pomyślał Katon, ale zdołał się uśmiechnąć, zanim odpowiedział:

— To tylko sprawa osobista, panie.

— Sprawa osobista? Rozumiem. — Centurion kiwał głową z irytującym uśmiechem na ustach. — Zatem nie chodziło o tę niewolnicę?

Twarz optio zapłonęła, ale zmilczał tę uwagę wdzięczny losowi, że w pomarańczowym świetle lampki oliwnej niewiele widać.

— Skończyłeś już robotę na dzisiaj? — zapytał Macro.

— Nie, panie. Muszę jeszcze dokończyć kilka próśb o aprowizację.

— Piso może to zrobić za ciebie.

Wspomniany skryba rzucił mu zza biurka zabójcze spojrzenie.

— Zmiataj stąd, młody Katonie. Natychmiast. Tylko mi się na niej nie przemęcz. — Centurion puścił do niego oko. — Pamiętaj, że jutro czeka cię kolejny dzień marszu.

— Tak, panie. — Optio zmusił się do uśmiechu i opuścił pospiesznie namiot. Policzki płonęły mu ze wstydu.

— Ech, ci chłopcy. — Macro roześmiał się na głos. — Nic się nie zmieniają. Nie mów, że na ten widok nie przypomniała ci się młodość.

— Skoro tak mówisz, panie — mruknął Piso, a potem westchnął głośno, obrzucając wzrokiem stos zwojów spoczywających na biurku przed nim i posyłając centurionowi pełne wyrzutu spojrzenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wespazjan uśmiechał się nawet wtedy, gdy drapał czerwone ślady na nadgarstku w miejscu, gdzie zagłębiły się ząbki Tytusa. Temu dziecku potrzebna jest większa dyscyplina, uznał. Nie może gryźć, rzucać w ludzi czym popadnie i biegać po komnatach z rzeczami, których nie powinno nawet dotknąć. Przecież nawet dzisiaj, nieco wcześniej, wprowadził straszny zamęt na spotkaniu z trybunami. Zakradł się pod stół, dobrał się do skrzyni z tajnymi papierami i porwał z niej zwój od Klaudiusza. Gdyby Pliniusz nie zablokował w porę wyjścia z namiotu, wyniosłby go na zewnątrz. Na szczęście trybun zdołał go zatrzymać, pochwycić i oddać w ręce zawstydzonej Flawii, która właśnie nadeszła z prywatnej części namiotu legata. W czasie gdy matka siłowała się z nim, aby odebrać manuskrypt, chłopak zdołał pochwycić trybuna za brodę. Fala śmiechu przetoczyła się przez namiot, gdy wściekła Flawia, zamiast oddać zwój Pliniuszowi, ukryła go na moment w fałdach sukni. Zreflektowawszy się, natychmiast przekazała pismo trybunowi i opuściła namiot, wynosząc chichoczące, wpite w jej pierś dziecko.

— Mogę prosić o zwrot tego pisma? — Wespazjan starał się nie okazywać zdenerwowania.

Pliniusz podał je legatowi, ale najpierw — choć bez większego zainteresowania — obrzucił zwój wzrokiem.

— Dziękuję. — Wespazjan szybko umieścił dokument w kufrze i wrócił do tematu. — Jak już zapewne słyszeliście, po obozie krąży

plotka, że w armii gromadzącej się w Gesoriacum dochodzi do buntów. Dzisiaj wieczorem niewolnik dostarczył mi list od generała Plaucjusza. Obawiam się, że w tych pogłoskach tkwi ziarno prawdy. Spojrzał na zaniepokojone, ale i zaniepokojone twarze oficerów. Na moment zapadła głęboka cisza zakłócana jedynie piskami Tytusa bawiącego się gdzieś w pobliżu. Trybuni byli zaniepokojeni i dawali temu wyraz. Kariery wielu z nich zależały od sukcesu zbliżającej się inwazji. Jeśli kampania skończy się porażką, ci, którzy będą z nią kojarzeni, okryją się niesławą. Co gorsza, niepowodzenie może się odbić znacznie szerszym echem w świecie polityki, kto wie, czy nie dojdzie do podważenia pozycji samego imperatora. Klaudiusz przeżył już jeden spisek; zanim nie pozyska dla siebie mo-tłochu w Rzymie i nie zdobędzie posłuchu w armiach rozsianych po całym cesarstwie, nie będzie mógł być pewien tronu. Inwazja będzie wymagała użycia ogromnych sił i sprawi, że legioniści przestaną się w końcu interesować polityką, jak bywało w niedawnej przeszłości.

— Sześć dni temu kohorta Dziewiątego Legionu odmówiła wejścia na okręty mające przewieźć ją na wybrzeże Brytanii celem rozpoznania terenu. Gdy centurioni usiłowali zmusić żołnierzy do wejścia na pokład, doszło do zamieszek, w wyniku których dwóch z nich poniosło śmierć, a czterech zostało rannych.

— Czy wieści o tym wydarzeniu dotarły do pozostałych jednostek armii? — zapytał Witeliusz.

— Oczywiście — odparł Wespazjan z uśmiechem na ustach. — Spodziewałeś się, że będzie inaczej? Na własnej skórze przekonałem się, jak moi żołnierze dotrzymują tajemnicy.

Kilku trybunów miało niewyraźne miny, gdy Witeliusz kontynuował:

— Czy wiemy już, dlaczego ta kohorta się zbuntowała?

— Zdaje się, że ktoś zaczął rozpowszechniać plotki na temat tego, co czeka ludzi, którzy wylądują w Brytanii. Zwyczajowe brednie o ziejących ogniem potworach i tym podobnych demonach. Wiem, że to wierutne bzdury, ale fakt, że my, oficerowie, nie wierzymy w podobne opowieści, nie oznacza wcale, że podobnie czynią

prości żołnierze. Na razie stanęło na tym, że legioniści odmawiają wejścia na pokład okrętów nawet w celach szkoleniowych.

- Czy podjęto już jakieś działania w tej sprawie, panie?
- Kazano nam kontynuować marsz w kierunku Gesoriacum, ale mamy się zatrzymać w odległości dziesięciu milliariów od celu, w obozie przejściowym, dopóki bunt nie zostanie stłumiony z naszą pomocą lub bez niej. Nowy szef sztabu imperialnego przebywał w Lugdunum, gdy gruchnęła ta wieść. Natychmiast wyruszył na miejsce zgrupowania, my mamy mu zapewnić eskortę na ostatnim odcinku podróży z Durocortorum. Zdaje się, że poprosił o ludzi z naszego legionu tylko dlatego, że nie zostali jeszcze skażeni szerzącym się buntem.
- Skażeni? — zdziwił się Pjiniusz.
- To jego słowa, nie moje.
- Panie! — zaprotestował trybun. — Nie miałem zamiaru...
- Nic się nie stało. Narcyz nie jest może najtaktowniejszym człowiekiem na świecie, ale kto dzisiaj może sobie pozwolić na ten luksus?
- Narcyz? — wymamrotał Witeliusz, ale na tyle głośno, żeby inni go usłyszeli.
- Narcyz — potwierdził legat. — Czyżbyś nie pochwalał jego wyboru?
- Ośmielam się twierdzić, że nie mogę poprzeć żadnego człowieka z nizin społecznych, któremu powierza się tak wielką władzę. — Kilku trybunów, tych, którzy nie mieli pojęcia o pochodzeniu Wespazjana, roześmiało się na głos. — Chciałem przez to powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego cesarz posyła w tak pilnej sprawie zwykłego wyzwolenca... to znaczy swojego sekretarza. Jakby chciał nam zasugerować, że armia nie potrafi załatwić tej sprawy we własnym zakresie.
- To wielka operacja — odparł legat. — Moim zdaniem Narcyz ma się upewnić w imieniu cesarza, że wszystko przebiegnie tak sprawnie, jak tylko się da.
- Jakkolwiek na to patrzeć, mamy do czynienia z nietypową sytuacją, panie — wtrącił Pliniusz.

Wespazjan odsunął się od stołu.

— Nie widzę w jego misji niczego niestosownego. Znacnie reputację tego człowieka. Jest bardziej chamski niż groźny. Mamy eskortować go na wybrzeże i tyle. Jeśli Narcyz zamierza zagrać o wyższe stawki, ja nic o tym nie wiem. Chyba że wy, panowie oficerowie, macie jakieś ciekawe informacje, które zatailiście przede mną? Słucham zatem. — Nikt nie ważył się spojrzeć mu prosto w oczy, albo z poczucia winy, albo ze strachu, że ktoś może odczytać to właśnie w taki sposób. Legat widząc to, westchnął głośno. — Dość już mam tej całej polityki, panowie. Cokolwiek ma nam przynieść przyszłość, zamierzam pozostać żołnierzem dającym z siebie wszystko i wykonującym posłusznie wszystkie rozkazy. Cała reszta mnie nie obchodzi. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno? Świetnie! Mam nadzieję, że nie muszę wam przypominać o obowiązującej w tym przypadku tajemnicy. Jeśli plotki o buncie rozpowszechnią się w naszym legionie, stracimy do reszty kontrolę nad armią i jedynie Jowisz będzie wiedział, jak to wszystko się skończy. Czy ktoś ma pytania? — Trybuni milczeli. — Rozkazy dotyczące dnia jutrzejszego otrzymacie przed wymarszem. Rozejść się.

Nieco później, gdy namiot opustoszał, Wespazjan mógł pozwolić sobie na chwilę odpoczynku. Położył się na moment i przymknął oczy. Z zewnątrz dobiegały odgłosy obozowego życia, legionieści przygotowywali się już do snu. Słyszał było pokrzykiwania wartowników i dyżurnych oficerów, gwar rozmów żołnierzy odpoczywających po całym dniu wyczerpującego marszu, nie zabrakło nawet śmiechów. To dobrze. Dopóki ci ludzie będą zadowoleni, dopóty będzie mógł liczyć na ich lojalność wobec władcy, któremu wspólnie służyli. Bunt był wydarzeniem, którego dowódcy bali się jak ognia. Tylko bezwzględne posłuszeństwo pozwalało prowadzić tysiące ludzi do walki, czasem na pewną śmierć. Gdy zwykły żołnierz wypowiadał posłuszeństwo swoim przełożonym, armia przestawała istnieć.

Wieści nadchodzące z wybrzeża nie były najlepsze, rozprzestrzeniały się też szybko wzdłuż traktów prowadzących na wschód. To

kiedy pogłoski o wydarzeniach w Gesoriacum dotrą do II Legionu, pozostawało wyłącznie kwestią czasu. Gdy to nastąpi, Wespazjan będzie musiał postępować z wielką rozważą, tak by zaostrzenie dyscypliny podczas codziennej służby nie doprowadziło do otwartej rewolty podległych mu ludzi. Zastanawiał się też nad lojalnością szeregowych legionistów. Wydawali się oddani, nie sprawiali żadnych problemów podczas przemarszu. Szpakowaty pierwszy centurion zapewniał go nawet, że ostatnimi dniami dochodziło do mniejszej liczby scysji niż w czasie poprzednich dyslokacji, mimo to legat wciąż się zastanawiał, czy żołnierze obozujący wokół jego namiotu nie odmówią mu posłuszeństwa przy pierwszej nadarzającej się okazji. Bunt musi być stłumiony, jeśli inwazja ma się zakończyć sukcesem. Lepiej, żeby Narcyz okazał się tak dobrym organizatorem, jak o nim mówiono. Flawia przekonywała go, że wyzwoleniec jest odpowiednim człowiekiem do tej roboty, kiedy poruszył tę sprawę przy obiedzie.

Pozostawała jeszcze kwestia otrzymanej wieczorem wiadomości. Pismo potwierdzało istnienie spiskowca w szeregach Drugiego Legionu. Na szczęście agent cesarza uznał, że sam sobie poradzi ze zdrajcą. Tożsamość poplecznika Klaudiusza ma jednak zostać tajemnicą znaną tylko najbliższemu otoczeniu imperatora. Dzięki temu on, Wespazjan, jak go zapewniano w liście, będzie mógł skoncentrować się całkowicie na kwestiach związanych z dowodzeniem.

— Akurat... — mruknął legat.

Musiał przecież uważać, aby przypadkowe słowo rzucone wśród oficerów nie wystraszyło albo nie zaalarmowało spiskowca. To mogłoby być poczytane za nielojalność wobec cesarza. Zwłaszcza przez agenta. Chociaż Wespazjan miał coraz więcej podejrzeń co do Witeliusza, nie zdobył żadnego dowodu na potwierdzenie domysłu, że to starszy trybun stoi za spiskiem na życie imperatora. Z tego co wiedział legat, Pliniusz także mógł być zdrajcą ukrytym za mylącą akademicką pozą. Jednak mimo szczerych chęci Wespazjan nie potrafił myśleć o młodym trybunie jak o spiskowcu. Musiał więc, z braku dowodów, uważać wszystkich za podejrzanych — nie tylko najstarszych oficerów.

Obecność cesarskiego agenta wcale go nie uspokajała. Legat zdawał sobie bowiem sprawę, że temu człowiekowi kazano nie tylko tropić zdrajcę, ale i donosić o każdym kroku dowódcy legionu. Dlatego bardzo go ciekawiło, kim jest ten człowiek. Przy tym bałaganie, jaki panował ostatnio, musiał brać pod uwagę wszystkich podległych mu oficerów. Nawet tego młodzika, którego przysłano do legionu prosto z cesarskiego pałacu. Wespazjan pomyślał, że powinien mieć na niego oko, a potem zaklął na cały głos.

Nie może zrobić czegoś takiego. Do czego by to prowadziło? Jak dowodzić legionem, w którym wszyscy śledzą wszystkich? W jego umyśle natychmiast pojawiła się wizja formacji zmierzającej do boju, w której żołnierze bacznie przyglądają się swoim sąsiadom, zamiast wypatrywać wroga. Roześmiał się serdecznie.

Niech kto inny martwi się całym tym szpiegowaniem. On zajmie się przygotowaniem legionu do nadchodzącej kampanii. Dzięki sukcesowi militarnemu osiągnie znacznie więcej niż przez knucie. Rozbawiła go własna naiwność, położył się spać uśmiechnięty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESIĄCY DRUGI

Chociaż zima dawno się już skończyła, wiosenne noce wciąż były zimne i Katon, wydychając gęste obłoczki pary, musiał owinąć się szczelniej płaszczem, gdy ruszał prosto w mrok. Zgodnie z informacją otrzymaną od Lawinii, a w każdym razie napisanej w jej imieniu, miał się z nią spotkać na tyłach kwatery głównej chwilę po tym, jak trębacz ogłosi zmianę wart. Ogrodzonego terenu, w którego obrębie stały wozy z zaopatrzeniem, pilnowało tylko dwóch wartowników, wolnym krokiem poruszających się wokół rozpiętych na kołkach lin. Katon odczekał, aż się minęli, przebiegł za ich plecami po wydeptanej trawie, prześlizgnął się pod ogrodzeniem i zniknął pomiędzy ciemnymi zarysami ciężkich wozów. W kilku namiotach dowództwa wciąż płonęły lampki oliwne, rozjaśniając nieco panujący tu mrok — dzięki nim mógł się prześlizgnąć bezgłośnie pomiędzy ciasno ustawionymi wozami w drodze na tyły największego z namiotów. Właśnie tam Lawinia wyznaczyła mu miejsce schadzki. Na razie nie widział nawet śladu dziewczyny. Przystanął i poczekał chwilę, złościąc się na wałace mocno serce, które nie pozwalało mu nasłuchiwać odgłosów dobiegających z ciemności. W pobliżu nie było jednak nikogo. Może odechciało się jej spotkania? Albo zatrzymały ją dodatkowe obowiązki domowe?

Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Podskoczył jak oparzony, z jego ust, zanim zdążył zagryźć wargi, wymknął się zduszony okrzyk.

— Ciszej... — wyszeptła Lawinia. — Chodź tutaj, szybko!

Pociągnęła go za rękę, kucając za kołem najbliższego wozu. Podążył za nią machinalnie, przysiadając tuż obok.

— Co... — zdążył wyszeptać, zanim przycisnęła mu dłoń do ust, zmuszając do zamknięcia i zneruchomienia. Chłopak zamiast się tym przejąć, z podziwem myślał o gładkiej skórze, której dotyk czuł na wargach, i o ulotnym zapachu, jaki roztaczała.

— Kto idzie? — dobiegł czyjś głos z pobliza. — Wyłaź natychmiast do światła!

Katon zamarł, wstrzymał nawet oddech, po części za sprawą wartownika, ale i na myśl, że znalazł się w końcu tak blisko Lawinii. Poczul gorąco rodzące się w lędźwiach.

— Co tam się dzieje? — zapytał drugi głos, dobiegający z większej odległości.

— Chyba mamy tu złodzieja. Słyszałem czyjś okrzyk.

Przed wozem pojawiła się para nóg i drzewce włóczy. Moment później w polu widzenia stanął drugi wartownik.

— Znalazłeś coś?

— Jeszcze nie.

Katon zdjął dłoń dziewczyny ze swoich ust i przytulił się do niej mocniej, przygarniając ją do siebie. Lawinia opierała się przez moment, ale w końcu pozwoliła mu się wziąć w ramiona.

— Chyba nikogo tu nie ma.

— Mówię ci, że coś słyszałem.

— To mogły być odgłosy z któregoś namiotu.

— Wątpię.

Usta Katona prześlizgnęły się po włosach, sięgnęły jej policzka i odszukały wargi. Optio delikatnie pocałował Lawinie. Sprawilo mu to ogromną przyjemność — choć wciąż pamiętał, że grozi im wielkie niebezpieczeństwo. Delektował się jej oddechem, dotykiem piersi, które czuł przez tunikę, gdy przyłgnęli do siebie. Dziewczyna odpowiedziała mu równie nieśmiałym pocałunkiem, a potem nagle poczul jej język w ustach. Ciałem Katona wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

— Słuchaj, tutaj nikogo nie ma — odezwał się zniecierpliwiony wartownik.

- Może i tak...
- Wypatrywanie oczu w takich ciemnościach za kimś, kto już dawno dał stąd nogę, nie ma najmniejszego sensu. Jeszcze się wywalisz i zrobisz sobie krzywdę. Zapomnij o tym.

Drugi wartownik odszedł. Chwilę później także pierwszy zawrócił i oddalił się od wozu, zmierzając w stronę ogrodzenia z liny; kłął przy tym pod nosem na niecierpliwego kompana.

Tymczasem leżący pod osi Katon cierpiał niewysłowione katusze z pożądania, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie czuł. Jego prawa dłoń powoli wędrowała po jedwabistym biodrze Lawinii, by skryć się pomiędzy jej udami. Zacisnęła je jednak i odsunęła się od niego.

- Nie! — wyszczała.
- Dlaczego?
- Nie tutaj!
- A co ci tu nie pasuje? — zapytał zdesperowany Katon.
- Jest za zimno i zbyt niewygodnie. Pani Flawia znalazła miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. — Uścisnęła mocno jego dłoń. — A na pewno będzie tam przytulniej, skoro mamy poznać się bliżej. Chodź.
- Flawia? — zdumiał się Katon. — Flawia to wszystko zaaranżowała? Dlaczego?
- Cicho!

Lawinia chwyciła go za rękę i pomogła wyjść spod osi. Zatrzymali się przy ostatnim z wozów, aby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, a potem przemknęli się ostrożnie na tyły pobliskiego namiotu. Dziewczyna rozsznurowała wiązania i uchyliła ciężki skórzany płat. W środku panowały nieprzeniknione ciemności, ale Lawinia zdawała się wiedzieć, co robi, i pociągnęła go za sobą. Trawa pod ich stopami ustąpiła miejsca drewnianej podłodze, Katon potknął się o nią i o mało nie wyrócił, przy okazji pociągając za sobą dziewczynę.

- Wybacz — wyszeptał. — Gdzie my idziemy?
- Do najspokojniejszego miejsca, jakie mogliśmy znaleźć.
- Mogłyście?
- Ja i moja pani. Tedy. szybciej.

Minęli długi korytarz z opuszczanymi rolowanymi drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń sypialnych i przedostali się do wielkiej komnaty ze stołem pośrodku i wieloma krzesłami. Tyle tylko dało się zobaczyć w ciemnościach. Katon poczuł, że jej ręce popychają go na najbliższą leżankę, moment później Lawinia, chichocząc cicho, opadła na niego. Natychmiast poszukał jej ust i wpił się w nie, całując je gorąco, pożądliwie, z pasją, która wypełniała całe jego ciało. Przyciskając ją do siebie, drugą ręką rozplatał wstążkę i zanurzył rękę w jej długich puszystych włosach. Nagle Lawinia odepchnęła się od niego i wyprostowała, siadając mu na brzuchu.

— Co się dzieje?

— Nic nie mów. Leż spokojnie — przyłożyła mu palec do ust, a drugą ręką sięgnęła za plecy, do jego krocza. Zachichotała, "wyczuwając jego podniecenie.

— Chcesz tego?

Katon wybelkotał potwierdzenie.

— Zatem dobrze. Nie planowałam, że ci się oddam. Muszę najpierw coś znaleźć.

— O czym ty mówisz?

— O czymś, co zapobiegnie zrobieniu dziecka.

— Daj spokój — powiedział Katon, głaszcząc i ściskając jej uda.
— Proszę.

— Typowy facet! — Klasnęła cicho w dłonie, aby pokazać mu, że żartowała. — Ty nie będziesz musiał żyć w obawie przed konsekwencjami tego, co zaraz zrobimy. A ja nie zajdę w ciążę.

— Jeśli nie chcesz, mogę skończyć na zewnątrz — wyszeptał wstydliwie Katon.

— Tak, pewnie! Wy wszyscy tak mówicie. „Potrafię się kontrolować, naprawdę”, a jak przychodzi co do czego, to chlast! I co biedna dziewczyna ma począć z tym fantem?

— Tylko wróć szybko — poprosił optio zadziwiony jej dalekowzrocznością.

— Spokojnie. To potrwa chwilę.

Lawinia zsunęła się z niego, pocałowała go na pożegnanie i zniknęła w ciemności, zostawiając Katona sam na sam z podnieceniem.

Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami i walącym sercem, rozmyślając o ostatnim pocałunku i niesamowitym wrażeniu, jakiego doznał, gdy zielonooka niewolnica dotknęła jego krocza. Chciał utrwalić ten moment w pamięci już na zawsze, więc otworzył oczy, aby zapamiętać jak najwięcej detali tego pomieszczenia. Teraz, gdy jego wzrok przywykł już do mroku, dostrzegał znacznie więcej szczegółów. Z wielką ciekawością przesuwał wzrokiem po otaczających go symbolach władzy.

Lawinii nie było już dłuższą chwilę, zaczął się więc niepokoić. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien zacząć jej szukać.

Czy to naprawdę zajmuje aż tak wiele czasu? Chyba że postanowiła skorzystać z najpewniejszego sposobu chroniącego przed zejściem w ciążę i po prostu odeszła. To przestaje być zabawne, uznał. Nagle, chyba szóstym zmysłem, wyczuł, że nie jest sam w tej komnacie. Już zamierzał wyszeptać imię Lawinii, gdy dotarło do niego, że dźwięk poruszonej zasłony dobiega nie z miejsca, gdzie zniknęła, ale z przeciwległej strony pomieszczenia.

Zamarł, wstrzymał nawet oddech, nasłuchując i kierując wzrok na przeciwległy kraniec komnaty, gdzie jakiś czarny kształt torował sobie drogę pomiędzy płatami ścian. Gdy osobnik ten znalazł się we wnętrzu namiotu, znieruchomiał na chwilę, przykucnął, jakby gotował się do skoku. Katon zaczął się martwić o Lawinię, a raczej o to, co napastnik może jej zrobić, jeśli dziewczyna wróci w tym momencie. Ale na razie na zewnątrz panowała idealna cisza.

Postać poruszyła się, podeszła niepostrzeżenie do stołu i zaczęła myszkować w leżących na nim papierach. Gdy zbliżyła się do leżanki, Katon mógł zobaczyć więcej. Pod peleryną z kapturem krył się niski barczysty mężczyzna. Poruszał się cicho i zgrabnie jak kot. W dłoni trzymał przedmiot, którego nie sposób pomylić z czymkolwiek innym — krótki miecz legionisty. Katon miał jedynie sztylet ukryty w pochwie przypiętej do lewego uda. Intruz, znajdujący się teraz nie dalej niż dziesięć stóp od niego, odwrócił się plecami i przykłęknął, aby zajrzeć pod stół. Zaczął coś wyciągać. Udawało mu się to, aczkolwiek z wielkim trudem. Przerzywał tę czynność za

każdym razem, gdy ciężki przedmiot powodował skrzypięcie drewnianej podłogi. Katon dostrzegł w końcu, że intruz mocuje się z okutą skrzynią. Leżał nieruchomo przerażony, tak długo wstrzymując oddech, że w skroniach czuł bicie tętna. Pochylony nad skrzynią intruz manipulował tymczasem przy zamku — ten w końcu ustąpił z cichym kliknięciem. Mężczyzna zaczął grzebać w kufrze; widać było, że wie, czego szuka.

Katon zdał sobie nagle sprawę, że ten człowiek odwróci się lada moment. Chyba tylko cud mógł sprawić, że nie zauważy ciała rozplaszczonego na stojącej tuż obok leżance. Sięgnął więc powoli do lewego uda i chwycił rękojeść sztyletu. Niestety, chyba położył się na pochwie, bo nie dał rady go wyciągnąć. Musiał włożyć więcej siły w szarpnięcie, a nawet ruszyć tyłek, aby mieć swobodniejszy dostęp. Za mocno! Ostrze wysunęło się z pochwy z cichym chrzęstem, już trzymał je w dłoni. W tym samym momencie intruz odwrócił się, jednym płynnym ruchem unosząc miecz, ale z zaskoczenia musiał zapomnieć o podstawach wpajanych każdemu legionście — o tym, że czubek ostrza jest o wiele niebezpieczniejszy niż pozostałe ostre krawędzie. Zamiast pchnąć, ciął z zamachem i gladius odbił się od oparcia tuż nad głową Katona, odłupując przy okazji spory kawał drewna.

Optio dźgnął sztyletem w majaczącą przed nim w mroku postać. Ostrze przebiło materiał i zagłębiło się w czymś znacznie twardszym.

— Kurwa! — krzyknął napastnik, odskakując do tyłu. Uderzył plecami w stół. Katon w tym momencie skoczył na lewo, w stronę dziury, którą dostał się tutaj razem z Lawinią, w ciemnościach zawadził jednak golenią o niski taboret. Napastnik ruszył za nim mocno pochylony; pewne było, że drugi raz nie popełni tego samego błędu. Katon poczuł przeraźliwy ból w podudziu, minęła dłuższa chwila, zanim znów mógł się poruszyć. Przeciwnik, otrząsając się z zaskoczenia, wykorzystał tę szansę i ruszył na niego, mierząc mieczem prosto w krtań optio.

— Ratunku! — wydarł się chłopak i instynktownie skoczył pod stół. — Pomocy!

— Zamknij się, mały pojebańcu! — wysyczał mężczyzna i Katon przez moment był gotów usłuchać tego polecenia, ale szybko zrozumiał, że popełnia błąd. Gladius świsnął mu przed twarzą, odczytał się więc dalej, aż pod leżankę, i znów zaczął krzyczeć.

— Na pomoc! Do mnie!

W sąsiednim korytarzu dały się słyszeć zaspane głosy mieszkańców. Katon z wielką ulgą przyjął nawoływanie strażników. Napastnik też je usłyszał i zamarł, rozglądając się nerwowo, jakby szukał drogi ucieczki. W drugim końcu namiotu zrobiło się jaśniej, dobiegły stamtąd głosy wartowników.

— Tutaj! Tędy!

Intruz, wznosząc miecz, popędził w stronę poluzowanej ściany namiotu. Katon w tym czasie podniósł się z podłogi i stanął przy stole. Grot włóczy odchylił skórzaną zasłonę i w sali obrad nagle zrobiło się jasno. Wartownik wbiegł do niej, dzierżąc w ręku pochodnię. Intruz ukryty w cieniu, za jego plecami, natychmiast zamachnął się mieczem.

— Uważaj! — wrzasnął Optio.

Żołnierz odwrócił się w stronę, z której dobiegł okrzyk, ale w tym samym momencie otrzymał mocny cios w tył głowy. Katon patrzył z przerażeniem, jak legionista pada na kolana, wydając cichy jęk, i wali się ciężko na twarz. Upuszczona przez niego pochodnia potoczyła się po drewnianej podłodze, sypiąc iskrami prosto na stos luźno zrolowanych map. Optio oderwał od nich wzrok moment później, by ujrzeć niktą w mroku plecy napastnika. Ruszył za nim, nie zastanawiając się wiele. Wypadł z namiotu legata do przedsionka zastawionego składanymi biurkami dla skrybów. Tuż przed nim, po prawej, intruz ciął właśnie mieczem skórzaną ścianę, aby jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Z lewej Katon dostrzegł blask kolejnych pochodni i usłyszał tupot stóp i okrzyki nadbiegających strażników. Zatrzymał się, dysząc z przerażenia.

Zawrócił do namiotu legata; mapy, lizane płomieniem pochodni, zaczynały już płonąć. Żółte i pomarańczowe ogniki pełzały szybko po powierzchni pergaminu. Zza ściany dobiegały podniecone głosy przebudzonych ludzi. Nie miał szans na ucieczkę tamtą drogą.

Przypadł do podłogi w rogu pomieszczenia, usiłując podnieść ciężki płat skóry. Wiązanie puściło z cichym trzaskiem i zdołał się prześlizgnąć przez powstałą szparę. Znalazł się w części kuchennej, tutaj nie było już podłogi. Pod nogami znów miał zdeptaną trawę. Jak widać, niewolnicy nie zasługiwali na luksusy. Wystraszony dobiegającymi z bliska okrzykami wartowników, ruszył pędem na drugi koniec kuchni, gdzie wytoczył się na zewnątrz przez szparę pomiędzy ziemią a dolnym krańcem ściany namiotu.

Leżał na otwartej przestrzeni na plecach, widząc przed sobą idealnie czarne niebo upstrzone miriadami połyskujących gwiazd. Nie myśląc wiele, zerwał się na równe nogi i popędził za namioty trybunów, kierując się w stronę miejsca postoju taboru artylerii. Kluczył między kolejnymi rzędami wozów, dopóki nie stracił kwatery głównej z pola widzenia. Dopiero wtedy oparł się o podstawę balisty, aby odzyskać oddech. Serce mu waliło, dyszał jak koń po długim biegu. Od strony namiotu legata widać było jaśniejącą poświatę, moment później na tle czerni nieba pojawiły się pierwsze płomienie. W tym samym momencie dosłyszał wołania o wodę i kolejnych ludzi.

Jeśli ktoś zauważy mnie teraz w pobliżu kwatery głównej, będę miał przechlapane, pomyślał Katon. Ruszył więc dalej, lawirując pomiędzy wozami artylerii, dopóki nie dotarł na obrzeża obozu, pod wał z torfu i palisadę. Owijając ramiona płaszczem, skierował się prosto na stojące w równych szeregach namioty centurii. Szedł krokiem, który miał wyglądać na równy i spokojny. Ale gdyby ktoś teraz zastąpił mu drogę, nie potrafiłby znaleźć rozsądnego wytłumaczenia swojej obecności w tym miejscu.

Wartownicy rozstawieni na umocnieniach spoglądali w stronę pożaru, ale odległość, jaka dzieliła ich od idącego coraz spokojniejszym krokiem Katona, uniemożliwiała im dostrzeżenie go w ciemnościach. Po trwającym całe eony marszu optio dotarł w końcu do swojej jednostki i skręcił do namiotów szóstej centurii. Gdzieś w mroku zagrała trąbka, ogłaszając pobudkę dla wszystkich żołnierzy dyżurnej kohorty. W tym samym momencie Katon wchodził, nie oglądając się za siebie, do osmioosobowego namiotu, w którym

zakwaterowano jego drużynę. Położył się na własnym posłaniu, nie zdejmując peleryny ani sandałów.

— To ty, Katonie? — z ciemności dobiegł zaspany głos Pyraksa. Optio nie odpowiedział, nawet się nie poruszył.

— Katonie?

Lepiej nie ignorować pytań Pyraksa, pomyślał. Muszę mu odpowiedzieć.

— Tak?

— Co tam się dzieje?

— Dlaczego mnie o to pytasz?

— Dopiero co wszedłeś.

— Byłem w latrynie. Zdaje się, że w kwaterze głównej wybuchł pożar.

— Co za głupie cipy. — Pyrax ziewnął. — Obudź mnie, jeśli ogień dotrze do naszych namiotów. Dobrej nocy.

— Dobrej nocy — odmruknął Katon sennym głosem.

O śnie nie było jednak mowy. Optio leżał, wpatrując się z niemym przerażeniem w sufit namiotu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wespazjan stał z rękami opartymi o biodra i zadartą głową, spoglądając przez dziurę wypaloną w dachu jego namiotu prosto w nocne niebo. Opuścił wzrok po chwili, aby przyjrzeć się rzędowi milczących mężczyzn zgromadzonych wokół stołu. Zawstydzeni wartownicy wbili wzrok w podłogę.

- Możecie mi wytłumaczyć, jakim cudem złodziej zdołał się zakraść do mojego namiotu, skoro byliście tak czujni, jak mówicie?
- Pełniliśmy warty sumiennie jak zawsze, panie — zapewnił go centurion. — Czterech ludzi stało przy wejściu, czterech innych patrolowało teren wokół namiotu. Obszedłem teren raz jeszcze i znalazłem dwa rozcięcia w ścianach. Podejrzewam, że napastnik wykorzystał je do wejścia do środka i wyjścia na zewnątrz.
- Powiadasz, że podejrzewasz? — wtrącił Wespazjan z przekąsem. — Doskonale, centurionie, naprawdę znakomicie. Gdzie zatem była reszta z was, gdy ten człowiek rozcinał ściany namiotu, aby się tu dostać?
- Rozmawialiśmy z trybunem, panie.
- Z którym?
- Z Gajuszem Pliniuszem, panie. On miał tej nocy dyżur. Przyszedł do nas i zarządził pełną inspekcję.
- Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?
- Usłyszał, że rozmawialiśmy o inwazji, panie.

- O inwazji? A co mówiliście?
- Cóż, panie... — Centurion wyglądał na zakłopotanego. — Kilku naszych chłopców słyszało pogłoski o potworach zamieszkujących tę wyspę.
- Jak dotarły do nich te brednie? — zapytał szybko Wes-pazjan, nie kryjąc obaw.
- Centurion wzruszył ramionami.
- Jak zwykle, panie. Plotki szybko się rozchodzą.
- Legat zrobił głęboki wdech.
- Zatem twierdzisz, że intruz zdołał przeniknąć do wnętrza mojego namiotu, ponieważ Pliniusz was przycisnął za to, że paplaliście jak stare baby?
- Tak, panie.
- Świetnie, zatem ty i wszyscy twoi ludzie staniecie do raportu. Zostaniecie też zdegradowani i przeniesieni do centurii liniowej. A teraz wynocha mi stąd!

Obserwował ich, gdy wychodzili, powłócząc nogami, wiedząc, że ostatnia kara będzie dla nich naprawdę dotkliwa. Wszyscy żołnierze uważali służbę w kompanii wartowniczej dowództwa za dar losu, i mieli rację. Lepsze jedzenie, łatwiej wywiązać się z obowiązków, znacznie bezpieczniejsza pozycja podczas bitwy. Tak było w normalnych warunkach. A teraz jeden ze strażników leżał ciężko ranny w polowym lazarecie. Wciąż był nieprzytomny, krwawił też mocno z rany na tyle i boku głowy. Chirurg twierdził, że może nie przeżyć do rana. Szkoda, zwłaszcza że był jedynym, który prawdopodobnie widział napastnika i mógł go zidentyfikować. A tego Wespazjan pragnął teraz najbardziej.

Na wpół ubrany, jak wszyscy zbudzeni krzykami i rabanem dochodzącym z sali odpraw, zaraz po wejściu do tego pomieszczenia sprawdził kufer z listami. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że stało się najgorsze — małeńki zwój z osobistą pieczęcią Klaudiusza zniknął. Wszystko inne zostało, co oznaczać mogło tylko jedno. Złodziej doskonale wiedział, czego szuka, i zdobył, co chciał. Ktoś w tym obozie posiadał w tej chwili niezwykle cenny tajny dokument, który mógł zostać wykorzystany w działaniach zmie-

rzających do obalenia cesarza. Wespazjan już go nie potrzebował — zapamiętał go bowiem dokładnie, słowo po słowie, i wiedział, co ma robić — niemniej bolało go to, że dzisiaj ktoś inny także pozna jego treść.

Co się wydarzy, jeśli ktoś przekaże wieść o tym wydarzeniu do Rzymu i Klaudiusz dowie się, że on, Wespazjan, dopuścił do utraty tak ważnego dokumentu? Z czegoś takiego nie da się wytłumaczyć. Na nim spoczywała cała odpowiedzialność i właśnie dlatego tak ostro ukarał wszystkich wartowników. Niech cierpią, skoro z ich winy on także musi ponieść konsekwencje.

Był pewien, że złodziejem jest ktoś z najbliższego otoczenia. Ktoś z legionu, zapewne zdrajca, o którym wspominał w swoim liście Plaucjusz. Wespazjan miał jeszcze szansę na odzyskanie utraconego pisma, ale musiał tego dokonać, zanim jego legion dotrze na wybrzeże i zmiesza się z całą masą innych jednostek wyznaczonych do inwazji. Przy leżance znaleziono plamę krwi, druga roz-bryznięła się na stole, ślad prowadził poza ubitą ziemię wokół namiotu i tam nagle się urywał. Zatem ktoś ranił napastnika. To wydało się legatowi najdziwniejsze. Strażnik, którego uderzono w tył głowy, został zaskoczony przez złodzieja tuż przy wejściu do namiotu. Zatem to nie on zdołał ranić intruza.

Co się stało z Lawinią? Ta myśl wciąż dręczyła Katona. Nie wróciła do namiotu, ale czy przypadkiem nie natknęła się na intruza, w czasie gdy on czekał na nią na leżance? Modlił się o to, by była cała i zdrowa. Nie mógł jednak ryzykować i iść w pobliże kwatery, aby się przekonać o tym na własne oczy. Ogluszony strażnik widział go przecież dokładnie i bez problemu rozpoznałby w tłumie jego charakterystyczną sylwetkę. Musi zatem wypytać Flawię. Musi wysłać do niej wiadomość, i to jak najszybciej. Nie miał jednak pojęcia, jak wiele żona legata wie o tym, co wydarzyło się w nocy, i na ile może jej zaufać. Jeśli Wespazjan dowie się, że to on był wtedy w namiocie, szybko powiąże fakty i dojdzie do wniosku, iż Katon stał za kradzieżą tego, co intruz wyjął z opancerzonego kufierka. Optio znalazł się w niewesołej sytuacji, desperacko potrze-

bował jakiegoś sprzymierzeńca. Gdyby tylko mógł się zobaczyć z Flawią — opowiedzieć jej o wszystkim, co widział — może ona byłaby w stanie go obronić. Zaprzyjaźniła się z nim, a teraz potrzebował jej pomocy. Rano próbuje się do niej dostać.

Tuż po świcie zbudziło go mocne szarpnięcie za ramię. Otworzył zaspane oczy i ujrzał nad sobą twarz Pyraksa.

— Co się dzieje?

— Centurion chce cię widzieć. Natychmiast.

Katon wsparł się na łokciu i wyjrzał za odsuniętą kotarę w wejściu. Słońce stało już nad horyzontem. Potrząsnął głową i zwlekł się z posłania.

— Już po pobudce?

— I to sporo. — Pyrax wzruszył ramionami. — Przespałeś śniadanie, właśnie zabieramy się za zwijanie namiotu.

— Dlaczego nikt mnie nie obudził?

— Jesteś już dużym chłopczykiem, powinieneś sam dbać o siebie.

— Gdzie jest centurion?

— W swoim namiocie. Na twoim miejscu już bym się u niego meldował. Macro nie wyglądał na zadowolonego, kiedy kazał cię zawołać... — Pyrax umilkł, spoglądając na rękę Katona. — Co ci się stało?

Optio podążył wzrokiem za oczami legionisty i zobaczył, że jego kciuk i palec wskazujący pokrywa warstwa zaschniętej krwi.

— A, to! Widzisz, no, pomagałem poganiaczom mulów oprawić zwierzę, które potem upiekliśmy i zjedliśmy przy ich ognisku.

— Miłe z ich strony, że się podzielili — mruknął z zazdrością w głosie Pyrax — ale mogłeś się, człowieku, umyć.

— Wybacz — odparł Katon. — Muszę już iść.

Przemknął pod na wpół odsłoniętą kotarą i natychmiast obmył ręce wodą z bukłaka wiszącego obok wejścia do namiotu. Krew intruza zaschła kompletnie, musiał drapać paznokciami, aby ją usunąć z palców. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jego sztylet także musi być zakrwawiony. Nie mylił się, wyjęte z pochwy ostrze niemal w całości pokrywała warstwa zaschniętej posoki. Oczyszczę-

nie go potrwało chwilę, więc gdy Katon meldował się w namiocie centuriona, ten był już wściekły. Piso stał w głębi namiotu, rzucając ostrzegawcze spojrzenia.

- Dlaczego to tak kurewsko długo trwało? Posłałem po ciebie całe eony temu!
- Wybacz, panie.
- No, słucham?
- Tak?
- Dlaczego się spóźniłeś, baranie? Czekam na wyjaśnienia.
- Siedziałem w latrynie, panie. Zjadłem coś niestrawnego wczoraj wieczorem.
- Na drugi raz uważaj, co pakujesz do tej nienażartej mordy — burknął zniecierpliwiony centurion. — Masz robotę do wykonania. Legat wydzielił naszą centurię z legionu, mamy eskortować kogoś ważnego. Otrzymałem te rozkazy na porannej odprawie. Mamy dotrzeć jako pierwsi do Durocortorum i dołączyć tam do jakiejś szczyhy ze sztabu, którą musimy odstawić aż do namiotu generała Plaucjusza w Gesoriacum. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy wyjść pierwsi i wykonać te rozkazy. Już wydałem rozkaz załadowania sprzętu na wozy. Ty zajmij się załatwieniem aprowizacji i wina dla naszego gościa na czas przemarszu. Kwaternistrz został już o tym powiadomiony. Piso, ty pójdziesz pogonić ludzi. Niech jak najszybciej składają namioty, mają skończyć przed następną zmianą wart. Jazda mi stąd obaj!

Po wyjściu z namiotu Katon rzucił pytające spojrzenie staremu skrybie.

- Zły dzień — mruknął tamten. — Jakieś podejrzone rzeczy działały się nocą w kwaterze głównej.
- Podejrzone rzeczy?
- Ponoć złodziej chciał obrabować legata. Zadźgał wartownika i zwał. Wespazjan opieprzył wszystkich oficerów za to, że **nie** potrafią pilnować swoich ludzi.
- Tak? Czy ktoś wie, co mu skradziono?
- Najwidoczniej nie było to nic cennego. Ale ten biedak, który nakrył złodzieja, nic pożyje już długo.

- Szkoda człowieka. — Katon postarał się, aby w jego słowach zabrzmiała troska, chociaż słysząc tę wieść, poczuł naprawdę wielką ulgę. Jego pokręcona wyobraźnia natychmiast podsunęła mu widok nieszczęsnego wartownika, leżącego na posłaniu w bandażach bez przytomności, i znów poczuł się parszywie.
- Nie przejmuj się tym aż tak, synku. — Piso położył mu dłoń na ramieniu. — Takie rzeczy się zdarzają. Dziękuj losowi, że nie trafiło na ciebie.

Trybun, oparłszy brodę na dłoniach, przyglądał się Pulcherowi, który przysiadł właśnie na składanym krześle, aby opatrzyć nogę. Piękniś miał na udzie głębokie na palec nacięcie, które krwawiło obficie do chwili, kiedy zdołał się wydostać z namiotu i założyć na nogę opaskę uciskową. Dokuśtykał potem do kwatery trybuna, gdzie siedział teraz, zakładając sobie świeży opatrunek. Na szczęście dla niego rana znajdowała się tak wysoko, że bez problemu będzie mógł ją ukryć pod spodniami — nikt nie powinien zauważyć, iż ktoś go dzisiaj dźgnął. Ale cały dzień marszu da mu się nieźle we znaki, pomyślał trybun z satysfakcją. To powinno nauczyć tego człowieka, żeby niepotrzebnie nie ryzykował następnym razem. O ile będzie jeszcze jakiś następny raz. Wespazjan rozkazał podwoić strażę wokół swojej kwatery, zamykając tym samym dostęp do niej. Jego przeciwnik jednak nie wiedział jeszcze, czy nie zajdzie konieczność powtórzenia wypadu.

- Spodziewam się, że zechcesz prosić o możliwość powrotu do Rzymu — stwierdził trybun, podając rannemu kubek wina.
- Masz rację, panie — burknął Pulcher. — Dość już mam tej przebieranki. Chcę wracać do normalnej służby.
- Służba w szeregach pretorian do normalnej raczej nie należy.
- Ale jest taka, jaką lubię.
- Zgłosiłeś się na ochotnika do tego zadania.
- To prawda. Ale za kwotę, którą mi zaproponowano, wszyscy by się zgłosili.
- Tyle tylko że nie każdy posiada tę niezwykłą umiejętność usuwania z drogi przeszkód, zamykania zbyt gadatliwych gęb

i pozbywania się niewygodnych świadków. A skoro już o tym mowa, jesteś pewien, że nie rozpoznałeś człowieka, który nadział cię w namiocie na swój sztylet jak świnie na rożen?

— Nie — odpowiedź Pulchera ociekała wściekłością. — Ale kiedy się dowiem, kto to był, sprawię, że będzie cierpiał przed śmiercią niewysłowione męki. Możesz być pewien, że uczynię to bez dodatkowej opłaty.

— W takim razie zrób wszystko, aby go odnaleźć. Jeśli on wcześniej odkryje, kim ty jesteś, może także dotrzeć do mnie.

— To wykluczone, panie.

— Na twoim miejscu nie lekceważyłbym roli tortur w rozwiązywaniu języków — ostrzegł go trybun. Jego rozmówca zdążył prychnąć szyderczo, zanim padły kolejne słowa. — Obawiam się też, że mam dla ciebie złą wiadomość.

— Tak?

— Nie wykonałeś zadania.

— O co ci chodzi? — Pulcher wskazał palcem na zwój. — Tego pisma chciałeś i do kurwy nędzy, dostałeś je.

— No nie — mruknął trybun. — Naprawdę uważasz, że wezwałem cię tutaj z Rzymu, żebyś zdobywał dla mnie materiały piśmiennicze?

Rozwinął zwój, dając go do przeczytania swojemu rozmówcy. Ale nie było co czytać, pergamin był czysty.

— Wygląda na to, że ktoś nas uprzedził. Albo Wespazjan użył tego kuferka jako wabika, albo ktoś inny dotarł do zwoju wcześniej i podmienił go, podrzucając fałszywkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wymarsz szóstej centurii przed wszystkimi innymi wywołał spore zamieszanie nie tylko wśród legionistów do niej należących, ale i tych, którzy obserwowali to zdarzenie. W normalnych warunkach żaden żołnierz nie mógł opuścić obozu przed najwyższymi oficerami i nosicielami insygniów. Dlatego każdy obserwator od razu się domyślał, że szósta została oddelegowana do wykonania specjalnego zadania. Na czym miało ono polegać, wiedzieli jedynie centurion, optio i sekretarz wyruszającej centurii, zwykli żołnierze legionu mogli tylko zgadywać, gdzie udają się wozy taboru i postępująca w ślad za nimi kolumna piechurów, skręcająca zaraz za bramą na trakt wiodący w stronę Durocortorum. Ciekawość szybko ustąpiła złości, gdy oficerowie zagonili wszystkich obserwujących to niezwykle wydarzenie do roboty przy składaniu namiotów przed kolejnym wymarszem.

Także podniecenie w szeregach szóstej nie malało, wręcz przeciwnie, żołnierze głośno rozprawiali, wciąż zastanawiając się, co też przyjdzie im robić. Idący na ich czele Macro nie mógł nie słyszeć kolejnych pytań, wypowiedzianych o wiele głośniejszym głosem niż trzeba, żeby na pewno trafiły do jego uszu. Pozwolił sobie na lekki uśmiech, widząc, że jego ludzie desperacko pragną zdobyć choćby strzępek informacji. Niech się gubią w domysłach, pomyślał, i tak niedługo poznają prawdę. Nie widział większego sensu w zabranianiu im rozmów i maszerowaniu w kompletnej ciszy. Mógł im też wybaczyć wiele,

byle nie psuć tego nastroju. Jego też cieszyło wydzielenie z legionu, nie musiał się już gapić w tak dobrze mu znane plecy żołnierzy idących przed nimi przez ostatnie dwieście milliariów. Skończyły się długie, frustrujące postoje przy przeprawach i czekanie przed bramą obozu, dopóki któryś z nadętych oficerów nie raczy wprowadzić ich lub wyprowadzić.

Przed sobą miał pustą drogę ciągnącą się niemal po horyzont. Niebo nad jego głową było czyste i mocno niebieskie, z góry dobiegały głośne trele ptaków. W taki dzień Macro potrafił się cieszyć już tylko z tego, że żył.

Niepokoilo go wyłącznie to, że idący tuż obok, dosłownie o krok za nim, optio maszeruje z ponurą miną, wbiwszy oczy w ziemię, jakby ta pozytywna odmiana zupełnie go nie cieszyła.

— Na wszystkich bogów, co się z tobą dzisiaj dzieje, Katonie?

Zaskoczył chłopaka tak nagłym wtargnięciem w jego rozmyślania.

— Tak, panie?

— Pytałem, co się z tobą dzieje.

— Dzieje, panie? Ze mną? Nic.

— W takim razie uśmiechnij się i raduj życiem — poradził mu Macro. — Rzadko kiedy mamy okazję wykonywania takich zadań. Nawet jeśli to tylko... — ściszył na moment głos. — Nawet jeśli to tylko niańczenie jakiejś szczy w drodze do sztabu.

— Skoro tak mówisz, panie.

— Tak, chłopcze. I uwierz mi, wiem, o czym mówię. A teraz uśmiechnij się i zacznij się cieszyć porankiem. Traktujesz życie zbyt poważnie, mój młody Katonie.

Optio obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— Może dlatego, że życie zrobiło się dla mnie zbyt poważne, panie.

— Ciągle biadolisz z powodu tej swojej panienki? — Macro roześmiał się i dał solidnego kuksańca swojemu zastępcy. — Jak ci poszło minionego wieczora?

Katon dał się zaskoczyć tym pytaniem do tego stopnia, że z miejsca zmylił krok i dopiero przekleństwo rzucone przez idącego za nim żołnierza zmusiło go do ponownego przyspieszenia.

- No... — Macro puścił do niego oczko. — Zakutasiełeś?
- Nie, panie.
- Dlaczego, u licha? Tylko mi nie mów, że wyjechałeś z tymi swoimi poezjami i romansami. Powiedz, proszę, że tego nie zrobiłeś.
- Nie zrobiłem, panie. — Katon wbił wzrok w ziemię, wiedząc, że nie zdoła oszukać tego człowieka. — Przeszkodzone nam, zanim doszło do... czegokolwiek.
- No to szkoda. — Macro pokiwał współczująco głową.
- A co ci przeszkodziło?
 - Mieliliśmy schadzkę przy wozach, za namiotami legata. Szło nam całkiem nieźle, aż tu nagle zrobił się srogi zamęt. Ja nalegałem, żeby na niego nie zważać i robić swoje, ale Lawinia usłyszała, że woła ją jej pani.
 - Trzeba było chociaż ją przelecieć na pożegnanie — zasugerował Macro.
 - Nawet na to nie mieliśmy czasu — wyjaśnił z żalem Katon.
- Zerwała się od razu i pobiegła, nawet nie zdążyliśmy się umówić na kolejną schadzkę. A teraz ja zostałem wysłany z misją, a ona została w obozie.
 - Nie martw się, chłopcze, jestem pewien, że będzie grzała łożo do twojego powrotu.
 - Tak, panie.
 - Zatem byłeś w pobliżu, gdy nakryto tego złodzieja. Widziałeś coś może?
 - Nic, panie. Zupełnie nic. Po prostu oddaliłem się stamtąd i położyłem spać.
 - No to ominęła cię niezła zabawa.
 - Tak, panie — odparł Katon takim tonem, że Macro pożałował, iż zaczął go wypytywać na temat pierwszej, nieudanej randki. Centurion pomyślał, że najlepszym sposobem na niewesołe myśli jego zastępcy będzie znalezienie mu jakiegoś zajęcia. Czepił się więc pierwszego pomysłu, jaki przyszedł mu do głowy.
 - Sprawdźmy, jak mi idzie zapamiętywanie słówek. Ty powiedz jakieś, a ja je przeliteruję.

— Jak sobie życzysz, panie.

W czasie gdy Macro biedził się przy nowo poznanych słowach, takich jak: „szaniec”, „wartownik” czy „włócznia”, Katon nadal zamartwiał się na śmierć. Jeśli ranny wartownik wydobrzeje, śledczy dość szybko dotrą do niego. I co wtedy będzie? Tortury, wydobycie zeznania i śmierć w upokorzeniu. Ale jeśli Lawinia ocalała, może potwierdzić jego wersję zdarzeń. Chyba że, ta myśl ubodła go straszliwie, dziewczyna uzna, iż zeznając w jego obronie, zaszkodzi sobie. A co z Flawią? W końcu to ona zaaranżowała im schadzki. Ale mogła zaprzeczyć zeznaniom Lawinii z tego samego powodu. Dopóki centuria nie powróci do legionu, nie będzie pewny niczego.

— Katonie? — Centurion dość szybko znudził się przeliterowaniem słów.

— Tak, panie?

— Chodzi mi o tego człowieka, po którego idziemy.

— O Narcyza?

— Cicho! — wysyczał Macro. — Ta banda nie powinna jeszcze o tym wiedzieć. — Wskazał głową maszerujących za nimi żołnierzy.

— Wybacz, panie. Co chcesz wiedzieć?

— Wpadłeś kiedyś na niego w pałacu?

— Tak, panie. Był dobrym przyjacielem mojego ojca, ale potem bogactwo przewróciło mu w głowie.

— Jaki on jest? — zapytał Macro i widząc zaniepokojenie na twarzy swojego zastępcy, zaraz dodał: — Chcę po prostu wiedzieć, co to za człowiek, zanim go spotkamy, żeby nie popełnić jakiegoś głupiego błędu. Skoro mamy go chronić przez kilka najbliższych dni, wolałbym go nie wkurzyć, w końcu to ktoś ze ścisłego otoczenia imperatora. Nie żebym się go bał czy coś, w końcu to tylko jakiś tam pieprzony wyzwolenc. Chciałbym jedynie, żeby czuł się dobrze pod naszą ochroną. Nikomu przecież nie zaszkodzi, jeśli zyskamy trochę uznania w jego oczach. No gadaj, co o nim wiesz.

— Cóż, panie... — Katon przerwał, aby zebrać myśli.

To nie będzie łatwa sprawa. Rzeczy, które wiedział o Narcyzie, nie były zbyt pochlebne dla wyzwolenc — na szczęście Katon miał na tyle oleju w głowie, by o nich nie rozpowiadać. Z tego jak Narcyz,

jedną z najważniejszych osób wśród doradców Klaudiusza, potraktował jego ojca pod koniec ich znajomości, wnioskował, że nie powinien liczyć na żadne fawory. Obok Narcyza tylko Mesalina

— ambitna i bezwzględna żona cesarza — miała coś do powiedzenia w kwestiach związanych z rządzeniem imperium.

— Mów wreszcie.

— To dobry człowiek. Naprawdę znakomity, panie. Na pierwszy rzut oka może się wydawać wyniosły i zimny, ale wyłącznie dlatego, że tak wielki ciężar spoczywa na jego barkach. W pałacu powiadano, że jest bystrzejszy i pracuje o wiele ciężiej niż ktokolwiek w imperium. Wszyscy go tam szanowaliśmy — zakończył taktownie Katon.

— Cóż, bardzo pięknie to ująłeś, ale mnie raczej chodziło o to, jakim jest człowiekiem. Chciałbym wiedzieć, czym mógłbym go czymś ująć.

— Czy mógłbyś go czymś ująć, panie? — Optio uniósł brew ze zdziwienia.

— Tak. Pytam, czy jest towarzyski. Albo czy lubi dobre żarty? Bo tych mogę mu opowiedzieć całą masę.

— Nie, panie. Proszę, nie staraj się być przy nim zabawnym

— powiedział Katon, mając przed oczami przerażający obraz prawdziwego kosmopolity raczonego ordynarnym, żołnierskim humorem. — Po prostu bądź sobą, panie. Zachowuj się profesjonalnie i schodź mu z drogi, kiedy możesz. A nade wszystko uważaj na to, co przy nim mówisz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tuż po świcie Flawia zasiadła do przenośnego biurka, aby przejrzeć papiery. Z sąsiedniego namiotu dobiegały piski Tytusa, w którego niańka usiłowała wmusić śniadanie. Żona legata chciała dokończyć zaległą korespondencję, zamierzała ją wysłać zanim II Legion opuści okolice Renu. Napisała już list do jednego z dalszych krewnych, dowodzącego szwadronem jazdy w jednostce mającej wziąć udział w planowanej inwazji. Poinformowała go, że ma nadzieję na spotkanie, gdy legion jej męża dotrze w końcu do Geso-riacum. Musiała też powiadomić kilka osób w Rzymie o swoim rychłym powrocie. Majordomus pilnujący ich willi na Kwirynale także powinien się o tym dowiedzieć, jak również zarządca majątku Wespazjana w Kampanii. W obu miejscach muszą zostać poczynione przygotowania, aby były one gotowe na przyjęcie Flawii i jej orszaku.

Niestety, wszystkie te wiadomości musiały poczekać, dopóki nie zajmie się znacznie ważniejszą sprawą. Zanurzyła końcówkę rysika w tuszu i zaczęła pisać, powoli i wyraźnie, przerywając czasami, aby skopiować jakiś detal albo fragment mapy z leżącego przed nią zwoju. Wartownik stojący przed wejściem do jej namiotu wykrzyczał zwyczajowe pozdrowienie, dając Flawii czas na ukrycie pisma, nad którym pracowała, pod stosem innych papierów. Gdy jej mąż wszedł do środka, uśmiechnęła się do niego, odłożyła rysik i wstała, aby go ucałować.

- Obawiam się, że musisz zacząć pakować rzeczy — powiedział Wespazjan. — Nawet żona legata nie ma prawa opóźniać wymarszu legionu.
- Dasz nam chyba trochę więcej czasu na pozbieranie się po tym, co się wydarzyło wczorajszej nocy?
- A po czym tu się zbierać? Nieprzespane noce to normalka w armii.
- Ja nie służę w armii — zaprotestowała.
- Nie, ale zostałeś jej poślubiona.
- Ty brutalu! — zawołała Flawia. — Wiedziałam, że powinnam wyjść za jakiegoś tłustego starego senatora zainteresowanego wyłącznie uprawą winorośli. Zamiast tego tkwię teraz w samym środku barbarzyńskiej dziczy u boku mężczyzny, któremu wydaje się, że jest żołnierzem.
- Nigdy cię do tego nie zmuszałem — odparł legat wyjątkowo spokojnym głosem.

Flawia ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przecież żartowałam, głuptasie. Wiesz, dlaczego cię poślubiłam. Z miłości, jakkolwiek niemodnie brzmi to dzisiaj.
- A mogłaś lepiej trafić.
- Nie. Nie mogłam. — Flawia pocałowała go. — Któregoś dnia staniesz się najpotężniejszym człowiekiem tego świata. Obiecuję ci to.
- Wiesz, że to bardzo nierozważne słowa. Nie powtarzaj ich więcej, Flawio. W dzisiejszych czasach nawet myślenie w podobny sposób może być niebezpieczne.

Żona spoglądała w oczy legata przez dłuższą chwilę, a potem się uśmiechnęła.

— Masz rację, kochanie. Będę uważała na to, co mówię. Ale zapamiętaj moje słowa: nie zapiszesz się na kartach historii, jeśli pozostaniesz tylko dowódcą legionu. Zadbam o to, abyś się wybił, jeśli nikt inny nie zechce tego zrobić. Uwierz mi, powinieneś stać się ambitniejszym człowiekiem. Nie powiesz mi chyba, że na zawsze zamierzasz zostać szczerym do bólu republika ninem?

- Kto wie? — Wespazjan wzruszył ramionami. — Dzisiaj nie wiem nawet, czy do końca miesiąca uda mi się zachować stanowisko dowódcy Drugiego Legionu.
 - Dlaczego, kochanie? Co się stało?
 - Ten incydent ubiegłej nocy...
 - Mówisz o pożarze?
 - Raczej o człowieku, który go spowodował. O złodzieju, który skradł coś naprawdę cennego. Coś, co powierzył mi w sekrecie sam Narcyz. Jeśli dowie się, że już tego nie mam, nie pozwoli mi na żadne tłumaczenia.
 - Przecież to nie twoja wina, że ktoś to ukradł — zaprotestowała Flawia. — Czymkolwiek „to” było. Nie może cię przecież usunąć z tak błahego powodu.
 - Może. Zrobi to. Będzie musiał.
 - Dlaczego? Cóż tak ważnego ci skradziono?
- Wespazjan pozwolił sobie na błady uśmiezek.
- Tego nie mogę powiedzieć nawet tobie. Akurat w tym punkcie rozkazy były bardziej niż dokładne.
 - Doprawdy? — zapytała Flawia, a na jej twarzy natychmiast pojawiła się obawa. — Pozwól mi porozmawiać z Narcyzem, kiedy dołączymy do reszty armii. Za pałacowych czasów był moim dobrym przyjacielem.
 - Wolałbym, abyś z nim nie rozmawiała. Pozwól mi prowadzić śledztwo w legionie. Dorwiemy tego złodzieja prędzej czy później.
 - Jak się czuje ranny strażnik?
 - Źle z nim. Chirurg twierdzi, że stracił zbyt wiele krwi. Jego stan nie pozwala mu na podróżowanie. Jeśli zabierzemy go z sobą, na pewno nie przetrzyma dnia.
 - Dlaczego więc nie zostawimy go w Durocortorum, dopóki nie wydobrzeje na tyle, by dołączyć do legionu? O ile oczywiście przeżyje.
 - Mógłbym kazać kilku żołnierzom nieść go na noszach, przynajmniej przez kilka dni, dopóki jego stan się nie poprawi. Myślałem już o tym. Ale wtedy nie miałby opieki naszych medyków.

- Tym lepiej dla niego, jeśli chociaż połowa z tych rzeczy, jakie o nich słyszałam, jest prawdą. Może zostawię mu Partenasa? On mógłby go doglądać. Zdobył przecież podstawy wykształcenia medycznego. Widziałam, jak się zajmuje innymi niewolnikami, robi to naprawdę fachowo.
- Dobrze — zgodził się Wespazjan. — Ten człowiek ma większe szanse na wydobrzenie, jeśli zamiast trząść się na każdym wyboju w szpitalnym wozie, pozostanie w łożu. A teraz, jeśli nie będzie to zbyt wielkim trudem dla ciebie, chciałbym prosić, abyś zaczęła pakować swoje rzeczy.
- Dobrze.
- Aha, jeszcze jedna rzecz.
- Tak?

Wespazjan sięgnął do kieszeni tuniki i wyjął niewielki pasek jedwabiu.

- Widziałas już może tę wstążkę?
- Pokaż. — Flawia przyjrzała się dokładnie materiałowi, zanim odpowiedziała. — Należy do Lawinii. Gdzie ją znalazłeś?
- W sali odpraw, na mojej leżance. Ta dziewczyna nie ma tam wstępu, nie przypominam sobie też, abym widział tę wstążkę wczoraj wieczorem, kiedy opuszczałem namiot. Nie sądzisz, że to dziwna sprawa?
- A co w tym dziwnego?
- Lawinia nie miała powodu, aby wchodzić do mojego namiotu. A może ty wiesz coś na ten temat?
- Skąd miałabym wiedzieć? W końcu to twój namiot.
- Jest twoją służącą. — Wespazjan podniósł wzrok. Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, który bardzo zaniepokoił Flawię.
- Co się stało?
- Prawdopodobnie nic. Ale sądzę, że mimo wszystko powinienem zamienić z nią słówko na osobności. Tutaj dzieje się coś naprawdę dziwnego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Jeśli mnie wzrok nie myli, spod tego wielkiego hełmu patrzy na mnie sam młody Katon. — Narcyz roześmiał się, wyciągając obie ręce. Optio zareagował instynktownie, choć najchętniej by uciekł. Sekretarz imperatora ujął go mocno za dłonie, badawczo spoglądając mu w oczy. — Cieszę się, że cię widzę. Nie rozumiem jedynie, co robisz w tym miejscu, i to w przebraniu żołnierza.
- Jestem teraz żołnierzem, panie — odparł Katon oficjalnym tonem. — Jak zapewne pamiętasz, otrzymałem wolność pod warunkiem wstąpienia do legionu.
- Takie szczegółiki zawsze umykają mi z pamięci — odparł Narcyz z taką beztroską, jakby rozmawiali o przekąsce, którą zjadł wiele dni temu. — Jak ci się podoba w armii? Wydaje mi się, że chłopak w twoim wieku powinien polubić życie na łonie natury.
- Nie mogę narzekać, panie — uspokoił go Katon, z trudem godząc się z tym, że został potraktowany jak dziecko, i to na oczach własnego centuriona. — Chociaż wymaga ono ode mnie o wiele więcej wysiłku niż życie w pałacu.

Na ustach Narcyza pojawił się cień uśmiechu.

— Obawiam się, że masz rację. Ja na przykład nie gimnastykowałem się już od wielu lat. Teraz polityka jest moim żywiołem. Ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Cieszę się, że cię znowu widzę, mój chłopcze. Mam nadzieję, że jesteś z niego zadowolony, centurionie.

- Tak, panie. Chłopak zapowiada się na naprawdę dobrego optio. Musisz być dumny z tego, że pałac dostarcza armii ludzi nadających się na oficerów, panie.
 - Odśwież mi pamięć, jeśli łaska, centurionie. Kim właściwie jest optio?
 - To mój zastępca, panie — odparł Macro zaszokowany ignorancją cywila. — I Katon dobrze się spisuje na tym stanowisku.
 - Miło wiedzieć, że nawet armia docenia dobre wykształcenie.
 - Na twarzy Macro natychmiast pojawił się wyraz oburzenia.
 - Żartowałem, centurionie. Nie bierz sobie tych słów do serca.
- Narczyz ujął go pod rękę i poprowadził w stronę imperialnego obozowiska. Sekretarz cesarza był człowiekiem w średnim wieku. Jego oczy otaczały gęste kurze łapki świadczące o tym, że w swoim długim życiu nie stronił od śmiechu. Nie garbił się jednak, a sprawność jego ruchów dorównywała szybkości myśli. Wiedział, jak komuś dogryźć, i nie wahał się wypowiadać uszczypliwości, co świadczyło o niemałym doświadczeniu w gnębieniu ludzi. Macro trzymał jednak gębę na kłódkę, powziął bowiem postanowienie, że w czasie gdy ten człowiek będzie pod jego opieką, wytrzyma wszystkie docinki. Narczyz, z tego co do tej pory widział, był typowym przedstawicielem swojego gatunku. Przełożonych miał za głupszych od siebie, a każdego równego sobie pod względem intelektualnym traktował jak kogoś gorszego — jego postępowanie wobec Katona wyraźnie tego dowodziło. Z takim człowiekiem nie sposób wygrać. Lepiej więc ignorować jego zachowanie.
- Jakie otrzymałeś rozkazy, centurionie? — zapytał Narczyz, gdy znaleźli się sam na sam we wnętrzu namiotu. — Pytam o te szczegóły.
 - Mam cię eskortować, panie, aż do obozu armii inwazyjnej i czekać na przybycie reszty legionu w miejscu, które zostanie wyznaczone. Tak dokładnie brzmiał rozkaz, panie. Otrzymałem także polecenie służenia ci wszelką pomocą.
 - Innymi słowy, masz wykonywać moje rozkazy.
 - Tak, panie — przyznał z niechęcią Macro. — Można to tak ująć.

— Świetnie. — Narcyz skinął głową. — Cieszy mnie, że Wespazjan zrozumiał w końcu, jak to wszystko działa.

Macro zeszywniał, słysząc niczym nie uzasadnione szyderstwo na temat swojego dowódcy. Gdyby te słowa wypowiedział obywatel rzymski, zasłużyłby na naganę, ale one padły z ust zwykłego wyzwolénca — a to było już złamaniem zasad.

— Centurionie, powinniśmy natychmiast wyruszyć w drogę — rozkazał Narcyz, stukając palcem w pierś Macro dla podkreślenia wagi swoich słów. — Muszę jak najszybciej dotrzeć do Gesoriacum. Od mojej obecności tam wiele dzisiaj zależy. Prawdę powiedziawszy, mogę ci zdradzić, że w moich rękach spoczywają losy tej kampanii, a kto wie, czy nie całego kraju. Rozumiesz?

— Nie bardzo wiem, o czym mówisz, panie — przyznał szczerze Macro. — Skąd ten pośpiech?

— Nic ci do tego.

— Ale żeby cała centuria eskortowała jednego człowieka?

— Powiedzmy, że moi przeciwnicy polityczni woleliby, abym nie dotarł na czas do Gesoriacum. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

— Tak, panie.

— Świetnie — podsumował szybko Narcyz. — Ruszajmy zatem. Nie mam ze sobą zbyt wiele. Tylko moich tragarzy i ochronę. Kilku moich ludzi zapadło na jakąś miejscową przypadłość, twoi żołnierze muszą ich więc zastąpić. Przed stajniami stoją dwie skrzynie. Zajmij się nimi, proszę. Ja dołączę do kolumny za chwilę.

Gdy Macro wynurzył się z namiotu Narcyza, Katon od razu zauważył jego zaciśnięte szczęki.

— Wyznacz pięciu ludzi do pomocy wyzwoléncowi. Potrzebuje tragarzy na zastępstwo.

— Tragarzy?

— Ogluchłeś? Zajmij się tym, i to już. Oddelegowani mogą złożyć swoje rzeczy na wozie.

— Tak, panie.

— Zdaje się, że musimy jak najszybciej znaleźć się na wybrzeżu, więc zapomnijcie o spokojnym spacerku przez Galię. Wolałbym,

prawdę powiedziawszy, wlec się za legionem — burknął na koniec Macro.

Lektyka Narcyza okazała się lekkim modelem podróznym, z zasłonami po obu stronach i uchwyty dla ośmiu rosnących Nubijczyków — dźwigali ją z niezwykłą sprawnością nabytą przez lata tej pracy. Lektykę ustawiono w samym środku centurii, tuż za nią niesiono obie skrzynie, to nimi musieli się zająć legioniści zmuszeni do pomagania niewolnikom. Ci ostatni wydawali się mocno rozbawieni faktem, że żołnierzom kazano wykonywać pracę przypisaną ludziom ich stanu. Obok lektyki stał ochroniarz — potężnie umięśniony mężczyzna w lśniącym pancerzu, dzierżący krótki miecz. Jego związane w kucyk włosy, poorana bliznami twarz i czarna przepaska na oku miały informować świat o wielu latach spędzonych na arenie. Nagle zza skórzanej zasłony spowijającej bok lektyki wynurzyła się dłoń. Pstryknięcie palcami zwróciło uwagę przybocznego.

— Hej, Politemusie. Podnieś mi zasłony. Rad będę, mogąc napawać się widokami podczas drogi. Jesteśmy gotowi, centurionie! — Narcyz podniósł głos. — Możemy ruszać!

Macro natychmiast wydał odpowiedni rozkaz i centuria ruszyła, opuszczając Durocortorum główną bramą i maszerując prostą ulicą, a potem traktem wiodącym do Gesoriacum. Gdy osiągnęli szczyt pobliskiego wzgórza, Katon obejrzał się za siebie i dostrzegł w oddali, prawie na horyzoncie, pierwsze szeregi żołnierzy II Legionu, wynurzające się właśnie spośród drzew i zmierzające w stronę miasteczka, które szósta centuria przed chwilą opuściła. Gdy pomyślał o Lawinii, znów poczuł ukłucie strachu. Moment później wspomnienia wydarzeń minionej nocy wyparły z jego głowy wszystkie inne myśli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Około południa tabory i straż tylna II Legionu minęły w końcu Durocortorum i Wespazjan mógł pozwolić swoim ludziom na krótki odpoczynek. Kolumna miała spore opóźnienie, głównie za sprawą miejscowych smarkaczy, którzy upodobali sobie strzelanie z procy do wołów ciągnących legionową artylerię. Jeden z kamieni trafił przypadkiem w jądro wielkiego byka, a ten, rycząc z bólu i wściekłości, natychmiast spróbował zawrócić w miejscu. Zwierzę dostrzegło gromadkę urwisów odpowiedzialnych za sprawienie mu bólu i ruszyło w jej kierunku, wywalając na bruk części skorpionia i jego lawety. W czasie gdy starano się uprzętnąć ten bałagan, rozesłano rozkazy postoju na czoło kolumny i do straży tylnej. Zdecydowano, że rozsądniej będzie zepchnąć rozwaloną maszynę na pobocze traktu, aby inżynierowie mogli ją spokojnie naprawić, umożliwiając dalszy marsz legionu.

Wespazjan, jadąc na tyły, aby osobiście sprawdzić przyczyny postoju, klął pod nosem na brak wystarczającej liczby zakontraktowanych zwierząt — z tej przyczyny musieli zaprzęgać do wozów najbardziej narowiste buhaje, choć te nie za bardzo się do tego nadawały. Poganiacze uspokoili już byka i dołączyli go do stada okulawionych zwierząt, dzięki któremu żołnierze mieli świeże mięso podczas drogi. Gówniarz odpowiedzialny za cały zamęt dostał tęgie lanie, aby zapamiętał do końca życia, czego nie należy robić. Ale ani jedno, ani drugie nie było w stanie udobruchać Wespazjana

pieklącego się z powodu każdego opóźnienia. Teraz, gdy legion zatrzymał się w południe na zasłużony postój, legat nadal chodził nachmurzony. Zasiadł za stołem i kazał przyprowadzić nową niewolnicę swojej żony.

Doprowadzono ją przed jego oblicze, gdy kończył jeść zimne mięso kurczaka moczone w tutejszym cienkusz — kiedyż ci Galowie nauczą się sztuki winiarstwa? Mając pełne usta, wskazał jej dłonią miejsce za stołem, gdzie powinna stanąć, aby mógł ją obejrzeć w czasie, gdy jego szczęki do końca rozprawią się z twardym mięsiwem. Teraz gdy dokładnie ją widział, musiał przyznać, że jest naprawdę ładna. Marnowała się jako dziewczka służebna, w Rzymie za taką kurtyzanę zapłacono by całkiem sporą sumkę.

Legat pociągnął jeszcze solidny łyk wina, aby oczyścić podniebienie, i już był gotowy do rozpoczęcia przesłuchania. Wyjął z kieszeni tuniki wstążkę i położył ją na stole. Z zadowoleniem zauważył, że dziewczyna od razu ją rozpoznała.

— Twoja?

— Tak, panie. Myślałam, że ją zgubiłam.

— Bo zgubiłaś. Ześlizgnęła się za poduszkę na mojej leżance.

Lawinia sięgnęła po wstążkę, ale Wespazjan położył na niej dłoń

i ręka dziewczyny natychmiast opadła.

— Przede wszystkim chcę wiedzieć, skąd ona się tam wzięła — powiedział legat z uśmiechem na ustach.

— Panie?

— Co robiłaś w moim namiocie ostatniej nocy?

— Ostatniej nocy? — Lawinia zrobiła wielkie oczy niewiniątka.

— Przecież mówię. Nie było jej tam, kiedy udawałem się spać.

Powiedz mi, Lawinio, ale tak naprawdę szczerze, co tam robiłaś?

— Nic, panie! Przysięgam. — Patrzyła błagalnie na Wespazjana, jakby chciała go przekonać samym spojrzeniem. — Ukryłam się tam tylko na moment, aby odpocząć. Byłam taka zmęczona. Szukałam jakiegoś spokojnego miejsca. Widocznie wstążka ześlizgnęła mi się z włosów, kiedy leżałam.

Wespazjan mierzył ją twardym spojrzeniem przez dłuższą chwilę.

— Chciałaś jedynie odpocząć na mojej leżance?

Lawinia skinęła głową.

— I nie zabrałaś niczego z mojego namiotu?

— Nie, panie.

— I nie widziałaś nikogo, kiedy tam byłaś?

— Nie, panie.

— Rozumiem. Masz. — Popchnął wstążkę w jej kierunku i rozparł się wygodniej na krześle, rozważając w myślach usłyszane właśnie słowa.

Mogła mówić prawdę, ale istniało też spore prawdopodobieństwo, że zmieni zeznania na bardziej konkretne, jeśli trochę się ją przyciśnie. Wespazjan odegnał od siebie myśl o torturowaniu dziewczyny. Nie wątpił w skuteczność siłowej metody rozwiązywania języków, ale zbyt często widział ludzi, którzy po chwili tortur gotowi byli powiedzieć wszystko, czego tylko życzyli sobie przesłuchujący. Tym sposobem ciężko będzie wyciągnąć z niej, co naprawdę wydarzyło się w namiocie. Musiał spróbować czegoś innego.

— Moja żona twierdzi, że kupiła cię kilka dni temu.

— Tak, panie.

— Do kogo wcześniej należałaś?

— Do trybuna Pliniusza, panie.

— Do Pliniusza? — Brwi Wespazjana momentalnie powędrowały w górę.

To zmienia postać rzeczy. Co była niewolnica Pliniusza robi w jego domu? Czyżby szpiegowała? A może jej zadaniem było dostanie się do kufierka? Patrząc na nią, nie mógł jednak uwierzyć, że byłaby zdolna do wykonania tak podstępного zadania. Czyżby kolejna maska? Na tym etapie przesłuchania nie potrafił tego odgadnąć.

— Dlaczego Pliniusz cię sprzedał?

— Znudził się mną.

— Wybacz, dziewczyno, ale jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

— Ale to prawda, panie — zaprotestowała Lawinia.

— Za tym musi się kryć coś jeszcze. Gadaj, dziewczyno, ale samą prawdę!

— Było coś jeszcze — przyznała niewolnica, gnąc przed nim kark tak, jak nauczyła ją Flawia, a potem dodała: — Trybun chciał mnie używać... w dość niezwykły sposób.

Idę o zakład, że tak było, pomyślał Wespazjan.

— Potem jednak zaczął mieć coraz większe żądania. Zapragnał w końcu, abym go pokochała. Nie potrafiłam udawać, więc wpadł w straszny gniew. A kiedy odkrył, że kocham innego, zupełnie oszalał i nawet mnie pobił.

Legat pokiwał głową ze współczuciem.

— Kim był człowiek, w którym się zakochałaś?

— Proszę cię, panie. — Lawinia podniosła wzrok, w kącikach oczu zakręciły się jej łzy. — Wolałabym tego nie mówić.

— Musisz mi to powiedzieć. — Wespazjan pochylił się nad stołem, aby poklepać ją pocieszająco po ramieniu. — Muszę wiedzieć, kim jest ten człowiek. To dla mnie bardzo ważne. Mogę cię do tego zmusić...

— To Witeliusz! — zawołała i wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach.

Witeliusz. Zatem zakochała się w Witeliuszu. Ciekawe, czy na tyle, by wykonać każdy jego rozkaz? Ta ostatnia myśl tknęła legata.

— Czy widziałaś się z Witeliuszem po tym, jak trafiłaś do mojego domu?

— Panie...

— Słyszałaś, o co pytałem. Czy nadal się z nim widzisz?

Przytaknęła.

— Czy widziałaś się z nim ostatniej nocy? W moim namiocie? Niewolnica spojrzała na niego z przerażeniem w oczach i na tychmiast zaprzeczyła.

— Ale zamierzałaś się z nim spotkać, nieprawdaż?

— Nie pojawił się, panie. Czekałam, ale on nie przyszedł, mimo iż mi obiecał. Czekałam na niego w ciemnościach, ale na próżno. Wróciłam więc do łóżka. Dopiero rano zauważyłam, że nie mam wstążki.

— Rozumiem. Czy Witeliusz kiedykolwiek wypytywał o mnie? Czy chciał wiedzieć coś o moim domu?

— Rozmawialiśmy na ten temat — przyznała Lawinia — ale nie pamiętam, co dokładnie było mówione o mojej pani, Flawii, albo o tobie, panie.

— Ale nigdy nie poprosił cię o wykradzenie albo zabranie czegokolwiek z mojego namiotu?

— Nie, panie. Nigdy.

Wespazjan przez dłuższą chwilę wpatrywał się jej prosto w oczy, usiłując dociec, czy powiedziała prawdę. Spojrzenie Lawinii wydawało się szczerze, ale w końcu nie wytrzymała napięcia, opuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię. Jej opowieść na pewno opierała się na prawdzie. Ale jeśli wciąż kocha Witeliusza, to on mógł ją namówić do kradzieży albo wymóc na niej, by umożliwiła mu wejście do generalskiego namiotu — tam, gdy już ją wykorzystał i odesłał do łóżka, mógł ukraść zwój.

— Możesz już iść, Lawinio. — Wespazjan machnął ręką. — Chcę jednak, abyś zapamiętała jedno: jeśli Witeliusz kiedykolwiek zapyta cię o sprawy związane z moim domem albo poprosi cię o kolejne spotkanie, masz mi natychmiast o tym powiedzieć. Ostrzegam cię, jeśli dowiem się, że mnie okłamałaś, zostaniesz surowo ukarana. Niewyobrażalnie boleśnie. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

— Tak, panie.

— Dobrze. Zostaw mnie teraz samego.

— I jak ci poszło? — zapytała Flawia wieczorem, gdy razem z Lawinią czekały na rozstawienie namiotów.

— Chyba mi uwierzył, moja pani. Ale dlaczego kazałaś mi powiedzieć, że tej nocy miałam się spotkać z Witeliuszem?

— Wołałabyś powiedzieć prawdę i zdradzić Katona?

— Nie, pani. Oczywiście, że nie.

— Jeśli mamy trzymać naszego młodego przyjaciela z dala od tej sprawy, musimy podstawić za niego kogoś innego. A Witeliusz idealnie się do tego nadaje.

Zaskoczona Lawinia spojrzała na swoją panią. Tu nie chodziło wyłącznie o ratowanie skóry Katona. Wyraz zadowolenia widoczny na twarzy Flawii obserwującej legionistów wciąż siłujących się

z grubymi linami dowodził, że odczuwa satysfakcję nie tylko z faktu zaoszczędzenia problemów młodemu optio. Lawinia odniosła wrażenie, że ona i Katon są maleńkimi pionkami w prawdziwej grze tej kobiety. Nagle żona legata znów spojrzała w jej stronę.

- Musisz pamiętać o tym, Lawinio, aby trzymać się wersji, którą ustaliłyśmy razem. Jeśli będziesz powtarzać ją słowo w słowo, nikomu nie stanie się krzywda. A im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej wypadniesz w oczach Wespazjana. Zaufaj mi.
- Tak, moja pani.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Szósta centuria maszerowała przez budzącą się do życia po zimie pokrytą bujną roślinnością galijską prowincję. Legioniści żartowali i rozmawiali głośno — od czasu do czasu dało się nawet słyszeć chóralne śpiewy. Radosny nastrój nie opuszczał nikogo, pomimo że Macro narzucił dość mordercze tempo marszu. Centurion miał bowiem ogromną ochotę jak najszybciej dotrzeć do celu, gdzie mógłby się pozbyć cesarskiego sekretarza, zanim ten ostatni wkurzy go tak bardzo, że posunie się za daleko. Narcyz wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, aby skrytykować armię, żołnierzy szóstej i przede wszystkim Macro. Gdyby nie okoliczności, smagły bękart dostałby już dawno w mordę i usłyszał zdanie, jakie zwyczajowo mówiono podobnym mu krytykantom: „W Rzymie możesz zachowywać się jak Rzymianin, ale w armii masz trzymać gębę na kłódkę i okazywać wojsku jebany szacunek”.

Uśmiechnął się na tę myśl, choć wiedział doskonale, że wypowiedzenie podobnych słów prosto w twarz bliskiemu przyjacielowi i zaufanemu cesarza nigdy nie będzie mu dane. Znosił więc pokornie kolejne fale sarkazmu i krytycyzmu, robiąc dobrą minę, jak każdy, kto miał nieszczęście znaleźć się na drodze podobnych karierowiczów. Katon znosił towarzystwo Narcyza nieco lepiej od czasu, gdy znalazł kilka tematów do poruszenia w prywatnej rozmowie, chociaż sekretarz cesarza dał mu wyraźnie do zrozumienia, że dawna zaży-

łość jest już przeszłością ze względu na dzielącą ich dzisiaj gigantyczną przepaść społeczną. Szczęśliwie dla optio, jedyne okazje do rozmów nadarzały się podczas postojów i po rozłożeniu obozu wieczorem, gdy centuria układała się do snu. Przez cały czas Katon i Macro maszerowali na czele kolumny, chociaż bardziej wygadany i ambitniejszy oficer zapewne szedłby obok lektyki sekretarza, aby konwersować z nim i wykorzystywać każdą okazję do przypoehlebiania się. Po pierwszym dniu wspólnej wędrówki Macro zaczął dokonywać inspekcji uzbrojenia na każdym postoju. Jego podwładni przyglądali się temu nagłemu przyływowi gorliwości z wielkim zaciekawieniem, kiwając w milczeniu głowami, gdy centurion pociągał ich za paski i sprawdzał, czy broń jest odpowiednio wyczyszczona.

W trzecim dniu od wyruszenia z Durocortorum Macro wyliczył, że przy zachowaniu obecnego tempa powinni dotrzeć do celu już nazajutrz przed zmierzchem. Było to możliwe głównie dzięki szybkemu marszowi stosunkowo niewielkiego oddziału. Jeśli wstaną przed świtem i utrzymają dotychczasowe tempo, powinni znaleźć się w obozie armii, zanim zajdzie słońce.

— Znakomicie, centurionie. — Narcyz pokiwał głową z uznaniem. — Przybycie o zmierzchu nie wywoła tak wielkiego zainteresowania. W obecnej sytuacji tak będzie lepiej.

Katon i Macro wymienili się spojrzeniami. Obecna sytuacja wciąż była dla nich zagadką. Sekretarz nie pisał o niej nawet słowa w czasie ostatnich trzech dni marszu, a centurion był zbyt dobrym żołnierzem, żeby o to pytać. Był też mężczyzną, nie chciał więc dawać Narcyzowi satysfakcji, jaką ten z pewnością by poczuł, gdyby Macro zwrócił się do niego z prośbą o informację. Tutaj trzeba nieco bardziej wyrafinowanych metod, pomyślał centurion.

— Życzysz sobie więcej wina, panie? — Podniósł bukłak, siląc się na uśmiech.

Tym razem to Katon i Narcyz wymienili spojrzenia, zadziwieni aż tak wielką czytelnością jego zamiarów. Sekretarz cesarza nawet się roześmiał.

— Tak, proszę, centurionie. Obawiam się jednak, że nie wiecie my tak wielkiej ilości tego trunku, żebyś za jego pomocą rozwiązał mi język. Musisz jeszcze trochę poczekać.

Policzki Macro zapłonęły, dało się to zauważyć nawet w świetle pochodni. Noce były wciąż zimne, więc żołnierze łaknęli odrobiny ciepła płynącej od ognia i gotowanego jada. Żarcie, które Piso wyłudził z magazynów dla całej centurii, pochodziło z oficerskich zapasów. Wyglądało na to, że Wespazjan postanowił zrobić dobre wrażenie na tak wysoko postawionym gościu. Gulasz z dziczyzny okraszony bukietem młodych, wiosennych jarzyn rozłożono na złote talerze, wyciągnięte na tę okazję z bagaży sekretarza. Macro pożarł dwie porcje i oblizwał wargi, zanim otarł je wierzchem owłosionej dłoni. Dostrzegł przy tym pełne dezaprobaty spojrzenia obu towarzyszących mu mężczyzn, ale wzruszył jedynie ramionami i wychylił do dna puchar z resztką wina, po czym na nowo go napełnił.

- Jak to dobrze widzieć człowieka, który raduje się na widok prostego jada — rzucił Narcyz, uśmiechając się krzywo. — Nawet jeśli są to tylko nędzne ochłapy, jakimi karmi się zwykłych żołnierzy. Muszę przyznać, że poczułem się prawie jak legionista, dzieląc z wami trudy tego wyczerpującego marszu, jedząc żołnierskie racje i śpiąc w namiotach w tej galijskiej dziczy.
- W galijskiej dziczy? — zdziwił się Macro. — Co dzikiego widzisz tu, panie?
- Czy widziałeś choć jeden teatr, kiedy przechodziliście przez Durocortorum? A może mijaliśmy po drodze jakieś piękne posiadłości? Jedyne co ja widziałem, to zapadłe wiochy i sypiące się karczmy. Dla mnie tak właśnie wygląda dzicz, centurionie.
- W karczmach nie ma niczego dzikiego — zaprotestował Macro.
- W samych karczmach rzeczywiście nie, ale spójrz tylko na te szczynty, które nazywają w nich winem. Nie użyłbym czegoś takiego nawet do przyprawiania sałatek.
- Przecież pijesz je teraz, panie — zauważył centurion.

- Ale z wielkim trudem. Prawdę powiedziawszy, ty je we mnie wmusiłeś. Może rzeczywiście powinienem wyjawić wam wszystko już teraz, aby uchronić żołądek od dalszych katuszy.
- Jeśli ci to ulży, panie — wtrącił Katon, uśmiechając się szeroko — możesz nam opowiedzieć, dlaczego udajesz się do Gesoria-cum. Nie chodzi przecież o nadzorowanie przebiegu inwazji. Wszystkie jej szczegóły zostały ustalone już wiele miesięcy temu. Wnoszę więc z tego, że coś poszło nie tak.

Narczyz przyjrzał mu się uważnie, zbierając myśli.

- Owszem. Nie mogę wam zdradzić zbyt wiele. I nie zrobię tego. Powodzenie całej akcji stanęło pod znakiem zapytania. Dlatego muszę się dostać do Gesoriacum, i to żywy. Mam ważne informacje dla generała Plaucjusza. Jeśli cokolwiek mi się stanie, wątpię, aby ta inwazja doszła do skutku, a jeśli nie będzie militarnego podboju, bardzo szybko możemy stracić także cesarza. — Narczyz zauważył niedowierzanie, z jakim zareagowali na jego słowa, dlatego pochylił się w ich stronę tak mocno, że jego twarz znalazła się na moment w cieniu. — Imperium grozi wielkie niebezpieczeństwo, większe niż kiedykolwiek. Nawet dzisiaj mamy w senacie sporo głupców, którym wydaje się, że potrafiliby rządzić cesarstwem. Nieustannie podważają pozycję Klaudiusza i dlatego muszę dotrzeć do Gesoriacum. Jest tam sporo ludzi, którzy twierdzą, że nasz cesarz to tylko okrutny głupek. — Uśmiechnął się krzywo. — Wybaczcie, że musicie słuchać tak obrzydliwych słów. Może to nawet i prawda, co o nim ludzie gadają, ale to jedyny cesarz, jakiego mamy, na nim kończy się też dynastia julijsko-klaudyjska.
- Słyszałem wśród ludu opinie, że nic wielkiego się nie stanie, jeśli ten ród wyginie — powiedział Katon.
- A co będzie potem? — zapytał gorzko Narczyz. — Powrót do republiki? I co na tym zyskamy? Zacznie się od walki frakcji w senacie na słowa, a ta szybko przemieni się w zamieszki na ulicach i przelew krwi. Nim minie chwila, cały cywilizowany świat spłonie w ogniu wojny domowej. Obludni historycy opętani ideą republiki wystarczająco namęcili ludziom w głowach, twierdząc, że czasy Sulli, Juliusza Cezara, Marka Antoniusza i wielu im podob-

nych były prawdziwą złotą erą imperium. A ja wam powiem, że ci „bohaterowie” zawędrowali na karty historii po trupach trzech pokoleń rzymskich obywateli. Potrzebujemy cesarzy, potrzebujemy stabilności i jednego tylko władcy. My, Rzymianie, nie przetrwamy kolejnego chaosu.

— My, Rzymianie?

— Niech ci będzie, my, wyzwolenicy, i Rzymianie — poprawił się Narcyz. — Nie ukrywam, że mój los jest nierozdzielnie związany z cesarskim. Gdy jego zabraknie, pierwszy lepszy senator skrzyknie tłum i zostaną rozerwani na strzępy przez motłoch. Ale moja śmierć będzie dopiero początkiem. Nawet wy tutaj, na granicy, ucierpicie w wyniku tej zawieruchy.

— Mnie tam jest obojętne, kto rządzi — stwierdził Macro. — Jestem tylko żołnierzem. Armia zawsze będzie potrzebna i tylko to się dla mnie liczy.

— Może i racja. Ale jaka to będzie armia? Jeśli Klaudiusz upadnie, nadal będziesz mógł walczyć, tyle że przeciw innym Rzymianom. Być może każą ci zabijać ludzi, których dzisiaj uważasz za przyjaciół. Pomyśl o tym. A potem podziękuj imperatorowi za to, że do czegoś takiego nie dopuszcza.

Katon spojrział na dowódcę, którego oczy błyszczały w płomieniach pochodni. Potem uśmiechnął się pod nosem i przeniósł wzrok na Narcyza.

— Sprawdzasz nas, prawda? Chcesz zobaczyć, jak zareagujemy na twoje słowa.

— Oczywiście — przyznał od razu sekretarz. — Człowiek musi wiedzieć, co myślą inni, zwłaszcza w tak fundamentalnych sprawach.

— Tylko tak można utrzymać pokój — roześmiał się Macro.

— Zachowanie cisy może być równie obciążające jak wypowiedziane słowa, centurionie. Chociaż szczerze powiedziawszy, wątpię, abyś ty albo twój *optio* stanowili realne zagrożenie dla cesarza. Dlatego jesteście bezpieczni... na razie.

Macro rzucił spojrzenie w stronę Katona, szukając u niego potwierdzenia, że wyzwoleniec mówiąc o nich, tylko żartował, ale

widok siedzącego sztywno chłopaka wyraźnie sugerował, że nie powinien się teraz śmiać.

— Dość już tego dobrego. — Narcyz opróżnił srebrny puchar i postawił go obok amfory z winem. — Jeszcze jeden puchar i kładziemy się spać. Wiecie, takie oddalenie się od tych wszystkich intryg Rzymu to jednak dobra rzecz. Zaczyna mi się podobać wasze życie. Proponuję toast — powiedział, widząc, że Macro nalał mu jedynie pół pucharu, a sobie po brzegi. — Za godne życie! — Narcyz wznosił naczynie. — Za armię, która...

W mroku świsnęła strzała i sekretarz cesarza zawył głośno, gdy jego puchar poleciał w noc. W ciemności usłyszeli, jak srebro uderza z brzękiem w skały. Narcyz schował prawą dłoń pod pachę, na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

— Co jest? — zdziwił się Katon.

— Do broni! Do broni! — wydarł się Macro, rzucając pełen wciąż puchar na ziemię. Zerwał się na równe nogi i ruszył pędem po tarczę i gladiusa, które zostawił przy lektyce. Tylko paru ludzi zdołało wstać od ognisk, zanim posypał się w ich kierunku deszcz strzał. Kilka wymierzono w Narcyza, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności żadna nie trafiła, ich pierzaste lotki chwiały się teraz pośród wysokiej trawy wokół ogniska. Jedna wpadła w ogień, wbijając się w grubą szczapę i sypiąc wokół snopami iskier powoli ulatującymi w czarne niebo. Sekretarz cesarza był na tyle przytomny, aby zadbać o własne bezpieczeństwo. Odtoczył się od ogniska, znikając z pola widzenia łuczników, i zaczął pełznąć w ciemnościach, kierując się na wóz transportowy centurii, gdzie mógł się ukryć za jednym z grubych kół.

Katon podniósł tarczę i dobył miecza. Strzała dosięgnęła pleców stojącego obok niego legionisty, który w pośpiechu nakładał kolczugę. Żołnierz jęknął ciężko, gdy uderzenie pozbawiło go tchu i zwałił się na ziemię, desperacko usiłując sięgnąć drzewca wystającego spod łopatki.

Trzymając tarczę przy ciele, optio pobiegł w jego kierunku, ale po dotarciu na miejsce zobaczył, że trafiony legionista ma już na ustach spienioną krew.

— Zostaw go! — zawołał Macro, wskazując na obóz. — Każ ludziom uformować pierścień wokół wozu!

Optio pognał pomiędzy namioty, by w świetle przygasających ognisk podnieść ludzi na nogi i jeśli trzeba, kopniakami skierować ich w stronę taboru. Niektórzy byli kompletnie zdezorientowani, musieli im wtykać tarcze i miecze w dłonie, w końcu jednak zrozumieli, co się wokół nich dzieje, i wycofali się na pozycję wskazaną przez centuriona. Dwaj kolejni legionieści oberwali, zanim Katon zdołał uformować szczelny pierścień wokół wozu, pod którym schował się sekretarz cesarza — teraz szeroko otwartymi oczami przyglądał się panującemu wokół zamętowi.

Legionieści przykleknęli ukryci za tarczami, tak jak ich szkolono. Tyle że teraz nie mieli na sobie zbroi, tylko cienkie tuniki, które nie mogły zatrzymać grotu strzały czy włóczni. Większość nie zdążyła nawet nałożyć hełmów i trzymała teraz głowy nisko pochylone, kryjąc się przed świszczącymi wciąż w ciemności strzałami. Wiele z nich łamało się z traskiem na okuciach tarcz. Sądząc po płaskiej trajektorii ich lotu, przeciwnik musiał być już blisko. Katon przygotował się na rychły atak. Rozglądając się, policzył ludzi, których zdołał zebrać wokół wozu. Było ich niewiele ponad dwudziestu. Drugie tyle miał pod komendą Macro na linii namiotów.

Nagle strzały przestały nadlatywać, ale już moment później usłyszeli dzikie okrzyki wojenne dobiegające z otaczającej ich ciemności. Czarne sylwetki wyłoniły się z mroku w odległości kilkunastu kroków od legionistów; zza nich dobiegał coraz głośniejszy tętent kopyt.

— Przygotować się do odparcia ataku jazdy! — zawołał Katon. — Zewrzeć szyk!

Jego niewielki oddział ustawił się wokół wozu w tej samej chwili, gdy w migotliwych płomieniach ognisk zamajaczyły pierwsze masywne postacie napastników. Brodate oblicza były wykrzywione od dzikich wrzasków. Ludzie ci mieli szpiczaste hełmy, grube czarne peleryny i zakrzywione tasakowate miecze. Zaciekłość, z jaką pędzili do ataku, była czymś nowym dla Rzymian. Pierwsi trzej odbili się od tarcz legionistów i padli w trawę, gwałtownie wierzgając

— natychmiast zniknęli pod nogami kolejnych napastników. Reszta wojów zaatakowała dużą grupą i na łące rozświetlanej migotliwymi płomieniami rozpoczęła się zacięta walka.

Linia obrony Rzymian rozpadła się niemal natychmiast, żołnierze zaczęli toczyć pojedynki z najbliższymi wrogami. Katon, nie mogąc już kierować zorganizowaną obroną, znalazł się nagle przed wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną, który warczał jak dziki zwierz. Napastnik w okamgnieniu ocenił stojącego przed nim młodzika i rzucił się naprzód z jeszcze głośniejszym wrzaskiem. Katon zasłonił się, ale nie cofnął, uniósł tylko tarczę, jak go uczono, trzymając gladiusa blisko przy boku. Przeciwnik zaśmiał się, widząc, że nie zdoła wystraszyć Rzymianina, i zamachnął potężnie mieczem, celując od góry w jego głowę. Uniesiona wysoko tarcza powstrzymała cios, a ostrze, odbijając się od jej krawędzi, poleciało w mrok i wyrwało kawał darni. Uderzenie było jednak tak silne, że Katon poczuł obezwładniający ból wędrujący od barku aż po końce palców. Optio nie potrafił powstrzymać okrzyku. Tymczasem wytrącony z równowagi wróg, podążając śladem miecza, leciał prosto na niego. Chłopak musiał przyklęknąć i uchylić się, aby brodacze nie przywalił go swoim ciężarem. Wykorzystując nadarzającą się okazję, dźgnął mocno gladiusem w bok napastnika. Ten natychmiast padł na ziemię ze zduszonym okrzykiem, wrywając przy tym broń z ręki Katona. Optio oparł stopę o jego plecy, próbując wyciągnąć miecz z głębokiej rany. Obaj jęczeli przy tym straszliwie. Chłopak z wysiłku, umierający wojownik z bólu. Wysiłki optio poszły jednak na marne, ostrze zaklinowało się pomiędzy żebrami i nie dawało się wyjąć. Katon rozejrzał się po polu bitwy, większość atakujących i część Rzymian już poległa.

Tuż obok jeden z żołnierzy stracił w walce tarczę. W tym właśnie momencie zasłaniał się ręką przed mieczem opadającym na jego głowę. Nie namyślając się wiele, Katon zaryczał, choć zabrzmiało to raczej śmiesznie niż groźnie, i walnął w plecy szykującego się do ciosu napastnika. Impet uderzenia był tak duży, że obaj się przewrócili. Zanim optio zdążył się pozbierać, uratowany legionista dobył sztyletu i rozorał nim gardło wroga.

Atakujący zniknęli tak samo szybko, jak się pojawili, pozostawiając na polu bitwy zaszokowanych tempem wydarzeń Rzymian.

— Co wy wyprawiacie, do kurwy nędzy! — wydarł się Macro, biegnąc w stronę wozu z pozostałymi ocalonymi. — Nie słyszeliście rozkazu optio? Przygotować się na odparcie ataku jazdy!

Katon zdążył już zapomnieć o koniach, ale one były blisko. Legioniści w pośpiechu formowali szyk obronny wokół wozu, zaczepiając tarczę o tarczę, ściskając nerwowo przygotowane do zadania ciosu miecze i włócznie.

Druga fala napastników wychynęła z ciemności równie szybko jak pierwsza. Jeźdźcy byli odziani identycznie jak piechurzy; część wojów trzymała w rękach krótkie łuki, ale większość dzierżyła przygotowane do rzutu długie oszczepy. Wszyscy jak jeden mąż wydali z siebie dziki okrzyk bojowy.

Macro rzucił szybkie spojrzenie na Katona, aby się upewnić, że optio nie jest ranny.

— Podnieś jakiś jebany miecz, idioto!

Chłopak zdał sobie nagle sprawę, że jest nieuzbrojony, i pospiesznie sięgnął po leżącą u jego stóp broń — trafił mu się tasakowaty miecz należący do któregoś z poległych napastników. Nie leżał dobrze w dłoni nawykłej do znacznie krótszej i lepiej wyważonej broni. Był za to uspokajająco ciężki.

— Stójcie spokojnie, chłopcy! — zawołał Macro. — Wytrzymajcie, a wszyscy przeżyjemy!

Tymczasem jazda wyhamowała tuż przed ich liniami. Łucznicy przygotowali się do wypuszczenia strzał, licząc na trafienie w nieostrożnie wychylonego przeciwnika, a oszczepnicy przemknęli pomiędzy nimi, szarżując na krąg ustawiony z tarcz. Zmusili konie do natarcia i odrzucili kilku legionistów aż pod wóz, dźgając przy tym na oślep oszczepami o niezwykle długich grotach. Rzymianie, mając tuż przed sobą wierzgające konie, a za nimi szereg łuczników, skryli się za tarczami. Instynkt samozachowawczy zabrania! im podjęcia jakiegokolwiek zdecydowanej akcji. Tylko kilku wykorzystywało każdą nadarżającą się okazję, aby dźgnąć włócznią albo mieczem w przemykające przed nimi ciała zwierząt i ludzi. Rzadko,

bo rzadko, ale dało się słyszeć krzyki i jęki, gdy ciosy dochodziły do celu. Ale czas nie sprzyjał Rzymianom. Już czterech spośród obrońców poległo, a trawa wokół wozu śliska była od ich krwi.

Macro też już rozumiał, że nie przetrwają tej bitwy, stosując defensywną taktykę. Przeciwnik będzie ich stopniowo wykrwawiał, aby wyróżnić ocalałych w ostatnim, decydującym ataku. W chwili gdy centurion o tym pomyślał, starszek los zaingerował w przebieg bitwy w typowy dla siebie sposób. Dwaj jeźdźcy dostrzegli cesarskiego sekretarza ukrytego za kołem wozu i natychmiast uderzyli na stojących tuż przed nim legionistów. Pochylając się na grzbietach koni, zaczęli dźgać ziemię oszczepami. Narcyz odtoczył się, byle dalej od wielkich grotów, drąc się przy tym wniebogłose. Macro skoczył, rozdziawiając usta w dzikim okrzyku, aby bronić wysłannika cesarza. Pochwycił bliższego z napastników za rękę, ściągnął go z konia, a gdy ten padł w trawę, centurion wbił mu gladiusa w lewy oczodół. Wojownik znieruchomiał, a Macro pochwywszy jego oszczep, wraził drzewce w plecy drugiego napastnika.

Widząc to, Katon poderwał się na nogi i kopiąc stojących obok legionistów, wydarł się na całe gardło:

— Wstawać i na nich! Jazda, ruszać się! Do ataku!

Rzymianie poderwali się do biegu, słysząc dzikie wrzaski optio. Zaskoczeni jeźdźcy zamarli na moment. Jak się wkrótce okazało, kosztowało ich to naprawdę drogo. Biegnący Rzymianie dopadli ich w jednej chwili, strącając z koni i dobijając bez litości, gdy leżeli bezbronni na ziemi. Krwawa jatka zakończyła się bardzo szybko. Tylko kilku wrogom udało się przedrzeć i zniknąć w mroku.

Katon oparł się o krawędź tarczy, krew pulsowała mu w skroniach, ciężko dyszał. W obozie centurii, tuż obok niego, wokół ognisk leżało pełno ciał. Legioniści poruszali się szybko wokół leżących postaci, dobijając rannych wrogów.

— Przestańcie! — wydarł się Narcyz, wyczołgując się spod wozu. — Nie zabijajcie ich!

Przeraźliwy ton jego głosu powstrzymał żołnierzy przed dokończeniem masakry. Stojąc z mieczami wzniesionymi w górę, spoglą-

dali niepewnie w stronę Macro, czekając, aż centurion odwoła ten idiotyczny w ich mniemaniu rozkaz.

— Nie zabijać ich? — Macro także wyglądał na zdziwionego. — Przecież te bękarty chciały ci wypruć flaki, panie. Nam zresztą też.

— Centurionie, musimy wziąć jeńców! Musimy się dowiedzieć, kto stał za tym atakiem.

To miało sens. Macro wytarł ostrze gladiusa w pelerynę jednego z poległych wrogów, po czym schował go do pochwy.

— Słyszeliście, chłopcy, jeśli który z nich jeszcze dycha, dawać go tu czym prędzej. Dowódcy drużyn! Przeliczyć ludzi i złożyć mel dunek optio!

Nieco później, gdy wokół słyhać było wyłącznie jęki i wrzaski rannych, opatrywanych z braku medyków przez niedoświadczonych kompanów, Macro przyglądał się z odrazą trzem ponurym wojownikom siedzącym na trawie tuż przed nim. Z mroku wynurzył się Katon.

— Jakie straty?

— Ośmiu zabitych, szesnastu rannych, panie.

— Dobrze. Zbierzcie sztabki poległych i przygotujcie ich do pochówku.

— A co z moimi tragarzami? I przybocznym? — zapytał Narcyz, tuląc zranioną dłoń.

— Jeden z tragarzy nie żyje, jeden zaginął, a przyboczny wciąż nie odzyskał przytomności. Ludzie powiadają, że koń go kopnął.

— Dobra, sucze syny — warknął Macro, kopiąc najbliższego wojownika w złamaną rękę. Nad obozowiskiem natychmiast rozległo się przeraźliwe wycie. — Ośmiu moich ludzi nie żyje. Nie myślcie, że nie podążycie ich śladem. Macie jednak wybór: albo szybka śmierć, albo powolne konanie w mękach. Ale to zależeć będzie wyłącznie od treści waszych odpowiedzi na pytania tego oto człowieka. — Wskazał kciukiem Narcyza i odsunął się.

Sekretarz cesarza spojrział twardo na jeńców, ujął się pod boki, ale nie podszedł za blisko, trzymając się poza zasięgiem ich rąk.

— Kto wam kazał mnie zabić?

— Zabić ciebie, panie? — zapytał Katon. — Myślałem, że to zwykły bandycki napad.

— Bandycki? — Macro roześmiał się na głos. — Słyszałeś kiedyś o bandytach napadających na całą centurię? Nie? Nie gadaj zatem głupstw. Zresztą popatrz na ich odzienie i uzbrojenie. Z pewnością należą do dobrze zorganizowanej grupy.

— Na przykład do jakiejś armii?

— Na przykład.

Narcyż uciszył ich, unosząc dłoń, i ponowił pytanie.

— Pytam raz jeszcze, kto kazał mnie zabić?

Żaden z jeńców nie podniósł oczu, nawet gdy sekretarz powtórzył pytanie po raz trzeci, znacznie głośniej.

— Centurionie.

Macro podszedł i kopnął jednego z jeńców, tym razem w głowę. Drugi wojownik padł na plecy, wydając z siebie krótki jęk.

— Może ty odpowiesz na to pytanie?

Mężczyzna, który na razie uniknął spotkania z podkutym sandałem centuriona, zmarszczył krzaczaste brwi i odezwał się w nie znanym Katonowi języku. Na wypadek gdyby go nie zrozumieli, poprawił jeszcze siarczystem splunięciem na tunikę Narcyza. Macro natychmiast przymierzył się do kopnięcia.

— Nie! — Sekretarz powstrzymał go, unosząc dłoń. — Nie musisz tego robić. Chyba znam ten język. To Syryjczyk. Jeśli mamy przed sobą ludzi, o których myślę, nie będą mówili.

— Nie zakładałbym się o to, panie — odparł Macro lodowatym tonem. — Są sposoby...

— Ale ja nie mam na nie czasu. Nie możemy opóźnić dotarcia do obozu armii. Ci ludzie pójdą z nami jako jeńcy. A kiedy dotrzemy do Gesoriacum, będę miał mnóstwo czasu, żeby nad nimi pracować. Zwiążcie ich porządnie. Pójdą jutro za moją lektyką.

Gdy żołnierze obudzili się następnego ranka, ich oczom ukazał się ogrom nocnej bitwy. Znaleziono jeszcze tuzin ciał, w tym poległego Rzymianina — natychmiast pochowano go w naprędcie wykopanym dole, tuż przed opuszczeniem obozu. Macro rozkazał

ludziom marsz w pełnym uzbrojeniu, posuwali się więc wolniej, ostrożnie lustrując teren wokół drogi prowadzącej do Gesoriacum i utrzymując zwarty szyk wokół lektyki Narcyza i wozu z rannymi legionistami — pozostawiono część zapasów, aby zrobić im miejsce. Na samym końcu wlekli się jeńcy, których centurion kazał uwiązać do tylnej burty wozu. Nie zatrzymali się ani razu na odpoczynek pomimo zmęczenia po bezsennej nocy, dopóki długa kolumna nie dotarła w pobliże wybrzeża. W oddali widzieli gromadkę podążających w ślad za centurią jeźdźców, wyraźnie poirytowanych tym, że nie mają okazji do dokończenia zadania. Tuż przed zmierzchem konie skręciły i zniknęły w wąskim parowie ciągnącym się wzdłuż drogi. Gdy zapadła ciemność, legionieści jeszcze bardziej przyspieszyli kroku, rozglądając się nerwowo po tonących w mroku poboczach traktu, skąd lada moment mógł nadejść kolejny atak dziwnie wyglądających wojowników.

W końcu, gdy dotarli na szczyt kolejnego łagodnego wzgórza, z piersi Katona wydobył się jęk zachwytu. W dole zobaczył gigantyczny obóz wojskowy, miał wrażenie, że rozświetlony tysiącami ognisk i piecyków żarowych teren ciągnie się aż po horyzont. Cztery pełne legiony stacjonowały na nadmorskiej równinie, do tego trzeba było doliczyć personel pomocniczy w sile kilku kohort, a także inżynierów, szkutników i oficerów sztabowych — w sumie zebrało się tutaj ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Ale o tym, że coś jest nie tak, Macro przekonał się przed dotarciem do pierwszych bram. Z obozu wypadła garstka nieumundurowanych ludzi, inni siedzieli w pobliżu traktu, grając w kości albo pijąc na umór.

Zanim jednak szósta centuria znalazła się w pobliżu któregośkolwiek z nich, zatrzymał ją oficer na koniu otoczony wianuszkami centurionów. Gdy tylko potwierdzono tożsamość cesarskiego sekretarza, dowódca patrolu natychmiast kazał zamknąć jeńców w bezpiecznym miejscu, sam zaś zajął się odprowadzeniem Narcyza do budynków kwatery głównej. Wtedy to Macro i Katon widzieli go po raz ostatni. Nie podziękował im nawet za ocalenie życia podczas nocnej bitwy, nie wyraził też żalu z powodu strat, jakie poniosła centuria z jego powodu.

Przybyły na miejsce prefekt zarządził, aby wszystkich rannych umieścić w lazarecie IX Legionu. Potem wyprowadził pozostałych żołnierzy poza teren obozu i po przejściu kilku milliariów wskazał im oczyszczony plac wyznaczony na miejsce stacjonowania II Legionu.

Szósta centuria rozbiła namioty tak szybko, jak to było możliwe, a jej żołnierze padli w objęcia Morfeusza zaraz po rozstawieniu wart.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dwa dni później reszta legionu przybyła na wyznaczone miejsce. Na ogromnym terenie zaroło się od tysięcy żołnierzy budujących umocnienia i stawiających namioty. Zgodnie z regulaminem najpierw rozbito obozowisko legata, potem zajęto się kwaterami wyższych oficerów — dopiero na końcu zwykli żołnierze mogli postawić własne, o wiele prostsze namioty.

Wespazjan zasiadł w sali obrad przy przenośnym stoliczku, z dala od domowych niewolników dwojących się i trojących przy rozkładaniu podłóg, mebli oraz reszty wyposażenia. Ponad gwarem górował głos Flawii dyrygującej pracami i popędzającej oporne służki. Wespazjan wiedział, że jego żona cieszy się z zakończenia uciążliwej podróży. Mogła wreszcie zapomnieć o trudach całodniowych wędrówek, przynajmniej na kilka najbliższych tygodni. Potem czekała ją znacznie dłuższa wyprawa na południe: powrót do Rzymu.

Legat miał o wiele mniej powodów do zadowolenia, chociaż Flawia przed kilkoma dniami zwróciła mu zaginiony dokument. Znalazła go pomiędzy zabawkami w kufrze podróżnym Tytusa, a widząc pieczęć, od razu się zorientowała, że zwój musi należeć do jej męża. Dzieciak powiedział jej, że podniósł go z podłogi. Niestety, nie udało się wyciągnąć z niego więcej szczegółów. Wespazjan natychmiast wyściskał żonę i ukrył zwój w skrzyni. Wyglądało na to, że ktokolwiek ukradł dokument, zgubił go w czasie ucieczki z na-

miotu. Wespazjan zdrzął, zdając sobie sprawę z grozy sytuacji. A jeśli ktoś natknął się na ten dokument przed Tytusem i zapoznał się z jego treścią? Na Jowisza! Lepiej o tym nawet nie myśleć. Na domiar złego sprawy zaczynały się komplikować ponad miarę, odbierając mu całą radość z odnalezienia pisma.

Gdy od Gesoriacum dzielił ich zaledwie dzień marszu, do legionu przybył kurier z nowymi rozkazami od generała Plaucjusza. Zdaniem dowódcy armii — choć dało się wyczuć w tym raczej rękę Narcyza — II Legion nadawał się idealnie do stłumienia rebelii. Ale miało się to odbyć raczej drogą negocjacji niż bezpośredniego przymusu. Żołnierze nie powinni wyruszać na tak ważną kampanię, mając wciąż w pamięci krwawą rozprawę z ich towarzyszami broni. To by obniżyło morale wojska. Dlatego dowództwo opóźniło o kilka dni przeprawę przez kanał oddzielający wyspę od kontynentu. Wydawać się mogło, że to rozsądna cena za stłumienie buntu pokojowymi metodami.

Wiązała się z tym kolejna niewesoła wiadomość — przynajmniej dla Wespazjana. Otóż II Legion nie został zaliczony w poczet jednostek, które miały wziąć udział w pierwszej fali inwazji. Dwa inne legiony ćwiczyły operacje desantowe już od kilku miesięcy i to im miał przypaść zaszczyt zdobycia pierwszych przyczółków na wrogim brzegu oraz otwarcia drogi dla pozostałej części armii. Legat wiedział, że jeśli Brytowie zdecydują się przeciwstawić najeźdźcy już na plażach, cała sława i chwała, a także polityczne zaszczyty przypadną dowódcom czołowych jednostek. Jemu pozostaną nudne i ciągnące się w nieskończoność czystki oraz wojna na wyczerpanie, która nikomu jeszcze nie przyniosła laurów. Jego imię znajdzie się co najwyżej w przypisach do opowieści o szczytnej wiktorii, które będą głoszone na ulicach Rzymu.

O ile uda mi się zdławić bunt, przypomniał sobie.

Przemierzając obozowisko armii w drodze do kwatery Plaucjusza, z bólem serca obserwował upadek dyscypliny w innych legionach. Na palcach jednej ręki dałoby się policzyć żołnierzy, którzy oddali mu honory wojskowe, i chociaż żaden z nich nie odezwał się

ani słowem, Wespazjan wściekał się, widząc w ich oczach wielką ochotę na zignorowanie go, a nawet rzucenie mu wyzwania. Tylko przyboczna straż dowódcy oraz oficerowie sztabu wciąż nosili pełne umundurowanie i starali się wypełniać swoje obowiązki, oczywiście tam, gdzie to było jeszcze możliwe.

Wespazjan wkroczył do wnętrza wielkiego drewnianego budynku, ustawionego w centrum obozu, i udał się do sali odpraw, gdzie Narcyz i Plaucjusz studiowali mapę rozłożoną na stole. Legat znał starego generała jeszcze z czasów, zanim wstąpił do wojska, dlatego doznał szoku, widząc nie tylko zmęczenie, ale i poczucie klęski wypisane na jego twarzy.

— Jakże miło cię znowu widzieć — powitał go Plaucjusz, siląc się na uśmiech. — Tyle czasu minęło. Wiele bym dał, abyśmy spotkali się w bardziej sprzyjających warunkach. Poznałeś już Narcyza?

— Nie, panie. Znam go tylko ze słyszenia

— Mam nadzieję, że słyszałeś o mnie wyłącznie dobre rzeczy — stwierdził sekretarz cesarza.

Wespazjan skinął głową, nie miał zamiaru mówić, co naprawdę docierało do jego uszu.

— Chciałbym ci podziękować za doskonałą ochronę, legacie.

— Przekażę twoje słowa moim ludziom, jeśli sam nie miałeś okazji im podziękować.

— Będę wdzięczny.

— Czas złożyć raport, Wespazjanie. — Plaucjusz wskazał mu krzesło. — Jak tam sytuacja w legionie?

— Moi żołnierze nadal wykonują rozkazy, jeśli o to pytasz, panie.

— Na razie. Za kilka dni będzie podobnie jak w pozostałych jednostkach.

— Nie znaleźliście jeszcze przywódców tego buntu? — zapytał Wespazjan.

— Dzięki Narcyzowi mamy już ich nazwiska. To trybun Aureliusz, dwóch centurionów i ze dwudziestu zwykłych legionistów. Wszyscy z rozwiązanych legionów z Dalmacji zostali przeniesieni

do Dziewiątego. Jak nietrudno się domyślić, nie zmienili swoich sympatii politycznych.

- Czy wysunęli już jakieś żądania?
- Tylko jedno. Mamy odwołać inwazję. Zdołali przekonać większość ludzi, że po drugiej stronie oceanu czekają na nich demony i pewna śmierć.
- Trudno nie zauważyć, że ten kanał nie jest oceanem — wtrącił Narcyz — ale ich słowa podziałały na wyobraźnię żołnierzy, a ci, jak wiadomo, są do przesady przesądni. Oprócz tu obecnych, rzecz jasna — dodał z uśmiechem na ustach. — Obawiam się, moi panowie, że mamy do czynienia z doskonale przygotowanym i przemyślanym spiskiem. Czegoś takiego nie wymyśliłby człowiek pokroju trybuna Aureliusza, nie mówiąc już o jego pomagierach. Wspólnie z generałem zdecydowaliśmy, że trzeba wyeliminować tę grupę, ale najpierw musimy poznać nazwiska ich mocodawców w Rzymie. Wpadliśmy na ślad Aureliusza i jego ludzi, kiedy moi agenci złapali kuriera udającego się z wiadomością do stolicy. Niestety człowiek ten szczeł, zanim zdołał wyjawić nazwisko odbiorcy pisma. Życie jest ciężkie, jak mówią, choć nie wiem, czy to powiedzenie pasuje akurat do jego sytuacji. Pozostaje jeszcze kwestia zasadzki, jaką urządzono na mnie w drodze z Durocortorum. Nasi przeciwnicy posiadają dostęp do moich dokumentów oraz znają sytuację, inaczej nie dowiedzieliby się o celu tej podróży. Rozumiem więc, że „któryś z naszych ludzi” przestał zasługiwać na to miano.
- Dotarły do mnie wieści o tym ataku. Słyszałem, że wzięłeś jeńców. Udało ci się wyciągnąć z nich coś konkretnego?
- Niewiele, obawiam się, że za szybko odeszli z tego świata — przyznał Narcyz z wielkim żalem w głosie. — Przesłuchiwali ich najlepsi specjaliści, ale uzyskaliśmy jedynie potwierdzenie, że to Syryjczycy, najprawdopodobniej należący do oddziału dezertersów kręcącego się w pobliżu. Tyle tylko powiedzieli, zanim osobiście poderżnąłem im gardła.
- Banda dezertersów? — Wespazjan pokręcił głową. — Nie chce mi się wierzyć. Tacy ludzie nie atakują jednostek wojskowych...

- To prawda — zgodził się sekretarz. — Trudno znaleźć racjonalne wytłumaczenie ich czynu. Ale z tą sprawą wiąże się bardzo niepokojąca wieść. Powiedziano mi, że z dalmackiej kohorty pomocniczej, która ma przyłączyć się do tej armii, zdezerterował cały pododdział syryjskich łuczników.
- Z dalmackiej? — mruknął w zamyśleniu Wespazjan. — Dowodzonej wcześniej przez Skrybonianusa?
- Tak.
- Rozumiem. Czyja to jednostka?
- Gajusza Marcellusa Dekstera — odparł Narcyz, przyglądając się uważnie reakcji legata.
- Coś mi mówi to nazwisko, moja żona powinna go znać. Uważasz, że to ludzie z tego właśnie pododdziału przypuścili atak na ciebie? — zapytał Wespazjan.
- Wkrótce się tego dowiemy. Kohorta jest już tylko trzy dni marszu stąd. Zatrzymamy ciała do jej przybycia, aby ktoś mógł dokonać identyfikacji.
- Jeśli się okaże, że należeli do tej jednostki — wtrącił Plaucjusz — zyskamy dowód, że spisek zatacza znacznie szersze kręgi, niż do tej pory przypuszczaliśmy. Należy zatem postawić pytanie, czy zdołamy przeprowadzić inwazję jeszcze w tym roku.
- Musimy, mój drogi — oświadczył zdecydowanym tonem Narcyz. — Nie ma mowy o odwołaniu tej operacji. Cesarz stanie na czele armii osobiście, jeśli zdobędziemy przyczółek po drugiej stronie kanału.
- Naprawdę? — zdumiał się Wespazjan i spojrzał na generała. — Myślałem, że ty będziesz naczelnym wodzem naszej armii, Plaucjuszu.
- Jak widać, nie będę — generał wzruszył ramionami. — Człowiek uznawany za prawą rękę imperatora kazał mi wezwać cesarza, jak to ujął: „na ratunek”, jak tylko nasza armia stanie u wrót stolicy Trynobantów.
- Spokojnie, generale — powiedział Narcyz, klepiąc Plaucjusza delikatnie po dłoni, ten jednak natychmiast cofnął rękę, i to tak raptownie, jakby właśnie prześlizgnął się po niej wąż. — To tylko

czysto polityczne zagranie. Dowodzenie wojskami podczas całej kampanii to twoje zadanie. Klaudiusz będzie jedynie figurantem, który poprowadzi zwycięską armię do szturm na stolicę, a potem natychmiast powróci do Rzymu na swój triumf.

- O ile senat zgodzi się go nim wyróżnić — zauważył Wespazjan.
- To jest już załatwione. — Narcyz uśmiechnął się. — Poczyniłem naprawdę dalekosiężne plany w tej kwestii, resztę zostawiam w gestii historyków. I tak Klaudiusz będzie miał swój triumf, imperium zyska nową prowincję, my wszyscy unikniemy paskudnej wojny domowej, a nasze kariery będą się mogły spokojnie rozwijać w najbliższej przyszłości. Chociaż na pewno nie tak długo, jak byśmy chcieli. Ale żeby tak się stało, trzeba...
- ...stłumić bunt i załadować legiony na okręty — dokończył znużonym głosem Plaucjusz.
- Właśnie.
- Jak mamy tego dokonać? — zapytał Wespazjan.
- Mam pewien plan. — Narcyz poklepał się palcem po nosie. — Ale nikt inny nie może się o nim dowiedzieć, jeśli chcemy, aby się powiódł. Możecie mi jednak wierzyć, że jest doskonały.
- A jeśli jednak nie zadziała? — nie ustępował legat.
- Wtedy zarezerwuję dla was miejsca obok mojego krzyża.

Wespazjan wezwał do siebie Macro, aby wysłuchać jego raportu, dopiero gdy II Legion rozlokował się na nocleg i wszyscy wartownicy otrzymali wyraźne rozkazy zabraniające im wpuszczania albo wypuszczania kogokolwiek poza bramy. Wcześniej otrzymał pobieżną relację z wydarzeń, ale przez atmosferę skrytości panującą dzisiaj w kwaterze głównej niewiele się dowiedział, a zależało mu na tym, by poznać najdrobniejsze szczegóły ostatniego starcia. Centuriona wprowadzono do jego namiotu bez zbytecznego rozgłosu, długo po zapadnięciu zmroku. Stał teraz na baczność przed biurkiem legata. Wespazjan kończył właśnie przeglądanie ostatnich dokumentów. Przy słabym świetle lampek oliwnych nie szło mu to zbyt szybko, ale gdy skórzana zasłona w drzwiach namiotu

opadła za wartownikami, natychmiast odłożył rysik i zamknął kałamarz.

- Słyszałem, że mieliście trudną przeprawę.
- Tak, panie.
- Ilu ludzi straciłeś?
- Ośmiu zostało zabitych, a sześciu rannych nadal przebywa w lazarecie Dziewiątego Legionu.
- Uzupełnimy stan nowymi rekrutami.
- Tak, panie.
- A teraz opowiedz mi o wszystkim, centurionie. Nie pomiń żadnego szczegółu, ale mów tylko prawdę. Nie chcę słyszeć żadnych upiększeń.

I Macro, stojąc na baczność przed biurkiem legata, ze wzrokiem wbitym w ścianę namiotu nad jego głową, opowiedział o podróży, zasadzce i ostatnim dniu marszu do Gesoriacum. Jego opowieść była spokojna, monotonna, ale Wespazjan słuchał w skupieniu i nie przerywał. Gdy centurion zamilkł, legat obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- Nikomu nie wyjawiałeś celu tej misji?
- Nikomu, panie. Zgodnie z twoim rozkazem, panie.
- Możemy zatem założyć, że napastnicy nie dowiedzieli się tego od was.
- Tak, panie. — Macro skinął głową, zanim pozwolił sobie na wyrażenie własnej opinii. — To nie była zwykła banda złodziei i oprychów. Ci ludzie przygotowali idealną pułapkę i walczyli jak wojsko. Nie ulega wątpliwości, że przyszli zabić sekretarza cesarza.
- Rozumiem. — Wespazjan pokiwał głową, aby ukryć zawód malujący się na jego twarzy.

Centurion nie powiedział mu niczego nowego. Jeśli wierzyć relacji Macro, napastnicy poznali trasę przemarszu od kogoś spoza legionu. A to oznaczało, że źródło przecieku znajdowało się w otoczeniu Narcyza — o ile stojący przed nim człowiek nie kłamał.

- Czy mogę cię zapytać o osobistą ocenę, centurionie? Oczywiście poza regulaminem.

Macro poruszył się nerwowo. Powinien odpowiedzieć: „to zależy”, tyle tylko że żołnierz nie może stawiać warunków przełożonemu, dlatego wyraził zgodę, ale postarał się jednocześnie, żeby jego niechęć była naprawdę zauważalna.

- Tak, panie. O ile będę umiał odpowiedzieć.
- Czy twoim zdaniem inwazja na Brytanię ma sens?
- To sprawa wagi państwowej, panie — zaczął ostrożnie Macro.
— Gdzie mnie to rozważać. Moim zdaniem cesarz i jego sztab przemyśleli wszystko dokładnie, zanim podjęli decyzję. Słuszną decyzję. Nie mnie ją oceniać.
- Przecież powiedziałem, że pytam poza regulaminem.
- Tak, panie. — Macro przeklął legata w myślach za postawienie go w tak kłopotliwej sytuacji. Nie było czegoś takiego jak „wypowiedzi poza regulaminem”. A już zwłaszcza kiedy zmuszano do nich podwładnych. Dowódcy potrafili bardzo szybko zmieniać zdanie.
- Słucham zatem.
- Ja po prostu zbyt mało wiem na ten temat, żeby móc się wypowiadać, panie.

Tym sposobem nie dowiem się niczego, pomyślał Wespazjan. Trzeba podejść do sprawy nieco delikatniej, okrężną drogą. Muszę uświadomić centurionowi, że za jego wypowiedź, jakkolwiek by była, nie zostaną wobec niego wyciągnięte żadne konsekwencje.

- A co twoi ludzie mówią na ten temat?
- Ludzie, panie? Cóż, część jest wystraszona, ale to naturalne. Większość z nas podchodzi do wody z największą ostrożnością, chyba że mówimy o tej do picia. Na morzu wszystko może się zdarzyć. No i jeszcze te opowieści o czyhających na nas niebezpieczeństwach.
- Obawiacie się armii wroga?
- Ależ skąd, panie. Zastanawiamy się jedynie, jacy będą ci nowi przeciwnicy. Ludzie bardziej się przejmują druidami, panie. No i tymi wszystkimi stworami.
- O co chodzi z tymi druidami?
- Ludzie słyszeli, że oni potrafią przyzywać demony.
- Wierzysz w to?

- Ależ skąd, panie. — Macro poczuł się urażony. — Każdy, kto ma choć trochę rozumu, wie, że to zwykłe pieprzenie. Ale znasz, panie, swoich ludzi, wiesz, jacy potrafią być przesądni.
- Jeszcze nie tak dawno uważałem cię za jednego z nich.
- Wiem, panie.
- Ale ty nie jesteś przesądny tak jak pozostali?
- Nie, panie. Przestałem wierzyć w większość tych bzdur, kiedy zostałem centurionem. Oficer nie ma czasu na myślenie o pierdołach.
- Kto ci powiedział o tych druidach?
- Kilku naszych zbieraczy trafiło wczoraj na ludzi z głównego obozu, panie. To oni opowiadali o druidach i namawiali naszych do buntu.
- Naprawdę użyli słowa „bunt”? — zapytał Wespazjan. — Jesteś tego pewien?
- Nie, panie. Twierdzili, że nadal są wierni cesarzowi, ale inwazja to wymysł Narcyza, którego nie może poprzeć żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. Nie wiem jak dla ciebie, panie, ale dla mnie to brzmi jak klasyczny bunt.
- Czy twoi ludzie podchodzą do tej sprawy tak jak ty?
- Z tego co wiem, tak, panie.
- Dobrze, centurionie. Bardzo dobrze. — Wespazjan usiadł wygodniej.

Przynajmniej na razie. Jak do tej pory legion był mu wierny. Jeśli jednak magiczny plan Narcyza nie wypali, prędzej czy później oddziały II Legionu przyłączą się do zbuntowanych jednostek. Ale mógł liczyć na kilka tygodni spokoju, skoro po swojej stronie miał oficerów takich jak Macro.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W czasie gdy pozostali żołnierze szóstej centurii przyglądali się ze spokojem rozbijaniu obozu przez resztę legionu, Katon opuścił swój namiot i przez splątaną masę ludzi, zwierząt i wozów ruszył w kierunku siedziby legata. Gdy tam dotarł, na placu za kwaterą główną ustawiano właśnie tabor należący do dowódcy i najstarszych oficerów. Ponieważ lato zbliżało się wielkimi krokami, a inwazja powinna się rozpocząć za góra dwa miesiące, sztab legionu zrezygnował tym razem ze zbudowania solidnej kwatery i poprzestał na rozbiciu zwykłych namiotów.

Katon trzymał się jak najdalej od wozów, aby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi, ale nie przestawał się rozglądać za Lawinią. Poganiacze tymczasem ustawiali ciężkie fury jedna przy drugiej, złorzecząc przy tym ile wlezie. Pasażerowie wozów wysiadali i od razu zabierali się do rozładowywania kufrów podróżnych — niemal natychmiast znikły one we wnętrzach pobliskich wielkich namiotów, wciąż jeszcze rozkładanych przez żołnierzy wyznaczonych do tego zadania. Optio lustrował kolejne grupki niewolników i jego cierpliwość została w końcu nagrodzona. Zobaczył Lawinię wysiadającą z osobistego wozu legata. Dziewczyna niosła na ręku Tytusa. Katon zwalczył ochotę zawołania jej po imieniu i pomachania ręką. Robił co mógł, aby pozostać niezauważony w tłumie zapracowanych legionistów. Obserwował Lawinię, gdy szła za swoją panią do jednego z postawionych już namiotów. Długo jeszcze gapił się na jego wejście, ale w końcu odwrócił się i odszedł.

Kręcił się po obozie legionu aż do zapadnięcia zmierzchu. Gdy zaczęto zwoływać ludzi na kolację, zdał sobie sprawę, że jest głodny. Rankiem, gdy oczekiwał nerwowo wieści o nadejściu reszty legionu, losie Lawinii i stanie rannego wartownika, zupełnie zapomniał o jedzeniu. Bolała go głowa i burczało mu w brzuchu. Tarcza słońca zniknęła za horyzontem, zanim zdołał dotrzeć do swojej centurii. W łagodnym blasku ostatnich promieni sylwetki żołnierzy i kształty namiotów sprawiały wrażenie jednowymiarowych, niemalże nierzeczywistych. Rozpalano ognie pod kuchniami, w oziębiającym się gwałtownie powietrzu dało się wyczuć pierwsze zapachy gotowanego mięsa. Katonowi wyznaczono drugą zmianę wart, nie zamierzał jednak uganiać się za oficerem z pustym żołądkiem podczas zwyczajowego obchodu posterunków na umocnieniach i przy bramach. Usiadł przy ognisku swojej drużyny, zjadł przynależną mu rację i gdy wycierał resztki stawy kawałkami świeżo upieczonego chleba, dostrzegł, że obok niego przykucnął Macro.

— Gdzie byłeś?

— Poszedłem się przejść, panie.

— Przejść się, powiadasz? Zakładam, że w pobliże kwatery legata zabłądziłeś przypadkiem? — Katon się uśmiechnął. — Domyślam się, że chciałeś ją znowu zobaczyć? Nadal coś czujesz do tej dziewczynki? — Centurion pokręcił głową ze zdziwieniem. — Pamiętasz, co ci mówiłem na ten temat wtedy, przed wymarszem? Żołnierz, któremu romanse przesłaniają myśli, jest żołnierzem roztargnionym. A armia nie toleruje roztargnienia. Wyrzuc ją ze swoich myśli, chłopcze. Prawdę powiedziawszy, mogę ci w tym pomóc. Późnym wieczorem udaję się z kilkoma chłopakami do miasta. Dostaliśmy przepustkę, aby załatwić zapasy jedzenia dla naszej kohorty. Dostaliśmy też adres pewnej niewielkiej karczmy, w której można znaleźć coś więcej niż tylko miejscowe szczyzny. Może przyłączysz się do nas po odbębnieniu warty?

— Czy to rozkaz, panie?

Macro obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

— Pierdol się, kochasiu. Chciałem ci tylko pomóc. Jeśli wolisz siedzieć na dupie i użalać się nad sobą, zamiast spędzać ten czas na

zabawie wśród towarzyszy broni, a kto wie, może i zamoczyć jak trzeba, to życzę miłego rozpaczania.

Katon wiedział, że źle postąpił. Oschły ton jego odpowiedzi wynikał z rozgoryczenia i chłopak niemal natychmiast zaczął tego żałować.

— Wybacz, panie. Nie myśl, że jestem niewdzięczny za to, co próbujesz dla mnie robić. Ja po prostu nie czuję się z tym najlepiej i nic na to nie poradzę.

— Nie poradzisz? — prychnął Macro. — W takim razie cierp, chłopcze.

Wstał zdecydowanie i ruszył do namiotu, raz tylko spoglądając w stronę zastępcy, gdy pochylał się już, aby wejść do środka.

Katon, czekając na początek swojej warty, zaczął się pogrążyć w rozpaczę. Może centurion ma rację? Co to za romans z dziewczyną, z którą nie może się nawet widywać. Co więcej, z dziewczyną, która może być dla niego niebezpieczna. Wystarczy przecież, że zezna, iż był tamtej nocy w namiocie legata. Jeśli okaże się niedyskretna, oboje trafią przed oblicze Wespazjana. A kto wtedy uwierzy w opowieść o drugim intruzie? Najlepiej będzie zapomnieć o niej, o tej miłości, i iść dalej przez życie. Może powinien, mimo wszystko, przyłączyć się tej nocy do Macro i chłopaków?

Chwilę po zmianie wart, kiedy na nogach trzymało się już tylko kilku nocnych marków, żołnierz pilnujący głównej bramy dostrzegł na trakcie prowadzącym do obozu sylwetki dwóch mężczyzn. Zapytał o hasło, a gdy nie usłyszał odzewu, obniżył grot włóczni i powtórzył pytanie.

— Spokojnie, żołnierzu — dobiegło z ciemności. — Jesteśmy przyjaciółmi.

— Hasło!

— Przecież mówię, że jesteśmy przyjaciółmi! Przychodzimy z innego obozu.

— Ani kroku dalej, do kurwy nędzy! — ostrzegł ich wartownik, czując ulgę, że słyszy czystą łacinę.

- Chcemy porozmawiać z waszym dowódcą. Mamy przepustki wystawione przez samego generała Plaucjusza. Wpuść nas.
- Nie! Ani kroku dalej! — Przysadzisty wartownik cofnął się, nadal mierząc grotem w przybyszów znajdujących się w odległości nie większej niż dziesięć stóp. W mdłym świetle rzucanym przez gwiazdy zauważył, że jeden z nich jest dość wysoki, gruby i ma na sobie czarną pelerynę z głębokim kapturem. Drugi był prawdziwym gigantem. Przy jego pasie wartownik zobaczył wielki miecz. — Optio! Optio! Chodź tutaj, szybko!

Boczna furta otworzyła się po chwili i przed bramę wyszedł podoficer żujący kawałek chleba zamoczonego w winie.

- Co jest? Lepiej, żeby to nie był fałszywy alarm. Jeszcze nie skończyłem jeść.
- Ci ludzie pragną mówić z legatem.
- Podali hasło?
- Nie, panie.
- To każ im spierdalać. Do tej pory powinieneś się już nauczyć, co mówi na ten temat regulamin.
- Czy mógłbym coś wtrącić? — Niższy z przybyszów podszedł dwa kroki.
- Ani kroku dalej, kolego — warknął ostrzegawczo optio.

— Mam sprawę do legata — nie rezygnował mężczyzna. Spod peleryny wyjął niewielką tabliczkę woskową. — Zobacz sam, to przepustka wystawiona osobiście przez Aulusa Plaucjusza.

Optio podszedł do niego, zachowując ostrożność, wyrwał tabliczkę z wyciągniętej ręki i natychmiast cofnął się pod boczne wejście, nad którym płonęła pochodnia, aby przeczytać zapisaną na niej wiadomość. Treść była jasna, pod nią, na odcisniętej pieczęci, widniał generalski orzeł. Ale równie dobrze może to być podróbka, pomyślał optio. Legat i starsi oficerowie musieli się czegoś obawiać, skoro wydali tak rygorystyczne polecenia dotyczące wpuszczania i wypuszczania ludzi z obozu.

Optio pomyślał także, że człowiek, któremu przepustkę wystawił osobiście generał Plaucjusz, musi być kimś znacznym.

- Poczekaj tu, panie.

- Macie tu godną pochwałą ochronę — stwierdził Narcyz nieco później, przyjmując puchar wina z rąk Wespazjana. — Miałem spory problem z przekonaniem oficera dowodzącego wartami, aby wpuścił mnie do ciebie. Nie pomogła nawet przepustka wystawiona przez Plaucjusza. Twój żołnierze trzymają się ściśle regulaminu.
- Bez zasad nie ma porządku, bez porządku nie ma cywilizacji, a więc i Rzymu. — Legat przypomniał stare porzekadło i uniósł puchar w stronę Narcyza. — Cieszę się jednak, że dotarłeś do mnie, choć nie mam pojęcia, co cię tu sprowadza. Chciałem porozmawiać z tobą na osobności.
- Zbiegiem okoliczności pragnąłem tego samego.
- A co z nim? — zapytał Wespazjan, wskazując na stojącego w mroku przybocznego, nieruchomego i milczącego.
- Nie zwracaj na niego uwagi — odparł Narcyz. — Zakładam, że jesteście tutaj bezpieczni?
- Oczywiście. Strażnicy stoją przy wszystkich wejściach.
- Doprawdy? — zapytał sekretarz cesarza po upiciu łyku wina. — Moi informatorzy twierdzą, że jest inaczej.

Wespazjan poczerwieniał.

- Twój szpieg doniósł ci już o tym?
- Przekazali mi, że jeden z wartowników został powalony przez intruza. Zakładam jednak, że nic nie zginęło. W każdym razie nic naprawdę ważnego.
- Nic nie zginęło — zapewnił go legat, pamiętając o tym, by nie spuścić wzroku i patrzeć Narcyzowi prosto w oczy.
- Co zatem się wydarzyło?
- Z tego co ustaliłem, jedna z moich niewolnic umówiła się na schadzkę w namiocie dowodzenia. Jej oblubieniec się nie pojawił, więc poczekała chwilę i sama poszła spać. Chwilę później wartownik natknął się na kogoś w namiocie. Napastnik dzielił go w głowę i zbiegł. Upuszczona pochodnia podpałała mapy, ale zdołaliśmy ugasić ogień, zanim narobił poważniejszych szkód. I to wszystko.

Narcyz przyjrzał mu się uważnie, zanim upił następny łyk wina.

- Podałeś dziewczkę torturom?
- To nie było konieczne.

- Naprawdę? Wielu oficerów wyleciało z armii za mniejsze niedopatrzenia.
- Jeśli sądzisz... — Wespazjan spróbował się podnieść z krzesła, ale stojący w mroku przyboczny był szybszy. Narcyz powstrzymał go jednak ruchem ręki.
- Nie to miałem na myśli. Zastanawiałem się tylko, jakim sposobem wydobyłeś z niej te zeznania.
- Sama mi powiedziała.
- A poznałeś nazwisko jej oblubieńca? Tego, z którym miała mieć schadzkę?
- Posłuchaj, Narcyzie, ja jestem dowódcą tego legionu i jeśli mam jakiś problem, sam sobie z nim radzę. Jesteś wyzwolencem, nie masz prawa rozkazywać legatowi. To nie są Saturnalia, jeśli jeszcze nie zauważyłeś.

Narcyz obdarzył go zagadkowym uśmiechem.

— To zabawne, że wspomniałeś akurat o tym święcie. Ale daj mi już temu spokój... Chcę poznać nazwisko tego człowieka.

Wespazjan nie odpowiedział od razu. Chociaż nie cierpiał Wite-liusza, miał opory przed wydaniem niewinnego człowieka w ręce oprawców. Chociaż... Dzisiaj niewinny człowiek, a jutro groźny rywal polityczny. Albo cenny sprzymierzeniec. Przyszłość pokaże.

— Lepiej powiedz mi to z dobrej woli — ostrzegł Narcyz

— zanim poproszę Politemusa, żeby to z ciebie wyciągnął.

— Jak śmiesz? — Legat aż kipiał ze złości. — Grozisz mi w moim własnym namiocie? A może wezwę strażę, żeby pojmały i ukrzyżowały ciebie oraz tę twoją bestię. Mogę to zrobić, ot tak!

— Spróbował pstryknąć palcami, ale miał zbyt spocone dłonie, aby wydobyć dźwięk.

Ta niewielka porażka nie uszła uwagi Narcyza. Sekretarz pozwolił sobie nawet na cień uśmiechu, zanim dodał już nieco innym tonem:

— Obawiam się, że nie potrafisz ocenić relatywnej wartości, jaką mamy dla cesarza. Arystokraci, zwłaszcza ci z wygórowanymi ambicjami politycznymi, są liczni jak wszy. Niektórzy z nich posia dają rozsądek i rozwagę, ciebie do nich zaliczam, ale są traktowani

przez siebie równych jak wybryki natury. Całe stulecia chowu wsobnego sprawiły, że mamy nad sobą bandę aroganckich leniwych idiotów. My, czyli innymi słowy cesarz, może usunąć cię z tego stanowiska bez najmniejszego problemu, ale już ja, na przykład, jestem niezastąpiony. Jak sądzisz, dlaczego taki prosty wyzwoleniec mógł zostać prawą ręką imperatora? W jednym moim małym palcu jest więcej inteligencji, niegodziwości i brutalności, niż ty kiedykolwiek miałeś w sobie. Zapamiętaj to, Wespazjanie. I przypominaj sobie za każdym razem, kiedy najdzie cię ochota, by mnie skarcić. Legat zacisnął usta, by nie wydostał się przez nie potok gniewu wrzającego w jego sercu. Chwyił mocno poręcz krzesła i przełknął głośno ślinę.

- Znakomicie. — Narcyz skinął wolno głową. — Ciesz się, że jesteś wystarczająco mądry, by przyjąć niepodważalną prawdę, kiedy ci się ją przedstawi. Zrozumiesz, jak wielkie znaczenie ma ta cecha, kiedy wrócisz do Rzymu. Rad jestem, że nie myliłem się co do ciebie.
 - W czym niby się nie myliłeś? — zapytał Wespazjan przez zaciśnięte zęby.
 - Twój umysł kontroluje serce, a duma zna swoje miejsce. A teraz bądź dobrym przyjacielem i wyjaw mi, czyje nazwisko usłyszałeś od tej niewolnicy.
 - Witeliusz. Mówiła o Witeliuszu.
 - Witeliusz? To zaczyna się robić naprawdę interesujące. Starszy trybun umawia się na schadzki z niewolnicą w namiocie, w którym są przechowywane niezwykle istotne tajne dokumenty. Wydaje mi się, że to ciekawa sprawa. Nie sądzisz?
- Legat tylko patrzył na niego zimnym wzrokiem.
- Nadal masz mój list?
 - Tak.
 - Więc wiesz, co masz zrobić?
 - Oczywiście, ale odnalezienie wozu zatopionego w trzęsawisku przed stu laty na pewno nie będzie łatwe.
 - Znajdź zatem odpowiednich ludzi do tej roboty. Ale nie za wielu. Im mniej tych, którzy dowiedzą się o sprawie, tym lepiej. Upewnij się też, że będą dyskretni.

- Mam już kilku na uwadze.
- Świetnie. Ta skrzynia musi zostać ukryta natychmiast po znalezieniu. Ręczysz za to własnym życiem. Kiedy pojawi się cesarz, przekażecie ją specjalnemu oddziałowi pretorian, który wyśle ją do Rzymu. Potem zapomnicie o tej sprawie raz na zawsze, ty i ludzie, których wybierzesz do wykonania tej misji.
- Narcyz odsunął pusty puchar i wstał z leżanki. — Obawiam się, że czas już na mnie. Dzięki ci za gościnę, Wespazjanie. I bez obaw. Jestem pewien, że cesarz będzie ci ogromnie wdzięczny, kiedy mu przekażę, jak bardzo byłeś pomocny.
- Powiedz mi tylko jedno, zanim stąd wyjdiesz.
- Tak?
- Kto jest cesarskim agentem w moim legionie? Wolałbym wiedzieć, komu mogę zaufać, kiedy znajdziemy się na obcej ziemi.
- Jeśli go ujawnię, straci dla mnie całą wartość.
- Na przykład przestanie składać raporty na mój temat?
- Na przykład.
- W takim razie powiedz mi, kto jest zdrajcą — poprosił legat.
- Przynajmniej będę wiedział, przed kim mam się strzec.

Narcyz spróbował spojrzeć na niego współczująco

— Tego nie wiem. Mam pewne podejrzenia, ale nie pewność. Potrzebuję jeszcze kolejnych dowodów. Jeśli powiem ci coś, a ty zaczniesz traktować podejrzanego inaczej niż pozostałych, może się zorientować, że zaciskamy na nim szpony. A tego nie wolno nam zrobić. Nie rozmawiaj z nikim na ten temat. Nawet ze swoją żoną. Zrozumiano?

Wespazjan skinął głową.

- Rozumiem, że świadomie narażasz mnie na ryzyko.
- Jesteś żołnierzem. Powinieneś już do tego przywyknąć.

Mówiąc to, sekretarz cesarza odwrócił się plecami do legata i opuścił namiot, przywołując przybocznego skinieniem palca. Pozostawiony sam sobie Wespazjan wyładował w milczeniu frustrację. Udało mu się wymigać od odpowiedzialności za kradzież listu, przynajmniej chwilowo, ale wciąż nie widział sposobu na wyplątanie się z mrocznej intrygi.

Na zewnątrz Narcyz zatrzymał się nagle. Nie miał pewności, czy Wespazjan nie nakazał ich śledzić, spojrzął więc na swojego przybocznego.

— Upewnij się, że nikt za nami nie idzie. Jeśli cię zawołam, masz natychmiast do mnie wrócić.

Odszedł szybkim krokiem, milcząc, a były gladiator odczekał chwilę i ruszył jego śladem, pozostając w mroku. Nie spuszczał oka ze swojego pana. Sekretarz dotarł do linii namiotów należących do trybunów i zatrzymał się przed jednym z nich. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, zniknął w nim pośpiesznie. We wnętrzu czekał na niego cesarski agent, z którym umówił się poprzez tajnego posłańca. Szpieg wstał ze składanego krzesła, aby powitać sekretarza.

— Jak się miewasz, panie?

Narcyz uściśnął wyciągniętą do niego rękę i uśmiechnął się.

— Dobrze, Witeliuszu, bardzo dobrze. Musimy porozmawiać o tym zwoju, o którym mówiłem ci kilka miesięcy temu. Chciałbym też wiedzieć, dlaczego nie wspomniałeś mi, że byłeś w namiocie dowodzenia tej nocy, kiedy doszło do kradzieży.

Trybun zmarszczył brwi.

— Nie byłem wtedy w namiocie dowodzenia.

— Wespazjan mówi coś innego. Przesłuchiwał pewną niewolnicę, która twierdziła, że umówiłeś się z nią w tamtym miejscu.

— To nieprawda. Przysięgam.

Narcyz obserwował go uważnie, a potem usatysfakcjonowany skinął głową.

— Dobrze. Wierzę ci... przynajmniej chwilowo. Powiedz mi jednak, dlaczego ta dziewczka kłamała? Albo dlaczego kazano jej to zrobić?

— Kazano? Kto?

— Właśnie po to cię tutaj wysłałem, mój drogi Witeliuszu. Żebyś się tego dowiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Katonie! Jak, na bogów, udało ci się tutaj dostać?

— Przyniosłem raport centuriona do dowództwa legionu, moja pani. A potem zgubiłem się, szukając wyjścia. No i jestem.

Flawia roześmiała się, wstając z podłogi. Zajmowała się właśnie pakowaniem kufrów męża; po całym namiocie porozkładane były stosy jego ubrań. — Wyglądasz paskudnie. Miałeś ciężką noc?

— Tak, moja pani. Byliśmy w Gesoriacum.

— Kiedy wy, młodzi, nabierzecie rozumu? Ale chyba nie przyszedłeś do mnie, aby się z tego tłumaczyć. Skoro już tu jesteś, idź obejrzeć namiot Tytusa.

— Nie rozumiem...

— Kazałam Lawinii pilnować niewolników przydzielonych do urządzenia tego namiotu. A ona pragnie zamienić z tobą słówko. Z tego co widzę, ty także chciałbyś się z nią jeszcze raz zobaczyć.

— Puściła do niego oczko. — Biegnij już i daj mi popracować. Pamiętaj, trzecie wejście po lewej. Tylko nie daj się tam nikomu nakryć.

Katon ruszył we wskazanym przez Flawię kierunku, wolnym krokiem, chociaż myśli w jego głowie wirowały w zastraszającym tempie. Wciąż rozpaczliwie pragnął zobaczyć Lawinię, ale nie potrafił zapomnieć o tym, jak zachowała się tamtej nocy w namiocie legata. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, czy nie wspomniała o nim podczas przesłuchań. Flawia wiedziała o tym, to nie ulegało wątpli-

wości, ale czy tylko ona? Zatrzymał się przed wejściem do komnaty Tytusa.

Wyprostował się i wszedł do środka. Cała podłoga zasłana była zabawkami i dziecinnymi ubrankami. Pomiędzy nimi kłęzczało kilka niewolnic Flawii układających wszystko, aby zrobić Tytusowi miejsce do zabawy. Z boku siedziała Lawinia, malując na rozpiętym płótnie jakieś zwierzę. Nie zauważyła wejścia Katona, więc podskoczyła nerwowo, gdy stając tuż za jej plecami, wypowiedział jej imię.

— I patrz, co przez ciebie narobiłam. — Roześmiała się, wskazując pędzelkiem na obrazek. — Teraz krówka będzie miała ogon na głowie.

— Krówka? — Katon mógłby przysiąc, że to koń.

Lawinia odwróciła się do niego. Przez moment miała tak smutną minę, że aż go ciarki przeszły. Potem jednak wyciągnęła ku niemu rękę i roześmiała się.

— Tak się o ciebie martwiłam, kiedy usłyszałam o tym strażniku.

— Dlaczego nie wróciłaś?

— Nie mogłam. Kiedy weszłam do swojego namiotu, pani Flawia kazała mi iść za sobą. Tytus był chory. Wprawdzie nie zauważyłam, żeby mu coś dolegało, ale pani zażądała, abym przy nim została, dopóki ona nie znajdzie lekarstwa. Zanim wróciła, usłyszałam hałasy i krzyki. Rada jestem, że udało ci się stamtąd wymknąć, zanim doszło do tego krwawego incydentu. Nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiłam. Czułam się naprawdę podle po tym, jak zostawiłam cię samego w namiocie. Jest mi z tego powodu przykro. Naprawdę.

Katon uścisnął jej dłonie.

— Już dobrze. Ja też rad jestem, że nic ci się nie stało. Gdy ten człowiek wtargnął do namiotu, obawiałem się, czy po drodze nie trafił na ciebie. Mógł cię przecież zabić.

— Tam był ktoś jeszcze?

— Nie sądziłaś chyba, że to ja zaatakowałem tego nieszczęsnego wartownika?

— Nie... Kto więc to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Kiedy zorientował się, że i ja tam jestem, o mało mnie nie zabił. Zacząłem wołać o pomoc, a kiedy pojawił się strażnik, napastnik ciął go mieczem i zniknął. Sam też uciekłem stamtąd najszybciej jak się dało.
- Rozumiem.
- Tak czy inaczej, ucieszyłem się, że jesteś cała i zdrowa, kiedy zobaczyłem, jak wysiadasz przy namiotach po przyjeździe do obozu.
- Ucieszyłeś się? Naprawdę?
- Oczywiście.
- Jaki jesteś słodki. — Pochyliła się i pocałowała go w usta. — Widzę, że ci na mnie zależy.

Nie odpowiedział, tylko odwzajemnił pocałunek, ale tym razem przywarł do jej warg na dłużej. Serce waliło mu jak oszalałe, gdy przytulał się do miękkich krągłości. Kiedy w końcu się odsunął, ciągle patrząc jej w oczy, poczuł się głupio, że musi zadać dręczące go wciąż pytanie.

- Czy ten wartownik rozpoznał kogoś?
- On już nie żyje. Zmarł w Durocortorum. Wieści o tym dotarły do mojej pani dzisiejszego ranka. Nie powiedział ani słowa przed śmiercią, więc jesteś bezpieczny.
- Czy ktoś oprócz Flawii wie o tym, że byłem tam tej nocy?
- Nie. Ale legat wie, że ja byłam w namiocie. Znalazł moją wstążkę do włosów.
- Jak się z tego wytłumaczyłaś? — Katon poczuł dotknięcie lodowatych palców przesuwających się w dół kręgosłupa.
- Powiedziałam, że umówiłam się tam z kimś innym, ale nie przyszedł, więc położyłam się spać. Tylko tyle mu wyznałam. Przysięgam.
- Wierzę ci. Kogo wrobiłaś w to spotkanie?
- Trybuna Witeliusza.
- Dlaczego akurat jego? — Chłopak poczuł niepokój z powodu wmieszania tak znacznej osoby w jego sprawę.

Natychmiast przypomniał sobie trybuna wydającego rozkazy wśród płonących zgliszczy germańskiej wioski. Zrzucanie podejrzeń na takiego człowieka było czymś niegodnym i niskim.

- Pani kazała mi to zrobić. Jej mąż chyba nie lubi trybuna. Chyba go o coś podejrzewa. Powiedziała, że wydał jej się najnatu-ralniejszym kandydatem.
- Mnie się to nie podoba — zaczął protestować Katon, ale Lawinia przyciągnęła go do siebie i jeszcze raz pocałowała.
- Daj spokój. To nie ma najmniejszego znaczenia, dopóki odsuwa podejrzenia od ciebie. A tylko to się dla mnie liczy. Chodź — pociągnęła go za przepierzenie, do części, w której przewijano małego Tytusa — mamy tak mało czasu i tak wiele do nadrobienia.
- Zaraz. Co miałaś na myśli, mówiąc; że mamy tak mało czasu?
- Moja pani wraca do Rzymu i zabiera mnie z sobą. Katonowi pociemniało w oczach.
- Będę na ciebie czekała w stolicy — obiecała mu.
- Mogę nigdy nie wrócić. A jeśli nawet, to za wiele lat.
- Może tak... a może nie. Tak czy inaczej, niewiele możemy na to poradzić. — Lawinia ujęła jego dłoń. — Nie zostało nam wiele czasu, więc nie traćmy go nadaremnie.
- A co z nimi? — zapytał optio, wskazując na niewolnice.
- Im nic do tego.

Zaciągnęła Katona za dwie kotary, do sypialni Tytusa, i zasznurowała szybko wejście. Na podłodze leżały już stosy równo poukładanej pościeli. Lawinia pchnęła go delikatnie na jeden z nich. Katon leżąc na plecach, spoglądał z coraz większym podnieceniem na skraj tuniki, który powoli, unoszony jej dłońmi, wędrował ku górze.

- Na czym to skończyliśmy? — zapytała Lawinia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kilka dni później w trawiastym amfiteatrze wybudowanym za murami obozu zgromadzono wybrane kohorty z trzech zbuntowanych legionów. Żołnierze zostali zaproszeni przez Plaucjusza i Narcyza, którzy w imieniu cesarza zafundowali im całodniowe rozrywki z udziałem gladiatorów. Teraz odpoczywali w towarzystwie Wespazjana i innych wyższych oficerów w wygodnej łoży. Od rana do zmierzchu przez arenę przewinęła się, rosząc piasek własną krwią, masa ludzi i zwierząt. Zadowolenie publiczności podsycały amfory przedniego wina, nikogo więc nie dziwiło, że gdy przedstawienie dobiegało końca, na trybunach panowała niczym nie zmaćona radość.

W dole, na wysypanym piaskiem kręgu areny, kończyła się właśnie ostatnia walka gladiatorów. Sieciarz nie dał najmniejszych szans swojemu przeciwnikowi, jak zwykle zresztą. Stał właśnie nad nim, mierząc wzniesionym trójzębem w szyję spętanego siecią mirmillona. Gladiator skierował wzrok na trybuny, czekając na wyrok publiczności. Wbrew temu czego się spodziewał, pokonany przeciwnik dał z siebie wszystko — a to mu się podobało. Nie było chyba człowieka, który nie podniósłby kciuka, aby ocalić życie śmiałka. Narcyz po dłuższej chwili wahania wykonał jednak zupełnie inny gest. Jego kciuk skierowany był w dół. Ludzie natychmiast zareagowali, wyciem wyrażając swoje niezadowolenie i ruszając w stronę łoży dla oficerów. Plaucjusz, jak na zawołanie, poderwał się z miejsca, wyciągając rękę wysoko w górę, aby wszyscy zobaczyli, że on jest ze swoimi żołnierza-

mi. Wycie tłuszczy momentalnie przerodziło się w radosny aplauz. Legioniści zwrócili się w stronę areny, na której sieciarz zaczynał się już kłaniać. Narcyz przyglądał się temu z przerażeniem. Co za głupiec! Jeśli te moczymordy zorientują się, że wszystko zostało ukartowane... ale w żyłach tych ludzi płynęła już wystarczająca ilość wina, by nawet najbystrzejsi spośród nich nie byli w stanie zauważyć, że uczestniczą w starannie wyreżyserowanym spektaklu.

Narcyz poderwał się z miejsca i nim ktokolwiek zdążył zareagować, przeskoczył przez balustradę łoży. Przeszedł spokojnie na środek areny i uniósł ręce, pragnąc uciszyć tłumy.

Legioniści nie spodziewali się czegoś takiego, szybko więc milkli, czekając w napięciu na rozwój wypadków. Kilku zaczęło szeptać, ale natychmiast zostali uciszeni przez kompanów. Narcyz czekał, aż w amfiteatrze zapanuje całkowita cisza.

— Moi przyjaciele! Rzymianie! Posłuchajcie! — zawołał głębokim, dudniącym głosem. — Znacie mnie wszyscy. Jestem sekretarzem imperatora, ale kiedy nie mówię w imieniu Klaudiusza, staję się zwykłym wyzwolencem, jednym z Rzymian, tak jak i wy.

Przez trybuny przetoczył się szmer dezaprobaty, Narcyz bowiem zrównał obywateli Rzymu z wyzwolonymi niewolnikami.

— Powtórzę raz jeszcze, moje serce, jak i wasze, bije wyłącznie dla Rzymu! — W tym momencie rozdarł tunikę, pokazując publiczności bladą otyłą pierś. Wielu żołnierzy nie wytrzymało tego widoku, zewsząd dobiegały chichoty. — Ponieważ jestem Rzymianinem pod każdym względem, z wyjątkiem prawa do używania tej nazwy, oświadczam wam tutaj i teraz, że rzygać mi się chce, jak na was patrzę. Ludzie, których miałem za swoich współbraci, wszczynają bunt przeciw najbardziej heroicznemu generałowi, jakiego kiedykolwiek wydał Rzym. Krew zaczyna wrzeć w moich żyłach, kiedy widzę, że się burzycie, choć służba pod takim wodzem to największy zaszczyt, a oddanie za niego życia jest waszym najświętszym obowiązkiem! Oto ten wielki człowiek, potomek jednego z najwspanialszych rzymskich rodów, Aulus Plaucjusz! — Ręka Narcyza wskazywała w kierunku generała. — Fakt, że człowiek ten musi wstydić się za sprawą waszej zdrady, napawa mnie wstrętem!

Narczyz odwrócił się, ukrył twarz za ramieniem, a jego tłustym ciałem wstrząsnął szloch. Część żołnierzy nie kryła rozbawienia z występu wyzwoleńca. Na trybunach słychać było gromkie śmiechy. Sekretarz obrócił się powoli z twarzą zaczerwienioną od łez, aby wszyscy go dobrze obejrżeli.

- Tchórze! Niewdzięczni tchórze, którzy śmiecie nazywać siebie Rzymianami! Jeśli nie zamierzacie podążyć za dzielnym i honorowym Plaucjuszem, oddajcie broń człowiekowi, który gotów jest to uczynić! Ja pójdę na Brytanię! Jeśli trzeba, uczynię to w pojedynkę! Zatem oddajcie mi swoją broń! — Wyzwoleniec wyciągnął ręce w stronę widowni, jakby prosił ją o oddanie broni.
- Dobrze, stara gnido, łap! — Jeden z legionistów wstał i cisnął w stronę Narczyza gladiusem, przed którym ten z trudem się uchylił. Za pierwszym, jak na komendę, na arenę posypały się kolejne miecze i sztylety. Narczyz musiał się ratować ucieczką, ale po kilku krokach nastąpił na skraj rozdartej tuniki i wywalił się jak długi. Legioniści wybuchnęli gromkim śmiechem.

Wespazjan także uśmiechał się pod nosem, widząc, że sekretarz znów się przewraca. Z największym trudem powstrzymał się od dołączenia do ogólnej wesołości. Narczyz zerwał się tymczasem z ziemi i pochwycił leżący najbliżej miecz. Twarz płonęła mu ze wstydu i złości.

— Śmiejecie się ze mnie? Ośmielacie się drwić ze mnie? Jestem tu jedynym mężczyzną gotowym do walki. Nie siedzę beczynn timer na tłustej dupie. Jestem jedynym człowiekiem w tym amfiteatrze, który jest godzien poniesienia miecza i imperialnego orła przeciw barbarzyńskim hordom!

Niektórzy z żołnierzy popłakali się ze śmiechu, widząc jego niedorzeczne zachowanie. Narczyz ruszył w stronę trybun i zamachnął się mieczem. Nie docenił jednak wagi ostrza, które zawinęło nim dookoła osi, a potem zaryło w piasek u jego stóp. Cesarski sekretarz z trudem odzyskał równowagę.

— Słabowity jestem, bo całe życie spędziłem na służbie w pałacu, ale to ja mam dzisiaj odwagę podjąć się dzieła, do którego was zobowiązuje przysięga. I wy macie czelność nazywać siebie Rzymia-

nami? Dlaczego miałbym was prosić o powrót do waszych jednostek? Dlaczego miałbym z wami w ogóle o tym gadać? Nie, ja każę wam zakończyć ten bunt! Ja wam rozkazuję!

Tego już było za wiele dla zgromadzonych żołnierzy. Wygwizdali go, zarykując się ze śmiechu, a potem ktoś zawołał w tłumie: „Ho, Saturnalia, Ho Saturnalia!”. Zawołanie, związane ze świętem, podczas którego zrównywały się wszystkie stany, zostało szybko podchwyczone przez innych legionistów i wkrótce trybuny zatrzęsły się od tego okrzyku. Narcyz po raz ostatni pogroził im pięścią, a potem odwrócił się i umknął z areny.

Legioniści wołali: „Ho, Saturnalia!” jeszcze przez dłuższą chwilę, dopóki nie stało się jasne, że cesarski sekretarz już nie wróci. Wtedy zaczęli się rozchodzić, najpierw pojedynczo, potem grupkami, kierując się w stronę odległych bram obozu.

— Mam nadzieję, że to zadziała — mruknął Plaucjusz.

— Fascynujący pokaz jedności — zauważył Wespazjan.

— Ciekaw jestem, czy występ Narcyza sprawi, że poczują się zawstyżeni i wrócą do swoich obowiązków. Wyobrażasz sobie, jak reszta armii zareaguje, gdy rozejdzie się plotka, co powiedział o niej wyzwolenc? Wybacz mi, panie, ale muszę opuścić cię na moment.

— Słucham? Ależ tak, proszę. Jeśli sobie życzysz. Ja też muszę się napić.

Legat zbiegł do cel otaczających arenę amfiteatru.

— Widzieliście gdzie sekretarza?

— Tutaj jestem — odezwał się ktoś z mroku i moment później z cienia wyłonił się Narcyz. — Mogę już wyjść?

— Możesz! — odparł uśmiechnięty Wespazjan. — To było pierwszorzędne widowisko.

— Dziękuję za uznanie.

— Jednego tylko jestem ciekaw. Czy nie ma obelgi, której byś nie zniósł, aby dopiąć swego?

— Swego? Nie znosiłem z pokorą tych upokorzeń, aby ugrać coś dla siebie. Uczyniłem to dla cesarza i Rzymu. Pewnego dnia zrozumiesz, o czym mówię — ciągnął z goryczą w głosie Narcyz.

— Pojmiesz, że jedynym spoiwem, które pozwala państwu funkcyj-

nować, jest liczba biurokratów gotowych zeżreć dla niego choćby gówno. Tylko po tym można poznać skalę ich poświęcenia. A fakt, że żaden z historyków nie wspomina o nich nawet słowem, jest najlepszą miarą ich sukcesów. Lepiej, żebyś ty także o tym nigdy nie zapominał.

— Nie zapomnę. Powiedz mi jednak, dlaczego obrałeś taką właśnie strategię działania?

— Żyjemy w cynicznych czasach — odparł Narcyz. — Odwoływanie się do patriotyzmu nie odnosi już skutku, dlatego musiałem podejść do problemu z zupełnie innej strony. Modłę się jedynie do bogów, aby to wystarczyło. Sądysz, że mój podstęp zadziała?

— Pożyjemy, zobaczymy.

— Tak. Czy udzielisz mi schronienia na dzisiejszą noc w swoim obozie?

— Nikt inny cię nie przyjmie. — Wespazjan uśmiechnął się. — Czy mam ci zapewnić też eskortę?

— Najpierw muszę wpaść do kogoś na słówko. Do załatwienia pozostaje jeszcze pewna niewielka sprawa. Zatem do zobaczenia.

Sekretarz cesarza narzucił ciężką wojskową pelerynę na podartą tunikę i pospieszył w stronę głównego obozu. Wespazjan wrócił do swojej kwatery i natychmiast kazał wezwać do siebie Macro.

Chwilę później zdyszany centurion stanął na baczność przed jego biurkiem.

— W uznaniu twoich zasług bojowych i znakomitej postawy w czasie eskortowania sekretarza będę miał dla ciebie pewne zadanie, gdy już wylądujemy na wybrzeżu Brytanii...

Świąteczna atmosfera, jaką roznieśli po obozie żołnierze uczestniczący w popołudniowym występie Narcyza, zanikła, dopiero gdy legionieści posnęli późną nocą, wypiwszy wcześniej wszystkie zapasy trunku dostępne w okolicy. Ci, którzy byli zbyt pijani, by wrócić do siebie, znaleźli sobie przytulne zakamarki, gdzie mogli spokojnie zapaść w sen. Na dwie godziny przed świtaniem tylko kilku żołnierzy stało jeszcze na nogach i tylko oni byli świadkami nocnych wydarzeń.

Niewielki oddział składający się wyłącznie z centurionów, prowadzony przez Witeliusza i Pulchera, wyruszył na obchód obozów, prowadząc jeden wóz, i dokonał aresztowań spiskowców — ich nazwiska figurowały na liście sporządzonej przez Narcyza. Wśród więźniów największą grupę stanowili weterani, którzy zaciągnęli się do armii jeszcze za czasów Augusta. Ludzie ci na własne oczy widzieli moralny upadek państwa, rządzonego najpierw przez Tyberiusza, potem przez Kaligulę. Większość z nich była tak pijana, że nie mogła albo nie potrafiła stawić oporu, gdy oficerowie wyciągali ich z namiotów. Pulcher pilnował, aby każdego związano, zanim trafił na tył wozu. Gdy jeden z więźniów spróbował wszcząć alarm i wezwać pomoc, Piękniś od razu poderżnął mu gardło, uprzedzając tym czynem pozostałych, że każdego kto choćby mruknie, spotka to samo. I tak, zanim słońce pojawiło się na niebie, niewielka procesja wyjechała za bramy obozu i udała się w kierunku niedużego zagajnika, gdzie zatrzymano wóz na polanie, z dala od oczu i uszu śpiących legionistów.

W czasie gdy Witeliusz zdawał raport Narcyzowi, jego ludzie wyciągali związanych więźniów z wozu i ustawiali ich w nierównym szeregu. Pojmani klęczeli, z obawą spoglądając na Pulchera, który krążył wokół nich z na wpół obłąkanym uśmiechem na ustach. Gdy wszyscy znaleźli się na ziemi, Piękniś obnażył ostrze sztyletu.

— No, zdradzieckie psy, zabawa się skończyła. Teraz moja kolej. Chcę nazwisk. Chcę wiedzieć, kto wam rozkazuje z Rzymu. Szczerze powiedziawszy, domyślam się, że większość z was nie ma o tym pojęcia, ale to mnie akurat niewiele obchodzi. Zasada jest prosta. Kto odpowie, ten przeżyje, kto nie będzie znał odpowiedzi, zdechnie. — Pulcher podszedł do siwowłosego weterana klęczącego na końcu szeregu. — Ty jesteś pierwszy. Gadaj!

Mężczyzna wyjął wargi i splunął na stopy Pięknisia. Ten bez chwili namysłu chwycił go za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. Ostrze sztyletu gładko przeszło przez szyję więźnia i moment później na zdeptanej trawie rozlała się spora kałuża krwi. Pulcher puścił konającego — mężczyzna padł na twarz, wierzgając jeszcze przez dłuższą chwilę, i w końcu znieruchomiał.

— Dobra, który chce być następny?

Chwilę po świcie Pięknis powrócił do obozu II Legionu i udał się na spotkanie ze starszym trybunem. Przedstawił mu listę nazwisk spisana na woskowej tabliczce. Witeliusz z grobową miną wodził po niej palcem — kilka razy pomrukując z zaskoczenia — a potem nagle zamarł.

— Jesteś pewien, że wymieniono to ostatnie nazwisko? — zapytał ostro.

— Jestem pewien.

— To by wyjaśniało, skąd nasi przeciwnicy tak szybko poznali plany podróży Narcyza. Kto ci je wyjawiał?

— Aureliusz, starszy trybun Dziewiątego Legionu. To jeden z tych, którzy mają liczne znajomości w Rzymie.

— Wiem o tym — odparł rozdrażniony Witeliusz. — Domyślam się, że nie mam szans na porozmawianie z trybunem Aureliuszem?

Pulcher pokręcił głową.

— Kazałeś, żeby wszyscy zniknęli. Obawiam się, że potraktowałem ten rozkaz z zadziwiającą jak na mnie sumiennością.

— Szkoda. Wolałbym osobiście potwierdzić prawdziwość tego zeznania. Ale nie mogę tego zrobić, więc musimy założyć, że Aureliusz powiedział prawdę.

— Mam przekazać listę Narcyzowi?

— Nie. Raczej nie. W każdym razie nie teraz.

— Dobrze. W takim razie wracam do zagajnika. Ktoś musi wykopać spory dół.

Gdy wschodzące słońce oświetliło blanki nad główną bramą obozu, z puszczy oddzielającej wnętrze kontynentu od wybrzeża wytoczył się ciężki wóz. Eskortował go oddział ponurych centurionów, a na koźle siedział pogwizdujący wesoło Pięknis. Gdy legioniści mijali bramę, wartownicy rzucili okiem na tył wozu, ale zobaczyli tam jedynie stos łopat i kilofów oraz czarną plamę ciągnącą się w poprzek desek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Popołudniowe słońce chyliło się nad pokładem, znacząc go cieniami rzucanymi przez maszt i takielunek. Stojący na dziobie marynarze rzucali za burtę obciążoną linkę, aby zbadać głębokość wody pod kilem. Zanim statek wpłynął do wąskiego ujścia rzeki, kapitan dwukrotnie kazał refować żagiel. Gdy marynarze zaczęli się wspinać na reje, Katon ruszył przez pokład prosto na bukszpryt.

Optio cierpiał na chorobę morską od chwili, gdy okręt po wyjściu z portu w Gesoriacum trafił na rozkołysane lekką bryzą fale kanału. Katon od razu dołączył do szeregu legionistów, którzy opróżniali żołądki prosto w spieniony kilwater za rufą wolno płynącej jednostki. Macro z kolei wykorzystywał każdą wolną chwilę, aby obżerać się specjalami, których nakupił w porcie tuż przed wyjściem w morze. Nie potrafił się też powstrzymać przed próbami poczęstowania swojego optio i za każdym razem wybuchał gromkim śmiechem, widząc chęć mordy malującą się na twarzy tego ostatniego.

Ledwie jednak okręt wpłynął na spokojniejsze wody przy brzegu, Katon od razu poczuł ogromną ulgę i trzymając się jedną ręką relingu, spoglądał na panoramę kanału i stojącą na kotwicach flotę inwazyjną. Na lśniącej powierzchni morza widział setki okrętów. Smukłe galery z rzędami wiosł wioseł po obu stronach pokładu, szerokie transportowce o pękatych kadłubach kiwające się łagodnie tuż przy brzegu i mrowie mniejszych jednostek przewożących zaopatrzenie i sprzęt z Galii.

Legioniści okupowali obie burty, tłocząc się, by zobaczyć brzeg, na którym przyjdzie im walczyć. Marynarze musieli się przepychać pomiędzy nimi, złorzeczając ile wlezie, aby kontrolować pchany lekką bryzą, wolno płynący okręt. Tajemnicza, wiecznie pogrążona we mgle Brytania — tak przynajmniej postrzegali ją od dawien dawna Rzymianie — widniała teraz przed nimi w słoneczne późnowiosenne popołudnie, jawiąc się jako pas ciemnej, ale niczym nie wyróżniającej się ziemi. Początkowe podniecenie ustępowało poczuciu zawodu, gdy miast tajemniczych ziem żołnierze ujrzeli normalne wiejskie okolice z podupadłymi gospodarstwami, polami i lasami ciągnącymi się aż po odległy horyzont. Tu i ówdzie widać było maszerujące kolumny legionistów. Miejsce pobytu głównych sił obu czołowych legionów dało się rozpoznać jedynie po gigantycznym obłoku pyłu, jaki się unosił ponad nimi.

Przez ostatnie kilka dni żołnierze II Legionu niewiele wiedzieli o postępach sił inwazyjnych. Załogi transportowców, które powróciły po następny rzut wojsk, potwierdziły jedynie, że czołowe legiony wylądowały, nie napotykając żadnego oporu. Teraz Katon mógł się przekonać na własne oczy, że na brzegu nie ma śladów ciężkich walk. Nie widział stosów pogrzebowych wznoszonych dla poległych towarzyszy broni ani porzuconych ciał wrogów — prawdę powiedziawszy, nie dostrzegł nawet śladu miejscowej ludności. Nie wierzył własnym oczom. Z relacji Cezara wynikało, że ziemie te są pełne niebezpieczeństw, a pierwsza armia inwazyjna napotkała opór miejscowych już na plaży i naprawdę niewiele brakowało, aby krwawa łaźnia zakończyła tę wyprawę już wśród fal przyboju. Tymczasem dzisiejsze lądowanie przypominało próbę generalną, jaką przeprowadził Plaucjusz dwa tygodnie wcześniej, każąc im zejść z pokładów na ląd w Galii. Wtedy też roіło się wokół od Rzymian, ale nie było ani jednego wroga.

Transportowiec zmienił kurs po gardłowym okrzyku kapitana. Wielki żagiel został przekrzywiony na lewą burtę, a dziób moment później odbił od środka kanału, kierując się w stronę brzegu. Płynęli teraz dokładnie na przerwę w rzędzie innych okrętów stojących już przy brzegu, wzdłuż linii oznaczonej łopoczącymi leniwie na

wietrze gigantycznymi czerwonymi flagami. Część transportowców przewożących żołnierzy II Legionu zdążyła już przybić do brzegu — Katon widział, jak oddział jazdy pokonuje piaszczyste łąchy i znika na rozległych trawiastych równinach. To zapewne Wespa-zjan i jego oficerowie udający się na zwiad, aby wyznaczyć miejsce obozowania legionu podczas pierwszego noclegu na obcej ziemi, przed wyruszeniem w ślad za postępującymi w głąb lądu kolumnami legionów XX i XIX.

Tyle że on nie pójdzie razem z innymi, co właśnie sobie uświadomił z pewną dozą ekscytacji, ale i strachu. W czasie gdy cały legion wyruszy na spotkanie wroga, Macro i jego niewielki oddział rozpoczną wykonywanie swojego zadania. Centurion nie zdradził jeszcze szczegółów tej tajnej misji. Siedział teraz, z dala od żołnierzy, na rufie i gapił się w zamulone wody. Gdy Katon rzucił spojrzenie w jego kierunku, Macro splunął za burtę i odwrócił się w stronę pokładu, zauważając, że jest obserwowany przez swojego zastępcę. Zamarł na moment, a potem przecisnął się przez pokład wypełniony legionistami i ekwipunkiem, zmierzając prosto na dziób transportowca.

- Nie jest taka straszna, jak mówili — powiedział, machając ręką w stronę brzegu.
- Nie, panie — odparł Katon. — Powiedziałbym nawet, że wygląda bardzo przyjemnie. Zdaje się, że możemy tu znaleźć niezłe ziemie uprawne, gdybyśmy zdecydowali się na osiedlenie.
- A co ty, pałacowy chłopczyk, możesz wiedzieć o uprawach?
- Niewiele — przyznał optio. — Tyle tylko, ile wyczytałem u Wergiliusza. W jego mniemaniu rolnictwo jest ekscytującym zajęciem.
- Ekscytujące zajęcie... — przedrzeźniał go Macro. — Prawdziwa uprawa roli to ciężka robota i nie ma w niej za grosz poezji. Tylko miastowe obiboki, pojawiające się raz do roku w swoich majątkach, mogą uważać ją za coś ekscytującego. — Centurion natychmiast pożałował tak ostrej odpowiedzi i poklepał swojego zastępcę po ramieniu. — Wybacz, przesadziłem nieco. To wszystko dlatego, że mam za wiele na głowie.

- Czego masz za wiele na głowie, panie?
- Spraw dotyczących oficerów wyższego stopnia niż twój. Wybacz, Katonie, nie mogę ci powiedzieć nic więcej, dopóki nie odłączymy się od reszty legionu. Takie otrzymałem rozkazy.
- Ciekawe od kogo — rzekł optio przyciszonym głosem. — Od naszego wodza... czy od Narcyza?
- Nie dopytuj się... i tak nic ci nie powiem. Wykaż odrobinę cierpliwości. Myślałem, że armia nauczyła cię przynajmniej tego.

Katon zachmurzył się i odwrócił wzrok w stronę fortyfikacji wznoszonych na plażach i pobliskich łąkach.

Wespazjan, wydając centurionowi rozkazy, największy nacisk położył na bezwzględnej tajemnicy. Spośród jedenastu ludzi, których Macro wybrał do tego zadania, tylko Katon został o tym poinformowany, choć też bardzo ogólnie — wiedział jedynie, że wyznaczono go do wykonania szczególnie niebezpiecznej misji. Centurion, spoglądając na przesuwające się powoli wybrzeże, przypomniał sobie wydarzenia mające miejsce minionego wieczora w namiocie Wespazjana. Legat spoglądał mu prosto w oczy przy przydymionym świetle lampek oliwnych i wtórze deszczu bębniącego o materiał rozpięty nad ich głowami.

- Będziesz też potrzebował wozu w drodze powrotnej.
- Tak, panie.
- Nie zapomnij więc zabrać jednego z naszego taboru, wydam zarządcy odpowiednie polecenia, aby ci go przygotowano. — Wespazjan uniósł puchar, uważnie lustrując stojącego przed nim centuriona. — Ufam, że rozumiesz, jak wielką wagę ma dla nas ta misja?
- Tak, panie. Takiej sumy pieniędzy mogą pilnować wyłącznie zaufani ludzie, panie.
- Wiem — legat skinął głową. — Ale nie tylko o to mi chodzi. Cesarz desperacko potrzebuje każdej drobiny złota i srebra, jaką może znaleźć. Utrzymuje się przy władzy wyłącznie dzięki poparciu wojska, a co może istotniejsze, tych chciwców z gwardii pretoriańskiej. Klaudiusz zdoła przetrwać na tronie tylko do chwili, kiedy

skończy się strumień pieniędzy płynący do legionów. Rozumiesz, o czym mówię?

— Tak, panie.

— Wiesz więc, że odzyskanie tej' skrzyni jest niezmiernie ważne i dlatego — tu Wespazjan przerwał dla podkreślenia wagi swych słów — ludzie, których wybierzesz do wykonania tego zadania nie mogą niczego wiedzieć o prawdziwym celu twojej misji. Zdaje się, że wrogowie cesarza już zwąchali w czym rzecz i dlatego nie możemy działać zbyt otwarcie. Jeśli choć jedno słowo dotrze do niepowołanych uszu, nie tylko wy wyruszyacie na poszukiwanie skrzyni. A musicie mieć czas, żeby ją znaleźć. To będzie wystarczająco niebezpieczne, choćby ze względu na wrogie nastawienie tubylców, więc lepiej nie dokładajcie sobie problemów.

— Mogę zapytać, panie, kogo z naszych powinniśmy się obawiać?

Wespazjan pokręcił głową.

— Podejrzewam kilku moich towarzyszy broni, ale nie zdobyłem jeszcze dowodów, które by ich obciążały.

— Rozumiem. — Macro wiedział, o czym mówi dowódca. Pojął też, że ta misja będzie miała jeszcze jeden, dodatkowy cel: ujawnienie wrogów cesarza kryjących się w łonie legionu, nawet jeśli ma to oznaczać wystawienie jego ludzi na przynętę. — A co mamy zrobić, kiedy...

— Jeśli.

— ...jeśli trafimy na tych ludzi, panie?

— Wtedy udowodnisz mi, że wybrałem właściwego człowieka do tej roboty. Jeśli spiszysz się dobrze w jednej albo drugiej sprawie, możesz być pewien, że ani ja, ani cesarz nie pozostawimy cię bez nagrody.

Macro pozwolił sobie na lekki uśmiech. Czeką go zatem wyjątkowo niebezpieczne zadanie, ale zarazem bardzo opłacalne. Musi tylko zrealizować naszkicowany przez Wespazjana i prosty w gruncie rzeczy plan. Zbyt prosty, nagle zdał sobie z tego sprawę.

Miał poprowadzić niewielki oddział na południe, w stronę mokradeł, z dala od opiekuńczych skrzydeł legionu. Musiał przy tym

unikać spotkań zarówno z tubylcami, jak i ze zwiadowcami własnej armii. Po dotarciu na miejsce, dzięki mapie dostarczonej przez Wespazjana, powinien zlokalizować pozostałości zatopionego przed niemal stu laty wozu. Jeśli to się uda, oddział otrzyma rozkaz wydobycia skrzyni, załadowania jej na zabrane ze sobą wóz i powrotu do obozu legionu, aby skarb trafił bezpośrednio w ręce legata. Nie wolno otwierać tej skrzyni, i to pod żadnym pozorem! Zamknięte w niej skarby mogłyby skusić zwykłych legionistów. Na domiar złego, oprócz walki z pokusą zawłaszczenia bogactw, oddział będzie musiał się przedzierać przez wrogie terytoria i być może odierać ataki Rzymian stojących po stronie spiskowców.

- Czy chcesz zapytać o coś jeszcze, centurionie?
- Tak, mam jedno pytanie, panie. Co będzie, jeśli nie zdołamy odnaleźć zatopionego wozu?
- Nawet o tym nie myśl — odparł krótko Wespazjan.
- Rozumiem. — Macro skinął głową.

Legat wiedział, że wbrew temu co centurion właśnie powiedział, nie ma on bladego pojęcia o konsekwencjach takiego obrotu sprawy. Jeśli ta misja się nie powiedzie, skrzynia pozostanie na bagnach, czekając na kolejnych poszukiwaczy. Wespazjan nie miał gwarancji, że oryginalna mapa dostarczona mu przez Narcyza została wykonana w jednym egzemplarzu. Przed chwilą powierzył jej kopię zwykłemu centurionowi, co wiązało się z ryzykiem dalszego jej powielania. Jeśli ta misja się nie powiedzie, będzie miał wokół siebie sporą grupę ludzi zastanawiających się, co mogą kryć te trzęsawiska. Ale tym nie powinien się przejmować. Kto inny zadbał już, żeby to nie był problem.

- Czy to wszystko, centurionie? — zapytał legat, a Macro posłusznie skinął głową. — Zatem idź i przygotuj swoich ludzi. Następnym razem zobaczymy się dopiero po twoim powrocie do obozu.
- Tak, panie.
- Powodzenia i do zobaczenia.

Macro opuścił namiot legata więcej niż tylko zaniepokojony. Sprawił to ton, jakim dowódca wypowiedział słowa pożegnania.

Centurion złożył dokładnie mapę i ukrył ją pod mundurem. Misja już się rozpoczęła i nie było odwrotu.

Kapitan transportowca wydał kolejny rozkaz i jego ludzie zrzucili ostatni żagiel. Okręt płynął wciąż wolno, siłą rozpędu. Chwilę później zgromadzeni na pokładzie legionieści poczuli lekkie drzenie, gdy statek zarył w piaszczyste dno tuż przy brzegu. Stojący na rufie kapitan złożył dłonie i zawołał:

— Opuścić trap!

Legionieści odsunęli się na boki, by członkowie załogi mogli wysunąć za burtę długą kładkę osadzoną na zawiasie. Jeden z oficerów dał znak i koniec pomostu spoczął w wodzie z głośnym pluskiem, zaledwie kilka stóp od linii przyboju. Drugi koniec trapu zamocowano do pokładu za pomocą dwóch wielkich żelaznych bolców.

— No i jesteście. — Kapitan poklepał Macro po ramieniu. — Szczęśliwie przewiezieni na drugą stronę oceanu przez oddaną załogę. Mam nadzieję, że podróż się podobała.

— Nie narzekam — odparł centurion bez entuzjazmu. Jak większość żołnierzy także on hołdował zasadzie, że ląd jest jedynym odpowiednim miejscem dla człowieka, a przez morza powinny przepływać wyłącznie ryby i idioci, którym się to podoba. — Dziękuję.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Tylko nie nawalcie i skopcie tyłki tubylcom.

— Zrobimy co w naszej mocy.

— Skoro o tym mowa, będę dożgonnie wdzięczny, jeśli jak najszybciej zabierzesz swoich ludzi z pokładu. Muszę natychmiast wracać do Galii. Jeszcze tej nocy mam przewieźć konie dla syryjskiej kohorty.

— Jeszcze tej nocy? — zdziwił się Macro. — Wydawało mi się, że wy, żeglarze, nie wychodzicie z portu nocą, jeśli nie jest to naprawdę konieczne.

— W normalnych warunkach nie wychodzimy. — Kapitan uśmiechnął się uprzejmie. — Ale tym razem dobrze nam płacą, więc zrobimy wyjątek. Zatem znikajcie mi z pokładu, jeśli można prosić.

Centurion spojrział prosto w oczy czekających żołnierzy.

— Słyszeliście, chłopcy, wysiadamy. Tylko upewnijcie się, że ni czego nie zostawiliście na pokładzie, bo przyjdzie wam się z tym pożegnać już na zawsze.

Legioniści niemal jednocześnie podnieśli swoje plecaki i tobołki, a potem ruszyli w dół trapu, trzymając rzeczy nad głowami, aby ich nie zamoczyć w słonej wodzie. Sami musieli w niej brodzić po pas, zanim wydostali się na plażę. Ledwie Macro i Katon minęli linię kamyków wyznaczających granicę przypływu, załoga transportowca wciągnęła pomost na pokład, a wyznaczeni wiosłarze pochwycili za długie tyki, aby odepchnąć się nimi od brzegu.

— Co ich tak nagli? — zapytał optio.

— Pieniądze.

— Czego ludzie dla nich nie zrobią — roześmiał się Katon. — Można by pomyśleć, że nie ma niczego ważniejszego na tym świecie.

— Bo nie ma.

Chłopak zauważył, że jego dowódca wypowiedział te słowa z kamienną twarzą. Katon spoglądał na centuriona ze sporym zaskoczeniem, gdy ten odwrócił się w stronę pozostałych żołnierzy. Macro był mocno spięty, jak chyba każdy oficer w tej armii, mimo iż bunt powoli odchodził w niepamięć. Wieści o niesamowitym występie Narcyza rozeszły się bardzo szybko po całym obozie, wywołując gromkie owacje i wielką wesołość wszędzie tam, gdzie udatnie odgrywano zachowanie biurokraty. Ale plan wyzwolenia zadziałał. Rozbawieni ludzie powoli zapominali o przesądach i strachu, zwłaszcza że nie podsyczał ich już zaginiony w dziwnych okolicznościach trybun Aureliusz ani jego ludzie. Plaucjusz dodatkowo uspokoił sytuację, pozwalając, by wygnani z wyspy wodzowie i książęta rozpowiadali po obozie o wielkich bogactwach Brytanii. O złocie, srebrze, niewolnikach i kobietach. Te ostatnie ponoć czekały tylko, by ktoś je wyrwał z rąk zaślepionych wzajemną nienawiścią brudnych dzikusów. Ich przerażający wygląd — czyli pomalowane ciała i sterczące sztywno białe włosy — były jedynie przykrywką dla niewielkich umiejętności bojowych. Każdy doświadczony żołnierz bez,

trudu poradzi sobie z nimi w otwartej walce, zdobędzie wielkie łupy i będzie mógł się rozkoszować smakiem zwycięstwa. To ostatnie okazało się najlepszym bodźcem dla legionistów, którzy w ciągu kilku tygodni znów przeistoczyli się w prawdziwą armię.

Ostatni namiot postawiono po zmroku. Żołnierze centurii dopiero po skończeniu roboty mogli zasiąść do lekkiej kolacji składającej się z kaszy gryczanej i twardych pająd chleba wypieczonego jeszcze na terenie Galii. Przy ogniskach toczyły się rozmowy dotyczące postępów w kampanii. Wnioski wysnuwano jednak wyłącznie na podstawie strzępków informacji zasłyszanych od posłańców i powracających z pierwszej linii woźniców. Do tej pory nie doszło do większych bitew, jedynie od czasu do czasu ścierali się zwiadowcy obu stron, ale z relacji świadków wynikało, że rydwany tubylców za każdym razem miały przewagę nad rzymską jazdą. Starzy wyjadacze karmili nowicjuszy opowieściami o tym, że sytuacja ulegnie diametralnej zmianie, gdy Brytowie zetną się z dobrze opancerzoną piechotą.

Tymczasem Macro w zaciszu swojego namiotu przemawiał ściszym głosem do garstki żołnierzy, których wybrał do wykonania misji Wespazjana. Oprócz Katona dołączyło do niego dziesięciu zaufanych legionistów. Siedzieli teraz na trawie i słuchali, czego od nich oczekuje centurion.

— Jak już zapewne zauważyliście, nasz legion ma zaszczyt gościć kilkoro tutejszych arystokratów, którzy po zatargach ze swoimi poddanymi zdecydowali się pójść pod opiekę Rzymian. — Żołnierze roześmiali się, słysząc tak barwny opis brytyjskich wyrzutków skamlących dzisiaj u stóp cesarza. W całym imperium było podobnie. Zdesperowani ludzie obalali satrapów, ci natychmiast gnali do Rzymu, aby poskarżyć się na swój los, a tam pomoc zapewniano tylko tym, którzy obiecywali bezwzględne posłuszeństwo. — Tak się składa — ciągnął Macro — że jeden z naszych przyjaciół, niejaki Cogidubnus, był nieco zbyt gadatliwy, gdy przybył przed laty do Rzymu, aby wynegocjować traktat. Zdaje się, że potęga stolicy oszołomiła go do tego stopnia, iż zgodził się podporządkować swój lud

i uczynić z Brytanii kolejną prowincję cesarstwa. Co jak widzicie, właśnie ma miejsce. Ale pan Cogidubnus najwyraźniej zapomniał o zawartym wcześniej przymierzu z Rzymem. Ku jego wielkiej rozpaczy, kiedy został obalony przez własnych poddanych, wóz wiozący jego dokumenty zagubił się na pobliskich trzęsawiskach. Na szczęście agenci generała Plaucjusza odkryli miejsce, w którym stoczył się z drogi, i dlatego zlecono nam wydobyć skrzyni z tymi papie-rzyskami i dostarczenie jej do dowództwa naszego legionu. Jeśli Plaucjusz zdobędzie traktaty, w których Cogidubnus zobowiązuje się do oddania swoich ziem we władanie Rzymowi, chwyci gnojka za jaja i wymusi dotrzymanie słowa. A jeśli Bryt będzie się stawiał, z czystym sercem pokażemy jego ludowi, jaki los chciał mu zgotować nielubiany władca. Sami przyznacie, że tym sposobem będziemy go mieli w garści bez względu na okoliczności. — Macro umilkł zadowolony z tego, że udało mu się sprzedać im wymyśloną historyjkę w tak zręczny sposób. — Ale żeby go trzymać w szachu, najpierw musimy zdobyć tę dokumenty. To będzie nasze zadanie. Zostaliśmy wydzieleni z legionu do czasu znalezienia skrzyni.

- Panie... — Jeden z legionistów podniósł rękę.
- Tak?
- Czy my naprawdę mamy pójść tylko w dwunastu w sam środek wrogiego terytorium? — Żołnierz splunął na trawę. — Przecież to szybkie samobójstwo.
- Miejmy nadzieję, że nie takie szybkie. — Macro uśmiechnął się uspokajająco. — Wespazjan twierdzi, że zwiadowcy nie napotkali dużego oporu na tym terenie. Nic nam się nie stanie, jeśli szybko załatwimy tę robotę. A to nie powinno zająć więcej niż kilka dni.
- Kiedy wyruszamy, panie?
- Tej nocy. Jak tylko wzejdzie księżyc.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Nocą tuż nad ziemią pojawiła się gęsta wilgotna mgła. Zanim ogłoszono drugą zmianę wart, łąki zniknęły pod cienką puszystą zasłoną. Rozmyte czerwone plamy blasku bijącego od ognisk oświetlały sylwetki Witeliusza i pełniącego funkcję jego przybocznego Pulchera. Trybun podał Macro niewielką tabliczkę.

— Oto twoje dokumenty. Zostały kontrasygnowane przez samego generała, więc nie powinieneś mieć żadnych problemów na posterunkach, ale podczas spotkania z Brytami raczej ci się nie przydadzą.

Centurion nie uśmiechnął się nawet, gdy chował tabliczkę do chlebaka. Pieprzeni oficerowie znani byli z tego, że uwielbiali robić sobie żarty z ludzi, nawet z tych, których posyłali na pewną śmierć.

— Cóż mogę powiedzieć, centurionie, ufam, że wykonasz po wierzoną ci misję... Choć nie wiem nawet, co masz zrobić.

Macro skinął głową.

— Powodzenia.

Centurion zasalutował i odwrócił się do szeregu widmowych postaci czekających na niego we mgle. Stojący na samym końcu mężczyzna skłął pod nosem parę mułów, które miały ciągnąć wóz. Zwierzęta, pozbawione zasłużonego wypoczynku po ciężkiej przeprawie przez morze, zrobiły się nieznośne, strzygły nerwowo długimi uszami i wypuszczały z nozdrzy gęste obłoczki pary. Macro dał sygnał do wymarszu i woźnica pogonił muły, klepiąc je po zadkach

drzewcem włóczni. Zaprzęg ruszył, choć zwierzęta przystąpiły do pracy nader niechętnie. Na wozie nie było żadnych luźnych przedmiotów, a piasty zostały tuż przez wymarszem dokładnie nasmarowane, więc gdy koła toczyły się po trakcie, słychać było jedynie cichy chrzęst miażdżonej obręczami ziemi. Zalegająca wokół mgła dodatkowo tłumiała odgłosy nocy, dlatego idącym w kolumnie wydawało się, że dźwięki, jakie wydawali, stąpając po trawie, są o wiele głośniejsze niż zazwyczaj. Blask ognisk płonących w obozie II Legionu zniknął powoli za ich plecami, pochłaniany przez wszechobecną mleczną zawiesinę. Od tej pory maszerującym żołnierzom towarzyszyły wyłącznie echa własnych kroków.

Katonowi, urodzonemu i wychowanemu w największej metropolii świata, nienaturalna cisza wydawała się czymś przerażającym. Słyszając odległe pohukiwanie sowy czy szelest trawy, oczami wyobraźni już widział Bryta skradającego się w ciemnościach i czyhającego tylko na okazję, aby z żądzą mordy w oczach rzucić się na któregoś z Rzymian. Optio maszerował tuż za centurionem i nie pierwszy już raz myślał z podziwem o sposobie, w jaki Macro radzi sobie z podobnymi stresującymi sytuacjami, roztaczając przy okazji aurę człowieka odpornego na wszystko — co przy liczbie blizn pokrywających jego ciało zakrawało jednak na ironię.

Niewielka kolumna legionistów posuwała się wolno. Gdy dotarła do pasa zewnętrznych umocnień, Macro wypowiedział półgłosem ustalone hasło. Wartownicy spoglądali w kierunku przechodzących żołnierzy z wielkim zaciekawieniem, zwłaszcza gdy zobaczyli toczący się niemal bezgłośnie wóz. Ale trwało to tylko chwilę, otaczająca ich mgła pochłonęła moment później piechurów i jadący za nimi zaprzęg.

Informacje o dziwnym orszaku dotarły do dowództwa dopiero po zmianie wart. Wespazjan musiał przyjąć oficera dowodzącego ochroną obozu, chcącego uzyskać potwierdzenie, że Macro działał zgodnie z wydanymi rozkazami.

— Dwunastu ludzi i wóz, powiadasz? — zapytał poirytowany legat. W tym akurat momencie miał znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

- Tak, panie.
- To bardzo dziwne. Moim zdaniem nie wyglądali na zwykły oddział zwiadowczy.
- Nie wyglądali, panie. Dlatego zwróciłem na nich uwagę. — Dyżurny oficer skinął głową. — Czy mamy posłać ich śladem oddział jazdy?
- Nie widzę potrzeby. Zresztą i tak nie miałbym ludzi do takiego zadania. Nasi zwiadowcy stracili z oczu jedną z brytyjskich kolumn. Potrzebujemy wszystkich jeźdźców, jakimi dysponujemy, by ją jak najszybciej znaleźć.
- Rozumiem. Co zatem mam z nimi zrobić, panie?
- Wpiszcie zdarzenie do raportu. Dopóki nie znajdziemy rozsądniejszego wyjaśnienia, traktujcie ich jak dezertorów.
- Dezertorów? — Oficer dyżurny o mało się nie roześmiał, słysząc tak wielką niedorzeczność. — Przecież pierwsi napotkani Brytowie wytną ich w pień, panie.

Zimne spojrzenie Wespazjana kazało mu umilknąć, zanim wypowiedział następane zdanie.

- Powiedziałem, jako dezertorów. Jeśli ich schwytacie, macie doprowadzić bezpośrednio do mnie. Nikt nie może ich widzieć ani z nimi rozmawiać.
- Tak, panie.

Wespazjan nachmurzył się, gdy oficer dyżurny opuścił namiot. Czuł się winny temu, że Macro i jego ludzie zostali uznani za dezertorów. Ale to było konieczne. Jeśli nie wykonają misji, trzeba ich będzie uciszyć, aby wieści o istnieniu zatopionego wozu i jego ładunku nie dotarły do uszu innych. Ta myśl była ostatnią, jaką legat poświęcił centurionowi. Miał teraz znacznie większe problemy na głowie. Ruchy Brytów były niepokojące. Zaraz po wylądowaniu pierwszych oddziałów armii inwazyjnej Plaucjusz rozesał jazdę po całej okolicy, aby zlokalizować miejsca, w których przebywały znaczne siły przeciwnika, i zdobyć precyzyjne informacje o jego ruchach i liczebności. Niestety, gęsta mgła spowijająca ziemię w nocy sprawiła, że z pola widzenia zwiadowców zniknęły oddziały ciężkozbrojnej piechoty, wyposażonej także w rydwany, liczące dziewięć, jeśli nawet

nie dziesięć tysięcy ludzi. Dowódca kontyngentu jazdy dwoił się i troił, aby odnaleźć te siły jeszcze przed świtem. Przed chwilą Wespazjan otrzymał wiadomość, że zaginioną armią może dowodzić Togodumnus — brat Karatakusa, głównego wodza sił brytyjskich i całkiem zmyślnego człowieka, jeśli można wierzyć zapewnieniom uchodźców towarzyszących legionom.

Na papierach leżących przed legatem pojawił się pasek bladego, pomarańczowego blasku. Wespazjan oderwał od nich oczy i zobaczył, że to wschodzące słońce zdołało znaleźć wąską szparkę w ścianie jego namiotu. Nadchodzący dzień nie będzie należał do najłatwiejszych, ale jeśli czas pozwoli, trzeba będzie zająć się partaczami, którzy odpowiadali za rozłożenie obozu.

Gdy nad horyzontem pojawiły się pierwsze oznaki przedświtu, Macro nakazał postój — jego ludzie mogli opaść z ulgą na porośniętą trawą poboczne traktu. Nocny marsz kosztował ich sporo nerwów, więc z wielką radością powitali widok jaśniejszego nieba tam, gdzie słońce zaczęło wygrywać z wszechobecnymi ciemnościami. Od czasu opuszczenia umocnień już dwukrotnie musieli pospiesznie uciekać z traktu, gdy w ciemności rozległ się tętent końskich kopyt, ale nie mieli pojęcia, czy kryli się przed własnymi zwiadowcami czy przed Brytami. Przez resztę nocy wędrowali skrajem drogi, zachowując się tak cicho, jak to tylko możliwe, wyczekując nagłego ataku z każdej strony.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na zatroskaną twarz Katona w chwili, gdy kończył przeżuwać kolejny kęs suszonej wieprzowiny. Optio spojrział na Macro.

— Daleko jeszcze, panie?

— Do zmierzchu powinniśmy być na miejscu. Spójrz. — Wskazał ręką na rozległą równinę ciągnącą się aż po horyzont, gdzie spod grubej warstwy mgły wystawało dziwnie wyglądające wzgórze. Samotna wysepka górująca nad mlecznym morzem. — Tam zaczynają się trzęsawiska.

— Jak mamy znaleźć zwykły wóz na tak wielkiej przestrzeni, panie?

— Pójdziemy wzdłuż traktu, dopóki nie trafimy na niewielką kotlinę, w której droga przecina lasek. Wóz został zatopiony obok wypalonego pnia dębu. Nie powinniśmy mieć problemu z jego zauważeniem.

Katon, spoglądając na tuman mgły, w którym znikła droga, pomyślał, że poszukiwania z pewnością nie będą tak proste, jak mówił centurion. Odległe, zimne i kompletnie martwe bagna czekały na nich. Myśląc o nich, optio czuł narastający strach. Tak wyglądał świat podziemi, słyszał o nim już dawno temu, kiedy jeszcze jako berbec siadywał na kolanach ojca. Upiorne cienie skuliły się pod pokracznymi pniami ledwie widocznych drzew, gdy mgła zaczęła się cofać przed promieniami wschodzącego właśnie słońca.

Macro wpatrywał się uważnie w dat, najpierw na trakt, potem zlustrował czujnym wzrokiem otaczającą ich okolicę, szukając jakichkolwiek oznak ruchu. Po lewej lekko pofałdowana ziemia opadała ku widocznej w oddali połyskującej powierzchni morza. Po prawej mocno zarośnięte pola ustępowały ciągnącym się aż po horyzont lasom. Nic nie poruszyło się w zasięgu wzroku. Brytownie upewnili się, że na drodze Rzymian nie pozostanie ani jedno zwierzę, spalili też wszystkie zapasy ziarna. Chyba jest bezpiecznie, uznał centurion, zrywając się na równe nogi. Można ruszać.

— Wstawać, leniwe gnoje. Mamy robotę do odwalenia.

Ludzie podnosili się ociężale i ustawiali w szyku. Centurion wrócił na środek drogi, a jego podkomendni poszli jego śladem, zmęczeni i spięci. Trakt biegł w dół łagodnego zbocza, opadając ku trzęsawiskom. Woźnica musiał powstrzymywać muły, aby wóz nie nabrał zbyt wielkiej prędkości. Na skraju bagien droga zrobiła się węższa, od tego miejsca koła toczyły się po trawie rosnącej na jej poboczach. Ziemia była tutaj tak rozmokła, że Katon czuł, jak się ugina, za każdym razem gdy stawiał na niej stopę, maszerując na czele niewielkiej kolumny prosto w gęstą mgłę. Chwilę później stracił z pola widzenia zaniedbany wiejski krajobraz. Od tej pory posuwali się otoczeni wyłącznie ścianami białej otuliny. Nawet wznoszące się za ich plecami słońce miało problem z przebicciem tak gęstej masy — powietrze wciąż pozostawało zimne, a mgła zdawała

się oblepiać skórę. Wszyscy milczeli, jedynymi odgłosami, jakie słyszeli, były parsknięcia mułów ciągnących wóz po rozmiękłym, przywierającym do kół torfie.

Wąski szlak wrzynał się w sam środek bagien. Tam, gdzie rozmokła ziemia nie utrzymałaby wyładowanego wozu, ułożono na trakcie równo docięte i obsypane cienką warstwą żwiru bale. Koła wozu regularnie ześlizgiwały się z nich i grzęzły w błocie zalegającym pobocza. Legioniści musieli odkładać broń i tarcze, aby na własnych ramionach przenieść ciężką drewnianą konstrukcję i ustawić ją na powrót na utwardzonej części drogi. Wkrótce wszyscy oczekali cuchnącym lepkiem mułem, byli też wycieńczeni. Macro musiał pozwolić im na przerwę — po jej ogłoszeniu padli bez sił na niewielki trawiasty pagórek otoczony przesiąkniętą ziemią. Macro widząc, że blada, zamglona tarcza słońca znajduje się wysoko nad ich głowami, wywnioskował, że zbliża się już południe. Jeden rzut oka na podwładnych uświadomił mu też, że nie może liczyć na szybki marsz i po osiągnięciu celu natychmiastowe przystąpienie do wydobycia wozu. Ale byli już blisko, jeśli wskazówki Narcyza są dokładne.

Nagle zrobiło się jaśniej. Centurion zaciekawiony tą odmianą zadarł głowę i zobaczył, że słońce w końcu zaczęło pokonywać mgłę. Białawe pasma ustępowały przed promieniami, tu i ówdzie widoczność znacznie wzrosła, nawet do kilkuset kroków.

— Katon!

— Tak, panie?

— Leć na tamten pagórek. Zobacz, czy nie ma w pobliżu naszego pnia. — Macro wskazał na porośnięte mchem strome wzniesienie po drugiej stronie traktu, a optio podniósł się ciężko z trawy. Postawił stopę na poboczu drogi, sprawdzając, czy nasiąknięty grunt zdoła utrzymać jego ciężar.

— Nie pierdol się tak, chłopcze — rzucił za nim poirytowany centurion. — Ruchy!

Katon wyprostował się i rozłożył ręce na boki, aby łatwiej utrzymać równowagę. Mimo jego obaw grunt pod mchem okazał się wyjątkowo twardy. Stał na nim bez problemu, rozglądając się

ciekawie po okolicy. Trakt znika! w pobliskiej dolince, kończąc się w wielkim czarnym rozlewisku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że wóz tędy nie przejedzie. Macro raczej nie będzie zadowolony z tej wiadomości.

— Widzisz gdzieś coś, co przypominałoby ten pień?

— Nie, panie.

— A tam? — zapytał centurion, wskazując na przerwę w ścianie mgły, w której widać było kilka martwych drzew. Ich poczemniałe konary odcinały się wyraźnie od białego tła.

— Nie jestem pewien, panie.

— No to się przyjrzyj uważniej, do kurwy nędzy!

Katon zmrużył zmęczone oczy, ale nie potrafił dostrzec niczego nowego, zwłaszcza że mgła znów zasnuła okolicę martwych drzew. Pochylił się do przodu instynktownie, by lepiej widzieć. Tego mech już nie wytrzymał, gruby kożuch pękł i optio wylądował na skraju traktu z szeroko rozłożonymi rękami. Upadek był tak nagły i mocny, że chłopak stracił dech.

— Nic ci nie jest? — Macro pochylił się nad nim i pomógł mu wstać.

— Nie, panie.

— Wiesz, Katonie — zaczął centurion — wielu już niezdarnych żołnierzy w życiu widziałem, ale ty...

— To nie moja wina, panie! Pieprzona ziemia się osunęła.

— Rozumiem... — Macro obrócił się, aby obejrzeć miejsce, z którego spadł optio. Wielki płat mchu zsunął się z pagórka, odsłaniając całą masę rozkładających się połamanych korzeni.

— Widzisz, panie — zaprotestował rozgoryczony chłopak. — Całe to cholerstwo jest przegniłe...

Zamilkł w połowie zdania, potem pochylił się i zaczął odrzucać na bok kolejne kawałki mchu, odsłaniając kryjące się pod nim próchno.

— Nie bierz tego tak osobiście — mruknął Macro, uśmiechając się pod nosem.

Katon nie zareagował jednak na jego słowa, pracował zawzięcie, oczyszczając teren, aż jego oczom ukazał się cały pniak. Wspiął się

na niego i rozejrzał raz jeszcze. W pobliżu traktu naliczył kilka wzniesień podobnych do tego, z którego spadł. Podbiegł do następnego, rozkopał mech, odsłaniając korzenie dawno złamanego drzewa, i spojrzął na centuriona, obdarzając go szerokim uśmiechem.

— Co ty wyprawiasz? — Dowódca wydawał się zaskoczony postępowaniem młodego żołnierza, dość ekscentrycznym nawet jak na niego.

— Nie rozumiesz jeszcze, panie?

— Rozumiem, że do reszty postradałeś zmysły.

— To są pniaki, panie. Pniaki po drzewach!

Katon przerwał, czekając z uśmiechem na umorusanych błotem ustach, aż centurion w końcu pojmie, na co patrzy. Ten jednak spoglądał z ojcowską wyrozumiałością i nie był w stanie zrozumieć, o co chodzi jego zastępcy. Katon wydawał mu się teraz małym rozbrykanym chłopczykiem — dzieckiem, na które nie sposób się rozgniewać.

— Pniaki? — powtórzył. — Tak, cóż, widzę, że to pniaki. Zapewne ścięto te drzewa, aby zdobyć budulec na drogę.

— Właśnie, panie. Właśnie. Ścięto je. Jak wiele mogło ich tu być?

Macro się rozejrzał.

— Pewnie z tuzin.

— Czy twoim zdaniem, panie, tuzin drzewek wystarczy, by zyskać miano lasku?

Centurion popatrzył uważniej na zastępcę, czując znajome świerzbiecie wędrujące po karku.

— Wstawać! Wszyscy!

Legioniści, wyczerpani i brudni, mieli to wszystko gdzieś, ale posłusznie wstali, słysząc rozkaz.

— Optio uważa, że trafiliśmy we właściwe miejsce. Zaczynjcie szukać resztek wozu na poboczach traktu.

Żołnierze spojrzeli na matową powierzchnię otaczających ich mokradł, potem na centuriona, jakby w oczekiwaniu na dokładniejsze instrukcje.

— No włożyć mi w to błoto — pogonił ich Macro. — Wóz sam się z niego nie wyciągnie!

Nie czekając na pozostałych, skoczył w kierunku najbliższego omszałego wzniesienia i zaczął je oczyszczać, rozrzucając wydartą, ociekającą darń na boki. Legioniści niechętnie ruszyli w jego ślady i wkrótce trawiasty pagórek, na którym odpoczywali, zamienił się w rozdrapaną kupkę torfu i ziemi. Kępy mchu i kawałki próchna latały w powietrzu, gdy coraz brudniejsi żołnierze przekopywali się przez kolejne zarośla w poszukiwaniu zatopionego wozu. Słońce zaczęło powoli opadać, oddając rozległą podmokłą równinę we władanie wszechobecnej mgły. Mimo długiej pracy legioniści nie znaleźli niczego i siadali teraz, jeden po drugim, czyszcząc się z blocka i resztek zgniłych roślin, okazując przełożonemu, jak bardzo są wyczerpani. Macro pozwolił im na to bez słowa. Sam też przykucnął, spoglądając oskarżycielsko w stronę Katona.

— Ja tylko powiedziałem, że to może być miejsce, w którym powinniśmy szukać. — Chłopak próbował się usprawiedliwić.

— Wydawało mi się, że prawidłowo odgadłem wskazówki, zważywszy na to, co tu zastaliśmy.

— Odgadłeś? — mruknął rozgniewany Pyrax. — Wcześniej wyglądałeś na cholernie pewnego siebie.

— Może się pomyliłem. — Optio wzruszył ramionami. — Ale gdzie indziej mógł zatonać ten wóz? Wystarczy spojrzeć na szlak, żeby zrozumieć, że nie ujechałby wiele dalej. Kwestia druga, ile pieńków minęliśmy po drodze? Żadnego. To miejsce wyglądało dokładnie jak to, którego szukamy.

— Gdzie zatem jest wóz? — Macro zatoczył ramieniem krąg, wskazując niedawno przekopany teren. — Wszędzie kopaliśmy.

— Po prostu jeszcze na niego nie trafiliśmy.

— Pierdolę taką robotę! — Zagniewany Pyrax zerwał się z miejsca. — Centurionie, tutaj nie ma żadnego wozu. Każdy głupek by to zauważył. Albo przegapiliśmy go wcześniej, albo go tu nigdy nie było. Dlaczego nie wrócimy do obozu?

Pozostali legioniści wsparli go gniewnymi pomrukami.

Macro popatrzył pod nogi w zamyśleniu, a potem wstał ociężale.

— Nie, jeszcze nie pora, chłopak ma rację. Ten wóz jest gdzieś tutaj albo nigdzie. Odpoczniemy, a potem zaczniemy szukać od nowa. Jeśli do zmierzchu niczego nie znajdziemy, zawrócimy.

Pyrax zaklął i splunął pod nogi Katona. Zacisnął też pięści.

— Ja tak zdecydowałem — rzucił Macro. — Siadaj i odpoczywaj. To rozkaz. Zrozumiano?

Pyrax nie odpowiedział, gapił się tylko na optio. Dopiero po chwili odwrócił się do centuriona i skinął głową.

— Pytałem, czy mnie zrozumiałeś?

— Tak, panie.

— Świetnie, a teraz siadaj.

Pyrax raz jeszcze posłał lodowate spojrzenie młodemu optio, a potem usiadł ciężko pomiędzy pozostałymi legionistami, którzy patrzyli na Katona z nie mniejszą złością.

Tego już było za wiele dla młodego żołnierza. Oddalił się od reszty oddziału, wchodząc głębiej w bagna, aby tylko znaleźć się jak najdalej od otaczającej go wrogości. U stóp kolejnego wzniesienia z czarnej mazi sterczało młode drzewko; rosnący pod kątem pień zwiślał smętnie w stronę traktu. Katon oparł się o nie, wzdychając ciężko z frustracji. Ze wszystkich sił starał się opróżnić umysł z dręczących go myśli. Aby to osiągnąć, postanowił się skupić na krajobrazie. Wątle drzewko okazało się jednak zbyt słabą podporą i gdy napał na nie całym ciężarem, coś trzasnęło przy korzeniach i spróchniały pień padł na trawiasty pagórek. Katon o mało nie przewrócił się po raz drugi, na szczęście, wywijając rękami młynka, zdołał zachować równowagę.

— Katonie! — wydarł się Macro. — Do kurwy nędzy! Nie potrafisz ustać na własnych nogach? Klnę się na wszystkich bogów, że widziałem kompletnie schlanych marynarzy, którzy trzymali pion lepiej niż ty.

— Wybacz, panie. Wydawało mi się, że to drzewko zdoła mnie utrzymać.

— Drzewko? — zapytał Macro, spoglądając na trawę, w miejsce wskazane przez optio. — To nie żadne pieprzone drzewko.

Centurion podszedł, pochylił się i obejrzał uważnie długi drąg. Powierzchnia drewna pod warstwą mułu, brudu i mchu była zbyt gładka jak na zwykły pień. Wytarł ostrożnie zakończenie, odsłaniając żelazny czop. Wystarczyła chwila pracy i jego oczom ukazał się długi na stopę żelazny kołnierz z dwoma rączkami sterczącymi w przeciwne strony.

— Cóż mogę powiedzieć, Katonie — zaczął centurion. — Może nie byłeś najlepszym nabytkiem naszego legionu, ale bywają momenty, w których twoja nieporadność okazuje się bardzo przydatna. Wiesz, co to jest?

Optio pokręcił głową, wciąż nie mogąc dociec, skąd drzewko ma okucia.

— To dyszel wozu. A na jego końcu, jak się zapewne domyślasz, powinniśmy znaleźć to, czego szukamy. Sprawdźmy zatem.

Macro podniósł nadłamany drąg i ustawił go tak, aby tworzył całość z wystającym z bagna ułamkiem. Pociągnął mocno, ale drzewce nawet nie drgnęło, jakby było przytwierdzone do czegoś naprawdę ciężkiego. Centurion rzucił je na trawę i spojrzał na legionistów, którzy przyglądali mu się z zaciekawieniem i niepokojem.

— Ostatnia próba, chłopaki! Wstawać i zasuwać do mnie. Zdaje się, że nasz optio mimo wszystko miał rację. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie wątpiłem w zdolności tego chłopaka.

Gdyby nie to, że uderzenie przełożonego traktowane było w wojsku jak najgorsza zbrodnia, Katon walnąłby centuriona w twarz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Zmierzch nadchodził wielkimi krokami, a nadal nie znaleziono nawet śladu armii Togodumnusa. Szukała go już jazda trzech legionów i dwie kohorty pomocnicze. Przetrzęsnięto całą okolicę, ale nigdzie nie natknięto się na większe skupiska Brytów. A dopóki nie zostaną wykryci, II Legionowi mogło grozić gigantyczne niebezpieczeństwo. Wespazjan będzie zmuszony do opuszczenia umocnień, nie znając pozycji i liczebności przeciwnika. Legat bez trudu potrafił sobie wyobrazić, do czego dojdzie, gdy kolumny marszowe zaatakują wielką liczbą wrogów. Jedno przeprowadzone w rozsądny sposób zdecydowane uderzenie mogło przetrząść kręgosłup jego legionowi. Dlatego właśnie podporządkował wszystkich zwiadowców Witeliuszowi. Trybun przebywał teraz gdzieś w brytyjskiej głuszy, poszukując sił Togodumnusa.

W tym samym czasie generał Plaucjusz napierał na wroga bez litości, zmuszając go do cofania się, i bez przerwy słał kurierów z żądaniami, aby dwa świeże legiony — II i XIV — przyłączyły się do niego jak najszybciej i rozbiły wroga, wykorzystując przewagę, jaką wypracował. Trzeba uderzyć szybko i zdecydowanie, pouczał swoich podwładnych. Jeśli cztery legiony dopadną Brytów, zanim ci zdążą się schronić za jedną z najszerszych rzek tej ziemi, rezultat bitwy będzie tylko jeden — całkowita destrukcja armii wroga. Jeśli to się uda, pozostanie tylko zdobycie tego dziwnego fortu na wzgórzu i wykurzenie z niego niedobitków załogi. Legat uśmiechnął się

krzywo, czytając tę wiadomość. Generał zapomniał wspomnieć — a może nawet nie przewidział tego — że po rozbiciu armii Brytów rozpocznie się wieloletnia wojna podjazdowa, partyzancka, i długo jeszcze nie będzie można uznać nowej prowincji za spacyfikowaną.

Wespazjan chciałby podzielać wiarę generała w łatwy przebieg tej kampanii. Ale rozkazy były rozkazami. Plaucjusz żądał, aby II Legion wyruszył najpóźniej jutro o świcie. Legat miał tylko nadzieję, że dowódca jest świadom niebezpieczeństwa, na jakie naraża swoje odwoły.

Z dotychczasowych raportów zwiadu wynikało, że trakty wiodące na zachód, ku linii frontu, były wolne od wroga, na południu przeszukano spore tereny aż po skraj mokradł, które, przynajmniej zdaniem towarzyszących Rzymianom emigrantów, były nieprzebyte dla tak dużych oddziałów, zwłaszcza że wszystkie trakty w tamtych stronach zostały porzucone już dawno i najprawdopodobniej pochłonęły je bagna. Pozostawały więc tylko gęsto zalesione tereny na północ od trasy przemarszu. Gigantyczna gęsta puszcza poprzecinana dziesiątkami dróg znanych tylko miejscowej ludności. Jeśli atak ma nastąpić, na pewno nadejdzie z tamtej strony.

Słońce zdążyło się pochylić nad zasnutym mgłą horyzontem, zanim Macro i jego ludzie zdolali odrzucić wystarczającą ilość cuchnącego blocka, aby odsłonić skrzynię wozu. Szarpiący się legionieści grzęzli po pas w mokradłach, ale w końcu udało im się odnaleźć skrzynię, po którą ich wysłano. Gdy tylko oczyścili ją z błota, Macro przyjrzał się uważnie wielkiemu, okutemu żelazem kufrowi. Oprócz nalotu z rdzy i nadgniętego drewna, co w tych warunkach było naturalne, nie zobaczył żadnych ubytków. Skrzynia wyglądała na nie naruszoną, a masywny zamek nadal trzymał. Żołnierze, widząc w końcu jakieś efekty swojej pracy, radowali się wspólnie i z ochotą przenosili wielki ładunek na solidniejsze podłoże. Kufer był jednak cięższy, niż się spodziewali, i mało brakowało, by zatonął ponownie, i to nie raz, zanim dotarli z nim na trawiasty skraj traktu.

— Dobra, chłopaki, nie traćmy więcej czasu. Ładujemy skrzynię na wóz i wracamy do obozu.

Katon spojrział z obawą w niebo.

— Lada moment się ściemni. Nie zdołamy wrócić przed zapadnięciem zmroku, panie.

— Nie zdołamy, ale przynajmniej opuścimy te pieprzone bagna. — Macro pochwyił jeden z żelaznych uchwytów. — Dalej, chłopcy. Bierzmy się do roboty.

Dwunastu mężczyzn ustawiło się wokół skrzyni i wniosło ją na trakt. Tam w ostatnim morderczym wysiłku, wydając z siebie jęki i sycząc z bólu, wepchnęli kufer na czekający wóz, który aż zatrzeszczał pod jego ciężarem. Dopiero wtedy żołnierze mogli odetchnąć, opierając się o burty i dysząc ciężko. Katon poczuł drżenie w całym ciele, nigdy wcześniej nie doświadczył aż takiego zmęczenia. Wszystkie mięśnie rąk i nóg paliły go żywym ogniem; nieustanny wysiłek ostatnich godzin sprawił, że chłopak poczuł mdłości. Przyglądając się wyczerpanym obliczom pozostałych legionistów, zrozumiał, że i oni nie mają się wcale lepiej. Tylko cud mógł sprawić, że wyjadą z tych bagien przed zmrokiem.

Macro oparł ręce na pokrywie kufra. Był zmęczony, ale i szczęśliwy, że udało im się wykonać tę część zadania. Kiedy skrzynia spocznie bezpiecznie w namiotach legata, będzie mógł odpocząć, mając świadomość, że zyskał przyjaciela w kręgach władzy. I to takiego, który mógł mu ułatwić pięcie się po szczeblach kariery. Centurion osiągnął już szczyty tego, co mógł zdobyć zwykły żołnierz tylko dzięki kompetencji i umiejętnościom. Wyżej mógł się wspinać jedynie za sprawą podstępów, inteligencji i znajomości. Znał siebie zbyt dobrze, żeby nie zauważać wyraźnych braków w dwóch pierwszych przypadkach. Ale trzecia możliwość właśnie stawała przed nim otworem. Poklepał kufer z wyraźnym uczuciem.

— Dobra robota, centurionie! — dobiegł z mroku i mgły znajomy głos.

Macro rozejrzał się szybko, chwytając za miecz. Pozostali legionieści także się poderwali. Stali teraz wokół wozu czujni, z obnażonymi ostrzami w dłoniach.

Z mgły wyłoniła się powoli postać w mundurze rzymskiego oficera. Rozpoznali go — to trybun Witeliusz. Za nim materializowały się kolejne sylwetki mężczyzn na syryjskich koniach. Na ich widok Katon zadrżał i również wyjął broń. Na domiar złego uzdę wierzchowca trybuna trzymał nie kto inny jak Piękniś.

Witeliusz ruszył traktem w ich stronę, ale zatrzymał się dziesięć kroków od wozu.

— Zakładam, że to skrzynia, po którą was tu wysłano? — zapytał trybun. Macro jeszcze się nie otrząsnął z szoku wywołanego tak nagłym pojawieniem się Witeliusza i zmarszczył tylko brwi, mierząc przybysza podejrzliwie wzrokiem. — Zadałem ci pytanie, centurionie. Czy to ta skrzynia?

— Tak, panie. Ale co...

— Dobra robota. Gratuluję tobie i twoim ludziom.

— Dziękuję ci, panie...

— Od tej chwili ja ją przejmuję. Kufer musi trafić do legata najszybciej, jak to tylko możliwe. Pierwsza para, do mnie! — Witeliusz podszedł do wozu i poklepał wieko skrzyni. — Jesteście wyczerpani. Wydaje mi się, że z ulgą pozbędziecie się tego ciężaru i obowiązku. Możecie odpocząć, zanim ruszycie za nami do obozu.

Macro skinął głową, gorączkowo zastanawiając się nad odpowiedzią. Jeśli źle to rozegra, utraci szanse na awans.

— Panie, rozkaz mówił wyraźnie, mam osobiście odstawić ten kufer do kwatery legata.

— Wiem. Ale twoje rozkazy zostały właśnie zmienione.

— Legat wyraził się bardzo jasno. Mam oddać kufer w jego ręce.

— Kwestionujesz moje rozkazy, centurionie? — zapytał lodowatym tonem Witeliusz. — Chyba poinformowałem cię wystarczająco jasno, że te rozkazy zostały zmienione. Macie przekazać ten wóz w ręce moich ludzi, zrozumiano?

Macro spoglądał na niego równie lodowatym spojrzeniem, w którym widać było także wściekłość na przełożonego, który zamierzał ograbić go z przysługującej mu nagrody.

- Powiedz swoim ludziom, panie, by nie zbliżali się do wozu — powiedział centurion.
- Co takiego?
- Każ im się wycofać. Nie zabierzecie tego kufra.
- Centurionie. — Witeliusz zmienił ton na łagodniejszy. — Ani ty, ani ja nie możemy tego zmienić. Wykonuję bezpośrednie rozkazy Wespazjana.
- A ja wypełniam wolę Aulusa Plaucjusza — zablefował Macro.
- I nie wydam kufra, dopóki nie otrzymam rozkazu z ust samego generała.

Witeliusz gapił się na niego, a jego ludzie, wyczuwając, że konfrontacja jest nieunikniona, zatrzymali się w pewnej odległości od wozu. Trybun widząc to, zaczął się cofać, mówiąc:

— Dobrze, centurionie. Możecie zatrzymać ten kufer, ale wspomnisz moje słowa, przysięgam, że to jeszcze nie koniec tej sprawy.

Zawrócił i kiwnął na obu towarzyszących mu żołnierzy, nakazując im powrót na siodła. Katon obserwował uważnie każdy krok trybuna i zauważył, że ten schodzi w pewnym momencie z traktu, jakby chciał zwolnić drogę pomiędzy jazdą a wozem. Nagłe poruszenie w szeregach jeźdźców na krótką chwilę odwróciło uwagę młodego optio, ale gdy wrócił wzrokiem do Witeliusza, ten stał już twarzą do drużyny Macro, z płaszczem odrzuconym na plecy, trzymając dłoń na rękojeści gladiusa. Katon zrobił wielkie oczy, gdy zrozumiał, co się święci.

— Padnij, panie! Padnij!

Skoczył na centuriona i ściągnął go z wozu. Obaj padli na ziemię, staczając się w błoto. Pozostali legionieści poszli w ich ślady, zanim w powietrzu zaczęły świszczeć pierwsze strzały. Jeden z żołnierzy zareagował jednak zbyt późno i długie drzewce z głośnym łupnięciem zagłębiło się w jego krtani. Padł na kolana i plując krwią, próbował wyszarpnąć grot z szyi. Kolejne strzały wbiły mu się w twarz i pierś. Krzyknął i padł.

— Za wóz! — wrzasnął Macro. — Ukryjcie się za wozem!

Legionieści przypadli do błota za skrzynią, z dala od deszczu strzał. Dwaj kolejni żołnierze odnieśli rany. Sycząc z bólu, usiłowali wyrwać grot z ran.

— Zostawcie je! — wrzasnął Macro, zbyt dobrze wiedząc, jak wielkie spustoszenia w ciele czyni usuwanie ząbkowanych grotów. Jeśli przeżyją, medycy zrobią to znacznie sprawniej.

Jeśli przeżyją.

Syryjczycy rozproszyli się po poboczach drogi, odchodząc od traktu na tyle, na ile pozwalały im bagna, aby jak najbardziej zawęzić martwe pole za wozem. Legioniści przyłgnęli do siebie, większość pozostawiła tarcze na trawiastej skarpie, tylko dwie stały oparte o burty wozu. Teraz podawano je pospiesznie do tyłu, aby dodatkowo chronić flanki. Strzały już odbijały się od nich z głośnym grzechotem. I kolejna, mimo tej osłony, dosięgnęła celu. Następny legionista chwycił się za zranioną nogę.

— Dlaczego oni to robią? — zapytał przez zaciśnięte zęby Pyrax.

— Przecież są po naszej stronie.

— Jak widać, nie są — odparł Katon. — Cokolwiek znajduje się w tym kufrze, musi mieć dla nich niebywałą wartość.

— Ilu ich tam jest? — zapytał Macro. — Policzył któryś?

— Ja widziałem ośmiu — poinformował go optio. — Witeliu-sza, Pulchera i sześciu Syryjczyków.

— No to mamy wyrównane siły, jeśli ruszymy teraz na nich.

— Ruszyć na nich? — powtórzył zaszokowany Pyrax, wciskając się w ziemię. — Panie, wystrzelają nas, zanim zdołamy do nich podejść.

— Jeśli im wystarczy strzał.

— Jeśli dożyjemy do tego momentu.

Głośny kwik przestraszył Katona do tego stopnia, że aż podskoczył. Któraś ze strzał trafiła muła. Oszalałe z bólu zwierzę próbowało się wycofać i wyrwać z zaprzęgu. Przez moment się wydawało, że wóz zaraz ruszy, ale drugi muł na szczęście stał jak wmurowany, patrząc tylko z przerażeniem na cierpienie towarzysza.

— Ostrożnie, durnie! — wydarł się stojący gdzieś w pobliżu Witeliusz. — Trafiliście w muła. Mierzyć dokładniej. Strzelajcie do ludzi.

— Dzięki ci, trybunie! — mruknął rozgoryczony Macro, gdy kolejne strzały załomotały o burty i tarcze. Centurion widząc wy-

straszone spojrzenie Katona, dodał, wskazując kciukiem przeciwników: — Zaczynam mieć już dość tych wszystkich Syryjczyków. Trzeba będzie coś z nimi zrobić, jak przyjdzie odpowiednia pora.

— Ale raczej nie teraz, panie — poprosił optio. — Poczekaj, panie, aż szanse bardziej się wyrównają.

Strzały nadal nadlatywały, ale już nieco rzadziej, łucznicy zaczęli oszczędzać amunicję. Skrócili za to dystans, mierzyli tylko wtedy, gdy zauważali szansę na trafienie w cel. Na szczęście wąski pas ubitej ziemi nie pozwalał im na oskrzydlenie legionistów. Chwilę później obie strony zrozumiały, że doszło do impasu. Legioniści, pozbawieni zbroi i posiadający jedynie dwie tarcze, nie mogli przypuścić szturm na łuczników, a ci drudzy, nie posiadając odpowiedniej broni i przeszkolenia, nie stanowili wielkiego niebezpieczeństwa dla przeciwnika, gdyby doszło do walki wręcz, zatem robili co mogli, by jej uniknąć. Jediną nadzieją Syryjczyków było przetrzebieenie ludzi Macro i uzyskanie nad nimi miażdżącej przewagi.

Strzały przestały w końcu nadlatywać, ale legioniści pozostali w ukryciu, na wypadek gdyby przerwanie ostrzału okazało się podstępem.

— Macro! — zawołał Witeliusz. — Macro, jesteś tam jeszcze?

— Tak, panie! — odkrzyknął centurion, automatycznie odpowiadając na zawołanie przełożonego.

— Świetnie. Wiesz dobrze, Macro, że prędzej czy później dostanę tę skrzynię. Wy pozostaniecie uwięzieni za wozem, ale ja mogę posłać po posiłki. Trochę to jednak potrwa. Możemy spędzić ten czas, gapiąc się na siebie wzajemnie, ale możecie też oddać kufer od razu i odejść wolno.

— Pierdol się, panie! — odkrzyknął centurion. — Chcesz tego kufra, będziesz musiał o niego powalczyć!

— Posłuchaj mnie uważnie, centurionie! Jeśli każecie mi czekać, nie okażę wam litości. Gdy nadejdą posiłki, wybijemy was do nogi. Oddaj mi skrzynię, a pozwolę wam żyć. Masz na to moje słowo.

— Słowo? — mruknął Katon. — Czy on naprawdę ma nas za idiotów?

- Właśnie wyraziłeś moje myśli, optio — odpowiedział Macro.
- Centurionie! — wydarł się znowu trybun. — Dam ci kilka chwil na przedyskutowanie tej sprawy z ludźmi. Potem wybierzecie: albo odwiekacie nieuniknione i w efekcie ponosicie śmierć, albo oddajecie skrzynię i odchodzicie wolno. Macro spojrział na otaczających go legionistów.
- I co wy na to?
- Nie ma szans na to, że puszczą nas wolno — oświadczył Pyrax. — Bez względu na to, co postanowimy.
- Masz rację. — Centurion skinął głową. — Co zatem robimy? Atak raczej nie wchodzi w rachubę.
- Chyba że udałoby się wziąć ich z dwóch stron — zasugerował Katon.
- Jak niby mielibyśmy to zrobić?

Optio przetoczył się na bok i podparł na łokciu, aby móc wskazywać kierunki w czasie mówienia.

— Kilku z nas wycofa się wzdłuż traktu. Trawa na poboczach jest wystarczająco wysoka, jeśli ludzie nie będą wystawiać tyłków, tamci nie powinni ich zauważyć. Tam odbiją w bok i przepłyną po mokradłach, zataczając spory łuk, aby znaleźć się za plecami atakujących. Tym sposobem będziemy mogli uderzyć na nich z dwóch stron. Mam nadzieję, że atak od tyłu sprawi, iż przestaną tak dobrze celować... — Katon zamilkł, ale widział, że pozostali wciąż wpatrują się w niego z oczekiwaniem. — Wybaczcie, ale to już wszystko.

— I to ma być twój plan?

Optio skinął głową.

— Mnie tam pasuje. Albo to, albo pewna śmierć — powiedział Macro i popatrzył po twarzach ocalałych członków swojej drużyny. — Dobra, weźmiesz Pyraksa, Lentulusa i Piso. Kiedy dostaniecie się za ich plecy, od razu atakujcie, robiąc przy tym naprawdę wiele hałasu.

Katon poruszył się nerwowo.

- Wybacz, panie, ale kto inny musi poprowadzić drugą grupę.
- A to niby dlaczego?
- Ja nie umiem pływać.

- A Wespazjanowi chwaliłeś się, że umiesz. Tej nocy, gdy dołączyłeś do legionu.
- Obawiam się, że przesadzałem, panie. Wybacz.
- Chciałeś powiedzieć, że kłamałeś.
- Tak.

Macro zmierzył go wzrokiem.

- Świetnie, optio. W takim razie musisz się kurewsko szybko tego nauczyć.
- Tak, panie. Rozpocznę naukę, jak tylko dołączymy do legionu.
- Świetnie. — Macro odpiął pelerynę i polecił pozostałym, aby zrobili to samo. Cała czwórka sprawdziła, czy miecze i sztylety są dobrze umocowane. Potem centurion poprowadził ich w dół traktu, oddalając się od Syryjczyków. Czołgali się, przylegając do lepkiego mułu jak węże. Gdy w końcu odbili od drogi i odpłynęli w mgłę, Katon odważył się rozejrzeć wokół wozu. Łucznicy stali tam gdzie przedtem, charakterystyczną sylwetkę Witeliusza dostrzegł po prawej. Trybun przysiadł u stóp pagórka, na którym Pulcher pilnował koni. Nagle w powietrzu znów zaroilo się od strzał i optio natychmiast przepadł do ziemi. Trzej pozostali legionieści, którzy nie odnieśli jeszcze ran, czaili się przy burcie wozu, ściskając nerwowo miecze w dłoniach.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, wokół panowała cisza i spokój. Gdy zrobiło się ciemniej, Katon zaczął się niepokoić o los centuriona. Moment później Witeliusz poderwał się z pieńka i zawołał:

— Czas się skończył. Oddajcie skrzynie albo umierajcie. Jaka jest wasza decyzja?

Katon spojrzął po twarzach pozostałych legionistów.

- Słucham, centurionie.
- Powiedz coś — syknął jeden z żołnierzy.
- Ale co? Co mam powiedzieć? — zapytał Katon.
- Cokolwiek, dumniu!
- Niech i tak będzie! — zawołał rozwścieczony trybun. — Zdychajcie, mam nadzieję, że wam się to spodoba.

Macro i trzech jego ludzie wylonili się z mroku tuż za linią łuczników, biegnąc ku nim po trakcie. Ryczeli głośniejszym niż zraniony muł. Ich krzyki zaskoczyły także Katona, ale optio pozbierał się niemal od razu i już gnał w kierunku najbliższego Syryjczyka, drąc się na pozostałych, aby ruszyli w jego ślady. Widząc nadbiegającego legionistę, przeciwnik wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu i odrzucając łuk, sięgnął po tasakowaty miecz. Miał jednak pecha, rękojeść wyslizgnęła mu się ze spoczonej dłoni i ostrze wpadło w błoto. Katon widząc to, ryknął jeszcze głośniejszym. Syryjczyk zaczął uciekać, pozostawiając broń w bagnie. Optio zamierzał dziabnąć go gladiusem w plecy, ale ostrze zaplątało się w pelerynę i zamiast między zębami, zagłębiło się w pośladku uciekającego mężczyzny. Syryjczyk zapiszczał i pognął po trakcie ile sił w nogach, omijając wielkim łukiem Macro i jego kamratów, którzy bez cienia litości rozprawiali się z resztą łuczników.

Katon, sfrustrowany niepowodzeniem, rozejrzał się za kolejną ofiarą. Jego wzrok padł na Pulchera podsadzającego Witeliusza na konia.

— Tam! — ryknął optio. — Nie pozwólcie mu uciec! Szybko!

Nie czekając na pozostałych, rzucił się na Pięknisia z mieczem uniesionym wysoko nad głowę. Były skazaniec zdążył wyciągnąć broń dosłownie w ostatniej chwili, uczynił to jednak zadziwiająco szybkim ruchem.

Stając na szeroko rozstawionych nogach, przysadzisty legionista wymierzył ostrze w szyję nadbiegającego Katona. Ten spróbował wykonać unik, ale ku swojemu ogromnemu przerażeniu poczuł, że jego stopy tracą przyczepność na śliskim mule. Padł na kolana, prześlizgując się pod mieczem Pulchera i uderzając w tułów przeciwnika z całą siłą, na jaką było go stać. Nie mógł wyhamować, uderzył więc w Pięknisia z całym impetem i obaj wywalili się prosto w śmierdzącą maź. Cios nie zdołał wprawdzie przebić grubej zbroi, ale jego siła pozbawiła Pulchera tchu. Odtoczył się szybko, łapczywie chwytając ustami powietrze. Zanim Katon zdołał go dopaść, by dokończyć dzieła, usłyszał tuż za uchem dziwny świt i natychmiast przypadł do ziemi. Witeliusz był nad nim i wznosił miecz do ciosu.

Gdy jego ręka opadła, optio zdążył jedynie wykonać instynktowną zasłonę.

— Tutaj! Szybko! — zawołał.

Trybun szykował się do zadania decydującego ciosu, ale zmarł, słysząc wokół siebie liczne pokrzykiwania. Klnąc głośno, skierował konia prosto na Katona. Chłopak uskoczył na bok, ale nie na tyle szybko, by uniknąć potrącenia przez potężnego wierzchowca. Pchnięty mocno, wylądował raz jeszcze w błocie.

Koń przedarł się przez linię legionistów, młóćąc kopytami lepki szlam, i popędził traktem, mijając wóz, przy którym ranny muł wciąż kwiczał boleśnie. Moment później zniknął w mroku.

Macro podbiegł do Katona i pomógł mu stać.

— Wszystko w porządku?

— Będzie dobrze... jak tylko odzyskam oddech. Załatwiliśmy ich?

— Prawie. Pięciu zabitych, trzech uciekło. Szkoda, że nie dopadliśmy tego drania Witeliusza.

Katon rozejrzył się pospiesznie, ale nie dostrzegł nawet śladu Pięknisia.

— Tak, panie. — Optio zaczerpnął głęboko tchu i obmacał pierś. Oprócz kilku otarć nie odniósł poważniejszych obrażeń. — Co teraz zrobimy?

— Nie możemy go ścigać, jeśli o to pytasz. Musimy jak najszybciej dostarczyć skrzynię do Wespazjana. Zanim trybun ruszy za nami z większym oddziałem.

Legioniści zaprzęgli do wozu cztery zdobyczne konie, a dwa pozostałe i ocalałego muła prowadzili za nim. Macro, obawiając się, że kwiki rannego zwierzęcia ściągną im na głowę kogoś jeszcze, zaprowadził muła głębiej w bagno i tam poderznął mu gardło. Ranni trafili na wóz i niewielki oddział ruszył w drogę powrotną, ku granicy mokradeł. Legioniści prowadzili konie w coraz gęstszym mroku, radując się z tego, że nie muszą wyciągać ciężkiego pojazdu z każdej głębszej kałuży błota.

Gdy zbliżyli się do suchej ziemi i ujrzeli ciemne zbocze wylaniające się z tumanów mgły, Macro wychwycił za plecami cichy tętent końskich kopyt.

— Stać! — zawołał, zniżając głos. — Chodźcie za mną! Weźcie tarcze i włócznie!

Poprowadził ich kawałek wzdłuż szlaku biegnącego przez bagna, tam podzielił oddział na dwie części po czterech ludzi i kazał im się ukryć po obu stronach traktu tak, by utworzyli długi szpaler. Tym razem nie zamierzał dać jeźdźcowi szans na ucieczkę. Katon przypadł do ziemi, zbyt zmęczony wydarzeniami tego ciężkiego dnia, by czuć strach. Moment później w mroku i mgle zamajaczyła czarna sylwetka jeźdźca na koniu. Jechał prosto w zastawioną na niego pułapkę.

— Teraz! — zawołał Macro i z mroku wyskoczyło na trakt osiem cieni, w jednej chwili otaczając jeźdźca. Koń, zaskoczony ich nagłym pojawieniem, stanął dęba i zarżał głośno. Nie dał się uspokoić mimo usilnych prób i w końcu strącił jeźdźca. Macro doskoczył do przeciwnika i walnął go z całej siły w twarz, zanim tamten zdołał stanąć na nogi.

— No proszę! — Aż się roześmiał z radości. — Nie spodziewałem się zobaczyć tak szybko twojej parszywej mordy, panie.

Witeliusz otarł zakrwawiony nos wierzchem dłoni.

— Zabieraj te łapy ode mnie, centurionie!

— Mam zabrać łapy?

— Musisz mnie przepuścić. Jadę do obozu legionu.

— Jeśli uważasz, suczy synu, że...

— Nie mamy czasu na kłótnie! — wydarł się Witeliusz. — Pierdolona armia Brytów zmierza tu moim śladem. O mały włos nadziałbym się na ich przednie straże. Wątpię, aby mnie zauważyli, ale lada moment tutaj będą. Muszę powiadomić o tym Wespa-zjana!

— Łże jak pies, panie — warknął Pyrax. — Zabij go i zbierajmy się stąd.

— Zaraz! — wtrącił się Katon. — Nie wiemy nawet, czego od nas chciał.

Pyrax uniósł miecz.

— A kogo to jeszcze obchodzi?

— Opuść miecz, legionisto! — ostrzegł Macro. — I to już!

— Proszę... — odezwał się Witeliusz błagalnym tonem. — Musicie mnie puścić. Trzeba ostrzec Wespazjana. Znalazłem Togo-dumnusa! Jeśli jego armia zaskoczy legion, polegną tysiące. Tysiące naszych towarzyszy broni!

— Towarzyszy broni — prychnął Pyrax. — Towarzysze broni nie wbijają ci miecza w plecy.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Witeliusz wciąż klęczał, Macro stał obok z ręką zaciśniętą na jego pelerynie. Pełnym pogardy wzrokiem wpatrywał się w twarz trybuna.

— Jeśli nadciąga tędy armia — odezwał się w końcu Katon

— legat musi zostać ostrzeżony.

— Tam nie ma żadnej pierdolonej armii! — wydarł się Pyrax, uderzając w ziemię końcem włóczni. — Gnój próbuje ratować skórę.

— Jeśli tak, dlaczego jechał za nami?

— Pewnie się zgubił. Po co my właściwie tracimy czas na niego?

— Legionista spojrzał na centuriona. — Zabijmy go, panie!

Macro spojrział raz jeszcze na klęczącego trybuna, twarz mu stężała, czuł do tego człowieka wielką odrazę głównie za to, że znowu wpakował go w bagno. Moment później walnął pięścią w pierś oficera, posyłając go w błoto.

— Jedź i ostrzeż legion. Ale nie łudź się, po bitwie osobiście doniosę generałowi o tym, co tu zrobiłeś. Sądzę, że z wielką ochotą postara się wyciągnąć z ciebie, dlaczego chciałeś zabić własnych podkomendnych, aby ukraść jego skrzynię. Wynocha! Jedź, psi pomociu, zanim zmienię zdanie.

Witeliusz zerwał się z ziemi, wskoczył na grzbiet konia i odebrał cugle od legionisty stojącego obok. Nie czekając na nic, pogonił wierzchowca. Pognał szlakiem, mijając wóz, i zniknął w ciemnościach.

— Dobra! Ruszamy. Jeśli mówił prawdę, nie mamy czasu do stracenia. Zbierać się!

— Na pewno nie powiedział prawdy! — prychnął Pyrax.

— Podważasz moje decyzje? — zapytał gniewnie Macro.

— Mówię tylko, że powinniśmy go zabić.

— Jeśli zwracasz się do mnie, legionisto, nie zapomnij dodać słowa „panie”!

— Cicho! — Katon uniósł rękę. — Posłuchajcie!

Niewielki oddział zamarł, wszyscy nasłuchiwali, odwracając głowy w kierunku wskazanym przez optio. Przez moment nic nie zakłócało nocnej ciszy, po czym rozległ się strzał z bicia, potem drugi, rzenie konia i wypowiedziane po celtycku przekleństwo.

Dochodziły gdzieś z traktu, i to wcale nie z daleka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wiedzieli, że Brytowie dogonią ich, zanim zdołają dotrzeć do grani. Nie mieli szans na ucieczkę przed wrogiem. Macro rozglądając się po okolicy, dostrzegł jednak niewielką nadzieję na ratunek.

— Tam! — wskazał ręką na jedno z zagłębień terenu, daleko po lewej od traktu. Wypełniający je kozuch mgły połyskiwał blado, na pewno nie zachęcająco, niemniej tylko w nim mogli zniknąć bez śladu. — Zabierzcie ten pieprzony wóz z traktu tak szybko, jak to możliwe!

Gdy legionieści skierowali zaprzęg w gęstą trawę i pognali konie w kierunku wypełnionego mgłą zagłębienia, Macro szedł z tyłu, starając się zamaskować najbardziej wyraźne ślady zostawiane przez koła i kopyta na miękkiej, podmokłej ziemi. Centurion podążał za zaprzęgiem znikającym już w widmowym тумanie po drugiej stronie wzniesienia, modląc się, by Brytowie nie dostrzegli pozostałych kolein, i obawiając o to, że wróg wyłoni się zbyt szybko z moczarów. Dobiegające z pobliza dudnienie podkutych kopyt zmusiło go do padnięcia w trawę tuż przed szczytem. Leżał tam przez chwilę, ciężko dysząc.

Stok po drugiej stronie był dość stromy, dlatego wóz zniknął całkowicie w gęstej, choć niezbyt wysokiej zasłonie mgły. Katon nakazał zatrzymać zaprzęg, upewnił się, że zwierzęta i ranni zachowują ciszę, a potem wrócił po śladach i dołączył do centuriona.

- Mieliśmy szczęście, panie. Mało brakowało, a stracilibyśmy kontrolę nad zaprzęgiem, gdy zaczął się zjazd. — Poklepał szczyt wzniesienia.
- Naprawdę? — zapytał Macro i ziewnął przeciągle, zanim zdążył się opanować. Potem obrócił się na brzuch i oparł brodę na dłoniach. — Leż tak i nic nie rób... absolutnie nic. Chyba że wydam jakiś rozkaz.

Katon pokiwał głową i znieruchomiał, czekając na wyjście wrogich sił poza linię mokradeł. Nagle zza gęstych zarośli wynurzył się niewielki oddział jazdy. Cwałował w przydymionym blasku księżyca nie dalej niż sto kroków od nich. Konie i ludzie zlewali się w jedno w tak głębokim mroku. Katon zdziwił się na widok jazdy wroga, przecież Cezar wyraźnie pisał, że Brytowie wolą używać zwierząt w zaprzęgach rydwanów, niż na nich jeździć. Ale albo wielki wódz się mylił, albo Brytowie w końcu odkryli zalety jazdy konno.

Jeźdźcy tymczasem utworzyli tyralierę po obu stronach traktu i pogalopowali przed siebie ku odległemu horyzontowi. Ostatni z nich minął kryjówkę obu legionistów w odległości niespełna dwudziestu kroków. Macro i optio przywarli do ziemi, wstrzymując oddech. Wysłali wzrok i słuch, usiłując sprawdzić, czy nikt nie odkrył śladów przejeżdżającego wozu. Zwiadowcy minęli jednak koleiny, nie zwalniając nawet na moment.

Tymczasem od strony bagien dobiegł szczeł metalu i na łąki wytoczyła się masa rydwanów i podążającej za nimi piechoty. Armia Brytów szła za zwiadowcami. Ukryci Rzymianie wyraźnie słyszeli rozmowy przechodzących żołnierzy. Katonowi spodobał się ich melodyjny zaśpiew, zwłaszcza gdy porównał go ze szwargotaniem Germanów, do którego przywykł nad Renem. Nagle padł krótki rozkaz i wojsko zamilkło na czas przejazdu pojedynczego rydwanu, kierującego się ku pozycjom przedniej straży. Wóz minął je jednak i zniknął po drugiej stronie wzniesienia. Wtedy znów dało się słyszeć śmiechy, ludzie podjęli też przerwane rozmowy.

Można by sądzić, że wylewająca się z mokradeł rzeka ludzi nie ma końca. Jej początek zniknął już za garbem wzgórza, a z zarośli wciąż wychodzili następni wojowie. Dopiero po długiej chwili straż

tylna Brytów znalazła się na łąkach. Macro i Katon poczekali w ukryciu do chwili, gdy ostatnie szeregi maszerujących dotarły na szczyt wzgórza, gdzie stopiły się z jego czernią, zstępując w dolinę po drugiej stronie.

— Jak sądzisz, panie, ilu ich było? — wyszeptał optio, jakby się bał, że echo poniesie jego słowa ku odchodzącej armii.

Macro spojrzął na dłoń, w której trzymał kilka kamieni, i szybko je przeliczył.

— Powiedziałbym, że ze dwadzieścia kohort, czyli...

— Dziewięć tysięcy! — Katon aż gwizdnął.

Macro dokonał stosownych obliczeń na własną rękę i skinął głową.

— Wystarczająco wielu, żeby Wespazjan miał czego się obawiać.

Nie wspominając o tych rydwanach. Jeśli dopadną nasz legion...

— Zatem wszystko w rękach Witeliusza.

— Tak — zgodził się Macro. — Witeliusz... Słuchaj, lepiej się pospieszmy. Mając tę bandę przed sobą, musimy pozbyć się wozu. Zakopimy skrzynię tutaj, zaprzęg porzucimy gdzieś dalej, a potem na koniach ominie kolumnę wroga i wrócimy do legionu.

— Zakopać skrzynię? Po tym wszystkim, co przeszliśmy?

— Chcesz, żeby ją znaleźli? Albo jeszcze gorzej, żeby znaleźli nas razem z nią?

— Nie, panie.

— Zatem bez gadania. Zakopimy ją i wrócimy, jeśli zdołamy dotrzeć do obozu w jednym kawalku.

Koń był tak zdyszany, że dalsze popędzanie mogło skutkować wyłącznie jego padnięciem. Witeliusz zjechał z traktu i zeskoczył na ziemię przy prastarym gaju, w cieniu rozłożystych bezlistnych drzew. Koń parsknął i sapał w zimnym nocnym powietrzu, a trybun kłął pod nosem ze złości i frustracji. Już prawie miał tę cholerną skrzynię. Cesarski okup — wystarczająco wielki, by opłacić nim naprawdę imponującą karierę polityczną. Mógłby za tę sumę kupować względy senatorów i żołnierzy po wsze czasy. Może wystarczyłoby nawet na zaskarwienie sobie łask gwardii pretoriańskiej. Usługi Pulchera,

służącego w jej szeregach, nie kosztowały wcale tak wiele, a przecież człowiek ten wydawał się tak żądny złota, że gotów był dla niego złamać wszelkie zasady. Przekupienie Syryjczyków też nie okazało się takie trudne. Wystarczyło, że Witeliusz przedstawił się im jako dobry przyjaciel Skrybonianusa.

To jak łatwo nakłaniać ludzi do zmiany zdania tylko za pomocą pieniędzy, ciągle go zadziwiała. Jeszcze parę miesięcy temu sam był uniżonym sługą cesarza, tak wiernym, że nawet Narcyz dzielił się z nim największymi tajemnicami, których zdradzanie osobom postronnym nie było rozumne. Ale gdy usłyszał od wyzwolenca o kufrze, głęboko ukryte ambicje zaczęły szemrać w jego umyśle, podszeptując złowrogie myśli. Odzyskanie kufra miało być dla Wespazjana testem lojalności wobec cesarza Klaudiusza, a on, Witeliusz, został wyznaczony do obserwacji poczynąń legata i wypatrywania najmniejszych oznak zdrady. Jednakże Wespazjan sprawował się do tej pory bez zarzutu i właśnie w tej jego niezłomności trybun upatrywał swoją szansę. Wiedząc, że legat wykona wszystkie rozkazy, starał się przedstawić go w raportach dla Narcyza w jak najbardziej niekorzystnym świetle. Dzięki temu gdyby skrzynia zniknęła, cała wina spadłaby na Wespazjana, a każda próba usprawiedliwienia się pogrążałaby go jeszcze bardziej. A on, Witeliusz, przyglądałby się temu wszystkiemu z boku, spokojnie czekając na odpowiedni moment.

Niestety, misternie tkana sieć została rozdarta na strzępy zaledwie kilka chwil temu.

Sny o potędze rozwiały się tak szybko i gwałtownie — gdy o tym pomyślał, siarczyście zaklął. Ledwie umilkł, rozejrzał się lękliwie wokół, ale na szczęście nic nie zakłócało nocnej ciszy. Witeliusz odetchnął. Zawiódł, a co gorsza, pozostawił świadków swojej porażki. Jeśli ten kurdupłowaty centurion i jego nad wiek rozwinięty optio zdołają wrócić do obozu, wszystko się wyda. Gdyby tylko mógł sprawić, żeby zniknęli tutaj i teraz. Istniała wprawdzie szansa, że kolumna Brytów, na którą natknął się na bagnach, doścignie zaprzęg i zmasakruje jego ochronę. Po cichu bardzo na to liczył. Wiedział jednak, że ta nadzieja może się okazać płonna — pieprzony

Macro miał naprawdę nieludzkie szczęście, a do tego był szczwany jak lis, dzięki czemu wychodził cało z gorszych tarapatów. Witeliusz powrócił myślami do pamiętnej bitwy o germańską wieś, a zwłaszcza do obrazu zakrwawionego centuriona ranionego oszczepem w nogę. Gdyby ten Germanin wymierzył nieco dokładniej...

W czasie gdy jeździec rozmyślał o swoim losie, jego koń odpoczął i krążył teraz wokół starego dębu, pasąc się świeżą wysoką trawą. Nagle uniósł głowę, zastrzygł uszami i wpatrzył się gdzieś w mrok. Trybun momentalnie zauważył zmianę w zachowaniu zwierzęcia, podszedł do niego, zaczął je gładzić i klepać po grzywie. Koń się wzdrygnął.

— Co się dzieje, moja panno?

Klacz, strzygąc uszami i parszkając cicho, cofnęła się w cień drzewa. Witeliusz wyżejając wzrok, dostrzegł na równinie tyralierę jazdy przesuwaną się wzdłuż linii zarośli. Serce waliło mu w piersi, gdy usiłował wskoczyć na konia, zachowując całkowitą ciszę. Spłoszony koń szarpnął się nagle i zarżał.

— Głupia dziwko! — warknął Witeliusz, ściągając cugle, aby unieruchomić zwierzę i wspiąć się na jego grzbiet.

Z łąk dobiegały już krzyki, więc nie namyślając się wiele, zawrócił i pognął klacz w przeciwnym kierunku, byle dalej od ruszających za nim w pogoń mrocznych sylwetek. Panika i pragnienie ucieczki zapanowały nad nim całkowicie, gnał więc w mrok, drąc się na konia i nie patrząc przed siebie. Gdzieś w zakamarkach świadomości wiedział jednak, że obierając ten kierunek, oddala się od obozu II Legionu. I dobrze, spróbuje dotrzeć do XIV, który już wyruszył na spotkanie Plaucjusza. Wespazjan będzie musiał dać sobie radę sam, a on, cóż, przeżyje i poczeka jeszcze na dzień swojej chwały.

Mężczyźni zatrzymali się u stóp dębu, pod którym trybun zażywał odpoczynku. Stojąc spokojnie, obserwowali oddalającego się galopem jeźdźca — tętent kopyt wciąż docierał do ich uszu.

— Kto to był, u licha? — zapytał legionista. — Zdawało mi się, że wyglądał jak jeden z naszych.

- Pewnie jakiś popieprzony posłaniec — odparł dekurion. — Oni ostatnio często się gubią.
- Mamy jechać za nim, panie?
- Dowódca zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.
- Nie. Nie warto. Jeśli to jeden z naszych, wkrótce sam znajdzie drogę.
- A jeśli to jeden z nich, panie?
- Jeśli to jeden z nich, właśnie miał szczęście i udało mu się uciec. Nie mam zamiaru ryzykować, że któryś z was skręci kark w tych ciemnościach. Tak czy inaczej, lepiej wracajmy do legionu.

Dekurion zawrócił konia i poprowadził swój oddział prosto na obóz II Legionu, zastanawiając się, jak powiedzieć Wespazjanowi, że nie znalazł żadnego śladu Togodumnusa i jego armii. Szczerze powiedziawszy, wątpił nawet w to, że kiedykolwiek istniała kolumna wojsk zamierzających oskrzydlić rzymską armię. Pewnie któryś z przepitych oficerów sztabowych znowu miał zwiady. Dekurion wzruszył ramionami. Jak do tej pory kampania nie spełniła jego oczekiwań. Żadnych wrogów, żadnych kobiet i zero łupów. Jak dla niego ta wyprawa nie miała wielkiego sensu, zwłaszcza że generał Plau-cjusz rozbija siły wroga w proch, zanim Augusta stawi się na linii frontu.

Szkoda, pomyślał dekurion. Brakowało mu porządnych bitew, a zwłaszcza okazji do awansu, jakie pojawiały się, gdy ginął któryś z dowódców. Ale, rozmyślał rozgoryczony, nie ma szans na walkę, ponieważ w promieniu wielu milliariów nikt nie widział jednego pieprzonego Bryta.

Jazda przez noc była dla Macro i jego ludzi prawdziwą udręką. Syryjskie konie, lekkie i zwrotne, były idealne do robienia wypadów podczas bitwy, w czasie których dosiadający ich jeźdźcy mogli zasypać wroga gradem strzał, ale gdy przyszło im nieść na grzbiecie więcej niż jednego człowieka... W końcu, gdy nie pomagały już kopniaki i wrzaski, centurion kazał zsiąść zdrowym ludziom. Od tej pory na koniach siedzieli wyłącznie ranni — jak się okazało, legioniści i tak woleli stąpać po twardej ziemi.

Niewielki oddział wędrował przez noc, zachowując kompletną ciszę. Macro prowadził swoich ludzi tak, aby minąć maszerującą kolumnę wroga i odnaleźć obóz II Legionu przed Brytami. Centurion zdecydował, że będą się trzymali blisko morza, aby w razie czego jak najszybciej dotrzeć do ufortyfikowanego wybrzeża. Przy odrobinie szczęścia trafią na patrol, który odeskortuje ich do obozu.

Witeliusz powinien już dotrzeć do legata i wszcząć alarm, więc legionistom nie groził atak z zaskoczenia. Ale podejrzliwa natura Macro dopuszczała też myśl, że trybun nie podda się bez walki i na pewno szykuje im coś na powitanie. Zaklął pod nosem, przeklinając się za łatwowierność i wypuszczenie jeńca. Powinni poderżnąć mu gardło i zostawić ciało na bagnach. Na to tylko zasługiwał ten zdradziecki bękart. Centuriona niepokoiło też, dlaczego Witeliusz poszedł za nimi. Wespazjan zapewniał go, że prawdziwy cel misji pozostawał doskonale strzeżoną tajemnicą. Okazało się jednak, że trybun zdążył ją poznać, co więcej, podzielił się tą wiedzą ze swoimi pomocnikami — być może z tą samą bandą Syryjczyków, którzy zaatakowali centurię Macro na drodze do Gesoriacum. Ktoś tutaj gra o znacznie wyższą stawkę, pomyślał centurion, a my jesteśmy tylko pionkami.

Skoncentrował się z trudem; nie czas teraz na takie myśli. Musi się skupić na doprowadzeniu swoich ludzi do bezpiecznego miejsca, czyli do obozu. Spoglądając za siebie, widział, że legionści są zupełnie wykończeni. Sam z trudem zbierał myśli i otwierał powieki, aby obserwować otaczające ich wrogie ziemie. Nawet w chwili gdy o tym myślał, czuł piekący, tępy ból we wszystkich kończynach. Zdał sobie sprawę, że lada moment zaśnie na stojąco. Potarł więc oczy, kołysząc się powoli na nogach. Nagle poczuł czyjąś dłoń na łokciu. Uchwyt był mocny.

- Ostrożnie — wyszeptał Katon. — Mało brakowało, a przewróciłbyś się, panie. Musisz odpocząć.
- Nie, nic mi nie jest.
- Może wsiądziesz na konia i pozwolisz mi poprowadzić ludzi choć przez chwilę?

— Powiedziałem, nie. Nie mogę... — Macro chciał wyjaśnić, że żaden oficer nie może nawet pomyśleć o podobnym rozwiązaniu, ale nie miał sił na gadanie, wymamrotał więc krótkie podziękowanie i oswobodził się z chwytu Katona.

Noc chyliła się ku końcowi, a niewielki oddział legionistów kontynuował powolny marsz, kryjąc się w cieniu niewysokich wzgórz. Nie zatrzymywali się, wiedząc, że moment po tym, jak opadną na ziemię, mogą zapaść w kamienny sen. Zdawali sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Byli odcięci od swojej jednostki, musieli przemierzać w mroku tereny, na których roilo się od wroga. Posuwali się więc naprzód, dopóki niebo nie zaczęło szarzeć nad horyzontem. Moment później stanęli na szczycie niewysokiego wzgórza. W oddali zauważyli mrowie ogników, które nie mogły być niczym innym jak przejściowym obozem rzymskiego legionu. Widoczne w ich blasku sylwetki ludzi poruszały się w gorączkowym pośpiechu.

— Widzę, że przybywamy na czas. — Macro uśmiechnął się z trudem. — Wygląda na to, że szykują się do wymarszu. Wespazjan zawsze był rannym ptaszkiem. Chyba dzisiaj nie odpoczniemy.

Katon uśmiechnął się do niego.

Ale centurion nie spoglądał na swojego optio. Wzrok miał utkwiony w odległej linii zarośli, skąd w kierunku obozu zmierzała czarna masa ludzi, zwierząt i rydwanów, prześlizgując się w całkowitej ciszy niczym wąż skradający się ku ofierze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Wespazjan rozkazał, aby obudzono go długo przed świtem. Jego legion miał wyruszyć przez wrogie terytoria i chociaż oficerowie wydali już wszystkie rozkazy dotyczące przygotowań, zawsze coś gdzieś nie zagrało i wymagało jego osobistej interwencji. To, pomyślał, uśmiechając się do siebie, największe brzemie, jakie spoczywa na barkach wodza. Dla gawiedzi w Rzymie generałowie byli mistrzami posunięć na polu walki, idącymi do ataku na czele legionów nawet wtedy, gdy nie mieli szans na zwycięstwo. Cała biurokracja i masa papierkowej roboty, którą należało codziennie wykonać, nigdy nie pojawiała się w tych wizjach, chociaż były to elementy niezbędne do sprawnego zarządzania każdą armią. Tłum mógł myśleć swoje, ale sukces dowódcy zależał głównie od oddanych pod jego komendę doskonale wyszkolonych jednostek. A najsprawniejsze armie składały się wyłącznie z ludzi, którzy znali swoje rzemiosło i potrafili walczyć z najwyższą skutecznością.

Wespazjan wstał z posłania, nałożył szaty i zasiadł za biurkiem. Niewolnik zostawił mu kubek grzanego wina i srebrny talerz z chlebem moczonym w oliwie. Legat zjadł skromne śniadanie i dopiero potem zajął się papierami. Podpisał raporty napływające z centurii i odłożył je na bok, zanim zabrał się do czytania zamówień. W końcu zajął się przeglądaniem dziennika wart. Nadal nie znaleziono śladów Togodumnusa, dlatego większość patroli konnych przerzucono na północ i zachód. Dziwna sprawa... Chyba że nigdy

nie było tej mitycznej armii Brytów. Coraz bardziej skłaniał się ku temu założeniu, ale ponieważ był człowiekiem ostrożnym, nie zamierzał odwoływać poszukiwań. Tak samo jak nie zamierzał wycofać rozkazów wymarszu, choć ludzie głośno na nie narzekali. Lepiej być ostrożnym niż lekkomyślnym —jak ten idiota Witeliusz, który pojechał w teren i zniknął bez śladu, zabierając ze sobą tak potrzebny teraz szwadron jazdy. Pewnie miota się gdzieś w ciemnościach, odchodząc od zmysłów ze strachu. I dobrze mu tak.

Po dokończeniu papierkowej roboty Wespazjan wezwał zbrojmistrza. Stał spokojnie, cierpliwie czekając, aż sługa założy mu tłoczony napierśnik, a potem zawiąże szarfy. Gdy zbrojmistrz dokończył ostatniego przeglądu, legat rzucił okiem na kameę przedstawiającą jego żonę i synka. Spoglądając na ich oblicza, poczuł ukłucie winy. Ile to już dni minęło, od czasu gdy usiadł, by o nich pomyśleć? Ogrom obowiązków, jakie ciążyły na dowódcy wyruszającego w pole legionu, nie pozostawiał mu zbyt wiele czasu na osobiste myśli. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo mu ich brakuje. Chociaż mijał dopiero dziesiąty dzień od chwili, gdy odprawiał konwój wozów odwożących jego rodzinę do Rzymu, czuł, jakby upłynęło znacznie więcej czasu. Zważywszy na sytuację, mogą minąć całe lata, zanim znowu ich zobaczy. Tytus stanie się młodzieńcem, w niepamięć odejdą jego nieporadne słowa i humory. Flawia... jak ona się zmieni? Czy na jej włosach pojawi się więcej siwizny? Albo dodatkowe zmarszczki wokół oczu i ust, gdy się uśmiechnie? Nagle poczuł chęć przytulenia obojga do siebie i niepuszczania ich aż do kresu żywota. Przez moment nie był świadomy pieczenia w kącikach oczu, ale wystarczająco szybko zamrugał, żeby łzy nie zdradziły tej chwili słabości.

— Zapiąłem zbyt ciasno, panie?

— Słucham? Nie, jest dobrze. Możesz już odejść.

— Tak, panie.

Wespazjan, gdy został sam, zacisnął dłonie ze złości. Tak niewiele brakowało, jeszcze moment tej słabości i tęsknoty za rodziną, a popłakałby się na oczach pieprzonego niewolnika. Twarz zapłonęła mu ze wstydu, gdy pomyślał o tym, że zbrojmistrz może już

dzielić się ze swoimi ziomkami wiedzą o chwili słabości legata. Ogrom pracy, jaką włożył w stworzenie wrażenia, że jest twardym, zdyscyplinowanym dowódcą, który ma serce z kamienia i nie wykrzesze z siebie nawet cienia wyrozumiałości dla podwładnych, mógł pójść na marne, jeśli pozwoli sobie na okazywanie uczuć. Niech mnie szlag trafi, jeśli kiedyś się to powtórzy, pomyślał. Zamknął ze złością rzeźbione podobizny Tytusa i Flawii. Zaznaczył w pamięci, że przy najbliższej okazji ma dać je niewolnikom, aby trafiły na samo dno podróznego kufra i pozostały tam aż do zakończenia kampanii.

Zły nastrój towarzyszył mu jeszcze długo, nawet po świcie, ale oschły ton, z jakim wywarkiwał kolejne rozkazy, nie był spowodowany wyłącznie próbą zatarcia w pamięci tej chwili słabości. Gdy złożono namioty dowództwa, żaden z żołnierzy nie śmiał spojrzeć w oczy legata, taka zaciętość malowała się na jego twarzy. Brwi miał nastroszone, a usta wykrzywił mu grymas.

Po zjedzeniu kaszy gryczanej legionieści zaczęli pakować swoje rzeczy. Ledwie słońce wyrzało ponad horyzont, oni już formowali kolumny, szykując się do wymarszu.

Kolejne rozkazy i instrukcje docierały do czekających centurii, wywołując następną falę niezadowolenia. Wespazjan nakazał im marsz w dwóch kolumnach oskrzydających wozy taboru. Straż przednią i tylną miały stanowić wydzielone pojedyncze kohorty. Weterani przeklinali pod nosem nadmierną ostrożność dowódcy i wyjaśniali cierpliwie rekrutom, że wozy pojedą sobie wygodnym traktem, podczas gdy piechota, zwłaszcza ta idąca na skraju kolumn, będzie musiała pokonywać wszelkie przeszkody terenowe, na jakie natrafi. Pod koniec dnia skrzydła legionu będą brudne, wycieńczone i mokre. A wszystko to tylko dlatego, że legat obawia się kilku kilowatych Brytów.

— I nie zatrzymuj się, choćby nie wiem co, rozumiesz?

Katon skinął głową, próbując uspokoić konia.

— Pędź do Wespazjana i wyjaśnij mu, że to pułapka. Powiedz mu, ilu ich jest, i pokaż miejsce, gdzie weszli w lasy. — Macro miał

spore obawy przed wysłaniem najmłodszego legionisty, ale reszcie oddziału najwyraźniej było to obojętne.

— A co z tobą, panie?

— Już ty się o mnie nie martw, chłopcze. Ostrzeż Wespazjana. Na co jeszcze czekasz, do kurwy nędzy! Jedź!

Centurion walnął konia w zad z całej siły i zwierzę wyrwało do przodu, niemal zrzucając Katona z grzbietu. Optio dosłownie w ostatniej chwili zdołał pochwycić wodze i zacisnąć kolana na bokach wierzchowca — utrzymał się, choć trudno byłoby dopatrzeć się w jego ruchach gracji. Rzucił przez ramię ostatnie spojrzenie na gromadkę gapiących się na niego mężczyzn i pognął w dół stoku, ku granicom rzymskiego obozu. Katon nigdy nie należał do dobrych jeźdźców, wpił się więc tylko mocno w końską grzywę i szarpał ostro za wodze, gdy chciał zmienić kierunek. Wierzchowiec nie chciał z nim współpracować, czując, że nie dosiada go jego pan. Reagował z opóźnieniem na wydawane komendy, ale mimo wszystko pędzili w dobrym kierunku, obrzucając się wzajemnie nienawistnymi spojrzeniami.

Katon podniósł wzrok, gdy dotarł na dno doliny, i przeraził się, nie widząc przed sobą ogni wskazujących drogę do obozu. Szybki rzut oka na położenie słońca i ukształtowanie terenu upewnił go jednak, że wciąż zmierza we właściwym kierunku, więc raz jeszcze popędził konia piętami. Mknąc przed siebie, cały czas się zastanawiał, czy Witeliusz zdołał już dotrzeć na miejsce postoju II Legionu. W takim wypadku jego karkołomna eskapada nie miałaby najmniejszego sensu. Wiedział jednak, że nie powinien na to liczyć, że musi pędzić tak szybko, jak to możliwe, i cierpieć niewygody w siodle, gdyż ostrzeżenie Wespazjana o czekającym go niebezpieczeństwie było teraz najważniejsze. Wizja pochwały, jakiej mógł się spodziewać, przynosząc tak ważną wieść, uskrzydlała go. Chwycił mocniej cugle i ponaglił konia.

Nagle dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie. Ku swojemu ogromnemu przerażeniu rozpoznał brytyjskich jeźdźców — pędzili na złamanie karku w poprzek zbocza, aby go pochwycić. Znajdowali się niespełna ćwierć milliarium od niego. Zamierzali zajechać mu

drogę, zanim dotrze na szczyt następnego wzniesienia. Katon wbił pięty w boki wierzchowca i wrzasnął na niego, aby pędził jak wiatr, jakby od tego zależało jego życie. Zwierzę chyba wyczuło jego intencje, położyło bowiem uszy po sobie, obniżyło kark i przeszło w galop, kierując się prosto na szczyt wzgórza. Katon rzucił spojrzenie za siebie. Brytowie byli coraz bliżej. Poczł lodowaty uścisk w okolicach mostka, gdy zrozumiał, że nie ma najmniejszych szans na ucieczkę. Obóz był zbyt daleko, a on miał przed sobą co najwyżej kilka chwil życia. Już czuł ból, jaki zada mu oszczep przebijający plecy i rozrywający trzewia.

Do szczytu zostało nie więcej niż kilkaset stóp. Optio błagał konika, by dał z siebie więcej. Ale zdawał sobie też sprawę, że niewiele to pomoże. Zwierzę traciło siły. Kolejny rzut oka za plecy. Wróg był tuż-tuż, Katon widział wyraźnie uśmiechy tryumfu na zaciętych obliczach, gdy Brytowie pojęli, że im się nie wymknie. Dostaną go już za moment. Zdołał jednak dotrzeć na szczyt, dwa milliaria przed nim rozciąga! się rzymski obóz. O dwa milliaria za daleko. Puścił prawą ręką wodze i sięgnął po gladiusa. Nie czuł już strachu, tylko przepelniającą go wściekłość. Nie mógł uciec, śmierć była pewna, ale nie pozwoli się zabić bez walki.

Znów spojrział do tyłu, pewien, że już siedzą mu na karku, z uniesionymi do rzutu oszczepami, ale ku swemu zdumieniu zobaczył, że Brytowie właśnie powstrzymują konie, a ich przywódca wskazuje drzewcem na niego albo za niego. Obrócił głowę i dostrzegł to, co wrogowie widzieli już wcześniej. Niewielki oddział rzymskiej piechoty poruszał się po stoku, zmierzając w kierunku obozu. Katon splazował mieczem zad konia, czując rosnącą radość w sercu. Popędził w dół na złamanie karku. Następne spojrzenie za plecy wprawiło go w osłupienie. Brytowie zniknęli, wycofali się za wzniesienie, porzucając ofiarę.

Żołnierze z patrolu usłyszeli już tętent kopyt i odwrócili się szybko w stronę nadjeżdżającego, ustawiając mur z tarcz i opuszczając włócznie. Katon zatrzymał konia zaledwie kilka stóp przed pierwszymi legionistami. Zeskoczył z wierzchowca i popędził w ich stronę.

- Kim u licha jesteś? — zapytał dowodzący patrolem optio.
- To nie ma teraz znaczenia — wydyszał Katon. — Muszę widzieć się z legatem! Natychmiast!
- Kim jesteś?
- Kwintus Licyniusz Katon, optio szóstej centurii *czwartej* kohorty. Mam raport dla Wespazjana!
- Raport?
- Wróg przygotował na nas zasadzkę w pobliskich lasach.
- Wróg? Gdzie?
- Byli tuż za mną. Musieliście ich zauważyć! — Optio zaprzeczył ruchem głowy. — Przecież jechali tuż za mną! — Katon wskazał na szczyt wzgórza. — Tuż za mną. Musieliście coś widzieć! — Żołnierze patrzyli na niego, milcząc, a on spoglądał na nich z niedowierzaniem. — Jak mogliście ich nie zauważyć? Zresztą nieważne, muszę się natychmiast widzieć z legatem.

Odwrócił się, by wskoczyć na konia, ale omal nie padł na plecy, gdy dowódca patrolu chwycił go za ramię i odciągnął od wierzchowca.

- Nie tak szybko! Pójdiesz z nami.
- Co takiego? Czy ty nie rozumiesz? Muszę ostrzec Wespazjana!
- Przykro mi, ale taki otrzymałem rozkaz. Idziesz z nami,

Oniemiały Katon przyglądał się, jak optio nakazuje jednemu ze swoich ludzi, by zajął się koniem. Potem został wepchnięty pomiędzy żołnierzy i zmuszony do marszu z nimi. Za nim podążało dwóch legionistów, którzy go pilnowali.

— Co wy wyprawiacie, do kurwy nędzy?! — wrzasnął do optio. Dowódca patrolu zwolni! kroku, aby pozostali żołnierze nie słyszeli, co miał do powiedzenia.

- Nie wolno ci rozmawiać z nikim, dopóki nie dotrzesz do obozu.
- Dlaczego? O co tu chodzi?
- Wszystkie patrole otrzymały rozkaz poszukiwania ciebie i twoich towarzyszy. Nakazano nam sprowadzić was do obozu naj-dyskretniej jak się da. Między nami mówiąc, tkwisz w niezłym gównie, chłopcze, więc nie staraj się dodatkowo pogorszyć swojej

sytuacji. Jeszcze jedno słowo, a dam ci w łeb i dojedziesz do obozu nieprzytomny na grzbiecie konia. Zrozumiano?

Katon otworzył usta do odpowiedzi, ale optio spojrział na niego ostrzegawczo, unosząc brew. To wystarczyło, by go uciszyć.

Gdy patrol zbliżył się do bram obozu, Katon zobaczył, że trzon legionu już wyruszył w stronę lasów. Na terenie umocnień została jedynie straż tylna, zresztą także gotowa do wymarszu. Jeśli Wespazjan szybko nie dowie się o zasadzce, klęska będzie nieunikniona. Katon rozglądał się wokół, szukając legata, ale w ciżbie żołnierzy, taborów i machin wojennych nie dostrzegł jego sylwetki. Patrol przeciskał się przez tłum, zmierzając w kierunku oficera dowodzącego strażą tylną legionu, aby zdać mu raport i przekazać więźnia. Trybun Pliniusz oderwał wzrok od blatu biurka, gdy kolumna żołnierzy zbliżyła się do niego.

— Kogo my tu mamy?

— Schwytanego dezertera, panie — odparł optio. — Wjechał prosto na nas skradzionym koniem.

— Nie jestem dezerterskim!

— Widzę, że chłopak nie zamierza przyznać się do winy. Słucham zatem...

— Nie jesteśmy dezerterskimi, panie — powiedział Katon, już znacznie ciszej. — Legat wysłał nas z tajną misją.

— Legat wysłał was z tajną misją, rozumiem. — Trybun Pliniusz pozwolił sobie okazać rozbawienie i puścił oko do optio. — Zatem to była tajna misja. Możesz mi zdradzić jaka?

— To już nie ma znaczenia. Muszę ostrzec legata. Zanim będzie za późno!

— Za późno na co?

— W lasach opodal obozu zastawiono na nas pułapkę. — Katon wskazał nerwowo na koniec kolumny zmierzającej ku puszczy.

— Togodumnus i jego armia czekają tam na nas. Są ich tysiące, panie. Musimy ostrzec Wespazjana, i to natychmiast!

Trybun Pliniusz przyglądał mu się przez moment w milczeniu, ważąc tę informację. Nie miał powodu, by uwierzyć w gadaninę

stojącego przed nim chłopaka. Jakim cudem Togodumnus mógł przemknąć obok tak wielu patroli jazdy?

— Widziałeś Brytów na własne oczy?

— Tak, panie. Błagam cię, powiadom legata...

— Milcz!

Cokolwiek widział ten chłopak, wystraszyło go na śmierć, uznał trybun. Ale jeśli ten alarm okaże się fałszywy? Czy to nie zaszkodzi mojej dalszej karierze? Z drugiej strony, jeśli ta informacja jest prawdziwa, a ja nie zareaguję, mogę pożegnać się ze stanowiskiem. Reputacja trybuna jest niczym wobec zagrożenia dla całego legionu.

— Dobrze. Bierz konia i pędź do legata, jak szybko potrafisz.

Przekaż mu, że straż tylna wyruszy natychmiast, formując szereg bojowy, i dotrze do niego najszybciej jak to możliwe.

— Tak, panie! — Katon poderwał się, by odebrać żołnierzom konia.

— Jeszcze jedno! — zawołał za nim Pliniusz.

— Tak, panie?

— Jeśli okaże się, że kłamałeś, dopadnę cię i osobiście ukrzyżuję na najbliższym drzewie. Zrozumiano?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Drugi Legion wszedł już w lasy. Straż przednia i nosiciele insygniów podążali pewnym krokiem w kierunku pozycji generała Plaucjusza i trzech pozostałych legionów. Za nimi jechała artyleria i tabory osłaniane przez dwie kolumny zbrojnych, idące w odległości około pięćdziesięciu kroków od gigantycznego węża wozów wszelkiej wielkości i stad zwierząt pociągowych. Już podczas wymarszu Wespazjan zrozumiał, że legion będzie miał spore problemy z utrzymaniem takiego szyku. Szlak przed nimi otaczały drzewa, wolna przestrzeń pomiędzy nimi miała nie więcej niż trzydzieści kroków. Na to można było jednak coś poradzić. Legat nakazał dowódcom obu skrzydeł, by ścieśnili szyk na czas przemarszu przez zalesiony teren. Narażało to legion na spore niebezpieczeństwo podczas ewentualnego ataku, ale z drugiej strony oszczędzało mu nakładania drogi przy omijaniu lasów. Rozkaz Plaucjusza był wyraźny, nakazywał obu legatom doprowadzenie podległych im jednostek w jak najszybszym tempie i jak najkrótszą drogą. W chwili gdy straż przednia zagłębiła się w lasy, dowódcy skrzydłowych kolumn, chcąc uniknąć problemów z zatarasowaniem traktu, po którym jechały wozy, wydali rozkaz, aby ludzie szli dwójkami.

Polecenia te sprawnie wykonano. Wespazjan z zadowoleniem obserwował płynną zmianę szyku elitarnych jednostek, które jedna za drugą wchodziły do lasów. Chociaż inżynierowie Plaucjusza wykonali kawał dobrej roboty przy wyrównywaniu traktów, nie mieli

czasu na regulaminowe oczyszczenie przedpoła na zwyczajową odległość strzału z łuku. Zaraz po pokonaniu przewężenia dwójki legionistów zostaną zatrzymane, aby ponownie uformować kolumnę o normalnej szerokości, i dopiero po wykonaniu tego manewru ruszą za poprzedzającymi je jednostkami. Było to rutynowe zadanie dla legionistów, którzy wykonywali już setki podobnych manewrów. Oficerów niepokoił jednak fakt, że musieli je przeprowadzać na terytorium wroga. Uwijali się teraz wśród podwładnych, poganiając ich nieustannie, aby jak najszybciej ponownie uformowali bezpieczny szyk.

Mimo że lato dawno już się zaczęło i pełne zwierzyny lasy powinny tętnić życiem, w cieniu ponurych rozłożystych drzew było cicho jak makiem zasiał. Wespazjan zauważył to, gdy jechał wzdłuż kolumny, sprawdzając, czy wszystko idzie zgodnie z planem.

Po przejechaniu na sam koniec maszerujących wojsk poczuł zadowolenie, widząc, że wszystko jest w najlepszym porządku. Pozwolił sobie nawet na chwilę wytchnienia, liczył na to, że dalej pójdzie im równie łatwo. Legioniści także wyraźnie poweseleli. Kilku pozdrowiło go przyjaźnie, gdy koło nich przejeżdżał. Ciemnoniebieskie niebo przywiodło mu na myśl śródziemnomorskie okolice. Białe lśniące chmury górowały nad horyzontem, a promienie słońca padały na dywan kwiatów rosnących wokół szlaku. Ciemna linia lasów za kolumnami maszerujących żołnierzy załśniła w blasku dnia, gdy lekki wietrzyk poruszył górnymi gałęziami rozłożystych koron, szeleszcząc w miriadach liści. To był naprawdę piękny dzień, taki, którym można się cieszyć. Na twarzy Wespazjana pojawił się szeroki uśmiech, gdy z zarośli wybiegł dorodny jeleń. Zwierzę zamarło, widząc tysiące ludzi maszerujących po leśnym trakcie.

— Spójrzcie! — zawołał legat, wskazując w jego stronę.

Dostojność zniknęła z oblicza Wespazjana w okamgnieniu, pozostała na nim wyłącznie dziecięca radość.

Oficerowie, cierpliwie znoszący od samego świtu jego humory, uradowali się, widząc raptowną zmianę nastroju dowódcy, i z ochotą ruszyli za nim. Jeleń tymczasem zadarł łeb wysoko i zaczął węszyć przed i za sobą, jakby nie potrafił zdecydować, w którą stronę ucie-

kać. Wespazjana uderzyła gracia wielkiego zwierza i bijąca od niego aura naturalnej mocy.

— Z takiego okazji będzie doskonała pieczeń! — zawołał jeden z oficerów. — Pozwolisz, panie?

Wespazjan skinął głową. Przerwanie tak cudownego momentu zakrawało na świętokradztwo, cudownością jednak żołądków nie napelnisz, a okazji do tak pysznej wieczerzy nie sposób było przepuścić.

Oficer popędził konia i skierował go prosto na jelenia. Legioniści stojący na jego drodze pospiesznie uskakiwali na boki. Zatrzymał się tylko na moment, by pożyczyć od jednego z nich włócznię, i znów pędził w stronę zwierza. Jeleń stał jeszcze przez moment w miejscu, a potem wyskoczył do góry i wpadł w zarośla. Oficer pognał za nim, wydając myśliwski okrzyk, i zniknął pozostałym z pola widzenia. Wespazjan uśmiechnął się pod nosem, słysząc, jak gałązki trzaskają pod kopytami konia ścigającego ofiarę.

Moment później podekscytowane krzyki żołnierza urwały się jak nożem uciął i po jeszcze jednym głośnym trzasku w lesie zapanowała cisza. Oficerowie popatrzeni po sobie z niepokojem. Wespazjan spoglądał w mroczne trzewia puszczy, wyciągając mocno szyję.

— Mam za nim jechać, panie? — zapytał inny oficer.

Ale legat go nie usłyszał. Skupił wzrok na przerwie pomiędzy dwoma wielkimi pniami. Coś się tam poruszało. Nie tylko tam, ale wzdłuż całej linii drzew. Zdał sobie nagle sprawę, że razem z otaczającymi go ludźmi znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie. Wróg wyszedł z lasu, na otwartą przestrzeń, w kompletnej ciszy, pokazując mu dobitnie, że szyk, w jakim kazał maszerować legionistom, był ogromnym błędem. Zanim Wespazjan zdołał zareagować, w lesie rozbrzmiały rogi i brytyjscy łucznicy wypuścili w niebo mrowie strzał. Pociski opadały łagodnym łukiem prosto na Rzymian. Legioniści rozproszyli się, rozpaczliwie sięgając po zawieszane na plecach tarcze. Wielu nie zdążyło, ludzie padali na ziemię pod gradem ostrych grotów grzechoczących o pancerze, burty wozów i przebijających odsłonięte ciała.

Przez chwilę strzały nie nadlatywały — wróg naciągał cięciwy, by ponownie zasypać żołnierzy gradem pocisków. Wespazjan odwrócił się w siodle. Jakimś cudem żaden z jego oficerów nie odniósł ran. Centurionowie i inni dowódcy liniowi już ustawiali swoich ludzi w szyku bojowym, aby stawić czoło atakującemu. Dzisiaj żołnierze zrozumieli, czemu służyły niekończące się musztry. W okamgnieniu kolumna zmieniła się w osłonięte szerokimi tarczami szeregi. Legioniści zdążyli wykonać manewr tuż przed tym, jak spadł na nich kolejny deszcz strzał. Ci, którzy zostali trafieni za pierwszym razem, a także zwierzęta, nie byli chronieni. Śmierć zebrała wśród nich okrutne żniwo. Przestrzeń pomiędzy formacją na skrzydle a taborem zaścielały ciała poległych. Wszędzie rozbrzmiewały krzyki bólu rannych ludzi i skowyt zwierząt. Na szczęście żołnierze, którzy zdążyli dołączyć do szyku obronnego i ukryli się za tarczami, byli już względnie bezpieczni. Wespazjan pośpiesznie wydał rozkazy dowódcom kohort z północnego skrzydła, nakazując im, aby przygotowali się do wykonania koniecznego manewru — towarzyszący mu oficerowie pognali na koniach ku swoim oddziałom. Legat zdołał też rzucić okiem na drugą stronę traktu, za tabory. Z ulgą zauważył, że dowódcy drugiego skrzydła zareagowali prawidłowo, zmieniając natychmiast szyk, i pracują już nad oczyszczeniem przejść, aby dołączyć do atakowanych oddziałów. Mając legionistów na pozycjach wyjściowych, nie musiał się już martwić. Ich starcie z lekko uzbrojonymi łucznikami nie powinno być długie i groźne. Teraz, gdy minął pierwszy szok i zaskoczenie, Wespazjan myślał wyłącznie o przebiegu zbliżającej się bitwy i niechybnym zwycięstwie.

W tym samym momencie Brytowie przypuścili właściwy atak.

Za plecami przeciskających się pomiędzy wozami żołnierzy południowego skrzydła rozległy się dźwięki rogów bojowych. Moment później złowrogi ton rozbrzmiewał już wzdłuż całego szlaku. Brytyjscy wojowie wypadli z gęstwiny, drąc się przeraźliwie i spadając od tyłu na zdeorganizowane kohorty, których żołnierze zamarli, słysząc dźwięki rogów, i spoglądali z przerażeniem na nadchodzącą zagładę. Kilku rozsądniejszych centurionów zdołało jednak przewyciężyć

strach i zaczęło od razu reorganizować szeregi, aby stawić czoło atakującym z drugiej strony Brytom. To jednak nie wystarczyło, nie udało im się stworzyć zwartej linii, tak typowej dla stylu walki rzymskich armii. Wespazjan spoglądał z przerażeniem na falę wrzeszczących dzikusów zalewającą jego jednostki. Atak zepchnął obrońców na wozy taboru, gdzie wielu z nich zostało wyrzniętych, gdy próbowali umknąć wąskimi przejściami na drugą stronę. Ci, którzy zawrócili, by stawić czoło nacierającym, walczyli w osamotnieniu. W sytuacji gdy z lasów wciąż wybiegały kolejne chmary Brytów, legat nie miał wątpliwości, że przy tak wielkiej przewadze liczebnej wroga może dojść wyłącznie do masakry jego oddziałów. Chyba że w ciągu kilku chwil zdoła wymyślić nową, skuteczniejszą taktykę obrony.

— Spieprzaj z drogi! — wrzasnął Katon, ściągając cugle, aby ominąć legionistę, który niespodziewanie stanął na drodze jego konia. Widział już przed sobą Wespazjana w otoczeniu oficerów sztabowych. Grupa jeźdźców zatrzymała się i spoglądała na ścianę lasu po prawej stronie traktu. Moment później Optio dostrzegł jakieś poruszenie w zaroślach i zobaczył mrowie Brytów wynurzających się z cienia.

Poczuł zimny pot na całym ciele, gdy zdał sobie sprawę, że przybywa za późno.

Wokół rozbrzmiały rogi i powietrze wypełniło się charakterystycznym świstem. Zanim Katon zdążył zareagować, jego koń zarżał przeraźliwie i rzucił się w bok, zrzucając go z grzbietu. Optio odtoczył się od konającego wierzchowca. Jeden rzut oka wystarczył, by dostrzec, że zabiły go dwie strzały sterczące z karku. Wokół leżało znacznie więcej ofiar tego bezlitosnego ataku, a kolejne pociski wciąż spadały z nieba. Część żołnierzy porzuciła swoje stanowiska i uciekała wzdłuż kolumny, kierując się w stronę obozu.

Katon nie miał jednak zamiaru uciekać. Przypadł do ziemi i rozejrzał się wokoło. Poczuł się nieswojo, nie mając na sobie zbroi, doskoczył więc do najbliższych zwłok, aby zdobyć hełm, tarczę i miecz. Potem zanurkował w tłum legionistów próbujących zorganizować obronę. Nie była to niestety równa walka, kohorty nie

zdążyły ustawić się w szyku, a wróg miał ogromną przewagę liczebną, gdy doszło do walki wręcz. Tylko niewielkie grupki obrońców, te, które otoczyły się murem z tarcz, miały szansę przetrwać pod naporem długich brytyjskich mieczy. Żołnierze obu stron walczyli w zupełnie odmienny sposób, ale Brytowie, przynajmniej do chwili gdy bezładna jatka zmieni się w bardziej zorganizowaną bitwę, zyskiwali ogromną przewagę nad uzbrojonymi w znacznie krótsze ostrza Rzymianami.

Katon ruszył w sam środek bitwy, bezwiednie wydając z siebie okrzyk wojenny. Wyczerpany do granic możliwości, rozwścieczony niepowodzeniem, rzucił się na najbliższego przeciwnika, mając świadomość, że teraz naprawdę walczy o życie. Na jego drodze stał mężczyzna wzrostem i posturą podobny do niego. Miecz wznosił nad głowę; jego twarz zdobił malunek wielkich kłów. Katon pochylił się, obniżył tarczę, by odbić cios wroga, a potem pchnął mieczem prosto w jego brzuch. Bryt zawył z bólu i zgiął się wpół. Katon wyszarpnął miecz z rany i posłał konającego na ziemię, uderzając go guzem tarczy. Obrócił się szybko, szukając nowego celu. Trzy kroki od niego kolejny Bryt stał nad leżącym legionistą, któremu przed momentem nieomal odrąbał prawą rękę. Wojownik unosił właśnie miecz, by dobić wroga, ale zanim ostrze wzniosło się pionowo ku niebu, Katon wraził mu gladiusa w plecy, prosto pomiędzy łopatki. Bryt z bezgranicznym zdumieniem na twarzy zwałił się obok niedoszłej ofiary.

— Chodź! — Katon chwycił rannego za zdrową rękę i osłaniając się tarczą, odciągnął go w kierunku legionistów formujących szereg obronny przy dwóch wozach. W samym środku linii stał Bestia i w typowym dla siebie stylu zagrzewał otaczających go żołnierzy do walki. Optio położył uratowanego obok innych rannych i stanął w szeregu z legionistami.

— Katonie! — wydarł się Bestia, zerkając w jego kierunku. — Czas, byś mi pokazał, z czego jesteś ulepiony.

Chłopak skinął ponuro głową, odpierając kolejnych Brytów, którzy wazyli się podejść za blisko. Przyjmował na tarczę ciosy ich długich zakrzywionych mieczy, zadawane z taką siłą, że bez trudu

mogły pozbawić człowieka głowy. Katon przekonał się o tym na własne oczy, gdy w pewnym momencie jeden z Rzymian pochylił się, by dobić rannego wroga, nie widząc, że tuż obok stoi inny Bryt z wysoko uniesionym mieczem. Żelazo błysnęło, spadając na odsłonięty kark legionisty, przeszło przez niego bez trudu i zaryło w pokrytej krwią trawie. Głowa żołnierza, nadal ukryta w helmie, potoczyła się z głośnym grzechotem i zatrzymała kilka stóp dalej, poza zasięgiem strumieni krwi tryskających z tętnic na karku zabitego.

Ale Katon, zmuszony do odpierania nieustannych ataków hordy wojowników otaczających jego niewielki oddział, nie myślał długo o tym, co zobaczył. Teraz, gdy szturm utracił pierwotny impet, przeciwnicy zwarli się w tysiącach pojedynków i potyczek — szczegóły tych zmagania na zawsze zachowają w pamięci szczęściarze, którzy ocaleją. Centurion Bestia uderzający na prawo i lewo z przerażającą skutecznością weterana wielu bitew. Udęka widoczna na twarzy trafionego wroga. Dziwne wzory wymalowane na ciałach Brytów. Postawione na sztorc włosy i przerażające tatuaże. Wszystko to migało przed oczami Katona i znikało w otchłani jego pamięci. Walczył instynktownie, jakby jego umysł został oddzielony od ciała i nie miał nic wspólnego z podejmowanymi działaniami. Po raz pierwszy poczuł, że naprawdę należy do II Legionu. Jeśli straż tylna dotrze tu na czas, może nawet dane mu będzie dłuższe rozkoszowanie się tym uczuciem.

Bitwa nie przebiegała po myśli Wespazjana. Legat widział wyraźnie, że południowa linia jego kohort — o ile można było w tym wypadku użyć takiego wyrażenia — zostanie rozgromiona, jeśli nie uda jej się wzmocnić w ciągu kilku najbliższych chwil. Dwie kohorty, które stawiały czoło łucznikom, otrzymały rozkaz ruszenia naprzód, aby oczyścić przedpole z tej strony i uniemożliwić dalsze atakowanie rzymskich formacji. Miał do dyspozycji zaledwie dwie kohorty sił głównych, raptem ośmiuset ludzi. Ustawił ich pospiesznie w dwuszeregu, tarczami do taborów. W tej linii obrony utworzono niewielkie przerwy, na wprost przejść pomiędzy wozami, przez które

przepuszczano wycofujących się legionistów, by na zapleczu oficerowie mogli formować z nich jednostki rezerwowe.

Ale przy takim rozwoju wypadków bitwa mogła mieć tylko jedno zakończenie i Wespazjan wiedział o tym doskonale. Ogromna przewaga liczebna wroga i strata niemal trzeciej części stanu osobowego oznaczały, że Brytowie przedrą się przez południową linię obrony. Przez moment rozważał wydanie rozkazu do odwrotu, by jego żołnierze mogli uciec w lasy na północy, ale zdał sobie sprawę, że podzieleni i zagubieni będą jeszcze łatwiejszym celem dla ścigającego ich przeciwnika. Legion stojąc tutaj i broniąc dotychczasowych pozycji, zostanie zniszczony szybciej, ale zabierze ze sobą z tego świata znacznie więcej wrogów. Ocali też swoje dobre imię, nikt nie będzie wymieniał nazwiska poległego Wespazjana wraz z Waru-sem, który zgotował podobny los swoim trzem legionom gdzieś w głębi germańskich puszczy.

Linia pomocnicza trzymała się na razie dobrze, ale żołnierze walczący za taborami powoli ustępowali przed napierającym wrogiem, wycofując się pomiędzy wozy. Gdy ostatni z nich znaleźli się w bezpiecznym miejscu, legat dał znak trębaczom i rozbrzmiał umówiony sygnał. Żołnierze obu kohort obniżyli groty włóczni.

— Rzuć! — zawołał Wespazjan, a centurioni jak echo powtórzyli jego rozkaz w oddziałach.

Osiemset ramion cisnęło mordercze drzewca okute żelazem, wysoko, ponad głowami swoich towarzyszy broni, za wozy taboru — tam spadły z nieba na lekko opancerzone ciała Brytów kłębiących się wzdłuż traktu. Rzymianie, sądząc po sile wrzasków i skowytów, jakie dobiegły do ich uszu, dowiedzieli się, że uderzyli mocno i celnie. Ludzie popatrzyli na siebie z satysfakcją, sięgając po ostatnie włócznie. Po drugim rzucie za taborami znów rozległy się wrzaski. Legioniści dobyli mieczy, czekając na atak Brytów. Legion pokazał, jak walczy, i był gotowy do kolejnego, ostatecznego już starcia wręcz.

Wespazjan zsiadł z konia, odpiął kłamrę na ramieniu — jego płaszcz opadł na ziemię. Ordynans podał mu tarczę. Generał wsunął rękę w uchwyty i ujął wyłożoną kością słoniową rękojeść miecza.

Wyprostował się dumnie i przepchnął na środek pierwszego szeregu. Jeśli to ma być dzień jego śmierci, umrze jak wielu jego przodków, zgodnie z rzymską tradycją: z mieczem w dłoni, stojąc twarzą w twarz z wrogiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Macro stał przy pniu dębu na szczycie wzgórza przylegającego do południowego krańca lasu i wpatrywał się w liściastą koronę. Trakt idący z bagien przywiódł ich aż do tego miejsca. Centurion pragnął jak najszybciej poznać losy II Legionu.

— I co tam?

— Nie mam za dobrego widoku, panie — odkrzyknął z góry Pyrax.

— W takim razie mów, co widzisz.

— Widzę wozy taboru i kłębiących się wokół ludzi, ale nie wiem, czy to wróg czy nasi.

Macro zacisnął dłoń w pięść i walnął nią w grubą korę drzewa.

— Niedobrze, niedobrze — mruknął, a potem chwycił najniższą gałąź i zaczął się wspinać w górę grubego pnia. Dotarł do Pyraksa i usiadł obok niego na masywnej poziomej gałęzi.

— Następnym razem kiedy będę potrzebował informacji — wy-sapał — sam się zabiorę za robotę, nie będę jej zlecał półślepemu głupkowi.

Z miejsca u boku legionisty Macro po raz pierwszy zobaczył odległe pole bitwy. Ku swojemu przerażeniu ujrzał cieniutkie czerwone linie legionu otoczone morzem wielobarwnej masy wrogów. Tylko straż tylna utrzymywała jeszcze zwarty szyk. Było jasne, że Witeliusz i Katon nie podolali zadaniu, a Wespazjan powiódł nicze-

go się nie spodziewających ludzi prosto w pułapkę. Z tego co widział, bitwa właśnie przeistaczała się w masakrę.

- Co robimy, panie?
- A co możemy zrobić?
- Może powinniśmy odszukać jeden z pozostałych legionów i dołączyć do niego? Albo zawrócić do fortecy na wybrzeżu, panie?
- Nie wydaje mi się, żeby nasz oddział znacznie wzmocnił jej załogę — stwierdził z goryczą w głosie Macro i wskazał palcem na las. — Poczekajmy i zobaczymy, czy coś się nie wydarzy.
- Na przykład co, panie?
- Nie mam jebanego pojęcia. I dlatego będziemy czekali.

Siedzieli w ciszy, przyglądając się, jak ich towarzysze broni, ludzie, których znali od wielu lat, są systematycznie odpychani od linii wozów. To była walka o przeżycie, tak krwawa i gwałtowna, że nawet myśl o niej przyprawiała człowieka o dreszcze. Tego było już za wiele. Macro, będąc świadkiem powolnej zagłady II Legionu, nie potrafił powstrzymać łez napływających mu do oczu.

- Panie?
- Czego?!
- Spójrz tam, panie. Spójrz. — Pyrax wskazywał na zachodni kraniec lasu, wyciągając wzrok, by dostrzec cokolwiek z tak wielkiej odległości. Macro podążył spojrzeniem w kierunku, który wskazywał palec legionisty, i dostrzegł ciemną skłębioną masę ludzi. Wcześniej, gdy starał się osuszyć oczy z łez, widok ten umknął jego uwadze. Teraz, gdy zobaczył to poruszenie, nie wierzył już w ocalenie II Legionu. Druga armia Brytów kierowała się na lasy, aby przypieczętować los Rzymian.

Mocno naciskani żołnierze II Legionu ustępowali powoli pod naporem Brytów. Zepchnięto ich już niemal na linię drzew, zza której wynurzyli się wrody łucznicy. Katona zaczęły opuszczać siły. Tarcza zdawała się ważyć dziesięciokroć więcej niż jeszcze przed chwilą. Ledwie potrafił oderwać ją od ziemi. Nie uderzał już gladiu-sem, tylko wywijał nim z trudem przed twarzami wrogów i ledwie nadązał z parowaniem ciosów mieczy. Wciąż jednak walczył, nie

chciał się poddać do samego końca. A ten — wiedział o tym — nadchodził wielkimi krokami. Bestia padł — zarębało go trzech wrogów jednocześnie. Leżał teraz na czerwonej od krwi trawie z twarzą rozoraną do kości. To, że legat walczył tutaj ramię w ramię z innymi, dowodziło, iż legion został zdziesiątkowany i lada moment przestanie istnieć. Kohorty głównej kolumny, odcięte od przedniej i tylnej straży dzięki zmyślnie zastawionej pułapce, musiały walczyć w osamotnieniu. Pole przed nimi zasłaly ciała poległych, jęki rannych ginęły w ogłuszającym ryku wojennych zawołań, przetykanych wrzaskami niehumanitarnej wściekłości i okrzykami wojowników opętanych żądzą krwi. Nigdzie jednak nie było słyhać wołania rannych legionistów. Okaleczonych w walce Brytowie natychmiast dobijali — nienawiść do najeźdźców odebrała im wszelkie uczucia. Łąki pokryła gruba warstwa szkarłatnej posoki, na której ślizgały się stopy żołnierzy, stwarzając kolejne zagrożenie dla ludzi w pobliżu szlaku.

Stojący na lewo od Katona Wespazjan walczył z dziką beztróską, budząc wielkie zdziwienie w legionistach, którzy znali go raczej z powściągliwości i samodyscypliny. W obliczu niechybnej śmierci legat nie widział większego sensu w zachowywaniu pozorów. Jego ludzie nie potrzebowali teraz chłodnej rezerwy dowodzącego nimi arystokraty. Jeśli mieli walczyć do końca, musiał dać im przykład. Rzucił się więc na atakujących, ciął i dźgał rozwścieczonego wroga, nie dbając przy tym o własne bezpieczeństwo. Zdawało się, że przed ciosami Brytów chronią go jakieś czary. Otaczający go żołnierze padali jak muchy, a on wciąż żył.

Brytowie poczuli smak zwycięstwa, mimo że Rzymianie nie tylko nie zamierzali się poddać, ale walczyli coraz dzielniej, im dalej byli spychani w stronę lasów. Po pierwszym zaskoczeniu, jakim było wpadnięcie w pułapkę, legion zadał atakującym ogromne straty i za to miał teraz zapłacić całkowitym unicestwieniem. Wespazjan dostrzegł rydwan jadący wzdłuż linii frontu, tuż za brytyjskimi hordami. Na nim ujrzał wystrojonego człowieka, na pewno znacznej rangi, który zachęcał swoich żołnierzy do dalszej walki, wskazując im raz po raz rzymskie linie. Przez moment legat zastanawiał się

nad poprowadzeniem małej grupy i dopadnięciem dowódcy wroga. Śmierć Togodumnusa mogłaby dać im nadzieję na zakończenie tej rzezi. Niestety, nie było wokół niego legionisty, który nie miałby teraz rąk zajętych walką, nie mógł więc sformować takiego oddziału. Wespazjan spoglądał w bezsilnej złości na oddalający się rydwan, a potem znów wpadł w bitewny szal. Walnął tarczą w plecy Bryta nacierającego na stojącego obok żołnierza i wbił mu miecz pod żebro. Nie wątpił, że zanim słońce zajdzie, Brytowie uznają Togodumnusa za wielkiego bohatera. Ta myśl dodała mu sił do dalszej walki.

Gdy ostatnia linia obrony Rzymian pękła pod naporem wroga, legion rozpadł się na wiele mniejszych oddziałów, które walczyły teraz niezależnie od siebie, chaotycznie, bez jakiegokolwiek planu. Nie istniała już doskonale zorganizowana jednostka wojskowa, ludzie bili się już tylko o to, by pożyć chwilę dłużej... i sprawić, że wróg zapłaci za zwycięstwo jak najwyższą cenę.

Katon znalazł się w kręgu mniej więcej pięćdziesięciu legionistów otoczonych przez kilkakrotnie liczniejsze siły Brytów. Gdy odwrócił się twarzą w kierunku nowego wroga, zobaczył przed sobą prawdziwego wielkoluda, nagiego, wymalowanego w przedziwne celtyckie wzory od stóp do głów. Rycząc wniebogłosy, dziki wojownik zamachnął się dwuręcznym mieczem, celując w głowę Katona. Optio, mobilizując resztkę sił, w ostatniej chwili zdołał unieść tarczę. Ostrze rozłupało ją z głośnym hukiem, pozbawiając Rzymianina czucia w lewej ręce od ramienia aż po czubki palców. Ciężki prostokąt z drewna i żelaza upadł na ziemię, wydając Katona na pastwę wielkiego brytyjskiego wojownika, który już śmiał się prosto w twarz bezbronnej ofierze. Pchnął Katona, a ten padł jak długi na ziemię. Siła tego ciosu była tak wielka, że wypuszczony z dłoni miecz optio poszybował daleko poza zasięg jego rąk. Celt wznosząc ogromny miecz, otworzył usta do wojennego zawołania, ale zanim zdołał je wydać, pomiędzy nim a ofiarą pojawiła się jakaś postać — Wespazjan! Legat, wydając głośne prychnięcie, przemknął pod rękami olbrzyma i podbił je tarczą. W tym samym momencie zadał silne pchnięcie w górę, w szyję Bryta. Ten jednak wykonał zręczny

unik w bok, co świadczyło o jego ogromnym doświadczeniu w walce wręcz. Obaj odskoczyli od siebie, mierząc się wzrokiem, gotowi do przypuszczenia kolejnego ataku.

Wokół zrobiło się na moment cicho i spokojnie. Wszyscy zamarli, czekając na wynik starcia rzymskiego legata z celtyckim gigantem. Bitwa osiągnęła apogeum. Gdy zrobiło się ciszej, wszyscy usłyszeli też coś jeszcze — odległy dźwięk grających instrumentów. Stojący naprzeciw siebie wojownicy także musieli je słyszeć, ale żaden z nich nie mrugnął nawet okiem. Leżący obok Katon zastanawiał się, czy aby nie zwodzą go uszy, ale widok zdziwienia na twarzy towarzyszy uświadomił mu, że jest inaczej. Czy to możliwe?

Dźwięki powtórzyły się raz jeszcze, dodając sił i odwagi Wespazjanowi. Nie było wątpliwości, trąbki grają do ataku. Pomoc nadchodziła, ale od kogo? Przestał się nad tym zastanawiać, widząc, że olbrzymi Celt cofa się instynktownie o krok, jak reszta jego ziomków, którzy odstąpili od wroga, czując, że coś jest nie tak. Upatrując w tym okazji, legat rzucił się do przodu, zatopił ostrze w krtani przeciwnika i wyrwał je z niej równie szybkim ruchem. Bryt upuścił miecz, chwytając się za gardło, jakby chciał rękami powstrzymać płynącą krew. Wespazjan zignorował go i spojrzął w stronę, z której dobiegały coraz bliższe dźwięki trąb. Daleko na trakcie, za skłębioną masą Brytów, ujrzał sylwetki zbliżających się jeźdźców. Czerwone płaszcze powiewały za ich ramionami, a na głowach błyszczały rzymskie hełmy. Z przeciwnej strony dobiegł okrzyk tylnej straży II Legionu, która właśnie dotarła na pole bitwy przy leśnym trakcie.

W szeregach wroga zapanowało poruszenie, Brytowie także dostrzegli oskrzydlającą ich jazdę. Część z nich zaczęła się wycofywać w kierunku południowego skraju lasu. Gdy inni poszli za ich przykładem, rydwan z wodzem zawrócił. Togodumnus wrzeszczał na wojowników, aby się zatrzymali, ale strach niesiony na końskich kopytach zdążył już przerodzić się w panikę i mało kto go słuchał. Widząc, że główne siły Brytów nie zamierzają mimo wszystko uciekać, Wespazjan uniósł miecz w górę. Nie trzeba było wzniosłych słów, więc ich nie wypowiedział.

— Na nich! Na nich!

Szereg Rzymian ruszył w stronę ludzi, którzy jeszcze przed momentem byli pewni zwycięstwa. Teraz umykali jak króliki, szukając schronienia w lasach po drugiej stronie traktu, cała ich arogancja i duma zniknęły w jednej chwili. Leżąc na ziemi, Katon dziękował bogom za to cudowne ocalenie.

Wespazjan nie spuszczał wzroku z Togodumnusa, a gdy zgromadził wokół siebie wystarczającą liczbę ludzi, rzucił się przez zalane krwią łąki prosto na rydwan. Wódz Brytów nie był jednak szaleńcem i wiedział doskonale, że nie panuje już nad armią i losami bitwy. Warknął coś do woźnicy, a ten trzasnął biczem — rydwan zawrócił, potoczył się po leśnym trakcie i umknął nadciągającej jeździe. Wespazjan mógł jedynie patrzeć z narastającą wściekłością w ślad za oddalającym się coraz szybciej wrogiem. Woźnica robił co mógł, by ocalić życie Togodumnusa, i nie oszczędzał nikogo, kto stanął mu na drodze, nawet swoich.

Legat kazał ludziom przerwać pościg i zatrzymać się przy linii wozów. Sam wspiął się na kozioł najbliższego z nich, by z góry ocenić sytuację na polu bitwy. Wszędzie gdzie spojrzał, Brytowie brali nogi za pas, a jazda, którą dostrzegł przed momentem, wycinała sobie drogę przez skłębiony tłum wrogów, nie okazując im litości. Gdy czołowy szwadron dotarł w pobliże, odłączył się od niego postawny jeździec na białym koniu i ruszył w kierunku Wespazjana.

— Witeliusz? — mruknął zdziwiony legat.

Moment później nie miał już żadnych wątpliwości i pokręcił z niedowierzaniem głową. Trybun zatrzymał konia tuż przed wozem i zasalutował.

— Na wszystkich bogów, gdzie się podziewałeś?

— To długa historia, panie.

— Domyślam się. Kiedy to wszystko się skończy, masz mi złożyć wyczerpujący raport.

Daleko na szczycie wzgórza Macro, widząc, co się dzieje, o mało nie spadł z gałęzi. Podskakiwał jak dziecko i uderzał pięścią w otwartą dłoń, gdy jazda XIV Legionu — zakładał tak, gdyż był to jedyny legion w tej okolicy — uderzyła na wroga walczącego z jego jed-

nostką w tym samym czasie, gdy straż tylna zdołała dotrzeć na pole bitwy i zaatakować uciekających Brytów z drugiej strony. Napastnicy odstąpili, gdy jeźdźcy zaatakowali z flanki. Kosili każdego, kto nawinął im się pod miecze; paniczny strach, jaki wzbudzali, sprawił, że szeregi wroga poszły w rozsypkę. Brytowie rzucili się do ucieczki.

— Niesamowite! Normalnie niesamowite! Mówię ci! — Macro trącił Pyraksa w ramię.

— Spokojnie, panie! — zawołał żołnierz, z trudem utrzymując się na gałęzi.

Centurion uśmiechnął się tylko i kontynuował:

— Sucze syny są wszędzie! Patrz, jak spieprzają z lasu. Wypadają spomiędzy drzew jak kawałki gówna z dziurawych gaci.

— Część z nich zmierza w naszą stronę, panie — zauważył spokojnie Pyrax.

— Jasne, że tak. Chcą dotrzeć na bagna, zanim ich... Oj!

— Macro spojrział w dół, na trakt prowadzący z lasu na mokradła.

— Chyba rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć.

— Lepiej, żeby nas tu nie było, gdy się pojawią. Wątpię, aby ucieszyli się na widok kolejnych Rzymian.

— Racja. — Centurion wskazał głową ludzi leżących pod pniem drzewa. — Zejdź tam lepiej i każ im się tu wdrapać. I przepędź konie, nie będą nam już potrzebne.

Jazda i oddziały straży tylnej wyłoniły się właśnie z lasu, depcząc po piętach ostatnim szeregom uciekających Brytów. Wielu wrogów rzucało broń, zdając się na łaskę zwycięzców, ale tylko kilku z nich oszczędzono. Tych, których wzięto żywcem, natychmiast związano i odprowadzono pod straż wyznaczonych twardych legionistów. Pyrax miał rację, wielu uciekinierów pędziło traktem w stronę bagien, którymi wcześniej obeszlili II Legion — najszybsi łąda moment mogli dotrzeć pod drzewo. Macro spojrział w dół i zobaczył, że jego ludzie gramolą się na gałęzi. Zdrowi pomagali tym, którym mniej się poszczęściło w walce, i wkrótce wszyscy zniknęli za szczelną zasłoną z liści.

Macro zadowolony, że uniknęli zagrożenia ze strony Brytów, wrócił do obserwacji wydarzeń na polu bitwy. Dostrzegł zamiesza-

nie na skraju lasu, tam gdzie główne siły toczyły przed chwilą bój, moment później spoza drzew wyjechał rydwan. Omijając zarośla, skierował się na wzgórze i przebiegający przez nie trakt. Gdy woźnica strzelił z bicia, poganiając konie, Macro zauważył, że stojący za nim, trzymający się plecionych z wikliny uchwytów mężczyzna jest nie tylko postawny, ale i naprawdę dobrze odziany. Miał kolorowe szaty i lśniący hełm z brązu na głowie. Bez wątplenia był kimś ważnym wśród Brytów. Dwaj rzymscy jeźdźcy wysforowali się do przodu i pognali za rydwanem. Brytowi udało się jednak pochwycić włóczę i zaatakować jednego z nich. Wyrwał ją z rąk Rzymianina i natychmiast wymierzył mu potężny cios w twarz, posyłając na ziemię. Drugi żołnierz również wykazał się nieudolnością i też postradał życie, gdy wrogi wódz natarł na niego i przebił go na wylot zdobyczną włóczę.

Gdy woźnica znów zmienił kierunek jazdy, Macro zrozumiał, że zamierza przejechać dokładnie pod dębem.

— Dopadniemy go! Tego tam bękarta! — Wskazał ręką na rydwan i natychmiast rozkazał, żeby wszyscy legionieści z jego patrolu, którzy nadal posiadali broń i nie odnieśli ran, ruszyli za nim. Przypadli do ziemi z gladiusami w dłoniach, dysząc ciężko, i czekali. Kilku Brytów pojawiło się pod drzewem, ale ledwie zobaczyli gromadę legionistów o ponurych twarzach czających się w trawie, natychmiast zmienili kierunek ucieczki, przyspieszając, jakby dodano im skrzydeł. Moment później narastający tętent końskich kopyt i chrzęst kół oznajmiły czekającym w zasadzce, że rydwan jest już blisko. Macro przygotował się do skoku. Ostre zawołania woźnicy dobiegały z bliska, centurion zaryzykował szybki rzut oka zza pnia, aby dobrze wyliczyć moment ataku.

— Gotowi? Najpierw zajmijcie się woźnicą i końmi, potem weźmiemy się za tego wielkoluda.

Począł, aż rydwan dotrze w cień dębu.

— Teraz! Na nich!

Macro wyskoczył przed konie i chwycił mocno za uzdę. Powożący rydwanem był tak zaskoczony, że nie wykonał żadnego ruchu, aby ominąć Rzymian. Centurion pociągnął skórzany pas z całych

sił, zatrzymując zdezorientowane konie. Pyrax zabił woźnicę szybkim pchnięciem, zanim ten zdążył puścić lejce. Bryt wypadł za burtę rydwanu i został zmiądzony przez koło, gdy spłoszone konie cofnęły się o kilka kroków. Wódz szybko odzyskał przytomność umysłu i zeskoczył na ziemię. Stał plecami do szerokiego pnia dębu z włócznią w dłoni. Odwrócił się, wymachując długim drzewcem, i zaprosił Rzymian do walki, zanosząc się głośnym śmiechem. Macro spojrział na niego z uznaniem, to był godny przeciwnik.

— Otoczyć go! — rozkazał. — Tylko uważajcie na tę jego pieprzoną dzidę!

Gdy go obchodzili, ustawiając się w półokrąg, Bryt zaczął wymachiwać długim drzewcem, dżgając nim w stronę każdego Rzymianina, który za bardzo się do niego zbliżył. Jeden z legionistów zawył, gdy grot zagłębił się w jego trzewia, i padł na trawę, krwawiąc obficie.

— Dość tego! — wrzasnął Macro. — Bierzemy się za niego wszyscy naraz! Gotowi? Teraz!

W sześciu skoczyli na Bryta, ten zamachnął się dzidą, raniąc w nogę jednego legionistę, ale reszta już siedziała mu na plecach: wspólnie obalili wielkoluda na ziemię. Wydawało się, że go pokonali, ale on zrzucił z siebie dwóch żołnierzy, jakby nic nie ważyli, porwał z ziemi miecz i odskoczył na bok. Nie wstał, tylko przyczaił się z obcą mu bronią w dłoni, gotów do natychmiastowego ataku na każdego, kto się zbliży.

— Zostawcie go mnie! — Macro kazał cofnąć się pozostałym. — Psi bękart chce walki, to ją dostanie.

Trzymając miecz w dłoni, centurion ugiął nogi w kolanach i zaczął obchodzić przeciwnika, mierząc go wzrokiem. Wrogi wódz odpowiedział tym samym, jego lodowate spojrzenie oceniało każdy ruch Rzymianina.

— Głupio ci — mruknął Macro. — Może i jesteś wielki jak niedźwiedź, ale nie masz pojęcia, jak obracać takim mieczem. Zaprojektowano go do zadawania pchnięć... Nie masz do czynienia z pierdolonym tasakiem.

Skoczył do przodu, a Bryt, zgodnie z jego przewidywaniami, uniósł broń nad głowę, ruszając do ataku z głośnym rykiem. Macro

przypadł do ziemi, wyprostował rękę i pozwolił, by pęd wielkiego przeciwnika załatwił sprawę. Bryt jęknął, lecąc w ślad za mieczem, ale zaraz się odwrócił i sięgnął rękami ku szyi centuriona. Macro padł na ziemię, walcząc o oddech, gdy wielkolud siadł mu na piersi. Jego wielkie ręce zacisnęły się jeszcze mocniej na krtani centuriona. Ich twarze dzieliła mniej więcej stopa wolnej przestrzeni. Rzymianin widział więc dokładnie błysk tryumfu w oczach przeciwnika, gdy ten zaciskając zęby, zebrał wszystkie siły, by zacieśnić chwyt. Macro nadal miał gladiusa w dłoni, obracał nim nieustannie, starając się sięgnąć ostrzem witalnych punktów na ciele Bryta. Zaczynał jednak tracić dech, w głowie czuł coraz większy ból, wydawało mu się, że czaszka zaraz mu eksploduje pod naciskiem rąk wroga, ale zanim tak się stało, ogień w oczach Bryta przygasł, a palce zwiotczały. Ciałem giganta wstrząsnął ostatni skurcz. Macro oderwał jego dłonie od swojej szyi, by łączywie zachłysnąć się powietrzem. Odrzucił ciało Bryta na bok, a potem wstał z trudem i spojrzał z wściekłością na swoich ludzi.

— Dlaczego mi nie pomogliście, do kurwy nędzy?

— Powiedziałeś, panie, że mamy się nie wtrącać — zaprotestował Pyrax.

Macro masował szyję, starając się jej nie urazić.

— Następnym razem wykażcie nieco inicjatywy. Jeśli jakieś ścierwo zacznie wam zabijać centuriona, macie ruszyć na pomoc bez względu na to, co wam powiedział. Zrozumiano?

— Tak, panie.

— Dobra. Bierzmy ten rydwan, niech się do czegoś przyda. Załadujcie do niego rannych, a jak się nie zmieszczą, posadźcie po jednym na konia. Potem, chłopaki, jak już wrócimy do obozu Drugiego Legionu, stawiam wszystkim kolejkę, o ile do nocy nie pośniecie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Ocalali żołnierze II Legionu nie kontynuowali marszu. Oficerowie, którzy przeżyli bitwę, zebrali ich, formując dawne jednostki, i obliczyli straty. Zapłacili wysoką cenę za posłuchanie rozkazu Plaucjusza o natychmiastowym i jak najszybszym wymarszu. Zginęła albo odniosła rany niemal trzecia część stanu osobowego, połowa wozów została uszkodzona albo unieruchomiona ze względu na brak zwierząt pociągowych. Wokół pobojowiska wznoszono naprędce umocnienia, choć nikt nie wierzył w to, że rozbici Brytowie zdołają przegrupować siły do kolejnego ataku. Togodumnus został zabity, jego ciało wystawiono na pokaz. Ukrzyżowano go na jego własnym rydwanie i postawiono obok zagrody, w której trzymano jeńców. Brytowie spoglądali na niego z przerażeniem, w ponurej ciszy roniąc łzy.

Rannych Rzymian układano w długich rzędach, gdzie czekali na swoją kolej, a legionowi medycy uwijali się wokół nich, dokonując selekcji — beznadziejne przypadki odkładano na bok, zajmując się tylko tymi, którzy mieli szansę na przeżycie i wyzdrowienie. Wokół było słycać wyłącznie jęki i krzyki. Po drugiej stronie rosły stosy, na których układano ciała poległych legionistów. Zapłoną wszystkie, gdy zapadnie noc. Góry sztabek z cesarskimi pieczęciami i nazwiskami żołnierzy przed rozłożonym w pośpiechu namiotem dowództwa świadczyły o ogromie strat, jakie poniósł II Legion. Ciała zabitych Brytów rzucono do dołów wykopanych wzdłuż traktu. I chociaż bitwa zakończyła się zwycięstwem Rzymian, żołnierze

II Legionu niechętnym okiem spoglądali na świętujących ten sukces kolegów z XIV, których pijackie wrzaski dobiegały z rozstawionego na skraju lasu obozowiska.

Atmosfera w namiocie legata też była daleka od wesołości. Wespazjan zasiadł za biurkiem, spoglądając na twarze trzech mężczyzn zgromadzonych po drugiej stronie blatu — Witeliusz siedział, uśmiechając się głupkowato, i słuchał spokojnie relacji stojących po jego bokach centuriona i optio. Musiał widzieć rzucane przez nich spojrzenia, ale choć były tak pełne nienawiści, nic sobie z nich nie robił. Zdawać się mogło, że bawi go ta sytuacja.

Macro, brudny i wyczerpany, starał się przedstawić raport w miarę składnie, ale ogromny wysiłek ostatnich dni męcił mu umysł, musiał więc często prosić optio, aby ten wyjaśnił, o co mu chodziło, albo przypominał umykające mu szczegóły. Katon stał sztywno, na baczność, z ręką na temblaku. Nie odzyskał w niej jeszcze czucia po pamiętnym uderzeniu.

Wyglądają na wykończonych, pomyślał Wespazjan, przyglądając się obu legionistom. Nie ukrywał, że jest z nich zadowolony. Odzyskali kufer zatopiony w bagnach. Szwadron jazdy wyruszył, by go wydobyć z nowej kryjówki i przetransportować do obozu. Co więcej, Macro przywiózł ciało Togodumnusa, potwierdziła to identyfikacja dokonana przez jednego z towarzyszących XIV Legionowi emigrantów — odrażającego człowieka o szczyrim pysku zwanego Admi-niusem. Po śmierci brata już tylko Karatakus dowodził ruchem oporu przeciw najeźdźcom z kontynentu. Tak czy inaczej, pomyślał legat, niebezpieczeństwo zostało zażegnane i prawdę powiedziawszy, taki obrót spraw może nawet zostać uznany za sukces. W tym świetle jego kariera wydawała się niezagrożona.

Pozostawał jednak problem oskarżeń rzuconych na Witeliusza przez centuriona i jego optio. To, jak obaj zrelacjonowali atak trybuna na mokradłach, zdawało się potwierdzać, że mówią prawdę. Zresztą Wespazjan już wcześniej podejrzewał tego człowieka.

Macro zakończył właśnie składanie raportu i na moment zapadła cisza. Wespazjan ważył jego słowa, przyglądając się twarzom stojących przed nim ludzi.

- Jesteś tego pewien, centurionie? Podtrzymujesz zarzuty przeciw tu obecnemu trybunowi?
 - Tak, panie!
 - To co mówisz, nie zabrmi zbyt wiarygodnie przed sądem. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.
 - Tak, panie.
 - Zatem dobrze. Bardzo dobrze. Rozważę wasze słowa naprawdę uważnie i powiadomię was o podjętej decyzji. Możecie odmaszerować.
 - Wybacz, panie...
 - Słucham, optio.
- Młody podoficer milczał chwilę, ostrożnie dobierając słowa.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego kazano nas wpisać na listę dezertków, panie.
 - Przecież zostaliście oczyszczeni z tego zarzutu — odparł zwięźle legat. — Nikomu nie stała się krzywda.
 - Tak, panie, ale dlaczego nas o to oskarżono? Kto...
 - To efekt czyjejś pomyłki, optio. I na tym poprzestańmy. Możecie odmaszerować.

Gdy Macro i Katon podnieśli zasłonę przy wejściu, Wespazjan zawołał za nimi:

- I jeszcze jedno. Dziękuję wam za powiadomienie straży tylnej. Wątpię, czy dotrwalibyśmy do przybycia Czternastego Legionu, gdyby Pliniusz nie zdołał wesprzeć naszej kolumny. Odpocznijcie teraz. Jeśli poczekacie przed namiotem, moi ordynansi załatwią wam coś gorącego do zjedzenia.
- Dzięki ci, panie — odparł Macro.

Legat został w namiocie sam na sam z Witeliuszem. Zamierzał podejść do drugiej części rozmowy ze znacznie większą uwagą. Według oficjalnej wersji trybun był bohaterem, który w pojedynkę wykrył armię Togodumnusa. Nie mogąc się przedrzeć do II Legionu, dotarł do Czternastego, zmuszając go do zawrócenia i przybycia z odsieczą w samą porę, by ocalić własną jednostkę od rozgromienia. Tymi czynami Witeliusz zasłużył na najwyższe odznaczenia. A tu proszę, pojawia się dwóch ludzi, którzy pomawiają go o zdradę.

- Nie sądzę, byś uwierzył w rojenia tych biedaków, panie.
- Ciekawą historię opowiedzieli, nie sądzisz?
- Tak, ale to tylko historia. I jak w każdej dobrej opowieści niewiele jest w niej prawdy.
- Skoro o tym mówimy, reszta żołnierzy tego patrolu potwierdza ich słowa, a to chyba przesądza sprawę.
- Niekoniecznie — zaprotestował Witeliusz. — Masz moje słowo przeciw ich. Słowo syna konsula przeciw bandzie obdartusów. Jak sądzisz, komu uwierzą sędziowie, jeśli dojdzie do rozprawy? Zwłaszcza gdy dowiedzą się, że ryzykowałem życie, aby ocalić legion przed zagładą. W najlepszym razie ci żołnierze zostaną potraktowani jak pospolici kłamcy. W najgorszym — sąd uzna ich za politycznych wichrzycieli, a to się nie podoba w Rzymie ostatnimi czasy. Za to z tego co wiem, ostatnio bardzo ceni się tam bohaterów. Na twoim miejscu nie tykałbym tej sprawy.

Wespazjan się uśmiechnął.

- Nawet bohaterowie muszą zwracać się do swoich przełożonych per panie — stwierdził, nie podnosząc głosu.
- Wybacz... panie.
- Załóżmy jednak przez chwilę, że ten centurion powiedział prawdę. Skąd wiedziałeś o kufrze?

Witeliusz nie odpowiedział od razu, najpierw zmierzył legata wzrokiem.

- Wiesz przecież doskonale, że mogę zaprzeczyć jakiegokolwiek wiedzy na temat tego kufra. Przebywałem przecież na tamym terenie, poszukując na twój rozkaz śladów Togodumnusa. Mogę powiedzieć, że trafiłem w to samo miejsce na bagnach i na twój oddział zupełnie przypadkiem. Przy takiej mgle nietrudno o pomyłkę przy identyfikacji... to byłoby nawet zrozumiałe.
- Zrozumiałe, ale nieprawdziwe.
- Oczywiście, że nieprawdziwe, panie. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia.
- Dlaczego?
- Ponieważ nikt nigdy o tym nie wspomni. Wyjdziemy z tego namiotu i natychmiast zapomnimy o tej rozmowie.

- Powiesz mi, dlaczego uważasz, że tak się stanie? — zapytał Wespazjan.
- Zaraz do tego dojdziemy. Skoro jesteś tak bardzo pewien, że poznałeś już całą prawdę, popsuję ci nieco humor. To Narcyz poinformował mnie o zawartości tej skrzyni.
- Narcyz?
- Tak. Dowiedziałem się o tym, zanim jeszcze opuściliśmy fortecę nad Renem. To ja jestem tym cesarskim szpiegiem, o którym cię poinformowano. Pałac nie był ciebie pewien, więc wysłał mnie, abym miał oko na całą operację. Wierz mi, że ten rozkaz wykonałem z czystą przyjemnością. — Legat uśmiechnął się, dostrzegając ironię sytuacji. Nawet tak wielki spryciarz jak Narcyz nie przewidział wszystkiego. Podał Witeliuszowi motywy i alibi na srebrnej tacy. — Powiedział mi o wozie, ale nie o miejscu, w którym się znajduje. Dlatego chciałem zobaczyć mapę przesłaną ci w zwoju. Niestety ktoś mnie ubiegł, co więcej, próbował zamieszać w sprawę kradzieży. Potem miałem już z górki. Wystarczyło posłać Pulchera na mokrą śladem twoich ludzi, każąc mu wezwać posiłki w momencie, gdy zacznie się wydobywanie kufra. Miałem nadzieję, że uda mi się uniknąć rozlewu krwi. Gdybym zdołał przekonać Macro do oddania skrzyni, pozbyłbym się jego i tych ludzi później. Ale ku mojej rozpaczycy centurion okazał się przebieglejszy, niż mogłem przypuszczać. No i kufer trafi do Klaudiusza.
- Wypadałoby zapytać, po co ci ten kufer — rzekł Wespazjan. — Przecież nie mógłbyś wydać ogromnych sum pieniędzy bez zwrócenia na siebie uwagi.
- Wiem o tym. Mam nadzieję, że nie uważałeś mnie za aż takiego głupca, panie. Nigdy nie zamierzałem wydawać tych pieniędzy na siebie.
- Dlaczego więc tak bardzo zależało ci na ich zdobyciu?
- Z tego samego powodu co imperatorowi. Złoto to władza, a z takim majątkiem mógłbym kupić sobie lojalność każdego człowieka.
- Rozumiem. — Legat skinął głową. — I dlatego zostałeś zdrajcą, przed którym przestrzegał mnie Narcyz. Kto by przypusz-

czał, że szpieg cesarza i zdrajca to ten sam człowiek. Obawiam się, że sekretarz cesarza nie będzie zadowolony, gdy mu o tym powiem.

- Ja zdrajcą? Naprawdę tak uważasz? — Witeliusz roześmiał się. — Nie do wiary. Jestem cesarskim agentem i zawsze nim będę. Przynajmniej z punktu widzenia Narcyza.
- Dlaczego więc chciałeś go zabić?
- Zabić go? — Trybun zmarszczył brwi. — Chodzi ci o tę zasadzkę na drodze do Gesoriacum? Obawiam się, że to nie moja sprawa. Co mógłbym zyskać na jego śmierci? Zależało mi na tym, by dotarł do armii i stłumił bunt. Jak inaczej mógłbym dostać się do kufra, gdyby odwołano inwazję? Nie, ta zasadzka była dziełem kogoś innego. Zgaduję, że temu człowiekowi chodziło o powstrzymanie wyprawy na Brytanię. Wiesz przecież doskonale, jak Klaudiuszowi zależy na zaakceptowaniu jego wyboru na cesarza. Jak myślisz, ile potwałyby jego rządy, gdyby Narcyz zginął i nie stłumiono by buntu, co skutkowałoby zaniechaniem inwazji i stratą skarbów zgromadzonych w tej skrzyni? Uwierz mi, zanim postanowiłem zagarnąć ten majątek dla siebie, byłem wiernym sługą imperatora.
- Ale na co ci był potrzebny aż tak wielki majątek? — zapytał Wespazjan. — Na zdobycie przychylności Rzymian nie trzeba aż tak dużo pieniędzy.
- Wiem o tym. Nie potrzebowałem tych pieniędzy teraz. Miały stanowić moje zabezpieczenie na przyszłość. Klaudiusz nie będzie rządził wiecznie. Po nim przyjdzie kolej na następnego cesarza... Dlaczego ja nie miałbym nim zostać?
- Ty? — Tym razem legat się roześmiał.
- A dlaczego nie? A skoro o tym mowa, dlaczego ty nie miałbyś objąć tego urzędu?
- Nie mówisz chyba poważnie.
- A jednak. Absolutnie poważnie.
- Przecież Klaudiusz ma krewnych, rodzinę, która będzie po nim dziedziczyć.
- To prawda — przyznał Witeliusz. — Zauważyłeś jednak, jak wielką skłonność do zapadania na śmiertelne choroby mają spadko-

biercy cesarzy. To prawdziwa tragedia. Gdyby taka historia znów się miała powtórzyć, ja byłbym na miejscu w momencie ogłaszania wakatu. Tyle tylko że jeszcze mi się nie spieszy. Mam czas, mogę poczekać na moment, w którym zyskam absolutną pewność, że zdołam kupić sobie wystarczające poparcie. Ale ze względu na tych dwóch przed namiotem będę musiał poczekać nieco dłużej.

Wespazjan był zaszokowany ambicjami trybuna. Czy istniała granica, której ten człowiek nie przekroczy dla zdobycia władzy? To pytanie zrodziło w jego umyśle kolejną, kto wie, czy nie ważniejszą myśl.

— Kto zatem jest zdrajcą, skoro nie ty?

— Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz. — Witeliusz rozparł się wygodniej na krześle. — Prawdę powiedziawszy, odkrycie tego sekretu zabrało mi wiele czasu. Chociaż powinienem był się tego domyślić o wiele wcześniej, zanim Pulcher zdołał wycisnąć nazwisko z przywódcy buntu.

Wespazjan przypomniał sobie nagle, w jaki sposób Pliniusz tamtego wieczora w namiocie dowodzenia popatrzył na zwój odebrany Tytusowi. Czyż to nie on odwrócił uwagę wartowników na moment przed próbą otwarcia kufra z pismami?

— Pliniusz?

— Pliniusz! — Witeliusz zachichotał. — Bądź poważny, panie.

— Jeśli nie on, to kto?

— Na twoim miejscu, panie, sprawdziłbym znacznie bliższe otoczenie.

— Co masz na myśli? — Wespazjan poczuł nieprzyjemny ucisk w okolicach krtani.

— Jeśli Narcyz mówił prawdę, ktoś próbował mnie zrobić w tę aferę z kradzieżą.

— Zatem zaprzeczasz, że próbowałeś ukraść zwój?

— Nie — odparł trybun. — Ale zwój, który Pulcher wykradł z twojego kufra, był czysty. Ktoś go podmienił, zanim położyłem na nim ręce.

— Nie mógł być pusty — stwierdził rozbawiony legat. — Nikt go też nie podmienił. Nie było go po prostu w tym kufrze. Flawia

znalazła go i powiedziała, że Tytus... — Krew w żyłach Wespazjana zamarzła.

- Flawia go znalazła. Cóż za przypadek... — Witeliusz zakpił z niego.
- To niemożliwe — wyszeptał legat.
- Też tak myślałem na początku. Jedno można przyznać Flawii: jest zmyślną i śliską osobą.
- Ale... Ale dlaczego?
- Dlaczego? Nie będę udawał, że poznałem prawdziwe motyw jej działania. Niemniej nigdy nie wierzyłem, że jest tak zagorzałą wielbicielek republik, jak twierdziła. Skłaniam się raczej ku tezie, że próbowała wspomóc cię na drodze kariery.
- Mnie? — Wespazjan był zszokowany.
- Mój drogi legacie, może ci się wydaje, że twoja prawość jest atutem albo że służysz swojemu cesarzowi od pierwszego dnia na tym urzędzie, ale nie zmienia to stanu rzeczy, a ten jest prosty. Twoja żona zrobiła z ciebie politycznego pionka w swojej grze. Kto bardziej pasowałby na miejsce nieszczęsnego Klaudiusza, jeśli nie jego wierny i oddany generał, człowiek uczciwy i prawy, który służył niedojdzie całym sercem i ciałem? Lud by cię wielbił. Idę o zakład, że tobie przypadłby zaszczyt wygłoszenia mowy pogrzebowej po śmierci cesarza, a także jego majątek.
- Jak śmiesz? — Wespazjan nie podniósł głosu, z trudem jednak zachowywał spokój. — Jak śmiesz sugerować, że Flawia... mogłaby pomyśleć o rzeczach, które jej imputujesz?
- A ty nigdy tego nie podejrzewałeś? Może dlatego, że jesteś jej mężem. Byłbyś idealnym mężem stanu, ale polityk z ciebie marny. Ludzie, którzy zaatakowali Narcyza, należeli do oddziału jazdy dowodzonego przez Gajusza Marcellusa Dextera, jednego z przybocznych Skrybonianusa i jak się okazało, dalekiego kuzyna twojej żony. Mam nadzieję, że tego nie uznasz za zbieg okoliczności. Zrozum wreszcie, tajemnica Flawii już prawie została ujawniona. Niedługo będę miał okazję porozmawiać z twoją żoną. Mam zamiar zasugerować jej, by porzuciła knowania, obiecując w zamian, że Narcyz pominie jej rolę w tym spisku. Jeśli chcesz mieć nadal żonę,

zadbaj, proszę, o to, bym nie miał powodów do opowiedzenia mu o jej dodatkowych zajęciach. Nie przekazałem jeszcze Narcyzowi tych wieści. Jeśli zachowasz w tajemnicy wszystko, o czym tutaj rozmawialiśmy, daruję życie twojej żonie. To chyba uczciwy układ?

Wespazjan spoglądał na niego, usilnie starając się wyrzucić z pamięci zdarzenia i słowa, których był świadkiem w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Na przykład to, że jego żona ukryła na moment zwój porwany przez Tytusa. Uzmysłował sobie, że wtedy mogła go sprytnie podmienić.

— Nie oczekuję, panie, że od razu przystaniesz na moją propozycję. Przemyśl ją sobie dobrze. Przyznaję, że byłem do tej pory dość beztrojski, i to w wielu sprawach, ale wierz mi, bez trudu zdołam odeprzeć wszelkie oskarżenia, jakie możesz przedstawić Narcyzowi. Co więcej, mogę go przekonać, że zostały mi postawione celowo. Niestety, każda sugestia albo podejrzenie, że mogłem się okazać nielojalny, z pewnością podkopie moją pozycję wśród jego zauszników. Jeśli więc zdecydujesz się na ujawnienie mojej sprawy, obaj poniesiemy tego konsekwencje. Będę zmuszony powiedzieć wszystko, co wiem na temat Flawii. Jesteś rozumnym człowiekiem, więc ufam, że pozostawisz dla siebie szczegóły niefortunnych wydarzeń ostatnich miesięcy.

Witeliusz czekał na odpowiedź, ale legat nie podnosił wzroku. Był tak zasmucony i przerażony, że nawet nie słyszał ostatnich słów trybuna. W końcu podniósł rękę i oparł na niej głowę. Nie był w stanie znieść tej wiedzy.

— Och, Flawio... — wyszeptał. — Jak mogłaś?

— Czy mogę już odejść, panie? Wzywają mnie obowiązki. — Witeliusz wstał, by opuścić namiot. — Mam nadzieję, że nie usłyszę już nigdy o oskarżeniach centuriona Macro.

Przez moment Wespazjan miał ochotę pociągnąć tę rozmowę. Chciał wyrazić swój wstyd, strach... i wściekłość na zadowolonego z siebie trybuna. Niestety nie był w stanie wykrztusić jednego słowa w kierunku opadającej zasłony.

Macro i Katon siedzieli na zewnątrz, na workach paszy pozostawionych tutaj dla koni legata. Centurion przysypiał, głowa opadła mu na pierś. Chrapał głośno, bardzo głośno. Zmęczenie w końcu wzięło nad nim górę. Kręcący się wokół namiotu dowództwa ordynansi spoglądali w jego kierunku z dezaprobatą. Miał szaty ubrudzone ziemią, twarz umorusaną i ręce upaprane zaschniętą krwią Togodumnusa. Wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Katon jednak spoglądał na niego z atencją, pamiętając o wielkiej, szczerzej radości centuriona po powrocie do obozu II Legionu, gdy okazało się, że optio żyje i ma się dobrze. Poczucie przynależności do tej jednostki, które towarzyszyło chłopakowi podczas bitwy, pozostało. Zrozumiał, że tak właśnie czują się legionieści, jego towarzysze broni, bez względu na to, jak okrutne życie ich czekało. Armia była jego domem. Należał duszą i ciałem do II Legionu.

Ale nie widział w tym nic złego, zwłaszcza teraz, gdy podniósł wzrok i spojrzał w oczy jednego z setek Brytów siedzących cicho w swoich zagrodach. On był dzisiaj łupem wojennym, zostanie wysłany do Rzymu, sprzedany na targu i stanie się kolejnym niewolnikiem. Gdyby nie wola nieżyjącego już ojca, Katon nadal miałby taki sam status jak ten dzikus. Ale tych Brytów czekało najgorsze życie z możliwych. Ujęci po walce wrogowie imperium mogli liczyć co najwyżej na pracę do upadłego w którymś z gigantycznych latyfundiów albo szybkie dokonanie żywota w łańcuchach podczas wykonywania nowych sztolni w kopalniach ołowiu.

Ci jeńcy wciąż jeszcze mieli w oczach ten charakterystyczny błysk, który mówił o niezłomności ducha, o woli walki bez względu na cenę, do samego końca, o ogniu płonącym w nich, dopóki ostatni nie padnie w walce z najeźdźcami. Wiedział więc, że kampania, w wyniku której lud ten ma być podbity, będzie krwawa i długa.